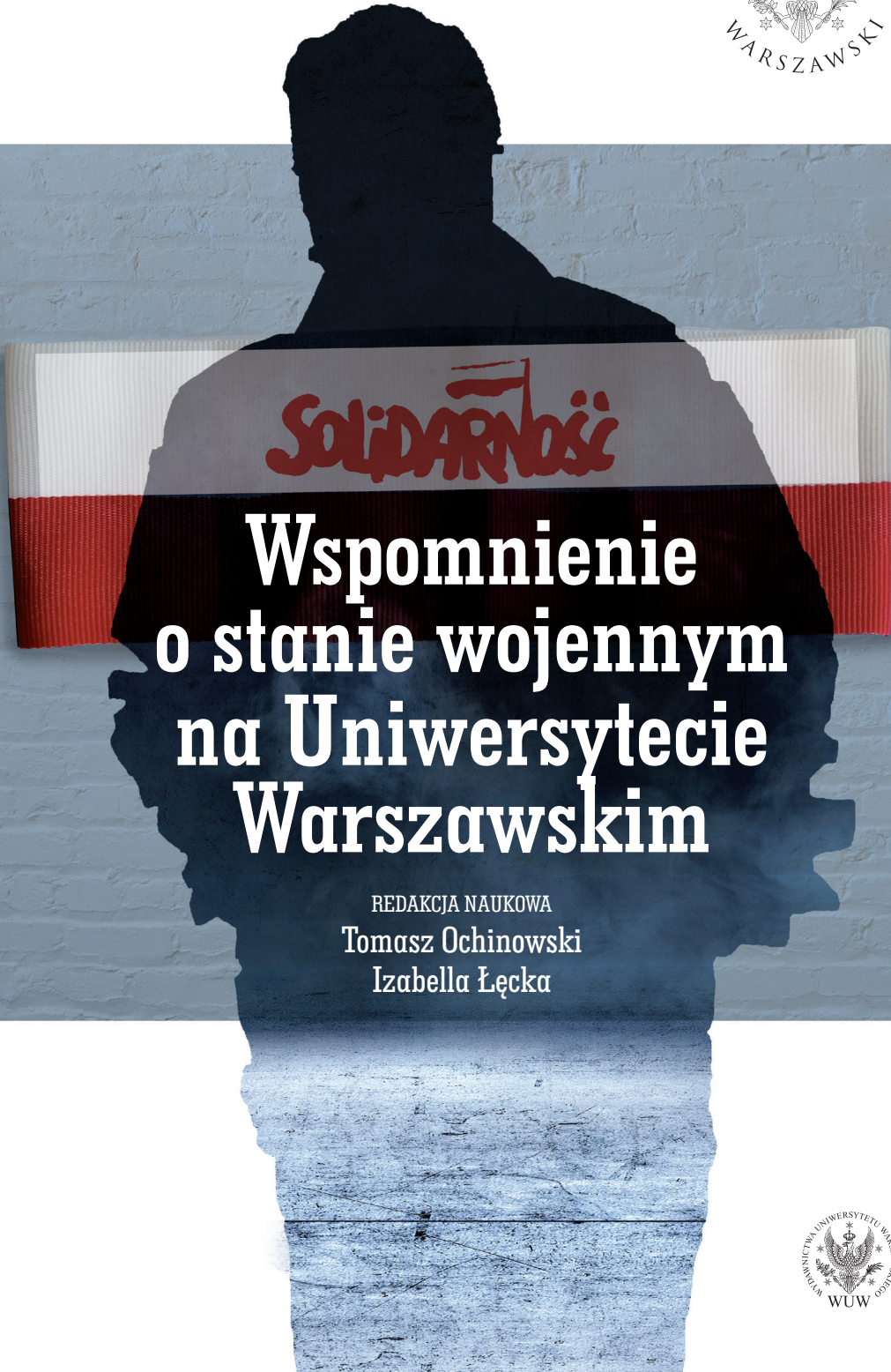




SOLIDARNOŚĆ

Wspomnienie o stanie wojennym na Uniwersytecie Warszawskim

REDAKCJA NAUKOWA
Tomasz Ochiniowski
Izabella Łęcka

**Wspomnienie
o stanie wojennym
na Uniwersytecie
Warszawskim**

Mauryla Kiersnowska
Andrzej Kaczanowski
Jerzy Kwaśniewski
Barbara Malak-Minkiewicz
Lech Mankiewicz
Anna Owczarek
Anna Radziejowska-Hilchen
Joanna Papis
Jan Rempala
Julian Srebrny
Jerzy Siedlecki
Jerzy Szatyłowicz
Zuzanna Toeplitz
Ryszard Zieliński
Mariusz Ziółkowski

oprac. zespół studentów UW w składzie:

Gabriela Herzyk, Julia Gruca, Michał Jakociuk, Paweł Jochymczyk,
Adrian Jaworski, Maja Jeśmanowicz, Wiktoria Luck, Weronika Łonak,
Milena Majewska, Aleksander Matiuszenko, Katarzyna Mocio,
Maciej Nadzikiewicz, Nina Papużyńska, Andrzej Para i Igor Tomecki
we współpracy z Aleksandrą Dobieszewską, Wiktorią Domańską i Marcinem Szczęsnym

Wspomnienie o stanie wojennym na Uniwersytecie Warszawskim

REDAKCJA NAUKOWA
Tomasz Ochowski
Izabella Łęcka

Centrum Historii Organizacyjnej WZ UW



UNIwersytet
Warszawski



Warszawa 2021

Redaktorzy naukowi
Tomasz Ochowski
Izabella Łęcka

Recenzent
Tadeusz Wolsza

Koordynator
Martyna Chołuj

Redakcja i korekty
Magdalena Orczykowska

Projekt okładki i stron tytułowych
Anna Zagrajek

Skład i łamanie
Dariusz Górski

Fotografie zamieszczone w publikacji przedstawiają przedmioty symbolizujące stan wojenny, a w szczególności tzw. cegiełki – kartki pocztowe, koperty, znaczki, które były kolportowane dla zdobycia funduszy na działalność podziemną. Sfotografowane przedmioty pochodzą ze zbiorów Anny Radziejowskiej-Hilchen, autorką zdjęć jest Milena Majewska

Publikacja dofinansowana ze środków Programu Wsparcia Działalności Publikacyjnej Pracowników Uczelni

© Copyright by Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2021

Tomasz Ochowski ORCID 0000-0001-8343-4071
Izabella Łęcka ORCID 0000-0001-7837-0667

ISBN 978-83-235-5365-6 (druk) ISBN 978-83-235-5373-1 (pdf online)
ISBN 978-83-235-5381-6 (e-pub) ISBN 978-83-235-5389-2 (mobi)

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego
00-838 Warszawa, ul. Prosta 69
e-mail: wuw@uw.edu.pl
księgarnia internetowa: www.wuw.pl

Wydanie 1, Warszawa 2021

Druk i oprawa: POZKAL

Spis treści

Wstęp	7
Mariusz Ziółkowski	20
Barbara Malak-Minkiewicz	38
Julian Srebrny	56
Anna Radziejowska-Hilchen	76
Zuzanna Toeplitz	90
Jerzy Kwaśniewski	100
Mauryla Kiersnowska	112
Andrzej Kaczanowski	124
Jerzy Szatyłowicz	136
Anna Owczarek i Jerzy Siedlecki	150
Joanna Papis	158
Ryszard Zieliński	172
Lech Mankiewicz	182
Jan Rempała	194

Wstęp

Tomasz Ochowski

Prezentowana Czytelniczkom i Czytelnikom publikacja – powstała z inicjatywy dr Anny Modzelewskiej – stanowi zapis doświadczeń świadków stanu wojennego na Uniwersytecie Warszawskim z istotnymi odniesieniami do wydarzeń wcześniejszych i późniejszych, nieraz aż po współczesność. Wywiadów, które stanowią trzon niniejszej książki, wielkodusznie zgodziła się udzielić grupa osób, które przed czterdziestu laty, 13 grudnia 1981 roku były studentami lub pracownikami (a w niektórych przypadkach łączyły obydwie role) Uniwersytetu Warszawskiego. Reprezentują oni różne dziedziny wiedzy bądź praktyki społecznej, różne drogi życiowe, różne wybory ideowe, wtedy i później. Łączy ich jedno: z nadatkiem spełniają kryteria pozwalające uznać ich za świadków kluczowych, to znaczy chodzi o osoby (1) „po uszy” zanurzone w wydarzenia, które opisują, a także w szeroko rozumianą kulturę tych wydarzeń (choć nie musieli być wówczas na szczególnie eksponowanych stanowiskach), (2) mające kompetencje narracyjne, (3) chcące rozmawiać o swoich doświadczeniach.

W porządku alfabetycznym (i z pominięciem tytułów, które zdobyli później) są to: Andrzej Kaczanowski, Mauryła Kiersnowska, Jerzy Kwaśniewski, Barbara Malak-Minkiewicz, Lech Mankiewicz, Anna Owczarek, Joanna Papis, Anna Radziejowska-Hilchen, Jan Rempała, Jerzy Siedlecki, Julian Srebrny, Jerzy Szatyłowicz, Zuzanna Toeplitz, Ryszard Zieliński i Mariusz Ziółkowski.

Podziękowania sytuuje się zwykle na końcu wstępu, jednak charakter niniejszej publikacji skłania do porzucenia tego porządku. Zacznę od serdecznego

podziękowania wymienionym za to, że zgodzili się być przewodnikami po niełatwym i dość już dzisiaj zapomnianym okresie z dziejów Uniwersytetu Warszawskiego, z dziejów kraju, a także z dziejów ruchów społecznych. Zgodzili się odegrać rolę „wehikułów pamięci zbiorowej”, która ma sporo do powiedzenia także i dziś. Powstała dzięki nim publikacja jest pierwszą pracą wykonaną w ramach utworzonego w czerwcu bieżącego roku Centrum Historii Organizacyjnej Wydziału Zarządzania UW, którym, wraz z prof. Izabellą Łęcką, mam przyjemność współkierować.

Zagadnienie pamięci zbiorowej zyskało ostatnio spore szanse na to, by trafić pod intelektualne strzechy, a może nawet stać się wydarzeniem kulturowym. Świadczą o tym publikacje podsumowujące tę problematykę w sposób atrakcyjny i zrozumiały dla wykształconego laika. Jako przykład warto wskazać przynajmniej dwie spośród nich. Najpierw Scott Hershberger opublikował na łamach listopadowego numeru *Scientific American* z 2020 roku artykuł pod tytułem „The 1918 Flu Faded in Our Collective Memory: We Might ‘Forget’ the Coronavirus, Too” [Grypa z 1918 roku¹ wyblakła w naszej zbiorowej pamięci: możemy też „zapomnieć” o koronawirusie]. Kilka miesięcy później majowy *The Atlantic* przyniósł obszerny tekst Melissy Fray Greene „How Will We Remember the Pandemic?” [Jak zapamiętamy pandemię?]. Obydwie publikacje zostały także przełożone na język polski. Grudniowy numer polskiej edycji *Scientific American – Świat Nauki* z 2020 roku zamieścił wspomniany tekst Hershbergera przetłumaczony i opatrzonego tytułem „Pandemia, o której zapomnieliśmy” (Hershberger, 2020a; 2020b). Anna Dzierzgowska zaś przetłumaczyła publikację Greene (2021) dla literackiego periodyku *Pismo* z września bieżącego roku. Polski tytuł brzmi: „Zapamiętasz pandemię inaczej, niż sądzisz”.

Jak wyraźnie więc widać, czas pandemii przyniósł swoistą nobilitację metaforycznej kategorii poznawczej zaproponowanej niemal 100 lat temu przez Maurice’a Halbwachsa (1925/1969), który wprowadził w obieg naukowy termin „pamięć zbiorowa” (fr. *la mémoire collective*). Wspomniany francuski socjolog jako jeden z pierwszych poddał pod dyskusję ideę, iż pamiętanie nie polega na mechanicznym rejestrowaniu zachodzących zjawisk, lecz stanowi ciągle rekonstruowanie przeszłości przez przypominających sobie ludzi. Zdolność człowieka do tworzenia obrazów czasów minionych warunkowana jest uczestnictwem w życiu rodziny, Kościoła, klasy i innych grup. To właśnie wymienione tu przykładowo zbiorowości wyznaczają społeczne ramy pamięci. Głównym jej nośnikiem mają być natomiast, zdaniem przywołanego badacza, nie tyle umysły jednostek, ile raczej wspólne dla danych

¹ Chodzi o epidemię tzw. grypy hiszpanki, która pustoszyła świat po I wojnie światowej. Na temat polskiej niepamięci tego wydarzenia pisał ostatnio Łukasz Mieszkowski (2020).

społeczności, szeroko rozumiane „zasoby”, jak na przykład tradycje, legendy, dzieła sztuki czy inne pamiątki.

Dziś do przeszłości należą zarzuty wysuwane wcześniej wobec propozycji Halbwasha. Mówiąc najogólniej, krytycy punktowali metaforyczny charakter terminu „pamięć zbiorowa”, bo przecież – jak wyraźnie pokazują to zdroworozsądkowe argumenty – w gruncie rzeczy tylko pojedynczy człowiek ma zdolność pamiętania (por. np. publicystyczne ujęcie tej dyskusji przez Jerzego Jedlickiego [1997]).

Warto w tym kontekście przypomnieć ustalenia Roosa Poole’a (2008), które omawiałem na kartach innej publikacji (Ochowski, 2013). Pozwalam je sobie teraz powtórzyć wobec przywołanego wcześniej powrotu zainteresowania badaniami pamięci zbiorowej. Poole (2008) wskazał na dyskusyjność niektórych, potocznie i nie tylko potocznie, przyjmowanych za oczywiste rozróżnień między rodzajami pamięci. Uwypuklił on, między innymi, społeczne aspekty pamięci indywidualnej. Za Halbwashem przypominał, iż to, co pamięta pojedynczy człowiek, w dużym stopniu zależy od wspomnień, zdjęć oraz innych artefaktów dostarczanych mu przez przyjaciół, członków rodziny i innych znaczących ludzi. Bez wsparcia, a także potwierdzenia ze strony otoczenia społecznego zapamiętane przez jednostkę fakty, osoby bądź przedmioty stopniowo ulegają zapomnieniu. Co więcej, terminy, w jakich dany człowiek opisuje, a także przypomina sobie różne wydarzenia ze swojego życia, formowane są przez język, konwencje i wartości charakterystyczne dla grup społecznych, do których „pamiętająca” jednostka należy. Pamięć pojedynczej osoby, podobnie jak inne jej doświadczenia, jest więc „ustrukturyzowana konceptualnie” (ang. *conceptually structured*). Do halbwashowskich argumentów dotyczących społecznego charakteru pamięci indywidualnej Poole dodał jeszcze jeden. Wskazał mianowicie na nieoczywiste konsekwencje pozornie oczywistego faktu, że ludzie wspomagają swoją pamięć, korzystając z zapisów na zewnętrznych nośnikach informacji, takich jak notatniki, laptopy i tym podobne. Oznacza to, iż tworzenie pamięci człowieka w znacznym stopniu polega na dostępie do zewnętrznych reprezentacji minionej rzeczywistości. Przy czym reprezentacje te mają tak samo społeczny, zbiorowy charakter jak rytuały czy pomniki tradycyjnie uważane za „magazyny” pamięci zbiorowej. Konkludując, Poole sugeruje, iż różnica między pamięcią indywidualną a zbiorową ma charakter raczej kontinuum niż „przepaści”.

Aktualnie badacze szukają przede wszystkim sposobów operacjonalizacji pamięci zbiorowej, której treść – według lapidarnego określenia francuskiego filozofa Paula Ricoeura (1995: 28) – wypełnia „nagromadzenie śladów pozostawionych przez wydarzenia, jakie pobudzały bieg historii danych grup”. Przy czym dramatycznie inspirowani pandemią COVID-19 współcześni naukowcy sięgają nie tyle

po prace cytowanego myśliciela, ile raczej wprost do intelektualnego dziedzictwa Halbwasha. Jak się zresztą okazuje, robili to także wcześniej.

Historycy już od dość dawna (może bardziej na Zachodnie niż w Polsce) traktują pamięć, w której po halbwashowsku widzą przede wszystkim zjawisko społeczne, jako przedmiot badań wyznaczający nowe perspektywy metodologiczne dziejopisarstwa (Cubbitt, 2019).

Pomijam wysiłki i osiągnięcia socjolożek i socjologów. Ci, praktycznie bez przerw przez ostatnie sto lat od opublikowania oryginału *Społecznych ram pamięci* (Halbwach, 1925/1965), pozostają wierni cytowanemu francuskiemu mistrzowi swojej dyscypliny.

Dla współczesnych psychologów punktem zwrotnym w zakresie podejmowania problematyki pamięci zbiorowej z perspektywy halbwashowskiej wydaje się być artykuł Elaine Reese i Robyn Fivush (2008) „The Development of Collective Remembering” [Rozwój zbiorowego pamiętania] opublikowany na łamach *Memory*, prestiżowego czasopisma „głównego nurtu” badań psychologicznych. Wspominany tekst przynosi bieżącą dyskusję nad ideami francuskiego socjologa. Pandemia jeszcze bardziej uaktualniła taki namysł (Greene, 2021). Nowych znaczeń dostarczyła wysiłkom poznawczym także innego psychologa empirycznego, Henry’ego L. Roedigera III, który rozwija pomysły Halbwasha, uznając „pamięć zbiorową za «sposób, w jaki pamiętamy siebie jako część grupy, która tworzy naszą tożsamość»” (Hershberger, 2020a: 62). Taką grupą może być na przykład partia polityczna, społeczność sportowa czy wspólnota religijna. Inspiracje płynące od Halbwasha pokazują badaczom, że wspomnienia tworzą się poprzez oczekiwanie, iż opowieści o nich zostaną wysłuchane przez innych.

„Nawet doświadczając czegoś po raz pierwszy – pisał cytowany już wielokrotnie przeze mnie francuski nestor problematyki pamięci zbiorowej – wędrowiec myśli o reakcjach innych ludzi, i to zabarwia zarówno jego sposób postrzegania danego wydarzenia, jak i jego wspomnienia o nim” (Greene, 2021: 40). Współczesne naśladowczynie autora *Społecznych ram pamięci* w psychologii dodają: „Według Halbwasha zaczynamy układać nasze wspomnienia w oczekiwaniu na chwilę, kiedy będziemy mogli się nimi podzielić” (Greene, 2021: 40).

Narracyjny charakter ludzkiego pamiętania jest wyraźnie naczelnym motywem aktualnych badań nad omawianym aspektem psychiki człowieka, szczególnie tych inspirowanych pandemią. Takie podejście wyraźnie współgra z przekonaniami, niektórych przynajmniej, historyków, dając nadzieję na nową jakość potencjalnej współpracy obydwu dziedzin poznania. Warto w tym kontekście

pozwolić sobie na jeszcze jeden cytat. Pochodzi on z eseistycznego bestsellera pióra Tamima Ansary'ego (2021: 10, 11; wyd. oryg. 2019) *Ludzkość. Historia, o jakiej nie mieliście pojęcia*, chyba dobrze przyjętego przez profesjonalnych badaczy przeszłości². Afgańsko-amerykański „opowiadacz dziejów” podkreśla: „Ostatecznie wszystko sprowadza się do kształtu narracji. Historia oczywiście zajmuje się faktami, ale generalnie służą one narracji. Opowiadając naszą historię, tworzymy siebie samych”.

Narracyjny i tożsamościowy, a zarazem – jak wskazują choćby cytowani autorzy – wyraźnie relacyjny (nastawienie na innych, na potencjalnych słuchaczy) charakter zbiorowego pamiętania od lat uznają za główny przedmiot zainteresowania przedstawiciele tak zwanego dyskursywnego nurtu psychologii. Niedawno obchodził on swoje ćwierćwiecze, choć na przykład w Polsce ciągle jest słabo znany. Znowu pozwolę sobie sięgnąć do innego mojego tekstu na ten temat, by umożliwić Czytelnikom i Czytelniczkom spojrzenie na nurt dyskursywny w nowym kontekście powrotu zainteresowania badaczy pamięcią zbiorową (Ochiniowski, 2017). Psychologowie dyskursywni stanowią część szerszego, interdyscyplinarnego, zróżnicowanego intelektualnie środowiska, które łączy przekonanie, iż zarówno ludzka psychika, jak i społeczeństwo dają się poznać nie tyle za pomocą modeli matematycznych oraz badań eksperymentalnych, rozumianych tradycyjnie, ile raczej dzięki analizom wykorzystującym retorykę. Rzeczywistość, którą badają przedstawiciele szeroko rozumianych nauk społecznych, wydaje się bowiem mieć naturę raczej retoryczną niż stochastyczną³. Procesy psychiczne, a także społeczne można uznać za przejawy perswazji, czyli dosłownie i metaforycznie rozumianych różnorodnych dyskusji prowadzonych świadomie i nieświadomie, werbalnie i niewerbalnie przez różnorodne podmioty, nie wyłączając także „wewnętrznych” konwersacji jednostki ludzkiej z samą sobą (Waldenfels, 2014; Wiggins, 2017).

² Opieram moje przekonanie na tym, iż niektórzy z profesjonalnych historyków zaangażowali się w promocję omawianej książki, co oczywiście uwypuklił wydawca poprzez odpowiednie cytaty na początku i końcu publikacji.

³ Założenie o stochastycznej naturze zjawisk będących przedmiotem zainteresowania psychologii jest bezdyskusyjnie, a nawet bezrefleksyjnie obecne w pracach np. poznawczego nurtu badań psychologicznych. Chodzi o przekonanie, iż „rzeczywistość”, którą poddaje się badaniu, da się opisać za pomocą operacji statystycznych, czyli ma ona naturę probabilistyczną, ujmowaną przez rachunek prawdopodobieństwa. I jest to jedyny naukowy sposób postępowania badawczego. Podejście dyskursywne zakłada, że badana przez psychologów rzeczywistość, a przynajmniej jej różne, istotne poznawczo obszary, nie musi wcale poddawać się modelowaniu statystycznemu. Nie da się jej przewidywać, tak jak to robią przedstawiciele nauk przyrodniczych, ale można dążyć do coraz głębszego jej rozumienia. Czasami wzorce służące temu rozumieniu pozwalają na przewidywanie badanych zjawisk, ale w znaczeniu wyłącznie jakościowym. Nie oznacza to jednak odrzucenia użycia matematyki.

Konsekwentnie warto spojrzeć na relacje dotyczące przeszłości jako na zróżnicowane „produkty”, zrozumiałe jedynie w społecznym kontekście, które „wykonują pracę pragmatyczną i retoryczną”⁴. Trudno więc mówić o czymś takim jak jedyna wersja pamięci danego człowieka, a tym bardziej szerszych środowisk. Zjawiska pamiętania, zapominania, przypominania są dynamiczne. Zmieniają się w czasie i przestrzeni. Stanowią procesy ciągłego negocjowania obrazów przeszłości⁵ w kontekście aktualnych potrzeb uwarunkowanych społecznie. Równocześnie wspomniane procesy negocjacyjne, czyli szeroko rozumiane dyskusje, zmieniają te konteksty i uwarunkowania.

Taki właśnie aspekt pamięci Derek Edwards i Jonathan Potter (1996) nazwali przed laty „pamiętaniem dyskursywnym”. Przytoczony termin jest precyzyjnym ujęciem rozumienia społecznego pamiętania jako przedsięwzięcia osiąganego poprzez akty porozumiewania się w ramach „tu i teraz” konkretnego zespołu, jak zaproponowali Derek Middleton i cytowany Edwards na kartach klasycznego dla psychologii dyskursywnej studium pod tytułem *Collective Remembering* [Zbiorowe pamiętanie] (1990). By podkreślić procesualną, dynamiczną naturę opisywanych zjawisk, badacze przywołanej orientacji używają właśnie terminu „pamiętanie”, nie zaś „pamięć”⁶.

Poprzez szeroko rozumiane dyskusje o przeszłości uczestniczący w nich ludzie konstruują, drogą negocjacji, swoją (i nie tylko swoją) tożsamość oraz informują o niej (przekonują do niej) innych, łącznie z przedstawicielami następnych pokoleń. Horyzont przedsięwzięcia nazywanego „społecznym pamiętaniem” wyznaczany jest przez teraźniejszość skierowaną ku przyszłości, zawierającą również przekaz międzypokoleniowy. Przy czym nie chodzi tu o przekaz wyłącznie poznawczy w zachodnim sensie tego słowa, adresowany tylko do rozumu. Treści pamięci – co sugerują choćby Jeremy Ginges i David Cairns (2000) – niosą zarówno daną wiedzę, jak i emocjonalny stosunek do tej wiedzy, jej emocjonalną ocenę.

To wszystko nie musi jednak oznaczać (a moim zdaniem nie oznacza) relatywizmu. Warto raz jeszcze sięgnąć po ustalenia Poole’a (2008; Ochowski, 2017).

⁴ To znaczy spełniają cele pragmatyczne i perswazyjne zarówno jednostek ludzkich, jak i grup, organizacji czy instytucji, w ramach których jednostki te funkcjonują, funkcjonowały lub starają się funkcjonować.

⁵ Chodzi o negocjowanie człowieka z samym sobą i z innymi, a także z podmiotami o charakterze niepersonalnym. Metaforycznie rzecz biorąc, negocjowanie obrazów przeszłości prowadzi też organizacje, instytucje itp.

⁶ Ze względów stylistycznych w niniejszym tekście zamiennie używam terminów „pamięć” i „pamiętanie”, od tego miejsca jednak wyłącznie w znaczeniu procesualnym, dyskursywnym.

Wskazuje on, iż pamięć społeczna – podobnie jak historia naukowa – ostatecznie opiera się na dążeniu do prawdy, wymaganiu prawdy (ang. *claim to truth*). Prawda o przeszłości zaś (oczywiście krytycznie zweryfikowana) – Poole przywołuje tradycje myślenia dotyczące pamięci jednostkowej rozwijane na przykład przez Fryderyka Nietzschego i stosuje je do zagadnień pamięci zbiorowej – pociąga za sobą konkretną odpowiedzialność za dziedzictwo czasów minionych (Poole, 2008: 149–166). Obrazy, reprezentacje przeszłości, zarówno te negocjowane w postaci pamiętania zbiorowego, jak i te weryfikowane (również przecież drogą dyskusji) przez historyków-naukowców mają wymiar przede wszystkim moralny, a nie tylko czysto poznawczy. W takiej perspektywie główną funkcją zarówno zbiorowego pamiętania, jak i analiz historycznych jest formułowanie pewnych wymagań, jakie przeszłość niesie teraźniejszości. Funkcja ta ma wyraźnie charakter normatywny. Zarówno pamięć społeczna, jak i wysiłki badaczy informują obecne pokolenia o ich odpowiedzialności wobec historii.

Wydaje się nawet (sygnalizuję tu tę kwestię jedynie marginesowo), że Poole (2008), nie pisząc o tym wprost, wyraźnie dopuszcza też możliwość, iż pamiętanie zbiorowe może w niektórych przypadkach zbliżać się do horyzontu prawdy historycznej bardziej niż jego naukowy odpowiednik. W każdym razie warto łączyć zbiorowe pamiętanie, będące zasobem świadków historii, z wysiłkami badaczy.

Dostarczenie źródeł do wiarygodnych „połączeń” wspomnianego rodzaju stanowi ambicję niniejszej książki. Jak już sygnalizowałem, powstała ona z inicjatywy dr Anny Modzelewskiej, Rzeczniczki Prasowej UW, a zarazem autorki pierwszej w Polsce pracy doktorskiej ujmującej fenomen „Solidarności” z perspektywy nauk o organizacji (Modzelewska, 2019). Prezentowana przez nasz zespół praca *Wspomnie o stanie wojennym na Uniwersytecie Warszawskim* jest właśnie źródłowym zapisem tej odmiany pamiętania społecznego, którą za Michaeliem Rowlinsonem i współpracownikami (2010) nazwać można „pamiętaniem organizacyjnym”. Chodzi o proces reprezentowania przeszłości „poprzez całe zestawy idei, różne rodzaje wiedzy, praktyk kulturowych, rytuałów i artefaktów, za pomocą których ludzie, jakkolwiek związani ze światem organizacji wyrażają swoje postawy wobec przeszłości i które to elementy konstruują relacje wspomnianych ludzi z przeszłością” (Rowlinson i in., 2010: 10; zob. też Ochiniowski, 2016).

Wymiar organizacyjny pamiętania zapisanego w niniejszej publikacji wyznacza zarówno Uniwersytet Warszawski, jak i związek zawodowy „Solidarność”, z którym życie osób udzielających nam wywiadów splotło się w mniejszym lub większym stopniu, na dłużej lub krócej, na dobre lub na złe z ich dzisiejszej perspektywy czy dzisiejszej świadomości. Organizacją quasi-autorytarną było również państwo symbolizowane akronimem „PRL”. 13 grudnia 1981 roku, a więc

40 lat temu radykalnie wtargnęło ono w kontekst organizacyjny i Uniwersytetu, i „Solidarności”.

Badacze pamiętania, ogólnie rzecz ujmując, rozróżniają dwa rodzaje wydarzeń, pozostawiające nieco odmienne ślady pamięciowe. Pierwszy rodzaj to pojedyncze, zazwyczaj traumatyczne doświadczenia, wywołujące „tak zwany efekt lampy błyskowej, jak zamach na Johna F. Kennedy’ego, zniszczenie wśród płomieni promu kosmicznego Challenger czy atak na World Trade Center 11 września 2001 roku” (Greene, 2021: 36). Drugi rodzaj wspomnianych wydarzeń „jest to raczej pewien okres w życiu, w którym będą osadzone wspomnienia każdej i każdego z nas. Przypomina pod tym względem wielki kryzys, drugą wojnę światową, lata spędzone w liceum lub czas małżeństwa z Barbarą” (Greene, 2021: 36).

Obecnie jest to na skalę globalną oczywiście pandemia. Wobec przytoczonych jako przykłady „procesualnych” wydarzeń (czyli tych drugiego rodzaju) szczególnie ujawnia się skłonność człowieka do tego, aby „układać przytrafiające się nam historie jako opowiadania lub scenariusze, nadając tym samym znaczenie naszemu życiu (...) Nasze fabuły (...) mogą nam coś powiedzieć o tym, jak sobie radzimy z trudnościami” (Greene, 2021: 36). Podejście dyskursywne pozwala oczywiście dodać, że wspomnienia mają potencjał nadawania sensu życia i pokazywania sposobów radzenia sobie z trudnościami nie tylko „opowiadaczom”, ale i słuchaczom, mającym przecież aktywną rolę w powstawaniu relacji.

Doświadczenie stanu wojennego interesująco łączy obydwa rodzaje wspomnianych wydarzeń. 13 grudnia 1981 roku był jednorazową traumą, mającą jednak długotrwałe konsekwencje życiowe, pamięciowe i organizacyjne. Niektóre z tych konsekwencji u niektórych osób mogą trwać do dziś. Wywiady wypełniające prezentowaną książkę miały na celu wydobyć obydwa aspekty. Studenci prowadzący rozmowy ze świadkami historii byli proszeni przede wszystkim o skupienie się na dwóch kwestiach:

1. Jak ważne dla społeczności uniwersyteckiej dyskusje, rozumiane szeroko, przerwał stan wojenny?
2. Jak wyglądało życie codzienne członków społeczności UW podczas „pierwszej Solidarności” i w czasie stanu wojennego?

Przed wszystkim jednak chodziło o wydobyć samych opowieści typu antropologicznego, tak by „wywiadowca” podążał za opowiadającym, by zostawił mu jak najwięcej „pola”.

Jedna z uczestniczek prezentowanych badań, studentka socjologii, następująco podsumowała wspomniane założenia podczas przeprowadzania wywiadu. Gdy świadek historii, skądinąd psycholożka, dr Zuzanna Toeplitz zastrzegła: „Przepraszam, za dużo mówię”, prowadząca rozmowę zareagowała spontanicznie: „Nie, nie, proszę bardzo... Naprawdę... Mamy, powiedzmy, taką metodologię, żeby dawać po prostu jak najwięcej mówić”. Na to dr Toeplitz odpowiedziała: „Niech Pani tego nie robi, bo mam tendencję do tego, jak każdy wykładowca, żeby mówić dużo, ale nie więcej niż półtorej godziny [śmiech]”⁷. Na szczęście tym razem studentka nie posłuchała wykładowczyni...

Na kształt zbiorowego pamiętania zarejestrowanego w wywiadach przeprowadzonych na potrzeby naszej książki oczywiście wpłynął aktualny kontekst, to jest czas pandemii. Pozostawiam Czytelniczkom i Czytelnikom odnajdywanie tych tropów.

Prezentowane wywiady mają jeszcze jedną, wartość zasygnalizowania we wstępie cechę. Anita Piotrowska (2021: 75), krytyczka filmowa, w relacji z ostatniego Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni zauważa, że werdykt publiczności (nagroda dla kameralnego dzieła) świadczy „o tęsknocie za historią autentyczną, lecz pisaną z małej litery i wcale nie mniej przejmującą”⁸. W tym znaczeniu autorzy przedstawianych Czytelniczkom i Czytelnikom relacji okazują się być bardzo „na czasie”, w pełni zdolni do zaspokojenia tej tęsknoty. Choć opowiadają o swoim uczestnictwie w Historii przez duże „h”, to jednak różnobarwne, małe „h” są także, a tak naprawdę to przede wszystkim, obecne na stronach *Wspomnienia...*

Stanowi to niewątpliwą zasługę świadków stanu wojennego, którzy zechcieli się podzielić wspomnieniami na potrzeby niniejszej książki, ale również osób przeprowadzających wywiady. Aby zachować jak najbardziej dyskursywny charakter prezentowanej pracy, do przeprowadzenia wywiadów zaprosiliśmy aktualnych studentów różnych wydziałów Uniwersytetu Warszawskiego. Całość koordynowali uczestnicy otwartego seminarium przy wspomnianym już Centrum Historii Organizacyjnej WZ UW – Paweł Jochymczyk, Adrian Jaworski i Igor Tomecki. Zespół badawczy złożony był częściowo z uczestników zajęć niżej podpisanego, częściowo zaś – po prostu z członków grona koleżeńskie wymienionych wyżej studentów.

⁷ Cytat z zamieszczonego w niniejszej książce wywiadu przeprowadzonego przez Wiktorię Luck, zapis transkrypcji przed redakcją tekstu.

⁸ Film jest tu oczywiście jedynie przykładem artystycznego nośnika pamiętania zbiorowego. Na kartach przygotowywanej książki *Zarządzanie jako refleksyjna praktyka* piszę w tym kontekście, za innymi autorami, także o teatrze, sztukach pięknych, literaturze i muzyce. Uwagę tę zawdzięczam Arturowi Jabłońskiemu, mojemu współpracownikowi z IPN.

Zadziałała więc najmilsza wersja „kuli śniegowej”, tym razem przy doborze nie respondentów, ale samych badaczy. Powstał zespół naprawdę niezwykły. Tworzące go studentki i studenci na zasadzie pełnej dobrowolności i wyłącznie wolontariatu, w okresie od maja do września 2021 roku, w czasie naznaczonym pandemią, a także ograniczonym sesją egzaminacyjną i – co najważniejsze – wakacjami najpierw uczestniczyli (jedynie możliwym wówczas sposobem, to jest poprzez spotkania on-line) w treningu wywiadu o charakterze antropologicznym i we wprowadzeniu do problematyki badań, które zrealizowali dla nich dr hab. Izabella Łęcka oraz niżej podpisany. Następnie badacze przeprowadzili wywiady z 14 świadkami czasów „Solidarności” i stanu wojennego na Uniwersytecie Warszawskim. Wywiady były realizowane w zróżnicowanej formie: na żywo, on-line bądź telefonicznie. O formie wywiadu decydowały przede wszystkim decyzje opowiadających. Czasami także możliwości studentów. Każda rozmowa została zarejestrowana elektronicznie, a następnie przepisana przez kolejnych członków studenckiego zespołu badawczego na zasadzie wiernej transkrypcji. Kolejni studenci wstępnie zredagowali niektóre wywiady⁹. Wszystkie osoby przeprowadzające wywiady i dokonujące transkrypcji są przedstawione w krótkich notkach zamieszczanych po każdej rozmowie.

Sposób tworzenia przypisów dodatkowo rozwijał dyskursywny charakter prezentowanej pracy. Przypisy opracowali również studenci¹⁰, jedynie przy wsparciu niżej podpisanego. Chodziło bowiem o kolejny poziom „dialogu pokoleń”.

Ostateczny kształt publikacji, a przede wszystkim realizacja bardzo trudnego procesu przejścia od tekstów wywiadów antropologicznych do tekstów możliwych do czytania, procesu zrealizowanego w niezwykle krótkim czasie, jest dziełem pracowników i współpracowników Wydawnictw Uniwersytetu Warszawskiego (prace koordynowała Martyna Chołuj).

⁹ Tę pracę wykonali: Aleksandra Dobieszewska, która przeprowadziła także jeden z wywiadów, oraz Marcin Szczęśny, absolwent zarządzania na Wydziale Zarządzania UW, posiadający również wykształcenie filologiczne. Przy ostatecznym uporządkowaniu formy wywiadów przed wysłaniem ich do Wydawnictw UW znaczącej pomocy udzieliły Anna Dobieszewska, absolwentka studiów licencjackich z zakresu politologii na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW oraz Julia Medoj, studentka trzeciego roku grafiki na Akademii Sztuk Pięknych.

¹⁰ Przypisy opracowali wymienieni wcześniej studenci koordynatorzy projektu. W końcowej fazie wspomogli ich Weronika Domańska oraz Filip Niewczas, obydwoje będący studentami III roku finansów na Wydziale Zarządzania UW. Pierwsza z wymienionych osób studiuje również neuroinformatykę, druga – kognitywistykę. Efekt pracy studentów został skrupulatnie przejrany przez osoby, które udzieliły wywiadów do niniejszej książki. Ostateczna wersja przypisów najwięcej zawdzięcza szczegółowym uwagom dr Barbary Malak-Minkiewicz, Anny Radziejewskiej-Hilchen, Anny Owczarek i dr. Jana Rempały. Nie zmienia to faktu, iż za wszelkie niedoskonałości odpowiadają wyłącznie redaktorzy naukowcy niniejszej publikacji.

Zarówno ten projekt, jak i wszystko, co powstaje w ramach naszego Centrum Historii Organizacyjnej WZ UW, zawdzięczam niezwyklej współpracy z dr hab. Izabellą Łęcką, współredaktorką naukową niniejszej publikacji.

Konsekwencją tak pięknej współpracy wszystkich wspomnianych wcześniej osób i tych, o których jeszcze będę pisał, jest prezentowana książka. W kontekście naukowego rzemiosła stanowi ona krytyczną edycję źródeł z zakresu historii mówionej bądź – kontynuując konwencję przyjętą w niniejszym wstępie – edycję źródeł do retorycznej analizy pamiętania organizacyjnego. Nie łudzę się jednak, że administratorzy nauki i szkół wyższych pozwolą w jakikolwiek formalny sposób ocenić (nie mówiąc już o szansie na docenienie) wartość poznawczą prezentowanej publikacji.

Dla wszystkich: dla studenckich uczestników tego – na etapie realizacji zupełnie bezkosztowego – projektu, dla świadków czasów „Solidarności” i stanu wojennego na Uniwersytecie Warszawskim udzielających wywiadów oraz dla redaktorów naukowych praca nad niniejszą książką była po prostu doświadczeniem działania *quo magis veritas propagetur*. Studencki udział w takim przedsięwzięciu napawa ogromną nadzieją. Wszystkim za to serdecznie dziękuję.

Niniejszy wstęp rozpocząłem od wymieniania świadków historii, których relacje wypełniają prezentowaną publikację. Nie doszłoby do tych wywiadów, gdyby nie życzliwość moich Koleżanek i Kolegów z Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” UW: Anny Owczarek, Róży Sułek, Lucyny Kwarcińskiej, Juliana Srebrnego, Jerzego Szatyłowicza, Ryszarda Zielińskiego, Stanisława Jachowicza i Mariusza Ziółkowskiego, którzy pomagali mi w ustaleniu listy rozmówców, w dotarciu do nich, a niektórzy sami zasilili wspomnianą listę. Podobnie nieocenionej pomocy udzieliła mi w tym aspekcie prof. Grażyna Wieczorkowska-Wierzbńska, szefowa „mojej” Katedry Psychologii i Socjologii Zarządzania WZ UW. Piszę to z tym większą przyjemnością, iż nieczęsto trafia się okazja, by podziękować bezpośredniej przełożonej bez kontekstu zależności służbowych...

Ostateczny zbiór wspomnień świadków historii pozyskany do niniejszej książki pozwolił na wydobycie opowieści geograficznie umiejscowionych w newralgicznych miejscach oporu społecznego na Uniwersytecie Warszawskim podczas stanu wojennego i wcześniej, w okresie powstania „Solidarności”. Oczywiście ta newralgiczność jest wynikiem mojego subiektywnego wyboru, choć poparta wiedzą historyczną o wspomnianym okresie dziejów uczelni (zob. np. Majewski, 2016). Tak więc Czytelnik otrzymuje relacje dotyczące doświadczeń studentów oraz pracowników uniwersyteckiej fizyki (prof. Lech Mankiewicz, dr Julian Srebrny i Jerzy Szatyłowicz), matematyki (dr Jan Rempała), biologii (dr Mauryła Kiersnowska

i prof. Andrzej Kaczanowski), geografii (wydziału goszczącego studentów z innych jednostek, które nie uczestniczyły w strajku 1981, oraz prowadzącego intensywną działalność w zakresie powielania „bibuły”, Joanna Papis), historii (Anna Radziejowska-Hilchen, bibliotekoznawstwo, prof. Mariusz Ziółkowski, archeologia oraz Ryszard Zieliński studiujący wówczas historię w białostockiej filii UW), psychologii (dr Zuzanna Toeplitz i dr Barbara Malak-Minkiewicz) nauk społecznych (IPSiR, prof. Jerzy Kwaśniewski) oraz Biblioteki Uniwersyteckiej (Anna Owczarek i Jerzy Siedlecki, obydwoje pracę w BUW-ie łączyli wówczas z zaocznymi studiami bibliotekoznawstwa na Wydziale Historycznym UW).

Jak to zwykle bywa z badaniami typu antropologicznego, ostateczny skład grupy naszych rozmówców był w pewnym wymiarze zależny od wielu trudnych do kontrolowania okoliczności. Nie wszystkie planowane rozmowy mogły dojść do skutku, zwłaszcza w czasie, jakim dysponowaliśmy. Szczególnie odczuwalne braki to niezrealizowane (mimo wielu wysiłków i dobrej woli wszystkich zainteresowanych stron) wywiady z tak kluczowymi dla historii „Solidarności” i oporu wobec stanu wojennego na UW osobami, jak prof. Janusz Grzelak, Ewa Tomaszewska, Agnieszka Romaszewska czy dr Tomasz Krawczyk. Cóż, prezentowana Czytelniczkom i Czytelnikom praca ma charakter otwarty...

Bibliografia

- Ansary, T. (2021). *Ludzkość. Historia, o której nie mieliście pojęcia*. Tłum. T. Szlagor, A. Ziajka-Malecka, J. Hunia. Poznań–Wrocław: Wydawnictwo Dolnośląskie.
- Cubbit, G. (2019). History of Memory. W: P. Burke, M. Tamm (red.), *Debating New Approaches to History* (s. 127–142). London–New York–Oxford–New Delhi–Sydney: Bloombury Academic.
- Edwards, D., Potter, J. (1996). The Chancellor’s Memory: Rhetoric and Truth in Discursive Remembering. *Applied Cognitive Psychology*, 6(3), 187–215.
- Ginges, J., Cairns, D. (2000). Social Representations of Multiculturalism: A Faceted Analysis. *Journal of Applied Social Psychology*, 30(7), 1345–1370.
- Greene, M.F. (2021). Zapamiętasz pandemię inaczej, niż sądzisz. Tłum. A. Dzierzgowska. *Pismo*, (9), 36–46.
- Halbwash, M. (1925/1969). *Społeczne ramy pamięci*. Tłum. M. Król. Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
- Hershberger, S. (2020a). Pandemia, o której zapomnieliśmy. *Świat Nauki*, (12), 60–63.
- Hershberger, S. (2020b). The 1918 Flu Faded in Our Collective Memory: We Might ‘Forget’ the Coronavirus, Too. *Scientific American*, November. Dostęp: <https://www.scientificamerican.com/article/the-1918-flu-faded-in-our-collective-memory-we-might-forget-the-coronavirus-too/> (28.09.2021).
- Jedlicki, J. (1997). O pamięci zbiorowej. *Gazeta Wyborcza (Warszawa)*, 26–27 lipca 1997, 14–15.

- Majewski, P.M. (red.) (2016). *Dzieje Uniwersytetu Warszawskiego po 1945*. Warszawa: Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego.
- Mieszkowski, Ł. (2020). *Największa pandemia hiszpanki u progu niepodległej Polski*. Warszawa: Polityka.
- Middleton, D., Edwards, D. (1990). *Collective Remembering*. London: Sage Publications.
- Modzelewska, A. (2019). *Struktury organizacyjne NSZZ „Solidarność” w latach 1980–1989*. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Ochowski, T. (2013). *Tradycje przedsiębiorczości w Polsce jako źródło kapitału kulturowego organizacji*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego.
- Ochowski, T. (2016). Dwa warszawskie adresy Karola Adamieckiego z historycznym paradoksem w tle. *Studia Ekonomiczne. Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach. Zarządzanie*, (277), 35–92.
- Ochowski, T. (2017). Przypominanie organizacyjne jako kompetencja. *Problemy Zarządzania / Management Issues*, 15(2), 39–53.
- Piotrowska, A. (2021). Polskie strachy, polskie ślady. *Tygodnik Powszechny*, (40), 72–75.
- Poole, R. (2008). Memory, History and the Claims of the Past. *Memory Studies*, (1), 149–166.
- Reese, E., Fivush, R. (2008). The Development of Collective Remembering. *Memory*, 16(3), 201–212.
- Ricoeur, P. (1995). Pamięć – zapomnienie – historia. W: K. Michalski (red.), *Tożsamość w czasach zmiany. Rozmowy w Castel Gandolfo* (s. 22–43). Tłum. S. Amsterdamski i in. Kraków–Warszawa: Znak, Fundacja im. Stefana Batorego.
- Rowlinson, M., Booth, Ch., Clark, P., Delahaye, A., Procter, S. (2010). Social Remembering and Organizational Memory. *Organization Studies*, 31(1), 69–87.
- Waldenfels, H. (2014). *Na imię mu Franciszek. Papież ubogich*. Tłum. K. Markiewicz. Poznań: Wydawnictwo św. Wojciecha.
- Wiggins, S. (2017). *Discursive Psychology: Theory, Method and Applications*. London: Sage Publications.

Rozmowa 1.

Mariusz Ziółkowski

Archeolog, studiował archeologię i historię sztuki na UW, profesor nauk humanistycznych, profesor UW i Uniwersytetu Katolickiego Santa Maria w Arequipie (Peru), na terenie tego kraju kieruje Centrum Badań Andyjskich UW, jeden ze współtwórców „Solidarności” na UW, obecnie, od kilku kadencji wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” UW, reprezentuje ten związek zawodowy w Senacie UW.

Wywiad i transkrypcja: dr Anna Modzelewska
Wspomnienie zostało opublikowane w piśmie uczelni (*Numer dwa w rejestrze*, „Uniwersytet Warszawski” 2020, nr 4(97), s. 24).

Część I. Wypowiedź w związku z 40-leciem „Solidarności” na UW

W roku 1980 byłem już od blisko trzech lat asystentem na Uniwersytecie Warszawskim. Władzy ludowej nie lubiłem nigdy. Natomiast nie byłem żadnym wielkim bojownikiem opozycji. Owszem, znałem środowisko osób związanych z KOR-em¹, jednego ze znaczących jego działaczy osobiście, zresztą po linii zawodowej, roznosiłem okazjonalnie bibułę i ulotki. W sierpniu 1980 roku byłem z moją świeżo poślubioną żoną, Anką, na badaniach terenowych. Zaczęliśmy słuchać, co się dzieje w Gdańsku. Entuzjazm po podpisaniu porozumień był wielki². W owym czasie nie było jeszcze wiadomo, że do „Solidarności” będą mogli wstępować pracownicy naukowcy i przedstawiciele innych branż. W związku z tym w październiku, jak zaczęły się zajęcia, ze Zbyszkim Szafrąnskim³ organizowaliśmy tak zwanego dziewięcioliterowca (Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty) na ówczesnym Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Po krótkim czasie nastąpiła fuzja „dziewięcioliterowca” z „Solidarnością”.

Później moja historia potoczyła się inaczej niż moich kolegów związkowców, choć nadal była w pewnej mierze związana z „Solidarnością” i sytuacją w kraju. Powód był prosty: przez większość 1981 roku, a dokładnie od początków stycznia do końca września, nie było mnie w Polsce, ponieważ dostałem stypendium naukowe w Ameryce Południowej. Przez te najciekawsze miesiące karnawału „Solidarności” przebywałem w Ekwadorze. Probierzem, jaka jest sytuacja w Polsce, były dla mnie wizyty w ambasadzie polskiej w Quito. Już na tak zwane dzień dobry zrobiłem mały skandal przy okazji przyjęcia dyplomatycznego, na które Jego Ekscelencja Ambasador zaprosił mnie jako pierwszego (i jedyne) polskiego stypendystę naukowego w całym Ekwadorze. Przyszedłem na to spotkanie w marynarce ze znaczkiem „Solidarności” w klapie. Podobno, jak mi potem tak

¹ KOR – Komitet Obrony Robotników, organizacja opozycyjna działająca od września 1976 r. do września 1977 r. Głównymi postulatami organizacji była amnestia dla skazanych w demonstracjach Czerwca '76, przyjęcie represjonowanych do pracy, ukazanie rozmiarów represji oraz ukaranie winnych naruszenia prawa wobec demonstrantów. W lipcu 1977 r. władze PRL ogłosiły amnestię wobec członków KOR oraz robotników skazanych po Czerwcu '76. Komitet nadal działał. Jego oficjalne rozwiązanie nastąpiło na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” 23 września 1981 r.

² Porozumienia gdańskie, porozumienia sierpniowe – cztery porozumienia zawarte przez rząd PRL z komitetami strajkowymi powstałymi w 1980 r. Porozumienia zakończyły wydarzenia Sierpnia '80.

³ Zbigniew Szafrąński – egiptolog, doktor, pracownik naukowy UW, kierownik polsko-egipskiej ekspedycji archeologiczno-konserwatorskiej świątyni Hatszepsut w Deir el-Bahari z ramienia Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW w Kairze w latach 1999–2019.

zwanym półgębkiem relacjonowano, sekretarz ambasady Związku Radzieckiego o mało nie udławił się koktajlem, jak to zobaczył. Od tego momentu, jak przychodziłem co jakiś czas do ambasady odbierać korespondencję (bo przebywałem głównie w terenie, bez stałego adresu pocztowego), to jeśli w Polsce było wszystko w porządku, „Solidarność” dogadywała się chwilowo z rządem, to oferowano mi kawę lub koniaczek. A jeśli tylko coś się gorzej działo, to przekazywano mi szybko paczkę listów i unikano wzroku. W dobie przedinternetowej był to całkiem niezły barometr polityczny.

Wróciłem w końcu września do Polski i trafiłem w młyn. Zdążyłem jeszcze, jako związkowa służba porządkowa, wziąć udział w strajku na UW. Później zaskoczył nas stan wojenny. Pierwszą rzecz, którą wtedy zrobiliśmy, to wynieśliśmy z komisji zakładowej i ukryliśmy kartotekę członków „Solidarności”. A żeby nie wychodzić przez Krakowskie Przedmieście, to schodziliśmy z kolegą skarpą⁴ na dół z torbami wypełnionymi deklaracjami, spisami i innymi dokumentami. Ta kartoteka wróciła do nas po 1989 roku – została naprawdę dobrze ukryta. Jeździłem pod zakłady pracy sprawdzać, co się dzieje. Liczyliśmy, że jednak „Solidarność” da radę. Wówczas się nie udało. Potem, gdy jasne stało się, że nie skończy się to szybko, działałem w podziemnej „Solidarności”. Nie zostałem internowany⁵, o czym pewnie zadecydował mój pobyt za granicą – nie zdążyłem wpaść w oko „panom smutnym”, jak to ich nazywaliśmy. Byłem związany z Radiem „Solidarność”, dostarczałem urządzenia, przekazywałem nagrania. W 1983 roku jednak „panowie smutni” coś chyba wywęszyli, złożyli mi wizytę nad ranem i zabrali mnie na Rakowiecką⁶. Nie zapomnę postawy mojej żony. Mieliśmy wtedy jedno dziecko, żona z drugim była w ciąży, jak mnie zatrzymali. Anka odczekała pewien czas, wyszła z dziećmi na spacer, poszła do budki telefonicznej odpowiednio daleko i dyskretnie zlokalizowanej i wykonała telefon pod ustalony na takie okazje „numer alarmowy”, z gatunku: „Wiecie, ciocia Maria zachorowała, no nie wiadomo, jak długo będzie w szpitalu”. Rzeczywiście – nie wiedziała. Była wprowadzona w moją działalność, sama w niej pomagała, więc czas mojej nieobecności

⁴ Skarpa za kampusem głównym UW – skarpa znajdująca się u podnóża Pałacu Kazimierzowskiego, fragment parku Kazimierzowskiego, który znajduje się pomiędzy Kampusem Głównym a Powiślem.

⁵ Internowanie podczas stanu wojennego w Polsce – przymusowe umieszczenie określonych osób w wyznaczonym miejscu pobytu bez prawa jego opuszczania. 13 grudnia 1981 r. w PRL, po wprowadzeniu stanu wojennego, znaczna część działaczy opozycyjnych (a także niektórzy przedstawiciele byłego aktywu władz państwowych PRL) została zatrzymana i wywieziona – na okres od kilku do kilkunastu miesięcy – do ośrodków internowania mieszczących się w większości w więzieniach (nieliczne zostały urządzone w domach wczasowych).

⁶ Siedziba Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – zarówno w czach PRL, jak i obecnie znajduje się przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie.

zależał od odpowiedzi na podstawowe pytanie: „Ile oni wiedzą?”. Opłacała się wcześniejsza ostrożność, no i fakt, że „trefne urządzenia” (nawiasem mówiąc, starannie wytarte dziecięcymi pieluszkami dla zatarcia odcisków palców) kilka dni wcześniej zostały przekazane na kolejną akcję Radia „S”. Nic więc na mnie nie mieli, bo i nie złapali nikogo z moich bezpośrednich kontaktów, i wypuścili mnie bardzo szybko. Odczekałem parę dni, sprawdziłem, czy nie mam „ogona”, i wróciłem do działalności, jak to mówiła ówczesna władza, „wywrotowej”.

Ogromną pomocą w tym czasie były kontakty z akowcami. Korzystaliśmy z pomocy i porad babci ciotecznej mojej żony, która była łączniczką AK i sanitariuszką w trakcie Powstania Warszawskiego. Jak trzeba było skomplikowaną sprawę załatwiać, to nie ukrywamy – babcia szła. A jak spoglądała na nasze formy konspiracji, to się łapała za głowę i mówiła: „Oj, dzieci, wy się nie umiecie bawić”. To fakt, myśmy byli zieloni, nauczyliśmy się od akowców – takich jak babcia.

Gdy mnie aresztowali, to tak w czasie rewizji, jak i przesłuchania miałem takie wrażenie, że oficerowie bezpieki nie bardzo już wierzyli w sens tego, co robią, widziałem ich zniechęcenie. Serca do tego nie mieli, przynajmniej ci, którzy mnie przesłuchiwali. Zrozumiałem, że jak stracili wiarę w oficjalną ideologię, to musi to upaść. To było w sumie pocieszające doświadczenie.

Rozmowa 2.

Mariusz Ziółkowski

Archeolog, studiował archeologię i historię sztuki na UW, profesor nauk humanistycznych, profesor UW i Uniwersytetu Katolickiego Santa Maria w Arequipie (Peru), na terenie tego kraju kieruje Centrum Badań Andyjskich UW, jeden ze współtwórców „Solidarności” na UW, obecnie, od kilku kadencji wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” UW, reprezentuje ten związek zawodowy w Senacie UW.

Wywiad: Igor Tomecki, absolwent finansów, rachunkowości i ubezpieczeń na Wydziale Zarządzania UW, obecnie studiuje prawo i zarządzanie na tej uczelni (jest studentem III roku), studia magisterskie w zakresie finansów i rachunkowości kontynuuje w Szkole Głównej Handlowej, działacz studenckich kół naukowych, współpracownik-wolontariusz Centrum Historii Organizacyjnej WZ UW

Transkrypcja: Julia Gruca, absolwentka ekonomii w Szkole Głównej Handlowej, studentka III roku prawa na Wydziale Prawa i Administracji UW, studentka studiów magisterskich z ekonomicznej analizy prawa w Szkole Głównej Handlowej, członkini Studenckiego Koła Ekonomicznej Analizy Prawa; Adrian Jaworski, absolwent finansów, rachunkowości i ubezpieczeń na Wydziale Zarządzania UW, obecnie student II roku zarządzania, socjologii stosowanej i antropologii społecznej oraz Artes Liberales na wspomnianej uczelni, także tutaj kontynuuje studia finansowe na poziomie magisterskim, działacz studenckich kół naukowych, współpracownik-wolontariusz Centrum Historii Organizacyjnej WZ UW

Część II. Wywiad w ramach projektu „Pamiętanie o stanie wojennym na UW” powstały jako rozwinięcie wywiadu poprzedniego

IGOR TOMECKI: Nie będę ukrywał, że to dla mnie ogromny zaszczyt móc porozmawiać z Panem Profesorem, bo wiem o tym, że w kuluarach jest Pan Profesor nazywany „polskim Indianą Jonesem”.

MARIUSZ ZIÓŁKOWSKI: Aaaa, bez przesady. Bez przesady.

Przechodząc do samego stanu wojennego, czyli głównego tematu dzisiejszej rozmowy – czy może mi Pan Profesor powiedzieć, w jaki sposób zrodził się pomysł organizacji Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty?

On się nie zrodził na Uniwersytecie Warszawskim. To była inicjatywa ogólnopolska. Sprawa była wtedy bardzo dynamiczna. Proszę pamiętać, że mówimy o rzeczach, które się działy w sierpniu, wrześniu 1980. Po prostu informacje, jakie przychodziły przede wszystkim z Pomorza, chociaż również ze Śląska, były takie, że „Solidarność” będzie związkiem dla pracowników dużych zakładów pracy. W rodzaju właśnie stoczni czy kopalń. Przewidywano, że będzie to pion techniczno-robotniczy, bez miejsca dla naukowców. Ale tam, na tej fali powstała myśl, że my też musimy mieć w takim razie jako przedstawiciele środowiska akademickiego i nauczycielskiego własne związki zawodowe. Na ówczesnym Wydziale Historycznym zakładaliśmy z moim kolegą – obecnie znanym egiptologiem, Zbigniewem Szafrąnskim, tak zwanego dziewięcioliterowca. I to był taki klon początkowo „Solidarności”, następnie to się udało bardzo szybko połączyć.

Stąd też później fuzja „dziewięcioliterowca” i „Solidarności”?

Tak jest.

Wspominał Pan Profesor, że najciekawsze miesiące karnawału „Solidarności” spędził Pan za granicą w Ekwadorze. W rozmowie z doktor Anną Modzelewską wspominał Pan Profesor o tym, że pewnym barometrem politycznym było to, w jaki sposób był Pan Profesor tam traktowany w momencie odbierania poczty. Jak w tamtych czasach wyglądało przyznawanie bardzo prestiżowego stypendium zagranicznego bardzo daleko od bloku państw socjalistycznych?

To była dość ciekawa sytuacja, którą może pokrótce opiszę. Ja byłem już po jednym pobycie w Ameryce Południowej. W 1978 byłem zastępcą kierownika pierwszej

polskiej wyprawy naukowej w Andy, kierowanej przez obecnie już emerytowanego doktora habilitowanego Andrzeja Krzanowskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pracował wtedy nad doktoratem, był świeżo po rozpoznawczych badaniach w Andach i zorganizowaliśmy taką ekspedycję z kilku ośrodków. Z Poznania, Warszawy i Krakowa przede wszystkim. Ja byłem zastępcą Andrzeja Krzanowskiego do spraw archeologicznych, a drugim, do spraw etnologicznych, był znany już wówczas antropolog, Aleksander Posern-Zieliński. To było pierwsze moje terenowe doświadczenie w Ameryce Łacińskiej. Jak tylko wróciłem, to zacząłem się zastanawiać, jak tam ponownie pojechać, ponieważ to była moja specjalizacja. Jak Pan rozumie, stypendiów polskich nie było, ale Uniwersytet Warszawski miał wtedy umowę z Uniwersytetem Centralnym w Quito w Ekwadorze, który teoretycznie oferował możliwość przyjazdu polskich specjalistów. Więc złożyłem o to papiery, ale mi od razu powiedziano: „No wie Pan, ten uniwersytet ciągle strajkuje, to to, że Pan dostanie nawet ten grant – od nich – to szanse, że Pan pojedzie, będą żadne”. I w którymś momencie bardzo miła pani z naszego ówczesnego Biura Współpracy z Zagranicą UW zadzwoniła do mnie z taką propozycją: „Wie Pan, Panie Mariuszu, tutaj przyszło od Ekwadorczyków takie dziwne zaproszenie, że jest taki instytut prywatny – Instituto Otavaleño de Antropologia, nie w Quito, tylko na północ od niego, w miejscowości Otavalo, który oferuje dwa stypendia. Czy ja mogę przerzucić pańskie papiery na tę drugą ofertę? Bo ta pierwsza, to Pan wie...”. „No i dobrze – mówię – niech Pani przerzuca”. Nie wierzyłem w to, że to dostanę. I kolejność była taka: zakładamy sobie tego „dziewięcioliterowa”, tutaj działalność, wszystko pięknie, ładnie, a tu odzywa się telefon: „Panie Mariuszu, dlaczego Pana jeszcze nie ma w Ekwadorze?”. Mocno mnie to zaskoczyło: „Zaraz, dlaczego mam być w Ekwadorze? Z jakiego tytułu?” – „No bo dostał Pan... Ekwadorczycy dali Panu to stypendium”. Wtedy przeprowadziliśmy poważną rozmowę z żoną, bo wcześniej dowiedziałem się, że będziemy mieli dziecko. No więc [śmiech] taki drobny problem. Mówię żonie: „Dostałem to stypendium”, a ona spokojnie: „Jedź. Przecież to nie ma w ogóle gadania – jedź” [śmiech]. Pojechałem na stypendium, a żona została z problemami związanymi z nadchodzącym macierzyństwem. Teraz pytanie, które Pan zadał, bo też się zastanawiałem, dlaczego to stypendium dostałem. Mogę tylko domniemywać, ale chyba między innymi dlatego, że ten ekwadorski instytut był taki co najmniej lekko, a może nawet dość mocno, lewicujący. I moim poprzednikiem na tym stypendium był radziecki badacz, Jurij Zubryckij. Dyrekcja instytutu prawdopodobnie pomyślała sobie coś takiego: „Mieliśmy człowieka ze Związku Radzieckiego, to teraz weźmiemy kolejnego z kraju bloku wschodniego”. Troszeczkę się pomylili, jeżeli chodzi o ocenę mojego światopoglądu, ale to byli przeuroczy ludzie. Znakomicie wspominam ten kraj.

Choć z drugiej strony oderwali Pana Profesora od świeżo tworzących się struktur...

A co miałem zrobić? Żona powiedziała, że mogę jechać, to pojechałem. Tam na miejscu oczywiście na tyle, na ile mogłem, różne moje poglądy manifestowałem w sposób, który wzbudzał zgrozę naszych biednych dyplomatów. I ja im nawet współczuję – bo niech Pan się postawi w ich ówczesnej sytuacji. Przecież to byli ludzie uwikłani w pewien system i musieli działać według tego, jakie im ten system ramy nakładał. W miarę tego, na co oni mogli sobie pozwolić, byli mi bardzo życzliwi. Były jednak pewne momenty, że odczuwałem zgrozę. Żeby jednak było jasne – ja naprawdę nie wspominam ich źle. Zachowywali się tak, jak musieli.

Zresztą „powiew Solidarności” dotarł też tam i to nie tylko z powodu mojego znaczka w klapie marynarki. Opowiem Panu taką anegdotkę. Otóż w trakcie jednej z takich faz „odwilży” w relacjach z ambasadą przyszedłem po listy, a tu sam ambasador prosi mnie do gabinetu. „Może koniaczku?” – proponuje. Nie odmówiłem, bo widzę, że jest jakiś markotny. Zapytałem: „Ekscelencjo, czy coś Pana trapi?”. Ekscelencja wyraźnie miał ochotę się wygadać przed kimś, kto, jak słusznie podejrzewał, nie doniesie potem na niego do Warszawy, więc mi opowiedział historię, którą teraz Panu streszczę.

Otóż jakiś czas przed moim przybyciem do Ekwadoru został tam przysłany młody, energiczny polski misjonarz z pewnego zgromadzenia zakonnego, którego, pozwoli Pan, że nie wymienię, bo choć minęło tyle lat, nie wiem, czy jego zwierzchnicy byliby zadowoleni z ujawnienia tej tożsamości. Misjonarz był, jako się rzekło, pełen sił i zapału, niewątpliwie wcześniej jakoś uwikłany w działalność związkową, choćby przez swego krewnego, bodaj brata, działacza „Solidarności”. Tego ekwadorskie władze kościelne chyba nie wiedziały, czego dowodem był fakt, że bez zastanowienia zdecydowały „rzucić go na trudny front” – dostał parafię w portowym mieście Guayaquil. Problemy typowe dla każdego takiego miejsca, a tam już szczególnie nasilone: bieda, fatalna infrastruktura, prostytutka i tak dalej. Ksiądz przeanalizował sytuację i stwierdził, że bardzo istotnym problemem są, wywodzące się ze środowiska pań świadczących wiadome usługi, samotne matki z dziećmi. Jak w wyniku rzeczonych usług pojawi się dziecko, to co wtedy? Ksiądz założył zatem dom samotnej matki, który sfinansował ze środków parafii. Wywołało to lekki szok w ekwadorskim episkopacie, ale sprawa jakoś „przyschła”. Kolejna już nie. Ale po kolei. Otóż jednym z głównych towarów eksportowych Ekwadoru były wówczas, i są nadal, banany. Tyle że czterdzieści lat temu nie było takich możliwości składowania w chłodniach, jak teraz: banany należało prawie natychmiast po przywiezieniu z plantacji do portu ładować na statki. Zajmowali się tym sezonowi robotnicy, niezwykle mizernie opłacani. Narastał wśród nich bunt. I tu przyszedł z pomocą ksiądz: doradził, jak się zorganizować, jak działać i wybuchł

strajk. Dzięki dobrej organizacji, tudzież gnijącym w składach tonom bananów, strajkujący wygrali: dostali lepsze stawki i formę opieki prawnej. Miarka się przebrała – postanowiono więc wysłać księdza możliwie daleko od Guayaquilu. Tym razem wybrano dla niego parafię w selwie, czyli tropikalnym lesie na wschodnich stokach Andów. Zakładano zapewne, że tam misjonarz nie będzie miał kogo podburzać. I tu się mocno pomyłono: kilka miesięcy później przyszła wiadomość, że zorganizowani przez księdza chłopci zajęli miejscową hacjendę i rozparcelowali ziemię. Tego było już za wiele. „Wczoraj – rzekł ambasador, patrząc na mnie ze smutkiem – przyszła z tutejszego ministerstwa nota, że ksiądz X jest persona non grata i ma opuścić Ekwador w ciągu czterdziestu ośmiu godzin”. Łyknąłem koniaku i spytałem: „Ale w takim razie nie bardzo rozumiem, czym się Pan Ambasador martwi? No owszem, chodzi o Polaka, ale przecież to nie pański pion, tylko kościelny”. Na co ambasador: „Pan niczego nie rozumie, Panie Mariuszu. Niech Pan na to spojrzysz z mojej perspektywy. Wyobraźmy sobie, że Ekwadorczycy decydują się wyrzucić z kraju, za działalność wywrotową, na przykład drugiego sekretarza mojej ambasady. Oczywiście, jest skandal, ale w MSZ w Warszawie widzą, że my tu coś robimy, działamy dla sprawy. A jak wyrzucają księdza, to jak ja wyglądam jako szef placówki?”.

Takie to były dylematy ówczesnego aparatu władzy spowodowane „powiewem Solidarności” docierającym nawet tak daleko od kraju.

Jeżeli żona pozwoliła, to rozumiem, że nie żałuje Pan wyjazdu i tego, że nie miał Pan okazji przez to brać udziału w formowaniu się struktur opozycyjnych w Polsce?

Co to znaczy „żałować”? No tak się ułożyło życie. Podam Panu jeden przykład. W tym samym czasie poznałem najpierw w Ekwadorze, a później odwiedziłem w Peru, wspaniałych ludzi, Polaków, którzy dokonali wielkiego odkrycia, którego czterdziestą rocznicę teraz świętujemy – zdobyli, przepływając na kajakach, kanion Colca, najgłębszy kanion świata. Spotkałem się z nimi w Peru już po tym przepłynięciu, zresztą trochę im nawet pomagałem w tłumaczeniach pierwszego opisu ich wyczynu. Bardzo fajne chłopaki z klubu „Bystrze”, krakowskiego klubu turystyki kajakowej. Wielkie osiągnięcie. Przyjął ich ówczesny prezydent Peru, Fernando Belaunde Terry. Przedtem przymierali głodem, a po tym wyczynie mieli wszystko, mieszkali w najlepszych hotelach, zabiegano o spotkania z nimi. Później zdążyłem wyjechać, oni jeszcze zostali, bo mieli pojechać do Argentyny, zdobywać tam kolejne rzeki. Nagle nadchodzi stan wojenny – co oni robią? Spotykają się z peruwiańskim noblistą, Mario Vargasem Llosą, i organizują wspólnie z nim wielką manifestację poparcia dla „Solidarności”, z marszem pod ambasadę Rzeczypospolitej Ludowej w Limie. Po tym „numerze” już nie mieli powrotu do Polski. Wszyscy pojechali do Stanów Zjednoczonych, zrobili tam karierę, osiedlili się –

całkowicie im się życie zmieniło. Zostawili w Polsce rodziny, przyjaciół, wszystko. Ten jeden gest tak zmienił ich życie. Ktoś dzisiaj może zadać im pytanie: „Czy żałujecie waszego wyboru?”. Rozumie Pan, to są rzeczy, które się dzieją. Nie ma tak, jak u Stanisława Lema w znanym esej, który pewnie Pan czytał (bo to rok Lemowski przecież) – *Powtórka*. Z możliwością cofania się w czasie i zmieniania swoich decyzji. Stało się.

Myślę, że dla polskiej nauki to była dobra decyzja.

Dziękuję za dobre słowo. Teraz można tak to ocenić. A wówczas? Kto przypuszczał, że generał Jaruzelski¹ podejmie takie kroki? Jak wróciłem, zdążyłem się jeszcze załapać do działalności związkowej, od razu dołączyłem do tego, co się wtedy działo. Byłem w służbie porządkowej na strajku, potem przygotowywaliśmy kolejny u nas na archeologii. Jednak to były już tylko jakieś dwa miesiące.

Jak wyglądały działania w służbie porządkowej podczas strajku na Uniwersytecie Warszawskim? Jak Pan Profesor to wspomina?

Generalnie wśród pracowników i studentów było dużo zrozumienia dla tego, o co tu chodzi, ale nie ukrywam, że zdarzały się przypadki jego zupełnego braku, a wręcz wrogości, ze strony tych pracowników, którzy widzieli się po drugiej stronie barykady. Pamiętam, że wtedy zablokowaliśmy, znaczy zamknęliśmy, bramę Uniwersytetu od strony ulicy Oboźnej. Wpuszczaliśmy tylko niektórych. Jeden z pracowników, którego nazwiska nie wymienię, teraz jest już chyba emerytem, po prostu przepchnął mnie swoim samochodem, kiedy próbowałem mu zagrozić drogę. Takie rzeczy się zdarzały. Oczywiście odpowiednio nas przy tym potraktował słownie, co on o tym wszystkim myśli i tak dalej, ale też posunął się do takiego, dość brutalnego, działania fizycznego. Przepychanie kogoś samochodem nie jest przesadnie bezpieczne. Tak że zdarzały się i takie, na szczęście odosobnione, przypadki.

W rozmowie z doktor Modzelewską wspominał Pan Profesor także postać babci ciotecznej pańskiej żony. „Dzieci, wy się nie umiecie bawić”. „Jak trzeba było skomplikowaną sprawę załatwić, to nie ukrywam – babcia szła”. Czy może Pan Profesor nieco przybliżyć jej sylwetkę?

Tu chodziło troszeczkę o efekt psychologiczny. Nie o to, żebyśmy wykorzystywali babcię do jakichś naprawdę dramatycznie niebezpiecznych spraw. Po prostu każda

¹ Wojciech Jaruzelski (1923–2014) objął stanowisko premiera rządu PRL 11 lutego 1981 r.

służba na świecie – tajna, mundurowa czy inna – ma pewien wzorzec tego, kogo należy szukać i na kogo należy uważać. Ja miałem wtedy ledwo trzydzieści lat, można było mnie uznać za młodego, byłem dość wysportowany, czyli wzbudzający natychmiast podejrzliwość, bo podпадаłem pod kategorię tak zwanych potencjalnie wywrotowych. Natomiast starsza pani, idąca z torebką albo koszyczkiem z zakupami, spokojnie, do kościoła – w rzeczywistości aby tam przekazać jakąś informację czy list (nie ukrywam, że używaliśmy kościołów do tego celu, ale również i innych miejsc) – nie wzbudzała takiego zainteresowania ani „panów smutnych”, ani mundurowych. To był taki sposób maskowania. A czego jak czego, ale tego to się babcia za okupacji dobrze nauczyła. No i podstawowych zasad konspiracji. Natomiast do tych naprawdę ryzykownych rzeczy, na przykład do przenoszenia nagrania, które miało następnego dnia pójść do Radia „Solidarność”, nie wysyłał się przecież babci.

Wiem, że został Pan Profesor aresztowany. Jak wspomina Pan ten czas? Jak wyglądały przesłuchania? Czy czuł Pan Profesor, że ta druga strona jest naprawdę przekonana do tego, co robi, czy czuł Pan u nich zwątpienie?

Nie określiłbym tego mianem „aresztowany” – powiedziałbym raczej: „zatrzymany”. „Panowie smutni” pojawili się o szóstej rano u nas w domu, było ich trzech. Zachowywali się kulturalnie, trzeba powiedzieć. Przetrząsnęli to, co mieli przetrząsnąć. Myśmy mieli wtedy jedno dziecko, ale do pieluch specjalnie nie zaglądali, zresztą, na całe szczęście, parę dni wcześniej to, co było naprawdę trefne, oj naprawdę trefne, poszło tam, dokąd miało pójść. Ja do dziś nie mówię, do kogo dokładnie to poszło. Nie mówię, że to się jeszcze kiedykolwiek może przydać [śmiech], ale po prostu pewnych rzeczy się nie mówi. Poza jakąś jedną czy dwiema gazetkami niczego nie znaleźli. Zgarnęli mnie, jednak widać było wyraźnie, że robią to trochę bez przekonania. Nawet ta rewizja była robiona niezbyt systematycznie, na przykład nie znaleźli pewnej rzeczy, na którą z pewnością by się natknęli w naszym domu, gdyby poszukali lepiej. To nie było nic specjalnie obciążającego, ale coś takiego, co mogłoby wzbudzić ich zainteresowanie. Tak że pojechałem, znaczy [śmiech] zostałem zawieziony na ulicę Rakowiecką. Pamiętam to przesłuchanie – oczywiście była tam stara zagrywka, już dobrze ograna w filmach – dobry policjant, zły policjant. W tym przypadku: dobry funkcjonariusz SB i zły funkcjonariusz SB. Wie Pan, jak każdy, trochę się naoglądałem filmów, więc szybko się zorientowałem, że to taka gra. Po chwili z pokoju przesłuchań wyszedł jeden z tych panów, a drugi mówi: „No to niech się Pan lepiej przyzna, bo jak tamten wróci, to ho, ho”. Odpowiedziałem: „Panie, do czego ja mam się przyznać?”. Po czym, trochę z pomocą pewnych technik relaksacyjnych, zasnąłem. Po prostu zasnąłem, oparłem się na stole i odpłynąłem. Ten gość patrzy na mnie i pewnie myśli: „Co jest? Śpi. Zabieramy go o szóstej rano, a on sobie śpi. No co to

jest?”. Nawet słyszałem, jak on coś takiego mówił przez telefon do tego drugiego, „złego policjanta”.

Złapali mnie przez nazwisko kogoś z rodziny mojej żony, Michała Gruszczyńskiego, znanego geologa, też z podziemnej „Solidarności”. Aresztowali go chyba tego samego dnia, co mnie. I on potem rzeczywiście spędził kilka ładnych miesięcy w więzieniu, natomiast w moim przypadku nie udało się ustalić, żeby poza więziami rodzinnymi cokolwiek nas łączyło. A łączyło, owszem, i to sporo, tylko że Michał słowa o tym nie pisał. Dzięki temu wypuszczono mnie tego samego dnia. Pamiętam – wyszedłem sobie taki zadowolony, że mam to z głowy i żeby się tak odprężyć i odreagować – kupiłem sobie na straganie truskawki [śmiej].

Panie Profesorze, wspominał Pan o tym, że kilka dni wcześniej z pańskiego mieszkania zniknęły te rzeczy, które mogły sprawić prawdziwe kłopoty. Czy to było przeczucie, czy może łut szczęścia?

Nie, to chyba wynikało z tego że „panowie smutni” mieli za dużo zadań i zwyczajnie nie nadążali. Przede wszystkim nie mieli dobrych danych z obserwacji. Ja otrzymywałem pewne rzeczy i moim zadaniem było przekazywanie ich dalej. Mogę powiedzieć, co to było mniej więcej: to był sprzęt dla Radia „Solidarność”. Chodziło o to, że przecież nie można było po prostu pójść i kupić w sklepie tego, co służyło do nadawania audycji, na zasadzie: „Pani szanowna, niech pani da z półki jeszcze te dwa nadajniczki o dużym zasięgu” – to wymagało innych sposobów i kanałów. Ja byłem po prostu jednym z ogniw pośrednich przekazywania tego sprzętu już bezpośrednio do tej grupy, która nadawała – był to taki łańcuszek. Otrzymywałem, dostarczałem informację, komu trzeba, i przekazywałem dalej. Te rzeczy nigdy nie były w naszym domu więcej niż dzień, dwa maksimum. Zresztą – podkreślam to teraz mojemu starszemu synowi, który już wtedy był na świecie, że on też przyłożył się do działalności „wywrotowej”, dlatego że za pomocą jego pieluszek wycieraliśmy odciski palców z tych urządzeń. Można więc powiedzieć, że mój syn, wtedy niespełna dwuletni, też uczestniczył w strukturach podziemnych „Solidarności”.

Był chyba jednym z najmłodszych członków podziemnej „Solidarności”.

Tak sędzę. Chyba jednym z najmłodszych.

Panie Profesorze, a jak wyglądało zdobywanie takich części? Czy to było chociaż trochę oficjalne, czy wszystko działo się za zamkniętymi drzwiami?

Absolutnie nieoficjalnie. I nielegalnie. Ale ponieważ tu chodzi o osoby, które żyją, a nie upoważniły mnie do powiedzenia, jak to się odbywało, to pozwoli Pan, że na to pytanie nie odpowiem. W każdym razie mogę powiedzieć tyle, że ładny wyrok za to groził.

Oczywiście, rozumiem. W takim razie chciałbym przejść do ostatniego pytania. Stwierdza Pan Profesor, że nie uważa się za wielkiego bojownika opozycji. Dlaczego? Dlaczego – pomimo takiego zaangażowania – nie uważa się Pan za taką osobę? A jeśli nie siebie, to kogo uznałby Pan Profesor za taką osobę?

Nie czuję się upoważniony choćby z tego powodu, że – jak już wspominałem – co ja takiego wielkiego zrobiłem? Tak, ryzykowałem jakiś wyrok. Wtedy, jak mnie zabierali, moja żona się zastanawiała: „Nie wiedzą nic, no to wyjdzie po czterdziestu ośmiu godzinach. Coś wiedzą – kilka miesięcy. Dużo wiedzą – oj niedobrze, oj niedobrze, to męża chyba za parę lat zobaczę” [śmiech]. Więc to były tego rodzaju rozważania. Po prostu takie rzeczy trzeba było robić. I tyle.

A kogo bym uważał...? Było wówczas w podziemiu wielu takich działaczy, za których tacy szeregowi ludzie „Solidarności” jak ja daliby się, jak to się mówi potocznie, pokrajać. Kiedy słucham niektórych z nich teraz, to się zastanawiam: „Boże drogi, co się z nimi stało?”. I tu jedno nazwisko wymienię, bo nie mogę nie wymienić – Władysław Frasyniuk. Przecież Frasyniuk był wtedy legendą, krążyły o nim opowieści, jak o jakimś współczesnym Janosiku. Ile w nich było prawdy, to nieważne, wtedy szalenie podnosiły nas na duchu. I co ten człowiek ze sobą teraz zrobił? Co on ze sobą zrobił? Tylko tyle powiem.

Natomiast jeżeli mówimy o tych osobach, które zdały próbę czasu w zmieniającym się środowisku, to pozwolę sobie wymienić dwie osoby nieżyjące i dwie żyjące. Kornel Morawiecki² na pewno, Zbigniew Romaszewski³ oraz żyjący, do

² Kornel Morawiecki (1941–2019) – polski polityk, fizyk i nauczyciel akademicki. Działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL, w III Rzeczypospolitej poseł i marszałek senior Sejmu VIII kadencji. W 1979 r. związał się z wydawanym we Wrocławiu drugoobiegowym periodykiem „Biuletyn Dolnośląski”. Na przełomie maja i czerwca 1982 r. założył organizację „Solidarność Walcząca” (początkowo posługującą się nazwą „Porozumienie Solidarność Walcząca”).

³ Zbigniew Jan Romaszewski (1940–2014) – polski polityk, działacz opozycji w okresie PRL, doktor nauk fizycznych. W latach 1980–1981 kierował Komisją Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”, członek prezydium zarządu Regionu Mazowsze związku, a następnie w Komisji Krajowej. Wielokrotnie zatrzymywany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. W stanie wojennym ukrywał się. W tym czasie zorganizował podziemne Radio „Solidarność”. Współorganizator półtajnej Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze. Aresztowany w 1982 r., sądzony w dwóch kolejnych procesach, więziony od 1982 do 1984 r. Od grudnia 1986 r.

których mam ogromny szacunek – państwo Joanna i Andrzej Gwiazdowie. Oni z pewnością. Na pewno jest więcej tych, których powinienem wymienić, ale ich po prostu nie znam. Gwiazdów parę lat temu miałem zaszczyt podjąć u siebie w domu. Siedzieliśmy i gadaliśmy ładnych parę godzin. Z Romaszewskim się spotkałem kiedyś przypadkiem na konferencji „Polska Wielki Projekt” w którymś z programów i wymieniliśmy parę słów. Przedstawiłem mu się: „Panie doktorze, ja dla pana wtedy pracowałem” – mając na myśli Radio „Solidarność” – więc sobie wymieniliśmy trochę takich, że tak powiem, „kombatanckich wspomnień”. Niestety, nigdy bliżej nie poznałem Kornela Morawieckiego, spotkałem go tylko na jednym z rocznicowych spotkań „Solidarności”, ale mam wielki szacunek dla tego człowieka. Natomiast jest jeszcze parę osób, na których się bardzo zawiodłem w ostatnich czasach. Nawet takich bardzo bliskich mi z płaszczyzny zawodowej, nie będę wymieniał nazwisk, bo chodzi o osoby funkcjonujące obecnie w polityce. Ale to jest troszeczkę tak, że po zwycięstwie rewolucji zasłużony bojownik-rewolucjonista rzadko jest dobrym urzędnikiem czy działaczem państwowym. To jest inny typ działania. Ma Pan takiego „dynamitarda”, który w czasie starć na barykadzie rzuca, strzela, potem wygrywamy i Pan mu mówi: „Dobrze, teraz zostaw w spokoju ten dynamit, teraz tutaj jest biurko, zostajesz wiceministrem, ministrem, dyrektorem i teraz masz zarządzać”. I ten człowiek się gubi, bo on nie do tego jest stworzony. I taki niestety jest chyba jeden z powodów, dla którego niektórzy ludzie, znakomici w opozycji, się nie sprawdzili potem w zarządzaniu państwem. Niektórzy się po prostu pogubili.

Już Panu wymieniałem, kogo podziwiam, a teraz jeszcze dwie anegdotki dotyczące „Solidarności” z tamtych czasów. Powiedziałem pewną rzecz, która nie do końca może przekonywać czytelników tych osobistych wspomnień. A mianowicie, że w ’83 w czerwcu, kiedy mnie „panowie smutni” odwiedzili, już wyczuwałem u nich totalne zniechęcenie. Tak i nie, bo jeszcze byli tacy, którzy potem zamordowali księdza Jerzego Popiełuszkę⁴. Na pewno ogromne znaczenie miała wizyta w Polsce papieża Jana Pawła II w czerwcu 1983. Ale jeżeli mówimy o jakimś zdecydowanym przełomie w nastawieniu obu stron, to był to pogrzeb księdza Popiełuszki 3 listopada ’84 – kiedy zobaczyliśmy, ilu nas jest, i to poza „koncesjonowanymi” przez władzę uroczystościami, jakimi jednak w pewnym stopniu były spotkania z papieżem. Mimo całego propagandowego zakłamania, którego symbolem był

kierował stworzoną w podziemiu Komisją Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”, która zajmowała się dokumentowaniem przypadków represji i pomocą ofiarom. W obradach okrągłego stołu zasiadał w podzespołe ds. reformy państwa i sądów.

⁴ Ks. Jerzy Popiełuszko (1947–1984) – duchowny rzymskokatolicki, tercjarz franciszkański, kapelan warszawskiej „Solidarności”, obrońca praw człowieka w PRL, zamordowany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, błogosławiony i męczennik Kościoła katolickiego.

wówczas rzecznik rządu Jerzy Urban, mimo indoktrynacji, represji, jak zobaczyliśmy, ilu nas jest, myślę, że wtedy druga strona też zrozumiała, że prędzej czy później, ale oni już tego nie wygrają, stoją na przegranej pozycji.

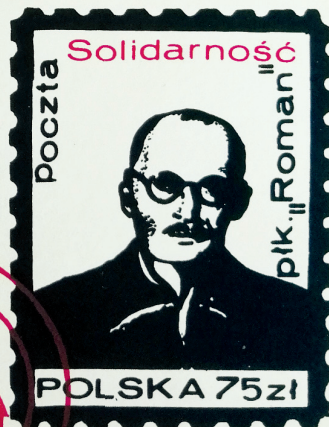
Ostatnia to taka anegdotka środowiskowa. Nie wszyscy z mojego środowiska będą z tego powodu zadowoleni, ale trudno. Dlaczego mam pisać tylko laurki? Jak teraz rozmawiam w różnych gremiach z osobami w moim wieku lub starszymi, to nagle okazuje się, że prawie wszyscy bez wyjątku byli od małości walczącymi opozycjonistami. Tak się przyglądam jednemu, drugiemu, trzeciemu – tylko że ja ich pamiętam z tamtych czasów, gdy chodziłem rozdawać tak zwaną bibułę wśród kolegów albo zbierać składkę na podziemną „Solidarność”. Dobrze pamiętam, kto coś dawał, kto brał bibułę, a kto reagował z lekką paniką: „Nie, stary, ja się w to nie mieszam!”. Pamiętam taką scenkę. Stoimy i, jak to się mówi, knujemy z moim kolegą, też związanym z podziemną „Solidarnością”, w korytarzu instytutu – właściwie na jego klatce schodowej, w ówczesnej siedzibie przy ulicy Widok 10. Nagle otwierają się drzwi i wygląda inny kolega (swoją drogą bardzo porządny człowiek, tylko że w tamtym czasie całkiem po drugiej stronie), spogląda na nas i do tego kolegi, który stał bliżej, mówi, wymachując palcem: „Pamiętaj, ja cię ostrzegałem, ja cię ostrzegałem” [śmiech]. To były też tego rodzaju postawy. Mnie się wydaje, że niestety tak jest zawsze. Musi być jakaś mniejszość – niewielka, ale nieźle zorganizowana grupa, przekonana do tego, co robi, która w odpowiednim momencie jest w stanie pociągnąć za sobą resztę. Bo można powiedzieć tak: „No ile wyście tej bibuły rozdali? Ile osób słuchało tego radia?”. Ale to, że na pogrzebie księdza Popiełuszki było potem tyle osób, ile było, to był właśnie efekt tej „roboty u podstaw”, że tego już się nie dało uciszyć. I kiedy przyszedł taki moment tragicznego wydarzenia, zapłon, to się nagle okazało, że ci ludzie, którzy normalnie by siedzieli cicho – bali się o pracę, represji – nagle powiedzieli: „Dosyć, ja też idę”. I tak widzę sens tego, co my robiliśmy.

Bardzo dziękuję za wywiad.



BOHATEROWIE PODLASIA

Ludwik Bitner



Stefan DREWNOŃSKI



PODNIĘŚ RĘKĘ
BOŻE DZIECIĘ
POBŁOGOSŁAW

Solidarność





Rozmowa 3.

Barbara Malak-Minkiewicz

Pracowniczka naukowa UW w latach 1969–1988, była między innymi prodziekanem Wydziału Psychologii, doktor nauk społecznych, opozycjonistka w okresie PRL, internowana w okresie 1981–1983, przetrzymywana w Ośrodku Odosobnienia w Warszawie-Grochowie i Gołdapi. W latach 1982–1983 współpracowniczka NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze, współpracowniczka podziemnego pisma „Tygodnik Mazowsze”¹. W latach 1983–1989 współzałożycielka i członkini Społecznego Komitetu Nauki. W latach 1984–1988 członkini redakcji podziemnego pisma „Poglądy”. Od 1996 roku pracowniczka International Association for the Evaluation of Educational Achievement z siedzibą w Amsterdamie, koordynatorka międzynarodowych badań porównawczych nad efektywnością edukacji, między innymi edukacji obywatelskiej.

Wywiad: Paweł Jochymczyk, student III roku prawa na Wydziale Prawa i Administracji UW, działacz studenckich kół naukowych, współpracownik-wolontariusz Centrum Historii Organizacyjnej Wydziału Zarządzania UW

Transkrypcja: Andrzej Para, student III roku prawa na Wydziale Prawa i Administracji UW oraz Det juridiske fakultet Universitetet i Oslo, działacz studenckich kół naukowych, Członek Zarządu KN Prawa Rynków Kapitałowych, KN Prawa Nowych Technologii oraz KN Prawa Nieruchomości

¹ „Tygodnik Mazowsze” – czasopismo opozycji solidarnościowej, wydawane poza zasięgiem cenzury w latach 1982–1989.

PAWEŁ JOCHYMCZYK: Jak zaczęła się Pani historia z „Solidarnością”, z ruchami, które później budowały „Solidarność”, i jaki to był dla Pani czas?

BARBARA MALAK: To jest właściwie takie pytanie, na które trudno jest odpowiedzieć, bo ja w tę „Solidarność” wchodziłam tak trochę „bokiem”. Miałam różnych znajomych w opozycji demokratycznej¹, sama nie byłam osobą aktywną, czasem gdzieś komuś przechowywałam jakieś wydawnictwa, a jeżeli coś w Polsce irytowało mnie tak naprawdę, to z mojej perspektywy zawodowej była to cenzura². Po studiach pracowałam na wydziale, robiłam doktorat i interesowały mnie takie zjawiska, jak stosunki pomiędzy różnymi grupami społecznymi, zjawisko dyskryminacji i uprzedzeń. No i bardzo mnie irytowało, że musiałam się zajmować tym, że w Ameryce biją Czarnych, podczas gdy wiedziałam, że w Polsce również biją, i o tym nie można było ani badań robić, ani pisać, więc to był taki, powiedziałabym, osobisty interes, żeby coś się w tej Polsce zmieniło. Poza tym przez to, że byłam psychologiem społecznym, jak powstała „Solidarność”, różni koledzy zaczęli mnie namawiać do tego, żebym pomagała komisjom zakładowym, które wchodziły w spory z władzami w tych zakładach. Chodziło o to, żeby pomagać im negocjować, i ja w to weszłam jak w masło, że się tak wyrażę, bo to było bardzo ciekawe zawodowo, a poza tym to było też szalenie pouczające – ujawniać, jak łatwo można manipulować człowiekiem, nawet nie używając swojej wyższości pochodzącej z lepszego wykształcenia, tylko sugerując mu, że jest się lepszym, bo się wie coś więcej albo ma się lepsze układy. No i tym robotnikom często tak naprawdę ręce opadały w rozmowach, które prowadzili. Ja byłam dla nich taką osobą, która brała z nimi udział w tych rozmowach, a czasem po prostu tylko ich do nich przygotowywałam. Jak już wiedziałam, jak się zachowują dyrekcje tych zakładów, to mówiłam im, co zrobią i co oni wtedy mogą powiedzieć albo zrobić. Kiedy należy wyjść i przerwać rozmowę albo kiedy jednak próbować ją ciągnąć. Inny interesujący wątek pochodził stąd, że jako psycholog społeczny miałam zajęcia na różnych kierunkach na Uniwersytecie, nie tylko na psychologii. Miałam je na prawie, miałam je na naukach politycznych i tam spotykałam zupełnie innych ludzi. To też było bardzo pouczające zajęcie, dlatego że to byli studenci, którzy zadawali mi zupełnie inne pytania niż nasi studenci na psychologii i to nie tylko dlatego, że to był inny wydział, po prostu to byli inni ludzie, mieli inne cele, inne wartości i to wszystko jakoś przyczyniło się do tego, że bardzo mnie ta „Solidarność” wciągnęła. Ale jak teraz patrzę na cały Uniwersytet, to myślę sobie, że on w tym procesie, fenomenie „Solidarności” czy w tym fenomenie zmiany, która wisiała w powietrzu, był trochę taki jak całe społeczeństwo, to znaczy

¹ Opozycja demokratyczna w Polsce – całokształt działań różnych grup podejmujących aktywność w czasach PRL przeciwko narzuconemu wówczas systemowi politycznemu.

² Wszelkie oficjalne druki i publikacje były w czasach PRL cenzurowane przez cenzurę państwową.

jakaś część ludzi, podobnie jak teraz, była związana z władzą. Albo bezpośrednio w niej uczestniczyła, z różnych zresztą powodów. Na przykład na moim wydziale jedną z najważniejszych osób był profesor Reykowski³. W owym czasie był on chyba nawet członkiem Komitetu Centralnego, ale nie był bolszewikiem, on po prostu uważał – tak mi zresztą to kiedyś powiedział w czasie jakiejś rozmowy – że leżymy w tej części Europy, że inaczej się nie da i że ten system będzie nam, że tak powiem, zawsze siedział na głowie. Więc jedyne, o co możemy dbać, to o to, żeby przydać temu systemowi bardziej ludzką twarz. I on naprawdę to próbował robić. Był zresztą też jednym z konstruktorów okrągłego stołu. To, że ja się uczyłam o tym, jak żyją w Ameryce Czarni, to dzięki temu, że profesor Reykowski i jeszcze parę innych osób podobnych do niego dzięki swojej „dobrej postawie” wobec bolszewickiej władzy mogło wyjeżdżać na Zachód. Oni przywozili nam czasopisma, odbitki, oni kombinowali, jak nas uczyć prawdziwej psychologii społecznej. Ale oczywiście byli wśród nich również aparaczczyki i różne okropne, bardzo nieprzyjemne osoby. Do takich w owym czasie zaliczał się na przykład rektor Uniwersytetu, profesor Rybicki⁴, zresztą chyba prawnik. Byli również tacy, którzy udawali, że nic się nie dzieje, że nic ich nie obchodzi. Oni się zajmowali swoim życiem i swoimi sprawami. Ten pracował nad doktoratem, tamten nad habilitacją, jeszcze inni nad dziewczynami na swoim wydziale i tak im się to życie toczyło. I była taka grupa, która się w tę „Solidarność” zaczęła wciągać. Myślę, że jednym z ważnych czynników dla całego Uniwersytetu i dla mojego wydziału był sojusz powstający pomiędzy robotnikami a inteligencją. System komunistyczny miał kilka niebywale paradoksalnych charakterystyk. Jedną z nich było to, że mimo ideologicznych starań nigdy nie udało się zmienić tej wertykalnej organizacji polskiego społeczeństwa, w którym zawsze był jakiś pan na górze i cham na dole. Pamiętam taką przygodę, która mi prawie złamała serce. Wtedy jeszcze chyba studiowałam albo świeżo skończyłam studia, bo już miałam pierwszego męża. Byliśmy z Markiem na Dworcu Centralnym, żeby kupić bilety na jakiś wyjazd, gdzie dopadła nas para staruszków, babcia i dziadek, tacy prawdziwie wiejscy. Babcia w chustce zawiązanej pod brodą, dziadek w kaszkiecie i w butach

³ Janusz Reykowski – psycholog, profesor nauk humanistycznych, działacz społeczno-polityczny, członek Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (KC PZPR). Od 1983 r. do 1989 r. wchodził w skład rady krajowej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (PRON), fasadowej organizacji stworzonej przez władze PRL, mającej legitymować stan wojenny w oczach społeczeństwa. Z ramienia PZPR przewodniczył zespołowi ds. reform politycznych okrągłego stołu.

⁴ Zygmunt Rybicki (1925–1989) – prawnik, profesor nauk humanistycznych, rektor UW w latach 1969–1980. Był współodpowiedzialny za stłumienie protestów studenckich w marcu 1968 r. Jesienią 1980 r. został podsekretarzem stanu w Urzędzie Rady Ministrów, a pięć lat potem – sekretarzem. Odchodząc ze stanowiska rektora UW, awansował w hierarchii partyjnej – został członkiem KC PZPR.

do kolan. Zapytali nas o jakiś tam pociąg i myśmy zaczęli ten pociąg sprawdzać, po czym okazało się, że ten pociąg wcale nie jedzie z Warszawy Centralnej, tylko z Warszawy Wileńskiej. Mieliśmy auto, toteż wsadziliśmy dziadków do tego samochodu i zawieźliśmy ich na Warszawę Wileńską. Zaprowadziliśmy ich na stosowny peron, gdzie pociąg już właśnie podstawili, i powiedzieliśmy, że tu mają wsiadać i wtedy ta babunia złapała mnie za rękę i w tę rękę mnie pocałowała. Myślałam, że umrę ze wstydu, bo ja byłam wychowana w środowisku, gdzie to ja całowałam moją babcię w rękę. Ale takie były polskie obyczaje i to, że ta wiejska babcia pocałowała mnie w rękę, to było dla mnie symbolem tego, jak ten komunizm się nie sprawdził, co zresztą powiedziałam mojemu ojcu, który był oddanym bolszewikiem. Powiedziałam mu, że po tylu latach komunizmu wiejska babcia mnie całuje w rękę. A więc to zbliżenie pomiędzy inteligencją i klasą robotniczą było dla ludzi Uniwersytetu bardzo ważnym przeżyciem i myślę, że wiele im to dało. Do tego stopnia, że niektórzy z naszych kolegów prawie się zaczęli nosić tak jak tokarze i szlifierzy. Nigdy nie słyszałam tylu przekleństw na Uniwersytecie jak w owych czasach, bo uważało się, że skoro klasa robotnicza rzuca mięsem, to my co, gorsi? Klęliśmy zatem razem z nimi. I na nich właściwie, na poprawę takiej ogólnej sytuacji w kraju były nastawione nasze idee, nasze pomysły. Myśmy bardzo dużo pracowali jako doradcy w różnych strukturach „Solidarności”, w tym również w Warszawie, w Regionie Mazowsze na przykład była nas spora grupa doradców dla różnych komisji. Ja byłam doradcą Zbyszka Bujaka, ale również siedziałam w komisji praworządności Romaszewskich⁵ i właśnie w ramach tej komisji głównie jeździłam do komisji zakładowych, co mi się bardzo przydało, po prostu lepiej się nauczyłam tego, jak naprawdę się żyje, kiedy się jest robotnikiem, i o co w tym wszystkim chodzi. Więc kończąc przydługą odpowiedź na Pana pytanie: dochodziłam do „Solidarności” z różnych kierunków, ale myślę, że wielu z nas właśnie w taki sposób do niej dochodziło.

Zaciekawiło mnie, jak opowiadała Pani o profesorze Reykowskim czy też o studentach z Wydziału Prawa. Jak mogłaby Pani scharakteryzować postawy ludzi w tamtym czasie oraz to, z czego wynikały te postawy? Zaobserwowała Pani jakieś wyraziste motywacje tych ludzi?

⁵ Komisja praworządności Romaszewskich – potoczna nazwa Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność” powstała z inicjatywy Zofii i Zbigniewa Romaszewskich, działającej od 10 grudnia 1986 r. do 1989 r. na terenie całego kraju. Celem Komisji była pomoc represjonowanym poprzez udzielanie opieki adwokackiej, wsparcia materialnego, zbieranie i rozpowszechnianie informacji o łamaniu prawa w Polsce. Jej ogólnokrajowe spotkania odbywały się w parafii św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej, zwykle raz w miesiącu. Od 1986 r. Komisja nieregularnie (co miesiąc lub dwa miesiące) wydawała pismo „Prawo i Bezprawie”, od 1988 r., dwa razy w miesiącu – „Informację Komisji Interwencji i Praworządności”.

Za kształtowanie się postaw odpowiada oczywiście nasze doświadczenie życiowe. To jest trywialna rzecz, którą w tej chwili mówię, ale naprawdę różne wydarzenia w naszym życiu się do tego bardzo przykładają. Rozmawiałam kiedyś ze studentem prawa, który przyszedł do mnie wyżebrać jakieś zaliczenie i zaczął się tłumaczyć, dlaczego nie chodził na zajęcia, i zrozumiałam, że chłopak był w trudnej sytuacji. Przyjechał gdzieś z prowincji do Warszawy na studia, nie miał nikogo, kto by mógł mu pomóc. Mieszkał w akademiku i w tym akademiku poznał jakąś dziewczynę, której od razu zrobił dziecko, no i musieli jakoś z tym żyć, jakoś się, że tak powiem, urządzić. Okazało się, że ktoś po tych akademikach i po Uniwersytecie grasował, kto wyłapywał takich studentów w potrzebie, i zaoferowano mu pracę w Pałacu Mostowskich⁶ w zamian za mieszkanie i za zupełnie niezłą pensję na dokończenie studiów i utrzymanie rodziny. No i co? Nie mnie sądzić taką osobę, dlaczego przyjęła taką, a nie inną postawę. To, że wśród polskich dysydentów tak wielu ludzi było z komunistycznych rodzin, nie było spowodowane tylko tym, że oni mogli bliżej się przyjrzeć komunizmowi. Oczywiście mogliśmy, ja też z takiej rodziny pochodziłam. Ale również dlatego, że tym rodzinom się dobrze wiodło w tym systemie. Niekoniecznie jakoś fantastycznie, ale dobrze i wobec tego mieliśmy łatwiejsze życie i dużo więcej czasu na przyglądanie się światu wokół nas, na dyskutowanie, na czytanie. Pamiętam, że niedawno rozmawiałam z jedną moją przyjaciółką. To było jak ostatni raz byłam w Polsce, chyba byłam u niej na obiedzie i była jej rodzina, w tym również wnuki – taka standardowa inteligencka polska rodzina. I oczywiście rozmawialiśmy trochę o polityce, ja w jakimś momencie miałam takie wrażenie, że jej wnuki w ogóle nie mają zielonego pojęcia, co się w Polsce wydarzyło przy okrągłym stole i co działo się potem, a jedno z wnucząt było już po studiach, a drugie zbliżało się do końca studiów. I jak oni poszli, to powiedziałam jej: „Słuchaj, te twoje wnuki jakieś takie niemoty, no przecież one naprawdę nic nie wiedzą”. A ona na to: „No tak, wiesz, bo jakoś w szkołach teraz tego nie uczą”. I ja sobie uświadomiłam, że nas też nie uczyli. Myśmy chodzili – razem z moim młodszym bratem i młodszą siostrą – do takiej „bolszewickiej szkoły”, a nasi koledzy i koleżanki z klasy to były dzieci partyjnych prominentów. Mój braciszek, młodszy ode mnie o trzy lata, interesował się Polską międzywojenną, wiedział o niej wszystko. Wiedział i o Piłsudskim, i o tym, i o owym, a myśmy nie mieli książek o tym okresie w domu. W szkole nas tego też nie uczyli. Ale jakoś potrafił gdzieś to wygrzebać, do tego dotrzeć, bo właśnie mieliśmy czas i warunki, nie musieliśmy się specjalnie o nic martwić i troszczyć. Mieliśmy jak na tamten system wygodne życie, więc to też się taką drogą toczyło

⁶ Pałac Mostowskich w Warszawie – pałac znajdujący się przy ul. Nowolipie 2. Siedziba Komendy Stołecznej Policji w czasach PRL. W potocznej świadomości był wówczas jednym z symboli aparatu represji PRL.

i to też trzeba mieć na uwadze, że łatwiej się wykazywać szlachetnością, jak się siedzi, że tak powiem, na miękkim fotelu.

Jeżeli można pociągnąć wątek pomocy – mało ludzi jest gotowych do tego, żeby wstać z tego miękkiego fotela.

Ja myślę, że to jest po prostu tak, że każdy z nas ma jakieś granice, po przekroczeniu których zaczyna się czuć źle sam ze sobą. Mnie jedną z takich granic wyznaczyło to pocałowanie mnie w rękę przez staruszkę na dworcu. Ja po prostu zrozumiałam takie straszne oszustwo ukryte w tym systemie, który niczego tym ludziom nie dał, niczego dla nich nie zmienił, że ich życie właściwie wyglądało prawie tak samo, jak w czasach, kiedy całowali w rękę pana na dworze, chociaż komunizm miał im przynieść wyzwolenie społeczne i ekonomiczne. To było jedno z takich doświadczeń, które sprawiło, że zaczęłam poszukiwać dziur w tym systemie, a jak się zaczyna szukać dziur, to się je znajduje. Bo wtedy człowiek zaczyna zbierać informacje i dochodzi do niego, że tu kogoś skrzywdzili, że tu kogoś pobili – na przykład robotników i studentów strasznie bili w tamtych czasach. Ja miałam „malinowe życie”, ja byłam „pani doktor”, a jeszcze wcześniej nawet nie „pani doktor”, ale jednak asystentka uniwersytecka, poza tym ubecja wiedziała o mojej rodzinie, o moim ojcu, więc to też jakoś mnie do pewnego stopnia chroniło. Ale przecież jak się było młodym robotnikiem w komunistycznej Polsce, to właściwie można było dziękować losowi, że nie zabili, tylko skopali jak psa. Przy każdej możliwej okazji: wystarczyło podskoczyć majstrowi, który akurat był dobrze ustawiony w strukturach partyjnych, i się temu majstrowi nie spodobać. Więc każdy z nas gdzieś miał takie małe doświadczenia, które się kumulowały i sprawiały, że w jakimś momencie już po prostu trzeba powiedzieć nie, bo się nie daje w lustro spojrzeć.

Jeżeliby zobaczyć odbicie społeczeństwa w tym lustrze, to jaki mógł być moment krytyczny dla ludzi z Uniwersytetu i dla robotników? Czy dało się zaobserwować go w końcu lat siedemdziesiątych, na początku lat osiemdziesiątych? Czy wtedy już nie potrafiliśmy spojrzeć w to lustro?

Mnie się wydaje, że od wielu lat były grupy, które się buntowały przeciwko systemowi. Nie można powiedzieć, że społeczeństwo się buntowało – to nieprawda. Społeczeństwo sprzyjało temu systemowi zaraz po wojnie, bo on przyniósł pokój, bo się budowało domy, w których można było mieszkać i w których można było spokojnie spać. Przecież ludzie przeszli przez koszmar wojny. Ale różne grupy się buntowały i były pacyfikowane, a ludzie udawali, że tego nie widzą, że strachu oczywiście, ale i z obojętności. Bali się pomóc, nawet jeżeli uważali, że ci buntujący się mają jakąś tam rację. I dopiero ten rok '80 – wtedy moim zdaniem

dwie rzeczy się zbiegły, znaczy pomogły sobie – bunt robotniczy i to, że na ten bunt robotniczy w stoczni było przełożenie opozycji demokratycznej. W stoczni działały takie osoby, jak Bogdan Borusewicz⁷, który był związany z opozycją demokratyczną. I oni zaczęli do tej stoczni dowozić doradców, no a jak zaczęli przyjeżdżać doradcy, to doradcy zaczęli doradzać, co robić, na przykład żeby nie wychodzić na ulicę, bo wtedy jest łatwo o pacyfikację, albo żeby poszukać, czy w innych zakładach nie znajdują się tacy, którzy zechcą wesprzeć ten ruch. „Kupą mości panowie, kupi nikt nie ruszy, im więcej nas, tym lepiej” – i tak dalej, i tak dalej. I to był trochę taki dobry zbieg okoliczności i w tym zbiegu okoliczności jeszcze znalazły się takie osoby jak Wałęsa. Wałęsa jest osobą, która może doprowadzić do białej gorączki, ale jednak jest to człowiek, który przy wszystkich swoich wadach, przy wszystkich swoich ograniczeniach, przy lęku, bo przecież to był prosty człowiek, który miał wielką rodzinę z kupą małych dzieci i bezbronną, niepracującą żoną, to jednak jak przychodziło co do czego, to on potrafił się postawić. I robotnicy go naprawdę go kochali. Oni wtedy wierzyli, że jak Lechu może, to my też możemy. Że to po prostu tak jest, no bo on z nas, a my tacy sami. To nie było tak, że to był jakiś specjalny wódz, którego nam ktoś zrzucił, tylko on wyszedł z nas, on jest taki sam, jak ja, jak ty, jak my wszyscy. Tak że było trochę szczęśliwych zbiegów okoliczności. Moim zdaniem dużą rolę odegrali również ci opozycjoniści, którzy już wtedy byli aktywni w Polsce i oczywiście była to też kwestia stosunkowo „liberalnych” czasów. Ja nie pamiętam okresu stalinowskiego. Ledwo pamiętam przełomne czasy Gomułki⁸, ale jednak te lata już potem, lata Gierka, to były takie próby otworzenia się na Zachód, próby jakiegoś podniesienia poziomu cywilizacyjnego w Polsce. Mały fiat dla każdego był takim symbolem nowych czasów, nowego otwarcia. I wobec tego było łatwiej, bo jednak myślę, że ileś tam lat wcześniej toby po prostu tych wszystkich opozycjonistów wzięli za fraki, postawili pod ścianę i rozstrzelali na miejscu. No ale to już nie były takie czasy, bo aresztować, to wprawdzie aresztowali, ale potem wypuszczali, próbowali zastraszyć, wycofywali się. No tak się to jakoś kotłowało.

Zaczęła Pani opowiadać też o byciu doradcą oraz o roli komitetów doradczych – chciałbym zapytać o Pani doświadczenie, jak ono wyglądało, jak również o to, czy osoby z Uniwersytetu angażowały się w to budowanie „Solidarności”, w doradzanie, czy prowadziły też inne działania poza Uniwersyteciem.

⁷ Bogdan Borusewicz – polski polityk i historyk, działacz opozycji demokratycznej w latach PRL, w latach 2005–2015 marszałek Senatu.

⁸ Władysław Gomułka został I sekretarzem KC PZPR 21 października 1956 r. Była to jedna z oznak zmian po okresie stalinowskim. Odszedł z tej funkcji w niesławie 20 grudnia 1970 r. po tragicznych wydarzeniach na Wybrzeżu, gdy władze komunistyczne stłumiły protesty robotnicze przeciwko podwyżkom cen.

Oczywiście dużą rolę odgrywają cechy osobiste, jak łatwo się człowiek dogaduje z innymi ludźmi, jak jest przez nich spostrzegany. Ja byłam taką nie za dużą kobietą, co ma swoje wady oczywiście w maczystowskim społeczeństwie polskim, a zwłaszcza w klasie robotniczej, która była (przynajmniej wtedy) bardzo maczystowska. Ale z drugiej strony to im też trochę imponowało, że ja wiedziałam różne rzeczy, których oni nie wiedzieli, i że potrafiłam się obronić, jak mi ktoś za bardzo podskakiwał. Trzeba było mieć dużo cierpliwości, trzeba było mieć dużo empatii. To psychologowie często mieli, no myśmy jednak mieli jakiś tam trening w tej materii, podczas gdy koledzy z innych wydziałów czasem się zżymali i pamiętam Lecha Falandysza⁹, Pana kolegę po fachu, który mówił: „Cholera, już nie mogę z tym Bujakiem wytrzymać! Napisałem tutaj ekspertyzę, wręczcie mu i niech się ode mnie od...”. Bo oczywiście dla niego dyskusja ze Zbyszkciem Bujakiem była troszkę marnowaniem czasu. Trzeba było mieć też dużo cierpliwości i tolerancji. Pamiętam, jak kiedyś pojechałam do pewnego zakładu na jakieś negocjacje z dyrekcją. Idę sobie korytarzem z moim kolegą z komisji zakładowej, który mnie tam przywitał, i widzę, że stękając, dwóch facetów ciągnie po tym korytarzu taką wielką palmę w donicy. Podchodzimy do nich i ja mówię: „A co wy, chłopcy, tutaj robicie?”. A oni odpowiadają: „A jak to co? Była, kurna, ich, teraz będzie nasza”. Okazało się, że ta palma stała w OPZZ-ecie, a teraz ją przeciągali do biura komisji zakładowej „Solidarności”. No nie jeden w takiej sytuacji mógłby się zniechęcić. Ja się nawet do pewnego stopnia wzruszyłam, i to pomogło zrozumieć taką potrzebę rewanżyzmu, tego, żeby tak jak oni mieli, no to teraz, żeby było sprawiedliwie, to powinniśmy mieć my. I jakoś trzeba było pomagać ludziom rozumieć, że to nie jest droga, która pomoże im się wybić, jak to się mówiło wtedy, na niepodległość. Dużo później byłam rzecznikiem „Solidarności” w Gdańsku. Cała władza była już w sejmie, już po pierwszych wolnych wyborach czerwcowych 1989 roku. I Wałęsa zadzwonił do mnie, żebym przyjechała, bo on nie ma kim robić, bo wszyscy pojechali do Warszawy po karierę. Więc pojechałam na parę miesięcy do Gdańska.

Chciałem zapytać jeszcze o taki dysonans – rok 1968, czyli rok, odnosząc się do Pani wypowiedzi, zła i rok 1980, czyli czas jednak dobra. Skąd mogło to wynikać?

Z tego, że rok '80 to był właśnie rok budowania „Solidarności”. To był taki czas odnajdowania się, to był taki czas spotykania ludzi, z którymi żeśmy się nie spotykali, jednak warstwy społeczne w Polsce były szalenie izolowane. Ilu z nas znało tak naprawdę robotników, jeżeli się nie wywodziło z robotniczego

⁹ Lech Falandysz (1942–2003) – prawnik, nauczyciel akademicki, profesor nauk humanistycznych, działacz opozycyjny. W latach 1965–2003 pracownik naukowy UW. Od 1980 r. w „Solidarności”, współpracownik „Tygodnika Solidarność”, członek Społecznej Rady Legislacyjnej. Bliski współpracownik Lecha Walesy w czasie jego prezydentury.

środowiska? Moja babcia do końca swoich dni mówiła: „Ludzie przyszli”, jak przychodził pan naprawić krany. Mój braciszek wtedy wrzeszczał: „Babciu, to pan Zbyszek przyszedł, a nie ludzie!”, no ale dla mojej babci to było „ludzie” – przecież z tego tylko powodu, że ona była przedwojenna. Ale wiele z tego w Polsce zostało i to takie odkrywanie, że możemy być razem, że możemy się rozumieć, że możemy myśleć o wspólnej przyszłości – nie o przyszłości dla mnie albo dla ciebie, tylko naszej wspólnej, która będzie dobra i dla mnie, i dla ciebie. Że to było takie pożyteczne i takie konstruktywne. No a rok 1968 to był rok, w którym pewne grupy zostały ze społeczeństwa jakby wykluczone i napiętnowane.

Mówiła Pani Profesor o procesie odnajdywania się. Na czym ten proces polegał? Jak on wyglądał? Jak odkrywano siebie nawzajem, jak tworzyło się to społeczeństwo?

Trudno jest powiedzieć. Wie Pan – to tak jak usiąść razem przy śniadaniu z pracownikiem stoczni i rozmawiać o tym, czy tak samo nam smakuje ta kiełbasa, którą jemy, czy jakoś inaczej. Albo że my oboje lubimy kiełbasę, a jego żona woli ser. Albo coś takiego. Były bardziej dramatyczne doświadczenia, to już z okresu późniejszego, mam takie przeżycie, które dla mnie było bardzo ważne, to już był stan wojenny i ja byłam internowana od samego początku. W Warszawie, zanim nas zawieźli do Gołdapi, trzymali nas w więzieniu na Olszynie Grochowskiej¹⁰. Do nas dowieźli kobiety z Lublina i ze Świdnika, bo tam były duże zakłady i duża była „Solidarność”. Jedną z osób, które znalazły się akurat w mojej celi, była Zosia. Zosia była w bardzo trudnej sytuacji, ponieważ była samotną matką dorastającego syna, który miał chyba wtedy koło piętnastu lat. Ten jej syn został sam z babcią, z jej matką, która była inwalidką na wózku. Zosia pracowała jako sekretarka tam właśnie w zakładach. A nocami pracowała w komisji zakładowej, przy teleksie, żeby dorobić. Tłumaczyła mi, że chciała dorobić, bo miała takie poczucie, jak wiele Polek miało, że ten mąż ją kopnął w tyłek, bo była nie dość dobra. Więc ona przynajmniej chciała, żeby jej syn nie miał gorzej niż ci synowie, którzy mieli dość dobre matki, których mężowie nie porzucają. Więc pracowała na tych dwóch posadach, no i oczywiście zgarnęli Zosię w samych kapciach w noc stanu wojennego. Strasznie się martwiła o syna, o matkę, jak ona sobie z nim poradzi, jak oni sobie w ogóle poradzą. A przyjeżdżała ubecja tam do Olszyny, żeby przesłuchiwać te wszystkie internowane i domagano się od nich podpisywania lojalek. Obiecywali, że tę, która podpisze, to wypuszczą. I ja namawiałam Zosię i jeszcze

¹⁰ Więzienie w Olszynie Grochowskiej w Warszawie – areszt śledczy w Warszawie powstały w 1975 r., znajdujący się przy ul. Chłopickiego 71A. W czasie stanu wojennego, od 13 grudnia 1981 r. do 15 stycznia 1982 r., ośrodek internowania. Był on przeznaczony dla kobiet – działaczek opozycji (głównie „Solidarności”), zwłaszcza z Warszawy, lecz również z Chełma, Lublina, Łodzi, Płocka czy Skierniewic.

się włączyło do tego parę naszych koleżanek spod celi, żeby ona podpisała tego lojala. Mówiliśmy: „Zosia, co ci zależy? Wał to, to świstek papieru, jesteś, kim jesteś, jesteś, jaka jesteś, ważne dziecko, ważna matka, podpisz”. No i wzięli ją na przesłuchanie, a my czekałyśmy. Przyszła Zosia cała zapłakana, siedzi i płacze. Ja mówię: „No i co, Zosia?”. A ona przez łzy mówi, szlochając: „Nie podpisałam, skurwysynom”. Szczęśliwie Zosię zwolnili jeszcze przed wywiezieniem nas do Gołdapi¹¹, co odbyło się zaraz po świętach, tutaj chyba Kościół jakoś się wykazał, pomógł ją wyciągnąć. Ale to też dla mnie była bardzo ważna nauczka życiowa tego, że łatwo być odważną osobą, jak się jest córeczką działacza bolszewickiego i panią doktor na Uniwersytecie Warszawskim, prawda? A jak się jest Zosią, to nie ma przebaczyć. Jak będzie chciał zabić, to zabije. Zresztą pamiętam kiedyś w czasie przesłuchania powiedział mi mój esbecki opiekun: „Wie pani, pani Barbaro, ja panią tak na swój sposób lubię, ale jak każą zabić, to zabiję”. Oczywiście on wcale nie miał żadnej intencji, żeby mnie zabijać, chciał się popisać przede mną, że jest taki pryncypialny w swojej „ubeckości”. Tylko że ja już w jakimś momencie zrozumiałam, że on mnie by pewnie nie zabił, ale taką Zośkę toby zabił, jakby przyszło co do czego. No więc to jest też takie wzajemne uczenie się przy wszystkich możliwych okazjach, że jesteśmy tacy różni, a jednak jesteśmy, potrafimy być tacy sami. Że potrafimy się bać tak samo i potrafimy się wykazywać straceńczą odwagą tak samo. Wydaje się to takie dziwne, ale niewiele takich kontaktów w normalnym życiu żeśmy mieli. Przynajmniej takie osoby jak ja.

À propos mówienia o wspólnej przyszłości – jak ze strony środowiska uniwersyteckiego wyglądała ta wspólna przyszłość, jej wizja?

W tamtym czasie i na tym poziomie ona była bardzo uproszczona i bardzo, bardzo mało specyficzna. Myśmy po prostu chcieli kraju demokratycznego, kraju wolności dla wszystkich, kraju wolnej gospodarki. Używało się określenia „gospodarka wolnorynkowa”, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, ile to może znaczyć rzeczy, ile sposobów rozumienia gospodarki rynkowej istnieje. Myśmy po prostu tego zwyczajnie nie wiedzieli. Byliśmy głupi, niedokształceni, z pewnymi wyjątkami. Na przykład Leszek Balcerowicz dokładnie wiedział, co to jest gospodarka rynkowa. I niezależnie od różnych błędów, to jednak jego reformy wypchnęły Polskę na czołówkę krajów postkomunistycznych w tempie rozwoju, a było to zupełnie niespodziewane, biorąc pod uwagę, że był to kraj bardzo duży w porównaniu z innymi i bardzo zadłużony. Bo Gierek jednak bardzo Polskę zadłużył. Ale powtórzę, że ogólnie nasza wizja polskiej przyszłości była bardzo uproszczona, infantylna wręcz.

¹¹ Internowanie w Gołdapi – ośrodek internowania w okresie w stanu wojennego, w tym czasie przetrzymywano w nim 392 kobiety.

Dopytałem o wspomnienia z okresu internowania. Czy pamięta Pani Profesor inne takie osoby, jak wspomniana Zosia? Jakie były te postawy, z jakimi Pani Profesor się spotykała? Wiem, że doradzała Pani osobom w więzieniu, udzielała im pomocy psychologicznej.

To przyszło tak trochę naturalnie, no bo jestem psychologiem, więc tym, co mieli kłopoty czy zmartwienia, jakoś wydawało się naturalne, żeby pójść i zapytać o poradę psychologa. Generalnie rzecz biorąc, uważam, że ta społeczność internowanych była naprawdę świetna. Kobiety zachowywały się wspaniale, chociaż wiele z nich było w bardzo trudnej sytuacji, dlatego że zostawiły poza tym „internatem”¹², właśnie tak jak Zosia, dzieci, rodziców – często starych, wymagających opieki i o których nie wiedziały, czy ktoś się nimi zajmie. Ale zajmowało się otoczenie, społeczność lokalna, koledzy z pracy. Ja sama miałam młodszą siostrę, która była samotną matką z oseskiem, i bardzo się o nią martwiłam. Ale okazało się, że moje studentki zajmowały się małą Julką, żeby Joasia mogła normalnie pracować, a jak wyszłam z „internatu”, to Joasia powiedziała: „Nie mogłabyś jeszcze pójść posiedzieć? To był najlepszy dla mnie okres. Wszyscy mi pomagali, jak ciebie nie było”. No więc oczywiście pomagano, ale zmartwienia były ogromne i czasem po prostu wystarczyło posłuchać, wystarczyło, że można było komuś opowiedzieć swoją historię. W Gołdapi miałyśmy tylko jeden cięższy przypadek: dziewczyny, która miała rzut psychotyczny. Ale potem się dowiedziałam, że ona miała takie rzuty już wcześniej. W jakimś sensie ten smutny przypadek nam się przysłużył: ja od razu zrobiłam straszne piekło ubekom, że wszystko będzie na nich, i oni przywieźli psychiatrę ze szpitala w Węgorzewie. I okazał się to bardzo świetny facet, który zajął się oczywiście tą dziewczyną, zabrali ją od razu i już nigdy nie wróciła do „internatu”. Ale on mi także zdążył szepnąć na stronie, że jakby któraś chciała trochę odetchnąć, to żeby powiedziała o jakichś objawach, on od razu przyjmie na oddział i tam będzie mogła ją odwiedzić rodzina. I parę kobiet z tego skorzystało, pojechały do niego na oddział, gdzie trochę mogły odsapnąć i mieć normalne relacje z rodziną. Bo z odwiedzinami w Gołdapi też było różnie, utrudniali jak mogli, czasem wręcz nie dopuszczali do odwiedzin. Tak więc powtórzę: generalnie społeczność gołdapska internowanych była dobrze zintegrowana. Był jakiś taki okres, kiedy ja miałam trochę napięcie z koleżankami z Gdańska. Głównie z tego powodu, że one miały taką, jak by to powiedzieć, obsesję, że na pewno muszą być wśród nas ubeczki. Ja mówię: „No muszą, oczywiście, to jest przecież nie do uniknięcia, tu siedzi ponad sto kobiet, ubecja musiałaby być durna, żeby do tych stu kobiet nie zaimplementować kilku osób, których zadaniem jest słuchanie i donoszenie. Dlatego musimy żyć ze świadomością tego, że tak właśnie jest”. „Łatwo tak powiedzieć, a jak nas podsłuchują? Może tu gdzieś poinstalowano jakieś

¹² Potoczna nazwa internowania.

podśluchy?” To ja mówię: „Może, pewnie tak. Piszmy na karteczkach, dlatego że nie jest to najtrudniejsze, da się zrobić”. Jedna z nich miała wręcz obsesję inwazji. Kiedyś zostałam zawezwana, bo one się z nami warszawiankami nie spotykały, tylko nas wzywały na posłuchanie. Zapytała: „Słyszysz?”. Jeszcze przyciszony, ale huk. „Moim zdaniem to czołgi jadą. I moim zdaniem one jadą ze Wschodu, więc musimy się zastanowić, co zrobić, żeby jakoś ułatwić – przynajmniej części tych młodszych dziewczyn, które szybko biegają – ucieczkę”. No więc i w takich dyskusjach czasem musiałam brać udział, ale to nie było coś, co nam dokuczało bez przerwy. A poza tym kobiety mają poczucie humoru i robiły różne zabawne rzeczy. Byłyśmy internowane w ośrodku wypoczynkowym radia i telewizji, który był całkiem luksusowy, bo na przykład każdy pokój (pokoje były czteroosobowe) miał własną łazienkę. Wyobraża sobie Pan? Rzecz prawie nie do pomyślenia w czasach komuny. I na spacer wypuszczali nas na takie dwa duże tarasy, mogłyśmy po tych tarasach chodzić, tak jak na spacerunku w kryminale. I kiedyś za coś się na nas obrazili ubecy i powiedzieli, że będzie kara i nie będzie spaceru. No więc jakie były tego konsekwencje? Dziewczyny wyjęły z zawiasów drzwi od tarasów, schowały je i spacer był. A ubecja latała po całym ośrodku i szukała tych drzwi. Oczywiście nie wolno było słuchać radia, a te pokoje wszystkie miały kiedyś radia, co było widać, które zostały wyniesione, jak zamieniono to w „internat”. I któraś z dziewczyn miała mądry pomysł, że jak zabrali radia, to one gdzieś muszą być, bo będą je chcieli zainstalować z powrotem, jak się „internat” skończy. No więc zaczęły szukać, znalazły i w ten sposób żeśmy podkradły jeden, dwa odbiorniki, które wędrowały po pokojach, gdzie można było sobie posłuchać Wolnej Europy¹³ albo czegoś tam. Tak że poza tym, że ten interes był ciężki dla tych kobiet, które miały zobowiązania rodzinne, to dawało się żyć.

Powiedziała Pani, że naturalnie jest pomagać. Jakie to jeszcze były działania? Jak – na przykład – rozmawiało się z osobami, które chciały takiej rozmowy? Jak się im pomagało?

Przede wszystkim zawsze trzeba wysłuchać wszystkiego dokładnie, szczegółowo, od początku do końca. I jak się słucha, to zawsze są tam takie elementy, o które można się zaczepić. Na przykład: „Powiedziałaś, że zanim cię zamknęli, to sąsiadka – bla, bla, bla – pomagała, przechowywała twoje dziecko, jak wracało ze szkoły, a was w domu nie było. Czy myślisz, że możemy jakoś do tej sąsiadki dotrzeć?”. A oczywiście myśmy miały system wysyłania grypsów poza teren „internatu”, zresztą pomagało w tym wojsko. Żołnierze pilnowali nas na zewnątrz, żeby internowane

¹³ Radio Wolna Europa – rozgłośnia radiowa nadająca z Monachium do krajów uzależnionych przez ZSRR po II wojnie światowej. Założona w 1950 r. z inicjatywy Komitetu Wolnej Europy, nadawała audycje w języku polskim, węgierskim, słowackim, czeskim, rumuńskim, bułgarskim, litewskim, łotewskim i estońskim.

nie uciekały i oni przemycali grypsy. Oraz ksiądz – lokalny ksiądz, taki który przychodził w niedzielę i odprawiał mszę, wychodził chyba o parę kilogramów cięższy z grypsami w kieszeniach sutanny, które mu tam dziewczyny wrzucały. Więc to był jeden sposób. Drugi to taki, żeby po prostu wskazywać na możliwości zwracania się o pomoc taką bardziej formalną. To były parafie. Ja nie jestem osobą religijną i w dzisiejszych czasach mam bardzo negatywne nastawienie do polskiego Kościoła. Ale w tamtych czasach nie miałam, bo Kościół pomagał. Każdy człowiek, który miał z tym cokolwiek do czynienia, powinien przyznać, że parafie pomagały. Ta parafia w Gołdapi też – przez nią właśnie przechodziły informacje do innych parafii. Księdzu w czasie spowiedzi – kobiety, które chodziły do spowiedzi – mogły powiedzieć, co chciałyby, żeby zrobiono w ich sprawie. I to przenoszono dalej. A pomoc w społeczeństwie była duża – i w zakładach pracy, i w społeczności lokalnej. Czyli ważne było wskazywanie na istniejące możliwości – żeby coś robić, a nie po prostu siedzieć i myśleć: „O Jezu, o Jezu, co z nami wszystkimi będzie!”. Poza tym były widzenia i nawet, jeżeli do ciebie nikt nie przyjechał, to przyjechał do mnie. Więc ja mogłam poprosić tę osobę, która do mnie przyjechała, żeby zrobiła coś dla ciebie, prawda? Na przykład ja siedziałam też z Ludką Wujec¹⁴, która była w trudnej sytuacji. Miała męża Henia w kryminale, syna Pawelka w wieku szkoły podstawowej i starą matkę, która opiekowała się dzieckiem. Więc jak do mnie przyjeżdżali koledzy z wydziału, no to ja udzielałam instrukcji, co zrobić, żeby pomóc mamie Ludki z Pawelkiem i jeszcze jak zdobyć informacje o Heniu, żeby je można przekazać Ludce, żeby się tak bardzo nie martwiła. Więc właściwie chodziło o to, żeby mieć jakiś wpływ na rzeczywistość na zewnątrz. Wysłuchać osoby i pomóc taki wpływ znaleźć i coś zrobić, żeby on przyniósł konsekwencje. A poza tym oczywiście, poza takim praktycznym rozwiązywaniem problemów, ważne też były takie rzeczy jak uwalnianie emocji. I w tym pomagały kobiety, które miały różne zawody: panie nauczycielki od wuefu, które potrafiły tak wyciskać siódme poty na tych tarasach, że wszystkie frustracje mijały, bo byłyśmy zbyt zmęczone na to, żeby je przeżywać. Były zajęcia z historii, które prowadziła profesor Halina Suwała¹⁵ z Uniwersytetu Warszawskiego. Były zajęcia z języków obcych,

¹⁴ Ludwika Wujec – polska polityczka, fizyczka, działaczka opozycyjna. Od 1980 r. w „Solidarności”, współtwórczyni pisma Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego Regionu Mazowsze „Niezależność”, od 1981 r. redaktorka w Agencji Prasowej Solidarności. Od lipca 1976 r. współorganizatorka pomocy robotnikom Ursusa i Radomia. W latach 1982–1988 pracowała w Prymasowskim Komitecie Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom w Warszawie. Od 1984 r. należała do redakcji podziemnego „Tygodnika Mazowsze”.

¹⁵ Halina Suwała (1926–2016) – romanistka, nauczycielka akademicka, opozycjonistka w czasach PRL. Żołnierka Armii Krajowej, sanitariuszka w powstaniu warszawskim. W latach 1953–1994 pracowniczka naukowo-dydaktyczna na romanistyce UW. W 1976 r. współpracowniczka Komitetu Obrony Robotników. We wrześniu i październiku 1980 r. członkini NSZZ Pracowników Nauki Techniki i Oświaty UW. Od października 1980 r. w „Solidarności”. W latach 1980–1981

można się było uczyć śpiewać albo grać na gitarze. No właściwie było tam wiele zawodów i wobec tego możliwość wymieniania się taką ekspertyzą, którą każda z nas miała. Więc nie tylko ja jako psycholog byłam tam pożyteczna. Wszystkie byliśmy dla siebie nawzajem pożyteczne.

Mam teraz do Pani Profesor bardzo dużo pytań. Zacząłbym może od tego procesu uwalniania emocji, no i tych zajęć. Jak spędzały Panie czas na internowaniu? Jak radziły sobie osoby z Uniwersytetu, a jak radziły sobie osoby spoza Uniwersytetu?

No więc można by powiedzieć tak, że w dniu każdej z nas były dwa wątki. Jeden to był wątek prac nad sobą, a więc na przykład uczenia się czegoś. Ja się nauczyłam robić na drutach. Nie umiałam nigdy, nie robiłam nigdy. Nauczyłam się. Co prawda daleko się nie posunęłam, byłabym w stanie zrobić szalik stąd do Houston, ale już swetra to chyba bym się nie podjęła. No ale nauczyłam się machać tymi drutami. Więc to były różne takie zajęcia własnego rozwoju, uczenia się czegoś nowego. I było coś takiego, co można byłoby nazwać czasem wolnym. I na ten czas wolny składały się różne rzeczy: to były pogaduchy, to było oglądanie telewizji, jakoś tam kontrolowanej, ale miałyśmy ją. Zresztą to była telewizja stanu wojennego, no więc jak Pan może się domyślić, nie było tam informacji ze świata podziemia. Chyba że kogoś zamknęli, wtedy to podawali. Normalne pogaduchy, tak jak to bywa, jak się osoby w tym samym wieku spotykają. Czytanie, pisanie listów do rodziny. Niektóre pisały jakieś pamiętniki, potem chodziły z błędnym spojrzeniem i utykały te karteczki w jakichś dziurach, żeby ubecja tego nie znalazła. Ale to też była swojego rodzaju rozrywka. „Się wydaje, że więzienie dla ludzi”, jak mawiała jedna moja znajoma.

Więzienie dla ludzi... Te dwa słowa niekoniecznie ze sobą współgrają, szczerze przyznam. Grałem kiedyś w sztuce w kole teatralnym, gdzie takim podsumowaniem, hasłem przewodnim sztuki było „Wszystko jest dla ludzi”, a jednak nie życzyłbym nikomu spędzania czasu w więzieniu. Ponownie chciałbym Panią Profesor troszeczkę dopytać: co czytano, o czym rozmawiano? Jakie były tematy – przepraszam za kolokwializm – na topie?

Ja myślę, że wszystkie możliwe. To znaczy tak jak w normalnym życiu. Oczywiście dużo rozmawialiśmy o polityce. O „Solidarności”, jak się trzyma w tym podziemiu. O tym, co z tego wszystkiego wyniknie. I o tym, co było przedmiotem zainteresowania wielu w tamtych czasach: czy ruskie wejdą, czy nie wejdą. No więc to był jeden taki topowy temat. Po drugie to były kwestie zawodowe,

przedstawicielka Wydziału Neofilologii w Komitecie Uczelnianym. Od 13 grudnia 1981 r. do 29 kwietnia 1982 r. internowana w Ośrodku Odosobnienia w Warszawie-Olszynie Grochowskiej, Jaworzu, Gołdapi, DarłóWKu. W latach 1982–1987 przebywała we Francji.

ja na przykład siedziałam z Aldoną Jawłowską¹⁶, która była socjolożką, a ja psycholożką społeczną, więc miałyśmy dużo rozmów, w których na podobne tematy patrzyliśmy z tych dwóch nieco różnych punktów widzenia. Ja się od niej sporo nauczyłam i myślę, że ona czegoś tam nauczyła się ode mnie. Więc były to też takie zawodowe tematy. A poza tym – babskie ploty: kto z kim i co z tego wynikło albo może wyniknąć. Rozmawiano o mężach, o tych, którzy siedzieli w domu, pracowali, opiekowali się rodziną. Ale też o tych, którzy siedzieli w kryminałach albo się ukrywali, co też oczywiście było powodem zmartwień i napięć, żeby go nie złapali, żeby się jakoś tam uchował. Hania Macierewicz¹⁷, która miała ogromne poczucie humoru i zawsze nas rozśmieszała, opowiedziała nam na przykład taką historię: jak wprowadzono stan wojenny, Hania była w Londynie, w domu zostawiwszy męża Antosia z córeczką oraz swoją mamusią. Hania dowiedziała się z londyńskich mass mediów, co stało się w Polsce. Dowiedziała się również, że Antoś szybko zszedł do podziemia – zostawiwszy córeczkę z jej mamusią – to było logiczne. Więc Hania postanowiła wracać. Jakoś przez chwilę nie mogła, bo nic nie latało do Polski, ale w końcu leciał jakiś samolot i mogła się nim zabrać. Jak mogła się spodziewać, już na lotnisku czekali na nią „smutni panowie”, żeby się nią zaopiekować. No i Hania mówi, że miała trzy duże walizki, bo nakupowała ciuchów dla siebie, dla Antosia i dla malej, i jeden z nich powkładał te walizki na wózek lotniskowy. Wyszli z lotniska do samochodu, który miał ją zawieźć wtedy jeszcze na Olszynkę Grochowską. A za nimi leci jakaś kobieta z dzieckiem i też z wózkiem z walizkami, która przyleciała tym samym samolotem, leci za nimi i wrzeszczy: „Co wy sobie myślicie?! To niesprawiedliwe! Ja tu z dzieckiem jestem, mnie proszę zabrać tym samochodem!”. I Hania mówi, że za wszelką cenę chciała jej ustąpić miejsca, no i wywiązała się dosyć zabawna dyskusja pomiędzy tą kobietą a ubekami, którzy nie chcieli wziąć jej do samochodu i zawieźć na Olszynkę Grochowską. Tylko właśnie zawieźli Hanię. No i Hania w tej trudnej sytuacji, w jakiej była, tak jak i wiele innych kobiet, opowiadała głównie takie dowcipy i anegdotki, taką była osobą. Więc jak kogoś trzeba było rozbawić, to Hania Macierewicz była zawsze do dyspozycji.

¹⁶ Aldona Jawłowska (1934–2010) – socjolożka, profesorka nauk humanistycznych, związana z Instytutem Socjologii i Filozofii PAN oraz Instytutem Stosowanych Nauk Społecznych UW, znacząca przedstawicielka metod jakościowych w naukach społecznych, aktywna uczestniczka wielu inicjatyw opozycyjnych w czasach PRL, m.in. współpracowniczka KOR, współzałożycielka Towarzystwa Kursów Naukowych, autorka pisma „Karta”, współpracowniczka Wydawnictwa „Krağ”, działaczka „Solidarności”, w 1982 r. internowana przez kilka miesięcy w Gołdapi.

¹⁷ Hanna Macierewicz-Natora – żona Antoniego Macierewicza, działacza opozycyjnego. Historyczka, absolwentka UW. W czasie stanu wojennego przebywała w Londynie, dokąd zaprosił ją polski Instytut Sikorskiego. Na wieść o wydarzeniach w kraju postanowiła natychmiast wracać.

Wróć jeszcze do wątku pomocy. Jak Państwu pomagano podczas internowania? Słyszałem o psychiatrze, o księdzu... Czy była jeszcze jakaś pomoc? Kto pomagał? W jaki sposób?

Dostawaliśmy na przykład paczki jedzeniowe. Chyba to było tak, że różne parafie przywoziły je do tej parafii w Gołdapi i ksiądz, który miał prawo odprawiania mszy w „internacie”, dowoził te paczki. Więc, mówiąc szczerze, byliśmy dobrze odżywione, nawet do tego stopnia dobrze odżywione, że dzieliłyśmy się tymi dobrami. Bo w kuchni w „internacie” pracowały lokalne kobiety. Wtedy sytuacja jedzeniowa była w Polsce fatalna. To znaczy nie było głodu, ale prawie nic nie było. A myśmy dostawały różne frykasy typu owoce południowe i tym podobne. No więc dzieliłyśmy się z tymi kobietami. Z tego co pamiętam, były nam szczególnie wdzięczne przed Wielkanocą. Jak przyszła Wielkanoc, to dostały od nas prezenty w postaci tych różnych dóbr i jedzenia. Jak powiedziałam wcześniej, opiekowano się rodzinami na wolności i ta pomoc na wolności była naprawdę imponująca. Oczywiście ja nie wiedziałam wszystkiego i o każdym. No może gdzieś tam coś było, co funkcjonowało nie tak, o czym nie wiedziałam. Ale generalnie rzecz biorąc, myślę, że było dobrze. Miałam kontakt z liderkami. Bo różne środowiska miały swojej liderki, na przykład poznańskie czy wrocławskie, takie bardziej doświadczone dziewczyny z opozycji jeszcze przedsierpniowej. Jakoś tam próbowały kontrolować sytuację swoich koleżanek, też tych z mniejszych ośrodków, które nie bardzo wiedziały, jak sobie radzić. Ale oczywiście bywało nie tylko, jak to mówię, optymistycznie, ale oczywiście też i bardzo trudno. Niedawno, jakieś trzy lata temu chyba, zostałam zaproszona do Warszawy przez grupę teatralną, która jest takim specjalnym teatrem edukacyjnym. I tam działają różne osoby, są aktorki, ale są również działaczki społeczne. I zostałam przez nie zaproszona do pomocy w przygotowaniu dla Teatru Powszechnego takiego przedstawienia, które się nazywało „Kuracjuszki z Interno”. Zaprosiły kilka kobiet, które były w „internacie”, na *workshop*, żeby porozmawiały, a one żeby mogły się temu przyjrzeć, posłuchać i coś zbudować na tej podstawie. Było nas tam niewiele. Były kobiety chyba... nie pamiętam, z jakiego miasta, które ja słabo znałam w „internacie” – jednej to nawet w ogóle nie kojarzyłam. I one opowiadały na przykład dużo o strachu. A w tym moim najbliższym środowisku, w którym ja byłam, z którego osoby do mnie przychodziły z jakimiś problemami, to właściwie taki strach i lęk o siebie były bardzo słabe. No właśnie poza tymi gdańszczankami, które miały obsesję, że za chwilę przyjdą Rosjanie i nas wszystkie tam rozstrzelają albo rozjadą czołgami. A one właśnie, jak się okazuje, też miały takie strachy osobiste, że coś złego im za chwilę ktoś zrobi, coś złego się stanie. Więc oczywiście to nie jest tak, że to był taki idealny świat, że tak łatwo było wszystkim, ale no jakoś sobie ułatwialiśmy tę niełatwą sytuację.

Pociągnę wątek strachu. Mówiła Pani, że w Pani grupie strachu nie odczuwano tak bardzo, a w innych grupach tak. Z czego mogła wynikać ta różnica?

Mówiąc szczerze, nie mam pojęcia. Musiało to wynikać z jakichś osobistych doświadczeń. Może z jakiegoś braku zaufania do siebie nawzajem. Czasem decydują też jakieś osobiste właściwości. Ja wiem, że te moje koleżanki z Gdańska chyba zawsze żyły w takim poczuciu zagrożenia... Gdańsk słynął z tego, że działacze zawsze szukali ubicji we własnych szeregach, o tym się mówiło w Warszawie. Myśmy starali się to lekceważyć, żeby nie zatruwać sobie nawzajem życia. A oni polowali na ubicję. Nie wiem, z jakich zakładów były na przykład te dziewczyny, które opowiadały o swoich lękach, jakie tam były stosunki wewnętrzne, jak je traktowała ubicja. Ta ubicja też bardzo różnie się zachowywała w różnych miejscowościach. Myślę, że w Warszawie była stosunkowo cywilizowana, że się tak wyrażę, w porównaniu zwłaszcza z rozmaitymi małymi miejscowościami, gdzie na dzień dobry można było zostać pobitym. Więc to też mogło mieć jakiś wpływ. To była jednak, generalnie rzecz biorąc, sytuacja opresji. Uświadamiam sobie, że pewnie opowiadam, jak to było wesoło, bo to trochę oddaje to, co ja chciałam zrobić dla moich koleżanek, żeby było im lżej. No ale oczywiście wcale tak lekko nie było. I te, którym nawet udało się jakoś pomóc, z którymi spędzałam dużo czasu na rozmowach, żeby jakoś mogły swoje lęki o bliskich i zmartwienia odreagować, to też przecież nie wiem tak do końca, co im się śniło po nocach, jak i o czym myślały wtedy, kiedy budziły się nad ranem, raptem w tym dziwnym miejscu, w Gołdapi.

Zapytałbym Panią jeszcze o strach, ale u Pani. Co Pani czuła? Czy to był akurat strach, czy coś innego?

Ja na początku martwiłam się bardzo o moją siostrę z małym dzieckiem, ale potem trochę przestałam, jak Joasia przyjechała do mnie do „internatu”, zostawiwszy Julkę z moimi studentkami i była w dobrej formie, zaopiekowana... Trochę martwiłam się o mojego brata, ale jego szybko też złapali i zamknęli, więc właściwie paradoksalnie mniej martwiłyśmy się wszystkie o tych naszych mężczyzn zamkniętych, no bo jak siedzi, to siedzi, a najgorzej było z tymi, co się ukrywali, i nie wiadomo było, co i kiedy może się stać. Nie miałam w tamtym czasie żadnego innego „osobistego” mężczyzny, o którego mogłam się specjalnie martwić, byłam po rozwodzie z pierwszym mężem, który już zdążył wyjechać do USA. Znałam już wtedy mojego przyszłego męża, ale jego wyrzucili z Polski od razu, jak wprowadzili stan wojenny. Janek był obywatelem Holandii i pomagał polskiej opozycji, więc nigdy nie dostał i nie mógł dostać polskiej wizy. Aż przyszła „Solidarność”, dostał wizę i przyleciał do Polski. I spotkałam się z nim u Janka

Lityńskiego¹⁸, który zaprosił nas oboje na obiad. Chyba nawet podejrzewałam ówczesną żonę Lita, Krysię, że chciała nas wyswatać. No i wyswatała nas, ale na krótko, bo zaraz potem wprowadzono stan wojenny i ja poszłam siedzieć, a Janka wyrzucili po prostu z Polski. No więc wiedziałam, że jest bezpieczny w swoim domu w Holandii. A poza tym martwiłam się, co tam się dzieje na wydziale, jak koledzy, kogo zamknęli. Martwiłam się o swoich studentów... Ja byłam już wtedy prodziekanem do spraw studenckich na swoim wydziale, więc czułam się za tych studentów jakoś odpowiedzialna. A studentów i młodych robotników ta władza traktowała strasznie, nie miała wobec nich w ogóle żadnych skrupułów. A wiedziałam wtedy pewnie nie o wszystkich, ale o wielu moich studentach, niektórzy byli bardzo zaangażowani w różną działalność podziemną, głównie wydawniczą. Znaczący wtedy jeszcze nie była podziemna, bo za czasów legalnej „Solidarności” była ona niby-legalna. Ale wiadomo było, że po wprowadzeniu stanu wojennego będzie musiała zejść do podziemia i zeszła. Oni wszyscy byli w jakimś tam zagrożeniu, tak że się o nich martwiłam. Wszyscy się wtedy martwiliśmy jakoś o Polskę, o wszystko.

¹⁸ Jan Lityński (1946–2021) – polityk, publicysta, działacz opozycyjny, doradca „Solidarności”. Uczestnik wydarzeń Marca ’68 roku na UW, relegowany z uczelni. W sierpniu 1976 r. uczestnik akcji pomocy dla represjonowanych robotników Ursusa i Radomia; od września 1976 r. do 1980 r. współzałożyciel, autor i redaktor niezależnych pism: „Biuletynu Informacyjnego” KOR (potem KSS KOR), „Robotnika” i kwartalnika politycznego „Krytyka”; od października 1977 r. w KSS KOR, współpracownik Biura Interwencyjnego. W lipcu i sierpniu 1980 r. współorganizator sieci informacyjnej o strajkach w Polsce, 14 sierpnia 1980 r. zatrzymany, 28 sierpnia 1980 r. aresztowany, zwolniony 1 września 1980 r. na mocy porozumień sierpniowych; od września 1980 r. doradca MKZ Wałbrzych, od listopada – MKZ Mazowsze, następnie zarządu Regionu i Komisji Zakładowej w Hucie im. Lenina w Krakowie. 13 grudnia 1981 r. internowany w Ośrodku Odosobnienia w Warszawie-Białoleczę. Po ucieczce z przepustki ukrywał się. Ujawnił się dopiero w 1986 r. Od 18 grudnia 1988 r. do 1990 r. członek Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym „Solidarności” Lechu Wałęsie. W 1989 r. uczestnik obrad okrągłego stołu w zespole ds. górnictwa.

Rozmowa 4.

Julian Srebrny

Doktor fizyki, pracownik UW od 1963 roku, jeden ze współtwórców „Solidarności” na UW i w Regionie Mazowsze, pracownik Środowiskowego Laboratorium Ciężkich Jonów UW, wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” UW, działacz opozycyjny czasów PRL.

Wywiad: Michał Jakociuk, student III roku zarządzania na Wydziale Zarządzania UW

Transkrypcja: Gabriela Herzyk, studentka III roku zarządzania na Wydziale Zarządzania UW, radna Wydziału Zarządzania UW oraz członkini Samorządu Studentów Wydziału Zarządzania UW

MICHAŁ JAKOCIUK: **Czy mógłby mi Pan opowiedzieć o swoich początkach w ZNP?**

JULIAN SREBRNY: Maciej Szczygliński¹ – to były żołnierz Armii Krajowej, który miał napęd społeczny i on był wtedy przewodniczącym chyba Rady Wydziałowej ZNP na naszym wydziale. I on mnie zahaczył i mówi: „Słuchaj, może byś wstąpił do ZNP?”. I ja wtedy wstąpiłem. I to się okazało bardzo dobrym ruchem, ponieważ później... na początku chyba lat siedemdziesiątych, może troszkę później na Wydziale Fizyki zorganizowaliśmy normalne wybory. Wydział Fizyki był dość duży, więc zorganizowaliśmy wybory w poszczególnych zakładach, które były w Instytucie Fizyki Doświadczalnej dość duże, i w niezależnym Instytucie Fizyki Teoretycznej, Astronomii, Geofizyki. Zrobiliśmy normalne wybory – prawdziwe, demokratyczne – przedstawiciele tych poszczególnych grup pracowniczych czy poszczególnych organizacji wewnętrznych na wydziale.

I wtedy te wybory, ponieważ były prawdziwe, wyłoniły właśnie prawdziwych ludzi. Wtedy poznałem Macieja Gellera², który był wybrany w Zakładzie Biofizyki, spotkałem też Michała Nawrockiego³, który był w Zakładzie Fizyki Ciała Stałego, ale też z administracji byli wybrani ludzie, którzy potem byli aktywni. W zasadzie już w połowie lat siedemdziesiątych, nawet pamiętam teraz i przypominał mi Jerzy Kwaśniewski⁴, że w roku 1976, kiedy już rozpoczął działalność KOR, bardzo aktywny był Instytut Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji. Wtedy postanowiono się rozprawić z tym instytutem, bo był bardzo nie na linii partyjnej w tamtym okresie⁵. Więc pamiętam, że już my byliśmy na tyle mocni, że nawet w obradach tej rady uczelnianej ZNP broniliśmy ludzi z IPSiR-u, bo chcieli ich ukarać, wyrzucić ze związków zawodowych, a potem wyrzucić z pracy. Jak zwykle działaliśmy w ten sposób, żeśmy działali poprzez wydziały, bo było łatwiej,

¹ Maciej Szczygliński (1921–2004) – kapral Armii Krajowej podczas II wojny światowej.

² Maciej Geller (1941–2014) – polski fizyk, doktor habilitowany nauk fizycznych, nauczyciel akademicki, działacz opozycji w okresie PRL, popularyzator nauki, dyrektor Warszawskiego Festiwalu Nauki. Po wprowadzeniu stanu wojennego przewodniczył niejawnym strukturom związku na uczelni, zajmował się dystrybucją na UW wydawnictw drugiego obiegu.

³ Michał Nawrocki (1943–2018) – polski fizyk, działacz społeczny, profesor nauk fizycznych, profesor zwyczajny UW i jego prorektor w latach 1993–1999.

⁴ Jerzy Kwaśniewski – prawnik, socjolog, profesor zwyczajny, absolwent i pracownik naukowy UW, w latach 1990–1996 i 2008–2012 dyrektor Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji UW, a obecnie członek Komisji Stałej Rady Naukowej Dyscypliny Nauki Prawne Wydziału Prawa i Administracji UW (zob. wywiad z nim w tej publikacji).

⁵ Sprawa IPSiR – w czasach PRL pracownicy naukowcy Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji UW, a w szczególności Adam Podgórecki i Jerzy Kwaśniewski prowadzili badania pokazujące patologie ówczesnego systemu, za co stosowano wobec nich i reprezentowanego przez nich instytutu represje.

wydziały matematyczno-fizyczne, a także psychologię, która jest takim wydziałem pośrednim w stosunku do humanistyki. Także poprzez kontakty osobiste spowodowaliśmy, że w ZNP powoli mieliśmy coraz większe wpływy. Trudno mi powiedzieć, bo być może była to jakaś zasługa kogoś z PZPR-u, który chciał troszeczkę demokratyczniej to robić, ale wtedy to była dość duża walka, na noże, bo oni byli przedstawicielami rektora Rybickiego, który zasłynął koszmarnymi decyzjami w marcu 1968⁶. I potem został rektorem, aż do roku 1980, gdzie miał szczęście, że zachorował i zmarł – i myśmy uznali, że już nie będziemy jego pamięci ruszać. Byliśmy wściekli na jego różne działania na Uniwersytecie. Sądzę, że to był koniec roku '79. Wygraliśmy wtedy wybory do Rady Zakładowej Uniwersytetu Warszawskiego. Pamiętam, jeden z przedstawicieli rektora nakrzyczał na mnie po tych wyborach, żeśmy spiskowali i tu zrobili zamach na wszystko. W ten sposób już przed strajkiem gdańskim mieliśmy niezależny samorządny związek zawodowy ZNP na Uniwersytecie Warszawskim. Tak że nic dziwnego, że byliśmy jedną z pierwszych organizacji zakładowych „Solidarności”, nasza „Solidarność” UW ma numer dwa w Regionie Mazowsze.

Czytałem też, że uczestniczył Pan w spotkaniu założycielskim NSZZ „Solidarność” na Sali Dużej Doświadczalnej na Wydziale Fizyki.

No tak, bo myśmy już poprzez ZNP dyskutowali, czy warto tę Radę Zakładową ZNP przekształcić w komisję zakładową, bo tak to mieliśmy opanowane. Oczywiście uznaliśmy, że robimy normalne wybory. Byliśmy aktywni na Wydziale Fizyki, więc spotkanie założycielskie zorganizowaliśmy na Wydziale Fizyki.

Jaka atmosfera tam panowała? Jakie były nastroje? Czy czuł Pan, że uczestniczy w czymś wielkim, czy może tak się tego nie odczuwało?

Trudno mi powiedzieć, ponieważ to było bardzo dawno. Ja byłem aktywny już od 1965 roku, w związku z tym to była treść tego, co uznałem za ważne, co trzeba robić. To, co się stało w Stoczni Gdańskiej, ten strajk, wielkie zwycięstwo to oczywiście było fascynujące. Zresztą my jeszcze jako ZNP wysłaliśmy swoją delegację trzyosobową do Stoczni Gdańskiej. Z tego, co wiem z relacji tych ludzi, to był entuzjazm. Tak że tutaj trudno mi powiedzieć, bo ja żyłem tym wcześniej, wobec tego nie był to dla mnie przełom, a kolejny krok, który trzeba zrobić, i się cieszyłem, że można go zrobić. I w tym momencie też było łatwo, to nie było to co poprzednio.

⁶ Chodzi o działania prof. Rybickiego jako prorektora UW w 1968 r.

Ale czuł Pan Doktor, że bardzo chce w tym uczestniczyć, prawda?

[śmiej] Ja to organizowałem, proszę Pana! Trudno powiedzieć, czy ja chciałem, po prostu uważałem, że to trzeba robić.

To ważne.

Opowiem Panu coś z moich wspomnień. Już w 1965 roku byłem aresztowany na krótko, dwa dni siedziałem pod Pałacem Mostowskich w podziemiach, byłem przesłuchiwany i tak dalej. Ale to poprzedziło wejście UB do mojego domu, do mojego mieszkania, gdzie był także mój brat, który był maturzystą. Więc ta cała rewizja, przez tę ubecję i to szukanie tych narzędzi przestępstw i tak dalej – mój brat powiedział, że ja nie mogłem już nie być w opozycji. Od tamtego czasu długo gadaliśmy, jak robić, żeby ludzi organizować do wspólnego działania. Z mojej strony to było przemyślane działanie, że trzeba robić.

To wymagało dużej odwagi przede wszystkim.

Wie Pan, chyba tak, ale musi Pan pamiętać, że my, ja i mój brat, działaliśmy, ja na Wydziale Fizyki, on na Wydziale Matematyki i w zasadzie tam była inna atmosfera. Więc ja nawet w swoich wspomnieniach powiedziałem, że nawet ci, którzy należeli do PZPR⁷, to oni się nas bali, a nie my ich. Starali się podpisywać dobre opinie przy każdym wyjeździe zagranicznym czy jakimkolwiek innym. Trudno mi powiedzieć, oczywiście jakaś ubecja starała się mnie nękać, ale może większej odwagi i jakiegoś samozaparcia wymagało to w stanie wojennym niż poprzednio, bo tam działaliśmy jakby półlegalnie. Przesłałem Państwu, nie wiem, czy Pan czytał, taki materiał Jerzego Kwaśniewskiego z IPSiR-u⁸, gdzie on opisuje, jak ich męczyli, chcieli rozwiązać cały instytut i tak dalej. Więc oni mieli dużo gorszą sytuację, a myśmy w zasadzie na Wydziale Fizyki czy Matematyki mieli ochronę od góry.

⁷ PPS – Polska Partia Socjalistyczna. Partia polityczna o charakterze niepodległościowym, społecznym i pracowniczym (klasyfikowana w grupie partii lewicowych), założona w listopadzie 1892 r. podczas tzw. zjazdu paryskiego jako Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich. Jedną z najważniejszych w Polsce sił politycznych aż do 1948 r. Przez niemal cały okres PRL działała jako samodzielna partia na emigracji. Na XXV Kongresie PPS 27–29 października 1990 r. powstała jednolita Polska Partia Socjalistyczna. Wszystkie główne odłamy PPS w kraju połączyły się ze strukturą emigracyjną.

⁸ Chodzi o artykuł Jerzego Kwaśniewskiego, „Reorganizacja” czyli rozbić IPSiR dnia 30 czerwca 1976 r., „Profilaktyka Społeczna i Resocjalizacja” 2014, nr 24, s. 197–214.

Czyli nie było tak złe, ale...

Oczywiście, jak się okazuje, nie wszyscy działali wtedy aktywnie, ale z różnych powodów. Jedni mieli jakąś inną sytuację życiową, drudzy nie wierzyli, że w ogóle coś da się zrobić, myśmy wierzyli. Ja aż do dzisiaj wierzę, mimo że są różne kryzysy. Tak że nie potrafię Panu powiedzieć, na ile to była wielka odwaga, na ile po prostu poczucie, że uważałem, że to trzeba robić, że to jest jakby – może trochę przesada – moje powołanie, że to tak ma być i koniec. Pewnie dla innych ludzi, którzy brali udział w tym po raz pierwszy, to pewnie było coś więcej, ale no wie Pan, pod koniec, już po strajku gdańskim w roku '80 była taka atmosfera całkowitego entuzjazmu, myśleliśmy tylko, jak to zorganizować, żeby to wszystko działało i żeby to nie było takie rozproszone, żeby to jakoś nie zostało w powietrzu.

Czy mógłby Pan więcej powiedzieć o tej organizacji? Czy ciężko było to zorganizować? Czy ludzie bardzo chętnie uczestniczyli?

Proszę Pana, to było tak, że ze względów, nie pamiętam jakich, socjalnych czy jakichś zasiłków, czy jakichś możliwości, do ZNP należeli prawie wszyscy, więc w związku z tym, jak myśmy robili te demokratyczne wybory w ZNP, to wszyscy w tym brali udział. Więc my na Wydziale Fizyki już mieliśmy wprawę w działaniu demokratycznym, więc dla nas to był raczej dalszy ciąg, więc ludzie z entuzjazmem podchodzili do tej sprawy. Na naszym wydziale, nie wiem, czy osiemdziesiąt procent pracowników wstąpiło do „Solidarności”, więc to, co nas bardziej zajmowało, to żeby poruszyć inne wydziały, żeby się porozumieć z ludźmi, z innymi wydziałami. Początkowo zaczynaliśmy właśnie przez wydziały matematyczno-przyrodnicze, ale potem to się rozlało i trochę przez ZNP, trochę przez bezpośrednie kontakty i tak dalej. Tak że raczej zajmowaliśmy się przede wszystkim tym, jak to zorganizować. Jak zapewnić udział ludzi z całego Uniwersytetu, a nie akurat konkretnie z naszego wydziału. Więc to był ten okres, który nieprzypadkowo nazywamy karnawalem „Solidarności”. Te lata, to jest koniec roku 1980 i rok 1981, to było... Wszyscy chcieli w tym być. To znaczy – pewnie też przyszli ci bardziej koniunkturaliści, bo uważali, że jakoś to będzie, ale ogólnie to wtedy nie był problem, czy robimy, tylko jak robimy, jakimi metodami i tak dalej, jak wpłynąć na wybór dobrego rektora i takie rzeczy. Myśleliśmy o całej uczelni, potem o całej Polsce.

A jak było ze studentami? Czy studenci też chcieli się jakoś włączać w strajki?

No tak! Na naszym wydziale pod koniec roku 1981 wybuchł strajk ogólnopolski. Chodziło o Wyższą Szkołę Inżynierską w Radomiu, gdzie jakiś wojskowy był rektorem i po prostu naruszał wszystkie możliwe zasady demokratyczne. I tamci studenci, pracownicy się zbuntowali. Dla poparcia studentów w całej Polsce wybuchły

strajki, w tym między innymi na naszym Wydziale Fizyki. Chyba był to jeden z najlepiej zorganizowanych z tych, które ja pamiętam. Był naprawdę świetnie zorganizowany. Oczywiście to trwało kilka tygodni. Mimo że był strajk – wobec tego nie było formalnych zajęć – ale były wykłady z fizyki, były wykłady z innych przedmiotów, raczej z takich ogólnospołecznych. Zapraszaliśmy różnych ludzi spoza naszego wydziału, tak że tu raczej był entuzjazm. Pamiętam też, bo ja się czułem bardzo związany ze studentami, chyba dwie osoby ze mną pojechały na strajk chłopski w Siedlcach⁹. Ja już na to patrzyłem jako organizator, nie jako uczestnik.

Czyli pojechał Pan na ten strajk z dwójką studentów, tak?

Na strajk rolników indywidualnych, tak. Zaproponowałem na tym strajku studenckim, że może wybierzemy się i powiemy, o co nam chodzi, właśnie rolnikom. I z kolei dowiemy się, o co im chodzi.

Jak to wyszło?

Wyszło bardzo dobrze. Oni nas przyjęli bardzo serdecznie, myśmy im opowiedzieli... Usiłowałem znaleźć tę dwójkę studentów, ale wie Pan, ani ja, ani nikt nie pamięta, kto to był. Ale to była taka atmosfera. To był taki wybuch entuzjazmu i wolności, że tego się chyba teraz nie da zrozumieć.

Teraz mamy kompletnie inne czasy, inną sytuację.

To jest już dalsza rzecz. To jest mój pogląd osobisty, że niestety przegraliśmy tę transformację i to, co się nazywa planem Balcerowicza¹⁰, czy w każdym razie atmosfera na początku lat dziewięćdziesiątych, która poszła w złą stronę. Takim symbolem tego było – w „Gazecie Wyborczej” i nawet w radiu – jak ktoś z prominentów powiedział – „W tej chwili ważni są ci, którzy tworzą biznes”. Czyli nawet jeżeli ukradną milion i z tego stworzą swój biznes, to to jest przyszłość Polski. Więc w tej

⁹ Strajk Chłopski w Siedlcach – akcja protestacyjna rolników województwa siedleckiego rozpoczęta 5 listopada 1981 r. była wyrazem niezadowolenia z tragicznej sytuacji rolnictwa indywidualnego i niezrealizowania porozumień ustrzycko-rzeszowskich. 10 listopada akcja uzyskała poparcie Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” i przekształciła się w Ogólnopolską Akcję Protestacyjną. Był to prawdopodobnie jedyny legalny ogólnopolski strajk chłopski w PRL. Strajk przerwało wprowadzenie stanu wojennego. Rolnicy opuścili budynek rano 14 grudnia 1981 r.

¹⁰ Plan Balcerowicza – program reform gospodarczo-ustrojowych mających na celu odejście od gospodarki scentralizowanej i przejście do gospodarki rynkowej, którego realizacja rozpoczęła się 1 stycznia 1990 r. Nazwę tę utworzono od nazwiska głównego realizatora tych reform, Leszka Balcerowicza, ówczesnego wicepremiera i ministra finansów w rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

atmosferze liczyło się tylko to, żeby się samemu przepychać, żeby indywidualnie się pchać swoimi łokciami, popychać innych, żeby iść do góry. Pewnie Pan nawet w szkole się z tym spotkał, że się liczyło, żeby być dobrym uczniem, mieć dobre cenzurki, czerwony pasek, chyba mało się liczyła taka współpraca uczniowska, żeby zrobić coś razem. Nie wiem. Trochę może się to zmieni, ale to jest obowiązująca ideologia aż do dzisiaj. Dlatego jest tak źle, tak trudno, stąd przecież była ta ideologia, że związek „Solidarność” to już jest w ogóle niepotrzebny, że to po prostu jest coś innego, że tamto to był ruch ogólnonarodowy, polityczny. Teraz te związki zawodowe tylko będą przeszkadzać. Ale ja nieprzypadkowo jestem do dzisiaj w „Solidarności”. Właśnie dlatego, że uważam, że chcieliśmy przechować więzi międzyludzkie i taką solidarność międzyludzką właśnie w związku „Solidarność”. To jest moja idea, żeby to robić tak, jak tylko możliwe, ale jest to bardzo trudne. Młodzi ludzie w ogóle nie chcą wstępować do związków zawodowych, bo myślą chyba, że to nie to. Nie wiem. Oczywiście dużo jest propagandy, że to nie jest prawdziwy związek, tylko wsparcie rządu czy coś. Co jest oczywiście lipą, jak ktoś śledzi stanowiska „Solidarności” w różnych sprawach, to widać, że to jest związek niezależny i samodzielny i broni spraw pracowniczych. Tam to było kompletnie coś innego. Byliśmy w takim entuzjazmie wszyscy i było olbrzymie zaufanie. Oczywiście były różne spory i takie, i owakie, i we wszystkie strony, ale było poruszenie, że sprawy ogólne są strasznie ważne.

A czy pamięta Pan, jak zaczął się stan wojenny? Ten dzień, jak się Pan wtedy czuł?

Opowiem Panu trochę wstępu. Bo to było tak, że raz był ten strajk u nas na wydziale, który bardzo wspierałem, ale jednocześnie był też strajk w Wyższej Szkole Pożarniczej, koło dzisiejszego metra Marymont, między Potocką a Słowackiego, i ja tam poszedłem – byłem tam przedstawicielem komisji zakładowej „Solidarności” Uniwersytetu. No i tam było dużo trudniej. Oczywiście, jak tam wszedłem, to już było to otoczone, ale jeszcze można było tam wejść. I tutaj taka anegdota z mojego życia: 29 listopada, jak zadzwoniłem do mojej żony, że jeszcze tam jestem, wszystko porządku, to ona strasznie na mnie nakrzyczała. Mówi: „Słuchaj, dzisiaj jest rocznica naszego ślubu, a ciebie nie ma”. Więc tam było jeszcze jedno okno, które było na parterze, w tej szkole, od strony Słowackiego, więc tamtędy oczywiście wyskoczyłem, poszedłem do żony, ale następnego dnia, 30 listopada, to było już tak otoczone ZOMO¹¹, że nie mogłem się

¹¹ ZOMO – Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej, oddziały Milicji Obywatelskiej przeznaczone m.in. innymi do pacyfikacji wystąpień opozycyjnych, powstałe po przemianach października 1956 r. W latach 80. formacje ZOMO były używane głównie do rozpraszania manifestacji opozycyjnych, podczas których zasłynęły z brutalności i bezwzględności. Formacje ZOMO były jednym z symboli represji i władzy autorytarnej czasów PRL.

tam dostać. W pewnym sensie moja żona mnie uratowała przed jakimiś tam masakrami, prześladowaniami przy pacyfikacji. 2 grudnia była pacyfikacja tego strajku¹².

Niesamowite szczęście, ale też może znak, żeby mógł Pan później działać.

Niewykluczone, wie Pan, tak się złożyło. A dowcipne było to, że myśmy z żoną się pomylili, bo prawdziwa rocznica była 28 listopada, ale obchodziliśmy 29, ale to był ostatni dzień, gdy mogłem się tam legalnie wydostać. Tak było. Potem zaprzyjaźniłem się z różnymi ludźmi. Niektórzy z tej szkoły pożarniczej potem pracowali u nas na Wydziale Fizyki. Marek Surała¹³ był tam chyba jednym z pracowników, nie wiem, czy nie był asystentem, a potem, po strajku pracował u nas w Zakładzie Fizyki Jądrowej. Wprowadzenie stanu wojennego... Ach, a to też jest dowcip! Znaczy – to wydarzenie w ogóle, akurat tego dnia. Ponieważ ja byłem bardzo zaangażowany szczególnie w Regionie Mazowsze, byłem tak zwanym konsultantem, więc chodziliśmy organizować, uczyć ludzi, jak się zakłada związek zawodowy, jak to robić i pomagać w ich konfliktach i tak dalej. Tak że byłem bardzo aktywny, byłem piekielnie zajęty, więc nawet tego ostatniego czy przedostatniego dnia żona mnie zmusiła i kupiliśmy taką prostą szafę na książki. To była taka bardzo prymitywna szafka, jakieś drzewa, jakieś takie pręty metalowe, chyba dwumetrowe, na których się montowało te półki i jakoś tak się podzieliliśmy. To było lekkie, żona wzięła te półki, te drewniane rzeczy i pojechała do domu, a ja z tymi prętami pętałem się po różnych miejscach związanych z „Solidarnością”. I nawet w pewnym momencie byłem na Szpitalnej, tam był ośrodek wsparcia merytorycznego od strony naukowców. No i tam zostawiłem te pręty, po prostu zapomniałem, przyniosłem, byłem zajęty i pobiegłem. W parę dni potem w telewizji WRON-iej pokazali te pręty jako dowód przygotowywania przewrotu wojskowego przez związek „Solidarność”.

Ale potem, ponieważ mnie przez te całe dwa lata praktycznie nie było w domu, więc żona się wściekła i 12 grudnia wyszła z domu, nie powiedziała mi, gdzie. Poszła do swojej przyjaciółki, naszej wspólnej, która niedaleko mieszkała. Ja byłem tak tym wszystkim zajęty, tym młynem, że zauważyłem, że jej nie ma, ale nie wiedziałem,

¹² Pacyfikacja WOSP – pacyfikacja strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej w Warszawie dokonana przez oddziały antyterrorystyczne służb PRL, która nastąpiła 2 grudnia 1981 r. o godzinie 10:15. Chodzi o strajk rozpoczęty przez studentów podchorążych w nocy z 24 na 25 listopada 1981 r. w obliczu podporządkowania chorążych zapisom ustawy o wyższym szkolnictwie wojskowym.

¹³ Marek Surała – wykładowca WOSP, członek Komitetu Strajkowego tej uczelni.

co się dzieje. Mąż przyjaciółki pracował w Zakładach „Waryńskiego”¹⁴, które były wojskowe, miały produkcję wojskową, i tam ktoś mu powiedział, że będzie stan wojenny i on przyniósł to do domu. No więc moja żona trzynastego rano, to była niedziela, przybiegła do domu z przestrochu, czy ze mną jest wszystko w porządku. Więc tak się zaczął ten stan wojenny 13 grudnia u nas, ja mówię o osobistych przeżyciach. Mój syn twierdzi, że to Jaruzel uratował naszą rodzinę od rozpadu.

A czy czuć było strach, kiedy ten stan wojenny wybuchł?

Był straszny strach. Ja mieszkam w takim olbrzymim bloku tutaj na ulicy Gwiaździstej. To taki wielki mrówkowiec, chyba jest trzysta mieszkań, więc ponad tysiąc osób tu mieszka. Oczywiście u nas w domu było pełno bibuły, więc ja byłem przerażony i przez pierwsze dwie noce nocowałem u sąsiadów. Było głupio, oni mieli trochę mniejsze mieszkanie, a ktoś nowy w nocy to zawsze intruz. W każdym razie byłem przerażony, że zaraz mnie złapią. My mieszkamy na dwunastym piętrze. Jeszcze słyszałem przez balkon takie metaliczne brzęki gdzieś tam z dołu. No i byłem przerażony. Czy tu jest jakiś posterunek wojskowy, czy coś się dzieje? Więc tym bardziej byłem przerażony, nie wychodziłem, żeby przypadkiem nie złapali, chociaż nie, raz wyszedłem. No ale to się okazało później, że w naszym domu mieszkali też jacyś ubecy i wojskowi, i po prostu nie było benzyny, to oni w metalowych kanistrach kradli tę benzynę i nieśli do domu, i te kanistry metalowe brzęczały. A ja się bałem, że zaraz po mnie przyjdą! Teraz to się odpowiada jak dowcip, a wtedy wcale nie było do śmiechu. Prowadziłem w ramach Regionu Mazowsze tak zwaną wszechnicę robotniczą na Pradze-Południe, czyli miałem łączność z komisjami zakładowymi w różnych fabrykach, a tam na Pradze-Południe były dość duże fabryki. Tam było dziesięć dużych fabryk, organizacji zakładowych, a mój brat organizował taką wszechnicę robotniczą w Ursusie¹⁵. Chyba to było w poniedziałek czternastego, może piętnastego, pobiegłem przed jedną z fabryk, żeby może jakichś znajomych spotkać, jakoś z nimi się porozumieć, coś zdziałać, ale nie natrafiłem na nikogo znajomego i machnąłem ręką. Z kolei mój brat zrobił to samo, pojechał do Ursusa. On wtedy wszedł na teren Ursusa i tam współorganizował strajk, który potem został spacyfikowany przez ubecę.

¹⁴ Zakłady „Waryńskiego” – nieistniejące już dziś Warszawskie Zakłady Maszyn Budowlanych im. L. Waryńskiego, później znane jako Bumar-Waryński. Znajdowały się na Woli. Fabryka specjalizowała się w produkcji maszyn budowlanych, przede wszystkim koparek. Zakłady zostały wyburzone w 2007 r.

¹⁵ Zakłady „Ursus” – Zakłady Przemysłu Ciągnikowego, nieistniejące już dziś zakłady mechaniczne znajdujące się w warszawskiej dzielnicy Ursus, znane z produkcji ciągników rolniczych. 14–15 grudnia 1981 r. w związku z ogłoszeniem stanu wojennego w Polsce w Zakładach odbył się strajk, na czele którego stanął inż. Jerzy Kaniewski. Strajk zakończył się pacyfikacją przeprowadzoną przez ZOMO.

Okropną rolę odegrał tam taki pan Dziwulski, który był potem posłem SLD, który chwalił się, że był antyterrorystą na lotnisku Okęcie. On przewodził tymi grupami, które zniszczyły strajk w Ursusie, a potem w Hucie Warszawa¹⁶. Tam mojego brata aresztowali, był internowany pewnie do maja. A ja pamiętam, jak przyszedłem w poniedziałek czternastego na Hożą, na wydział. I nagle to był najlepszy dzień w życiu. Wszyscy byli tacy szczęśliwi, rzucali mi się na szyję, że mnie widzą, w ogóle, że jestem. Okazało się, że mój brat i ja byliśmy na jakichś listach osób aresztowanych. I że wszyscy uważali, że my siedzimy. Znaczący Marian siedział, ale dla mnie to był najpiękniejszy dzień w moim życiu, bo ludzie tak byli szczęśliwi, widząc mnie i witając się ze mną – przez to było to cudowne przeżycie.

Wszyscy się o Pana martwili.

No tak, ale wie Pan, to było coś. Jeden ze studentów jakoś dorwał listę aresztowanych i zawiadamiał jeszcze w niedzielę, jak jest. Wie Pan, normalnie to tego nie widać, no bo coś robimy, to nie jest sposób, żeby okazywać jakieś wielkie uczucia, ale to było coś niezwykłego dla mnie w tamtym czasie. Potem się okazało, że ja chyba nieprzypadkowo byłem na tych listach. Akurat w marcu 1981 roku myśmy mieszkali na ulicy Potockiej, zmieniliśmy mieszkanie i przenieśliśmy się na ulicę Gwiaździstą. A tam na szczęście odkupił to mieszkanie, czy nawet dostał ze spółdzielni, ktoś z naszych, bo naszym znajomym powiedzieliśmy: „Słuchajcie, tu będzie wolne mieszkanie, postarajcie się, żebyście mogli się tam wprowadzić”. I oni się tam wprowadzili. I okazuje się, że właśnie 13 grudnia przyszli jacyś wojskowi, przynieśli wezwanie moje do wojska. No i oni powiedzieli, że ja tu mieszkam, ale oni nie mają zielonego pojęcia, gdzie ja jestem. Więc z tego wnioskuje, że te listy powołania do wojska czy aresztowań były robione co najmniej w marcu 1981 roku albo jeszcze wcześniej. To były listy z tamtego okresu albo z tego okresu kryzysu w Bydgoszczy¹⁷, bo wtedy było dużo napięcia. I wtedy wszędzie były w Polsce strajki, u nas oczywiście też, tak sędzę. W każdym razie różne rzeczy mnie przypadkowo przed tym ratowały, tak to wyglądało.

¹⁶ 28 sierpnia 1980 r. wieczorem Seweryn Jaworski odczytał odezwę do pracowników Huty Warszawa (obecnie Huta ArcelorMittal Warszawa), którzy rozpoczynali właśnie przerwę kolacyjną, wzywając robotników do podjęcia strajku na znak solidarności ze strajkującymi na Wybrzeżu stoczniowcami. Strajk w Hucie Warszawa, liczącej blisko 10 tys. robotników, poparła większość pracowników, także członkowie PZPR i byli funkcjonariusze służb specjalnych PRL.

¹⁷ Kryzys bydgoski w 1981 r. – chodzi o pobicie działaczy NSZZ „Solidarność” podczas sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w dniu 19 marca 1981 r. w Bydgoszczy. W wyniku tego wydarzenia 27 marca „Solidarność” przeprowadziła ogólnopolski strajk ostrzegawczy. Mimo kryzysu społeczno-politycznego nie nastąpiła jednak eskalacja konfliktu.

I teraz dzięki tym właśnie przypadkom można dużo opowiadać!

Teraz można wesoło się do tego odnosić, ale zawsze powtarzam to co mój brat, który siedział na Białoleścu¹⁸, a potem ich wieźli nawet helikopterem gdzieś tam na pojezierze w okolicach Szczecina czy trochę bliżej. No więc jak wsiedli do tego samolotu, to oczywiście wszyscy się podpytywali tych pilotów: „Gdzie lecimy?”. Ci na początku powiedzieli, że nie mogą powiedzieć, bo to tajemnica wojskowa, ale w końcu nie wytrzymali i powiedzieli: „Ale nie na Wschód”. Bo wszyscy myśleli, że ich wysyłają do Rosji, do Sowietów. Mówię Panu, to jest atmosfera, teraz się śmiejemy, dowcipy robimy, ale tak naprawdę nie było wiadomo, co to będzie, co dalej z nami będzie.

Na pewno był niewyobrażalny strach cały czas, nawet sobie tego nie wyobrażam.

Nie, proszę Pana, nie mieliśmy czasu. To znaczy: baliśmy się, ale wie Pan, jak było tyle rzeczy do robienia, które trzeba było robić, a że strach – był strach. Ja mówię o sobie, bo byłem przyzwyczajony do jakiejś działalności, miałem przygodę z ubecją wcześniej i tak dalej, więc trudno mi powiedzieć. Oczywiście w czasie stanu wojennego miałem mnóstwo kontaktów podziemnych. I oczywiście spotykaliśmy się, ja bardzo przestrzegałem, w przeciwieństwie do pewnych moich kolegów, tych zasad konspiracyjnych, więc zbytnio nie rozmawialiśmy w domu, tylkośmy zawsze wieczorem wychodzili na jakieś spacer, rozmawialiśmy. Więc jeżeli koło mnie przejeżdżała suka milicyjna, no to oczywiście się bardzo bałem. Nawet mogę powiedzieć, że to mi zostało jeszcze chyba do roku 2000, może trochę krócej. W każdym razie dobre kilka lat już za wolności, jak koło mnie przejechał samochód policyjny, to wstrzymywałem głos i się bałem, że coś się stanie. Dopiero jak myśmy zorganizowali jako „Solidarność” taki mały protest przeciwko bardzo złemu finansowaniu nauki w Polsce przed Sejmem – to była formalna demonstracja, taka pikiet, więc została zgłoszona na policję; ja byłem organizatorem i wtedy do mnie przyjechało dwóch policjantów, przywitali się ze mną, powiedzieli, że oni są po to, żeby właśnie ochraniać nasze zgromadzenie – dopiero wtedy jakoś to ze mnie wyparowało. Od tamtego czasu się już nie bałem, jak samochód policyjny przejeżdżał. Ale dopiero wtedy zrozumiałem, że ta policja może spełniać także inną rolę.

¹⁸ Zakład karny na Białoleścu – chodzi o areszt śledczy i więzienie znajdujące się w warszawskiej dzielnicy Białoleścu. Podczas stanu wojennego w Polsce areszt śledczy wraz z zakładem karnym zostały największym ośrodkiem internowanych przywódców i działaczy „Solidarności”. Wśród internowanych znaleźli się m.in. Bronisław Komorowski, Adam Michnik i Jacek Kuroń. Dziś na terenie tego zakładu znajduje się Izba Pamięci poświęcona internowanym.

Widać, jak ogromny wpływ miało to na Pana.

No na pewno. I szczególnie ten stan wojenny, to podziemie – to ludzie ginęli, to byli aresztowani, to było wszystko olbrzymie. Nie ma porównania – stan wojenny a ten okres, nazwijmy go karnawalem „Solidarności”, tworzenia „Solidarności” i tak dalej, tutaj już było widać, że to jest zbrodniczy system. Tak to było po prostu, to wszystko jest bardzo skomplikowane. Jak mojego brata wsadzili – on z kolei przed tym był w Stanach Zjednoczonych, w Anglii, tam miał kontakty z różnymi ludźmi – jak się okazało, że go wsadzili, to matematycy z całego świata pisali protesty. Jak go aresztowali 14 grudnia 1981 roku, to oni oczekiwali dziecka, jego żona była chyba w czwartym miesiącu ciąży.

Te protesty nic nie dały?

Dały, dały, to było bardzo skomplikowane. To było też przez komitet afiliowany przy kościele, ponieważ jego syn urodził się w kwietniu. Więc to wykorzystano i była nawet interwencja prymasa Glempa. I to też była śmieszna sytuacja, bo my jesteśmy, moja mama i ojciec, i my, niereligijni. A nagle dowiedziała się, że ma spotkanie z prymasem Glempe. Była przerażona, pytała: „Co, ja mam pocałować go w rękę?”. Ale to spotkanie było dość spokojne. I on potwierdził, czy urodziło się dziecko. To wszystko razem i te działania Kościoła spowodowały, że ci z wielkim wrzaskiem na 1 maja uwolnili go! Pokazuję Panu, jak to wszystko było skomplikowane.

Jest to niesamowicie ciekawe przede wszystkim, ale naprawdę bardzo skomplikowane.

Powtórzę Panu dowcip, znaczy nie dowcip, bo prawdziwą sytuację, jak to wszystko wyglądało. Potem myśmy się z tego śmiali. To było blisko placu Unii Lubelskiej, nie wiem, czy zna Pan ten teren Marszałkowskiej blisko placu Unii. Tam są takie nowe bloki, takie socrealistyczne, olbrzymie bloki. Tam w pewnym miejscu był lokal konspiracyjny, człowiek tam przychodził do tego lokalu i mówił: „Podobno Pan tu sprzedaje wersalkę? Jestem zainteresowany”. Więc jak już trzeci raz przyszedł człowiek po tę wersalkę i nic, to ten człowiek się wściekł: „Panowie, do cholery! Konspiracyjny lokal jest piętro niżej, dajcie mi święty spokój!”. Tak to się odbywało. Ale to samo życie. Wie Pan, nie da się tak w schematach na to popatrzeć po prostu. Tyle różnych sytuacji, tyle różnych rzeczy, ja znam chyba ze dwie rodziny, które uznały, że już mają dość. I muszą wyjechać z Polski. Wyjazd z Polski wtedy nie był wcale łatwy. Ale był jednym z bodźców, że się bardzo zaangażowali w konspirację; chcieli wpaść, żeby ich chcieli wyrzucić z Polski. Oni w tej konspiracji działali znakomicie – ja tylko mówię Panu, jakie były różne bodźce do takich działań.

A mógłby mi Pan opowiedzieć taki swój typowy dzień w czasie stanu wojennego na Uniwersytecie Warszawskim?

Bez przesady, ja pracowałem jako fizyk, więc myśmy fizyką cały czas się zajmowali. Nie było cudów. Oczywiście, jak już powstała „Solidarność”, to stwierdziłem, że na Uniwersytecie te struktury są na tyle dobre i stabilne, że tam się nie muszę angażować. Angażowałem się już w Regionie Mazowsze i też w działalność poza uczelnią. Ale oczywiście, jak był stan wojenny, to myśmy postanowili się zorganizować. To znaczy – ja też gdzieś to napisałem, to było bardzo śmieszne – było jakieś zebranie partyjne naszej komórki na wydziale, to się chyba nazywało podstawowa organizacja partyjna. I akurat tam do partii należała jakaś osoba, która też była aktywna, sympatyzowała z „Solidarnością” czy nawet należała do niej¹⁹. I ona wyniosła stamtąd, że na tym zebraniu partyjnym jeden z kolegów z pracy powiedział, że ja i koleżanka Ola Kopystyńska²⁰, która była chyba wiceprzewodniczącą komisji wydziałowej „Solidarności”, że my jesteśmy karierowicze. Ja sądzę, że im kazali coś takiego powiedzieć, ale to wpadło, bo ta osoba, która to powiedziała, potem miała taką awanturę od kolegów, bo ta wiadomość wyciekła z tej organizacji partyjnej. No i nadal zbieraliśmy składki związkowe, wie Pan, troszkę to ewoluowało. Rok 1982 to było wielkie jeszcze natężenie aktywności ludzi, liczyli, że to się szybko skończy. Ale potem to poumierało, do roku 1988 to już było coraz mniej aktywności. Ja pamiętam, jak Bogdan Bujak – bardzo wspaniały człowiek, brat Zbigniewa Bujaka²¹ – ponieważ jego brat był kryty, nie mógł działać, to on się poczuwał, że w Ursusie powinien prowadzić podziemną komisję zakładową. I pamiętam, że już w roku ’86–’87 miał nawet kłopoty z lokalem konspiracyjnym. Ludzie tak się bali. I tak już uważali, że tak zawsze będzie, że nie chcieli się w to mieszać. Na wydziale nie, na wydziale było zawsze tak samo. Ale był już taki duży kontrast między aktywnością w roku ’82–’83 a późniejszą. Po prostu to wszystko gasło, życie było ciężkie i tyle było kłopotów, że ludzie już nie wytrzymywali. Co innego pierwszy rok, gdy był jeszcze entuzjazm, że wygramy, a co innego potem. Na wydziale zbieraliśmy składki, między innymi Małgorzata Wejman, która była chyba sekretarzem lub skarbnikiem naszej komisji wydziałowej „Solidarności”. Wyjątkowo dzielna dziewczyna, ona była inżynierem elektroniki z Zakładu Fizyki Ciała Stałego. Zbierała te pieniądze, potem przekazywała dalej, już nie pamiętam, jak to było. Robiliśmy chyba co miesiąc, trzynastego każdego

¹⁹ Udział członków PZPR w „Solidarności” – niektórzy z członków PZPR sympatyzowali z „Solidarnością” i podzielali jej postulaty, nie okazując tego jednak na ogół publicznie.

²⁰ Aleksandra Kopystyńska – polska fizyk, profesor UW. Od 2018 r. przewodnicząca Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu.

²¹ Zbigniew Bujak – chodzi o jednego z najsławniejszych działaczy „Solidarności”, w stanie wojennym przewodniczącego Regionu Mazowsze.

miesiąca, takie piętnastominutowe przerwy w pracy o godzinie dwunastej. Ulica Hoża to jest taki budynek tradycyjnie Wydziału Fizyki zbudowany w roku 1922 i dopiero z pięć lat temu Wydział Fizyki przeniósł się na ulicę Pasteura. Ale tam były takie duże schody, którymi się wychodziło i z prawej były szatnie, i tam był taki duży zegar przy wejściu, więc zawsze pod tym zegarem na tym holu głównym, tam się zbieraliśmy, że jednak protestujemy. Ale to był Wydział Fizyki, to było zupełnie coś innego. W takiej spółdzielni włókienniczej, gdzie szyli ubrania, gdzie pomagałem zakładać „Solidarność”, byłem na ich zebraniu, gdzie było widać piekielnie taką krzywdę, tam głównie kobiety były, były tak niszczone. Była taka krzywda, ale i nienawiść do tej dyrekcji, do wszystkich. I one też organizowały takie przerwy, korzystały niby z przerwy śniadaniowej i tak dalej, to potem całą komisję zakładową wyrzucono z pracy, cztery czy pięć osób. Właśnie za to, że one organizowały te przerwy w pracy. U nas na Wydziale Fizyki to dla nas to był luksus. Parę razy ubecja jakoś tam chciała się do mnie dorwać. Pamiętam jeden taki raz, nawet mój kolega, który był dyrektorem administracyjnym, nie wiem, czy z własnej inicjatywy, czy też tamci mu kazali, mnie uprzedził: „Słuchaj, tobą się interesują, uważaj, jesteś na widelcu”. Ja i tak bardzo starałam się konspirować w przeciwieństwie do wielu ludzi, którzy dużo otwarciej to robili. No i w pewnym momencie dostaję telefon, dzwoni do mnie taki ubek i mówi, że chce się ze mną spotkać, w jakiejś kawiarni. Ja mówię: „Wie Pan, w tej atmosferze jakoś nie chciałbym się z Panem spotykać”. A on mówi: „Co?! To chce Pan, żebym tutaj samochodem z gwizdkiem przyjechał i w kajdankach Pana wyprowadził?”. A ja mówię: „No wie Pan, jak ma Pan powody, no to trudno”. Byliśmy nauczeni, że musi być uzasadnienie, w jakim charakterze mnie mają przesłuchać – czy jestem oskarżony, czy świadek i tak dalej. Bo jeżeli oskarżony, to jeszcze można było odmówić składania zeznań. Jako świadek było dużo trudniej. No więc mówię, że wolę mieć wezwanie. No to on nakrzyczał, nakrzyczał i dali mi spokój. Sądzę, że to był skutek tego, że w tym 1965 roku, jak mnie zatrzymali na te czterdzieści osiem godzin, zatrzymali mnie z powodu, którego ja naprawdę nie robiłem. Znaczący szukali jakiejś tam bibuły konspiracyjnej, że ją miałem kolportować do Krakowa, roznosić wszędzie i tak dalej. Ale nigdzie jej nie znaleźli, więc wiedziałem, że na mnie nic nie mają. Teraz cofnę się do 1965 roku, bo to był taki chrzest. Więc oczywiście przez pierwsze dwa przesłuchania bardzo się bałem i tak nerwowo troszkę było. Ale za trzecim razem sobie przypomniałem, że powinni mnie poinformować, czy jestem oskarżony. Pytałem się ich, czy jestem jako oskarżony, oni powiedzieli: „Nie, Panie, to jest rozpytanie...”, nie pamiętam, jak to się nazywało. No to ja wtedy, jak oni mi kazali podpisywać protokół przesłuchań przez siebie zrobiony, to na końcu napisałem: „Protestuję przeciwko faktowi niepoinformowania mnie, w jakim jestem charakterze”. I to tak się powtórzyło pewnie z dziewięć razy. Ten facet darł te protokoły i potem mnie musieli wypuścić, bo naprawdę nic na mnie nie mieli. Ja sądzę, że pewnie wiedzieli, że ja już wtedy się stawiałem i teraz się

postawiłem. Sądzę, że te wszystkie wzywania były nie po to, żeby mnie aresztować, tylko były po to, żeby ze mnie zrobić donosiciela. I sądzę, że po tych paru rzeczach zorientowali się, że nic im z tego nie wyjdzie. I dali mi święty spokój.

I tamten pan, co wtedy zadzwonił, już więcej nie dzwonił do Pana i nie próbował się z Panem kontaktować?

Nie, już nie. Wtedy chodziło o taką akcję ujawniania podziemia. Niewykluczone, że przed tym był telefon, żebym się ujawnił, a ja nie bardzo wiedziałem, po co mam się ujawniać. Potem więcej nie dzwonili. Potem mnie prześladowali jeszcze, ale to był jeszcze rok, to było dużo wcześniej, to był rok '78-'79 i działania związane z moim wyjazdem za granicę. Ale to inna bajka, to było bardzo skomplikowane, jednak to już nie dotyczy stanu wojennego i „Solidarności”.

Chciałbym jeszcze zapytać o najważniejszą rozmowę, jaką przeprowadził Pan podczas działań solidarnościowych.

To bardzo trudne. W stanie wojennym postanowiliśmy drukować taką gazetkę. Zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego z moją sąsiadką i chyba z jakimiś znajomymi napisaliśmy krótkie teksty, nazwaliśmy to „Solidarność Walcząca”, nie wiedząc, że to jest nazwa, która potem zabłyśnęła. Kornel Morawiecki we Wrocławiu założył „Solidarność Walcząca”²² i potem był prześladowany, jego syn²³ także był prześladowany. To była najlepiej zorganizowana część „Solidarności”, która przetrwała prawie do dzisiaj w jakimś sensie. I oni się nazywali „Solidarność Walcząca”. Ale myśmy to nasze pismo nazwali „Solidarność Walcząca”, bo nam to pasowało. Wtedy oczywiście się wszystko pisało nie na komputerze, bo w ogóle ich nie było, tylko na maszynach do pisania. No więc my na maszynie podłożyliśmy chyba pięć przebitek i te przebitki rozdawaliśmy jako bibułę. To był początek tego naszego pisma, dwie strony chyba czy trzy. Ale baliśmy się tu razem, że

²² „Solidarność Walcząca” – antykomunistyczna organizacja podziemna założona we Wrocławiu w czerwcu 1982 r. przez Kornela Morawieckiego. Głównym celem SW było całkowite odsunięcie od władzy komunistów i przywrócenie Polsce suwerenności. Działalność tej organizacji to przede wszystkim szerokie propagowanie idei wolności, zwalczanie propagandy komunistycznej oraz przywrócenie w obiegu społecznym prawdziwych informacji historycznych. Nawiązywała do tradycji Armii Krajowej, miała podobną przysięgę, własny sztandar i podziemną pocztę.

²³ Mateusz Morawiecki – polski menedżer, bankowiec i polityk. Od 2017 r. prezes Rady Ministrów. Wcześniej prezes zarządu Banku Zachodniego WBK (2007–2015), wiceprezes Rady Ministrów (2015–2017), minister rozwoju (2015–2016), a następnie minister rozwoju i finansów (2016–2018), minister sportu (2019), poseł na Sejm IX kadencji (od 2019), minister cyfryzacji (od 2020), wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości (od 2021), wykonujący obowiązki ministra rozwoju, pracy i technologii (od 2021).

nas odkryją, nakryją po maszynie i tak dalej. No to potem zorganizowaliśmy już trochę bardziej zaawansowane czasopismo. Mieliśmy kontakt z ludźmi z Huty Warszawa, bardzo fajnymi ludźmi. Jednym takim naszym współpracownikiem był kolega, nie pamiętam jego nazwiska, wiem, że Janusz miał na imię, który właśnie 13 czy 14 grudnia w nocy na najwyższym kominie Huty Warszawa zawiesił flagę „Solidarności”. Ale na dole napisał: „Uwaga! Będzie wybuch”. Więc wszyscy ubecy bali się wejść. Namawiali różnych ludzi, jego namawiali, żeby wszedł i to zdjął, ale powiedział, że się boi. To że dwa czy trzy dni wisiało, w końcu ubecja coś z tym zrobiła. I on był tym naszym współpracownikiem od tej bibuły. On miał pewien wpływ na tekst, ale przede wszystkim na drukowanie. I oni zaproponowali, żeby to nazwać „Hartownia”. To było drukowane już na powielaczu, to nie był duży materiał, pewnie dwieście czy trzysta egzemplarzy. I w pewnym momencie jeden z tych kolegów, który też brał udział w tym drukowaniu, nagle się przeprowadził i dostał dozorcówkę. Dozorcy w każdym bloku byli „na kontakcie” z ubecją, oni mieli donosić, co się dzieje w bloku. Więc jeżeli człowiek był dozorcą, dostawał wtedy jakieś mieszkanie w tym bloku. No więc ci koledzy się przerazili, jak on dostał dozorcówkę, bo musiał być „na kontakcie” z ubecją. Przeraziliśmy się, zmieniliśmy miejsce drukowania i zmieniliśmy nazwę. Nazwaliśmy to czasopismo „Chleba i Wolności”, i ponieważ to było hasło Poznania ’56, więc myśmy nazwali naszą drukarnię imieniem Romka Strzałkowskiego²⁴. To był młody chłopak. W październiku ’56 roku, jak były manifestacje, zastrzelili niosącego Polski sztandar robotnika. I on go podniósł i też prowadził. Jemu wtedy nic nie zrobili. Ale potem się okazało, że go złapali i w jakiejś szopie go po prostu torturowali i zabili. Więc myśmy nazwali tę naszą drukarnię imieniem Romka Strzałkowskiego. Ale to też był nieduży nakład, tego wyszło pewnie dziesięć numerów. Nazwa nie była przypadkowa, bo wtedy była atmosfera, nawet kłóciłem się ze swoimi kolegami z innej konspiracji – oni uważali, że najważniejsze jest, żeby walczyć o wypuszczenie z więzienia naszych kolegów. A myśmy uważali, że „Solidarność” to była walka o chleb. Że po prostu chleb i wolność muszą być razem, że tego nie wolno rozdzielać. Więc wymowa ideowa była troszkę inna. My więcej uwagi zwracaliśmy na sprawy chleba. Ale myśmy na tyle byli zakonspirowani, że teraz jeszcze w wydawnictwie „Karty”²⁵ jest napisane, że „Chleba i Wolności” było wydawane

²⁴ Wydarzenia 1956 r. w Poznaniu – pierwszy w PRL strajk generalny i demonstracje uliczne, do których doszło w końcu czerwca 1956 r. w Poznaniu. Protesty zostały krwawo stłumione przez wojsko i milicję, a samo wydarzenie zostało przez propagandę PRL zbagatelizowane jako „wypadki czerwcowe” lub przemilczane. Najmłodszą ofiarą śmiertelną tamtych wydarzeń był Romek Strzałkowski. Zastrzelony 28 czerwca 1956 r. trzynastolatek stał się symbolem robotniczego buntu i jego krwawego stłumienia.

²⁵ „Karta” – wydawnictwo publikujące literaturę faktu XX i XXI w. Powstało w podziemiu w styczniu 1982 r. Oficjalnie działa zaś od 1990 r.

w Poznaniu. Już nawet dwa razy to weryfikowałem, ktoś obiecał, że to zmieni, ale potem to nadal zostaje. Mieliliśmy bardzo dobrego współpracownika, mądrego człowieka, który pisał te najbardziej merytoryczne rzeczy, tylko pisał bardzo złym polskim, więc potem myśmy to przemieniali. Wyróżnialiśmy się. Wtedy byliśmy pierwsi, którzy napisali o długu publicznym²⁶, że to jest wielki problem dla Polski. To był dług zagraniczny, nie publiczny. Że to był projekt narzucany wielu krajom słabo rozwiniętym. I potem procenty od procentów spłacania tego długu w zasadzie dawno były już spłacone, ale te kraje ciągle były uzależnione. Musiały spłacać i nawet postulowaliśmy moratorium na ten dług zagraniczny dla wielu krajów, że tak nie może być. Między innymi to było charakterystyczne.

Pytał Pan, co szczególnie pamiętam z tego okresu. No to Panu powiem, że chyba najbardziej ten poniedziałek 14 grudnia. Plus te różne spotkania, jak zakładaliśmy „Solidarność”. Ze stanu wojennego – trudno powiedzieć, bo było tyle tego w różnych lokalach, w różnych miejscach... Potem ten schyłek, ta ciężkość tego, że ludzie już mieli dość wszystkiego. To było takie najsmutniejsze przeżycie. My byliśmy ciągle optymiści, że to się jednak musi zawalić. Najbardziej pamiętam nasz entuzjazm po zwycięstwie w Stoczni Gdańskiej. Mogę Panu opowiedzieć taki przypadek: moja koleżanka, też fizyczka, przepisywała nam na matryce to nasze „Chleba i Wolności” i te poprzednie wydawnictwa. A potem to przekazywaliśmy do tych kolegów z Huty do druku i do innych ludzi. No więc ona jest osobą bardzo religijną, ale tak prawdziwie religijną i taką pokorną jak ludzie religijni. No więc ona to pisała, no bo trzeba było, ale jej mąż był tak przestraszony, że sąsiedzi usłyszą, że na maszynie coś jest pisane, że doniosą, że coś z tego będzie. Ja tylko Panu mówię, jak różnie ludzie reagowali. To wszystko jest bardzo skomplikowane.

To indywidualnie zależało od osoby?

Bardzo zależało od osoby, od jej życia, od tradycji rodzinnych, od różnych rzeczy, więc to jest bardzo trudne. Mnie sprawiało przyjemność, że spotykałem różnych ludzi, z zupełnie różnych grup społecznych i każdy reagował inaczej, ale wszyscy byliśmy zaprzyjaźnieni. To było coś takiego ważnego.

I te przyjaźnie przetrwały na lata?

Nie. Jak mówiłem, Janusz z Huty Warszawa – mieliśmy bardzo dobry kontakt, ale potem jakoś już... Jakby mnie spotkał, to na pewno my byśmy się bardzo cieszyli,

²⁶ Dług publiczny – państwowy dług publiczny (PDP) jest wskaźnikiem zadłużenia sektora finansów publicznych określającym wysokość zobowiązań zaciągniętych przez poszczególne jednostki sektora na rynku finansowym (w tym bankowym).

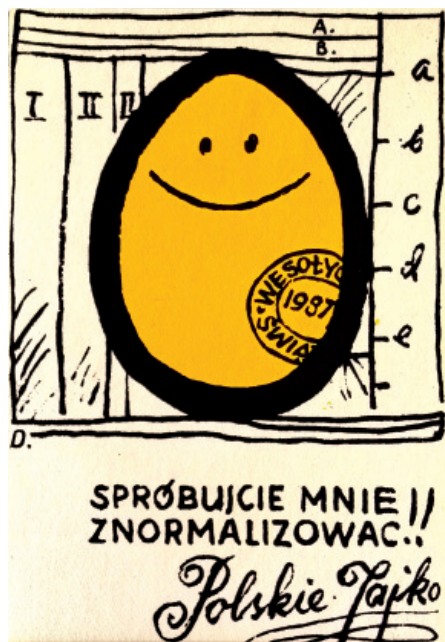
ale nie miałem z nimi kontaktu. Bo znowu – ja nie znałem jego prawdziwego nazwiska, bo to była konspiracja. Akurat wiedziałem, że Janusz to jest jego prawdziwe imię. Z innego miejsca, z tej fabryki włókienniczej miałem kontakty, tam też się spotykaliśmy u takiej starszej pani i jej mąż też konspirował, ale to prawie wszyscy robili, miał destylację alkoholu²⁷. Niestety milicja to znalazła. Tak że już baliśmy się wspólnie spotykać. To było tak skomplikowane i nie ma jednolitego obrazu. Zresztą na przykład produkcja alkoholu bardzo się wtedy rozprzestrzeniła, bo były kartki²⁸. Na kartki było to bardzo limitowane. Z kolei ci ludzie, którzy drukowali, to był jednak tak straszny stres, że żeby się troszkę zrelaksować, to kupili czasami. To wszystko było skomplikowane.

Bardzo Panu dziękuję za podzielenie się wspomnieniami.

²⁷ Nielegalna destylacja alkoholu w czasach PRL – pomimo prawnych zakazów i milicyjnych poszukiwań, poprzedzonych często doniesieniami sąsiadów, wielu Polaków w PRL pędziło tzw. bimbler. Destylowano też wino, wytwarzane z owoców z własnego ogródka, fermentowano ryż i płatki owsiane, na wsi zaś – ziarno przemielone w tzw. śrutowniku, czyli mąkę razówkę. Przykładowa aparatura do destylacji alkoholu składała się z metalowej bańki na mleko, wężownicy zrobionej z elementu chłodzącego do lodówki oraz pokrywy z przyspawaną rurką. W 1982 r., pomimo trwającego stanu wojennego, bimbrownicy nie tylko nie zaprzestali działalności, ale jeszcze ją nasilili, jako że legalna wódka była trudniej dostępna.

²⁸ System kartkowy podczas stanu wojennego i w innych okresach PRL – system kontroli dystrybucji towarów w Rzeczypospolitej Polskiej i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (obowiązujący w latach 1944–1949, 1951–1953 oraz 1976–1989), będący wynikiem silnych niedoborów na rynku i polegający m.in. na wydawaniu ludności kartek, które uprawniały do zakupu ściśle określonych ilości wyznaczonych towarów (przede wszystkim żywnościowych).





Rozmowa 5.

Anna Radziejowska-Hilchen

Absolwentka studiów na Wydziale Filologicznym UW. W 1966 roku magister bibliotekoznawstwa i asystent na Wydziale Filologicznym, a następnie w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej. Uczestniczka wydarzeń marcowych. Od 1976 roku wykładowca w IBiIN, a od 1997 (po zmianie nazwy) w Instytucie Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych. Od 1980 roku członkini NSZZ „Solidarność” UW – dwie kadencje w Komisji Rewizyjnej. Współpracowała przy redagowaniu podziemnego „Biuletynu NSZZ «Solidarność» UW”, który ukazywał się w latach 1987–1991, kolportowała prasę i wydawnictwa. Od 2009 roku na emeryturze, do chwili obecnej prowadzi jeszcze fakultatywne zajęcia na Wydziale Dziennikarstwa i Studiów Bibliologicznych. Autorka artykułów naukowych i popularnonaukowych. Uhonorowana przez rektora Grzegorza Białkowskiego¹ Dyplomem za działalność na UW w stanie wojennym.

Wywiad i transkrypcja: Milena Majewska, studentka III roku zarządzania na Wydziale Zarządzania UW

¹ Grzegorz Białkowski (1932–1989) – polski fizyk, filozof, poeta i polityk, profesor, senator Senatu I kadencji. W 1985 r. został wybrany na rektora UW. Od 1986 r. był członkiem Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Wojciechu Jaruzelskim. Brał udział w obradach okrągłego stołu po stronie solidarnościowej.

ANNA RADZIEJOWSKA-HILCHEN: Jeszcze jestem, chociaż już na emeryturze, wykładowcą, początkowo w Katedrze Bibliotekoznawstwa, potem Instytucie Bibliotekoznawstwa, kolejno Informacji Naukowej i Studiów Bibliologicznych, a w 2016 roku instytut stworzył razem z Instytutem Dziennikarstwa jeden wydział i, jak mówiłam, mam jeszcze jakieś zajęcia na tym wydziale. Jest to trzeci wydział, na którym mam zajęcia, bo początkowo był to Wydział Filologiczny, po '68 roku Wydział Historyczny (z tego odeszłam na emeryturę), a obecnie Wydział Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii. Stan wojenny zastał mnie po powrocie z urlopu macierzyńskiego. Do '81 roku byłam na urlopie macierzyńskim, ale interesowałam się tym, co się dzieje w instytucie i na Uniwersytecie. Jeszcze będąc na urlopie, przy okazji odwiedzania instytutu, zapisałam się do „Solidarności” (która powstała na jesieni '80 roku na Uniwersytecie). Pracę na Uniwersytecie rozpoczęłam ponownie od października '81 roku. Bardzo się cieszyłam, że mogłam być na inauguracji tego roku akademickiego – była wyjątkowa, z obecnością prymasa w sali Auditorium Maximum. Staralam się jak najwięcej swoim działaniem wspomagać „Solidarność”. Moi koledzy, działający w „Solidarności” w '80 i w początkach '81 roku, bardzo się natrudzili i napracowali. Ja też się trudziłam, ale wówczas zajmowałam się też czymś innym.

Tak więc kiedy w listopadzie zaczął się strajk na Uniwersytecie, oczywiście włączyłam się w jego organizację. Nasz instytut dostał przydział do budynku, w którym mieściła się wówczas geografia, i tam na parterze dostaliśmy salę, gdzie studenci koczowali – tak można to określić. Często zostawałam z nimi na noc, bo taki był też apel pana rektora profesora Henryka Samsonowicza¹, żeby nie zostawiać studentów samych i być z nimi. Nie trzeba było mnie o tym przekonywać, bo w marcu '68 roku byłam opiekunem pierwszego roku i cały czas tego marca spędziłam z nimi, żeby ich nie zostawiać samych, więc wiedziałam, że tutaj też musimy być razem ze studentami. W czasie strajku odbywały się zajęcia, które były uzgadniane ze strajkującymi studentami (o to też prosił pan rektor). Myślę, że w czasie strajku studenci bardziej nawet niż na „zwykłych” zajęciach się w nie angażowali i razem z nami (kilkoro z nas pracowników towarzyszyło studentom) je organizowali. Staraliśmy się jako instytut na Wydziale Historycznym pokazywać studentom, że biblioteki (kszałciliśmy głównie pracowników bibliotek) mają duże znaczenie i dużą rolę do odegrania w przekazywaniu kultury społeczeństwu, że bibliotekarz powinien wiedzieć, jak zorganizować zbiory, bo co innego może interesować ludzi zainteresowanych historią czy inną dziedziną, a co innego tych, którzy tylko czytują dzieciom. Jak postępować z czytelnikami, żeby współpracowali

¹ Henryk Samsonowicz (1930–2021) – polski historyk mediewista i nauczyciel akademicki, profesor nauk humanistycznych. W latach 1980–1982 rektor UW, w latach 1989–1991 minister edukacji w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Kawaler Orderu Orła Białego.

z biblioteką, żeby chcieli do niej przychodzić, żeby dostawali to, czego szukają. Zaprosiliśmy na strajkowe zajęcia panią profesor Jadwigę Kołodziejską, która była przedstawicielem Polski w różnych światowych organizacjach bibliotekarskich, zwiedziła wiele bibliotek i mogła studentom powiedzieć, jak wyglądają biblioteki i ich organizacja na świecie. Ekonomia polityczna socjalizmu i filozofia marksistowska były obowiązkowymi zajęciami o bardzo dużej liczbie godzin w porównaniu z innymi zajęciami. Studenci przyznali, że niewiele wiedzą o twórcach tych kierunków i wspólnie zaproponowaliśmy głośne czytanie korespondencji Marksa i Engelsa. Wszyscy słuchali z zainteresowaniem, ale też dyskutowali o tym, co obaj panowie myśleli o Polsce, jak komentowali sytuację Polski, jaki mieli do niej stosunek i że nie należy bezkrytycznie przyjmować przekazów, które musiały być zgodne z programem, przeważnie takim, jaki wprowadzano w krajach demokracji ludowej. Dosłownie w przeddzień stanu wojennego strajk został zakończony (ale chyba to już nie miało wpływu na decyzje Biura Politycznego KC PZPR²); stan wojenny został wprowadzony w nocy z 12 na 13 grudnia. Bardzo zachęcaliśmy studentów naszego instytutu, żeby śledzili rozpoczynający się 11 grudnia Kongres Kultury Polskiej³, który odbywał się w Teatrze Dramatycznym i można go było (że tak powiem) obserwować zdalnie. Dzisiaj to już jest normalne. Wtedy wydawało się to czymś bardzo nowoczesnym. Zachęcaliśmy studentów, również zaocznych (był to akurat termin sesji zaocznej), żeby uczestniczyli, na ile będzie to możliwe, w obradach – wsłuchując się w głosy koryfeuszy nauki, kultury i sztuki (bo to były te środowiska) na kongresie. Niestety kongres trwał tylko jeden dzień i dwunastego został zawieszony. Jak wspomniałam wcześniej, 11–13 grudnia był to termin studiów zaocznych. Większość studentów stanowiły kobiety, które nagle zostały odcięte od swoich domów i rodzin. Obawiały się tego, co się dzieje i jak wygląda stan wojenny w ich miejscowościach, w ich domach. Tak więc tutaj była po prostu rozpacz studentów (głównie studentek) zaocznych. Akurat ja nie miałam w tym zjeździe sobotnich ani niedzielnych zajęć, więc dwunastego nie byłam na zajęciach (a trzynastego już w ogóle nie było zajęć, bo zostały one zawieszone). Natomiast mój mąż, który był antykwariuszem, prowadził 13 grudnia aukcję na rzecz „Solidarności” w Teatrze „Rozmaitości” na Marszałkowskiej⁴. Planowałam,

² Biuro Polityczne KC PZPR – wzorowane na podobnym organie funkcjonującym w Związku Radzieckim było faktycznym ośrodkiem decyzyjnym władz PRL. Tu zapadały kluczowe decyzje polityczne, a członkowie Biura Politycznego nadzorowali powierzone im poszczególne ministerstwa i resorty.

³ Kongres Kultury Polskiej w 1981 r. – zjazd polskich intelektualistów. Miał trwać od piątku 11 grudnia do niedzieli 13 grudnia 1981 r., został jednak przerwany przez wprowadzenie stanu wojennego. Kongres (i wszystkie związki i stowarzyszenia twórcze i naukowe) został tego dnia formalnie „zawieszony”, a niektórzy jego uczestnicy zostali zatrzymani i internowani.

⁴ Teatr Rozmaitości – teatr znajdujący się przy ul. Marszałkowskiej 8 w Warszawie, założony w 1949 r. jako Państwowy Teatr Rozmaitości w Warszawie. Na fali wydarzeń 1980 r. w środowisku pisarzy

że może zabiorę dzieci i pojedziemy zobaczyć, jak ta aukcja przebiega. Aukcje były interesujące, bo zawsze któryś z aktorów czytał informacje o autorach licytowanych obiektów, głównie książek i tego typu publikacji (czasem bywały aukcje obrazów). W niedzielę trzynastego córki, które śpiewały w parafialnym chórk, poszły rano na mszę do kościoła i przybiegły z płaczem, że ksiądz powiedział, że jest wojna w Polsce. Postanowiłyśmy z córkami (syn miał cztery lata i uważaliśmy, że jeszcze nie bardzo wie, co się dzieje, chociaż wkrótce dość szybko się zorientował), że musimy tam pojechać. Wsiedliśmy w tramwaj, który dowiózł nas na Marszałkowską. Okazało się, że aukcja się odbywa, mimo że po mijanych ulicach i Marszałkowskiej jeżdżą wozy milicyjne. Wyglądało na to, że wszędzie już jest zaprowadzony stan wojenny, a do Teatru „Rozmaitości” nie dotarł. Nikt z patrolujących nie wszedł, mimo że nad teatrem wisiał wielki transparent, że tu się odbywa akcja „Solidarności”. Wisiał tak cały dzień i nikt go nie zdjął ani się nim nie zainteresował. Tę aukcję mąż prowadził razem z „Czterdziestolatkiem”, czyli z panem Kopiczyńskim⁵, który pełnił tę funkcję informatora o licytowanych publikacjach. Razem z dziećmi doczekałam końca aukcji. Trudno powiedzieć, że w niej uczestniczyliśmy, bo niczego nie licytowaliśmy, ale byliśmy na niej. Później całą rodziną wracaliśmy z funduszami, które aukcja przyniosła – to było prawie siedemdziesiąt tysięcy złotych. Wracaliśmy, przechodząc przez Mokotowską i nawet nie mając świadomości, że tam właśnie odbywa się pacyfikacja „Solidarności” Regionu Mazowsze⁶. Byliśmy świadkami tej pacyfikacji. Najstarsza córka, która miała wtedy lat trzynaście, dostała straszliwej histerii, zaczęła płakać, krzyczeć: „Dlaczego im nie pomagacie?!”. Tłumaczyliśmy jej, że nie jesteśmy w stanie w piątkę, w tym troje dzieci, w żaden sposób pomóc tym, których wyprowadzono z budynku na Mokotowskiej. Po drodze wstąpiliśmy do moich rodziców powiedzieć o regionie, o tym, że aukcja się odbyła, że jesteśmy cali, że nikogo (mając na myśli organizatorów czy prowadzących aukcję) nie zamknęli, nie spacyfikowali teatru i że w teatrze nie działo się nic świadczącego o wprowadzeniu stanu wojennego. Od początku – od godziny dziewiątej do piętnastej – cały program aukcji został wypełniony. Zastanawialiśmy się, co zrobić z pieniędzmi, bo jeżeli zaczną dochodzić, kto prowadził aukcję, kto mógł wziąć te pieniądze,

warszawskich powstała idea urządzenia aukcji książek pod hasłem „Pisarze Warszawy na rzecz Solidarności”. Jedną z aukcji pod auspicjami „Solidarności” zorganizowało warszawskie środowisko księgarskie w niedzielę 13 grudnia 1981 r. właśnie w Teatrze Rozmaitości. Był to przykład różnorodnych akcji organizowanych wówczas w teatrach na rzecz „Solidarności”.

⁵ Andrzej Kopiczyński (1934–2016) – polski aktor teatralny i filmowy, prezenter telewizyjny. Przez szeroką publiczność kojarzony przede wszystkim z głównej roli w serialu *Czterdziestolatek*.

⁶ Wtargnięcie ZOMO do siedziby Regionu Mazowsze „Solidarności”, mieszczącej się przy ul. Mokotowskiej w Warszawie miało miejsce w dniu ogłoszenia stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Do dziś w budynkach zabranych siedzibie Regionu mieści się Wydział Pedagogiczny UW.

to mogą trafić i do nas. Ponieważ córki były w – już wspomnianym – chórze parafialnym, to pobiegłam do kościoła. Powiedziałam, jaka jest sytuacja, że mamy tyle pieniędzy i czy możemy zdeponować je w kościele, bo boimy się, że mogą zostać zabrane, jeżeli pozostaną w domu. Ksiądz proboszcz powiedział: „Nie ma problemu, zawsze mogę powiedzieć, że tyle uzbierałem na tacy”. Wróciłam do domu po męża i przekazaliśmy pieniądze do parafii, które można było w razie potrzeby „wyjmować”. Rzeczywiście kilka razy w ciągu stanu wojennego trzeba było uszczuplić te fundusze dla członków „Solidarności” czy ich rodzin, które były w potrzebie. 13 grudnia 1981 roku tak dla nas przebiegł, że chyba cała rodzina miała świadomość, na czym polegało wprowadzenie stanu wojennego. Następnego dnia – czternastego – przyszedłam tutaj na UW i od razu się dowiedzieliśmy, że profesor Samsonowicz prosi, by wszyscy dali swoje legitymacje pracownicze do przedłużenia, żeby się nie okazało za chwilę, że ktoś ma niepodstemplowaną i nie będzie mógł wchodzić na teren Uniwersytetu. Pamiętam, że to była taka akcja ściągania możliwie wszystkich i przedłużania tych legitymacji. Byliśmy też świadkami, jak z Pałacu Staszica⁷ wyprowadzają pracowników, którzy nawet nie wiem, czy postanowili tam strajkować, czy po prostu zebrali się na jakimś spotkaniu, ale widzieliśmy, jak wyprowadzają naszych często znajomych czy kolegów, więc kto mógł, pobiegł na chodnik przed Pałacem, no i oczywiście, jak zazwyczaj w takich sytuacjach, wszyscy krzyczeli: „Gestapo, gestapo!”. Tak wyglądał początek stanu wojennego. Zajęć nie było, bo zostały zawieszone.

MILENA MAJEWSKA: Jak Pani zareagowała na wiadomość o zawieszeniu zajęć?

Myślę, że się tego w jakimś sensie spodziewałam, już w czasie strajków. Właściwie cały czas była taka sytuacja i atmosfera jak rok wcześniej, kiedy obradowano w Stoczni Gdańskiej⁸ i niemal wszyscy byli przekonani, że mogą wejść wojska radzieckie i że zostanie wprowadzony stan wojenny. Sądzę, że rektor bał się, że gdy studenci zaczną strajkować w stanie wojennym, to może mieć taki skutek jak w Marcu '68 roku. Wtedy nastąpiła pacyfikacja uczelni, więc myślę, że to, że zajęć nie będzie, z jednej strony przyjęliśmy z pewną nawet ulgą, że studenci nie będą narażeni na jakieś niebezpieczeństwo i przykrości (bo młodzi zawsze mają pomysły ciekawe i starają się zaakcentować swoją obecność). Mimo że zajęć nie było, mieliśmy kontakt ze studentami, zwłaszcza z tymi, którzy próbowali w jakimś stopniu utrzymywać dalej działalność NZS. Nie było zajęć, ale mieliśmy dyżury na uczelni. Pamiętam rozmowę z koleżanką dziennikarką. Rozmawialiśmy o tym,

⁷ Pałac Staszica w Warszawie – pałac znajdujący się u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata. Siedziba m.in. Polskiej Akademii Nauk i Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.

⁸ Chodzi o I Krajowy Zjazd „Solidarności”, który odbył się w Gdańsku w dwóch turach: od 5 do 10 września oraz od 26 września do 7 października 1981 r.

że ona ma tyle czasu, bo jej redakcja zamknięta, a ja wprost przeciwnie – wcale nie mam wolnego, mimo że nie ma zajęć – bo mamy dyżury i nie wiadomo po co i czego tak naprawdę pilnujemy. Pamiętam taki dyżur 3 stycznia '82 roku, bo to były akurat dwunaste urodziny młodszej córki i była to niedziela, a ja musiałam przyjść tutaj, na dyżur, chodzić dookoła budynku, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, czy nikt się nie włamuje, czy nikt tu nie został, czy nic się nie dzieje. Trochę smutne były te jej urodziny, ale akurat tak wypadło, że musiałam przyjść tutaj na ten dyżur.

A długo trwały takie dyżury?

Te dyżury trwały, nie pamiętam nawet do kiedy, ale wydaje mi się że dość długo. Przestały być może tak obciążające, jak już się zaczęły zająć.

Jak wyglądały zajęcia po powrocie?

Na Wydziale Historycznym w trakcie zajęć nosiło się białe-czerwone opaski, nie tylko studenci, ale my pracownicy też. Co jakiś czas robiło się milczącą przerwę, stając w holu w ciszy bez żadnych rozmów ani innych działań. Tak wyglądała organizacja zajęć po wznowieniu. U nas takich milczących strajków (jak w innych instytutach), poza tymi przerwami, na które wychodziliśmy do holu, sobie nie przypominam. Rozmawiamy głównie o zajęciach na Uniwersytecie w naszym budynku, w którym jesteśmy (jest on poza terenem UW) i tutaj te zajęcia odbywały się właściwie normalnie.

Natomiast zmiana dotyczyła przedmiotu, który prowadziłam – dydaktyka w bibliotece szkolnej. Jest to edukacja studentów bibliotekoznawstwa w kierunku pedagogicznym, ponieważ biblioteki szkolne do dzisiaj powinni prowadzić nauczyciele bibliotekarze, którzy są przygotowani i bibliotecznie, i pedagogicznie. Ćwiczenia do tych zajęć odbywały się w szkołach. Po wprowadzeniu stanu wojennego i wznowieniu zajęć zostałam poproszona do sekretariatu, bo jest do mnie z kuratorium telefon. Pani, nie przedstawiając się, powiedziała, że dzwoni z kuratorium i ma dla nas zalecenie, które nakazuje nam pozostanie na miejscu i niechodzenie do szkół na ćwiczenia i że nie wolno nam się kontaktować ze szkołami. Na moje dopytywanie, kto wydał taką decyzję, pani cały czas odpowiadała, że siła wyższa. Dopytywałam ją dalej: „Co to za siła wyższa? Może zupełnie inaczej rozumiemy siłę wyższą?”, ale nie dostałam odpowiedzi. Pismo nigdy nie przyszło. W szkole, do której wybierałam się ze studentami na ćwiczenia – w liceum imienia Marii Konopnickiej – bibliotekę prowadziła pani Celina Gugulska, której mąż był internowany. Jedną z nauczycielek tego liceum też była internowana, więc zapewne kuratorium nie chciało, aby uczniowie takiej „nieprawomyślniej” szkoły i studenci UW się spotykali. Szczęśliwie

w ciągu kilku lat, w ciągu których odbywały się tam zajęcia, zanieśliśmy dość dużo materiałów z Uniwersytetu, żeby studenci mogli przygotowywać lekcje i między innymi uczyć korzystania z bibliografii. Umówiliśmy się, że nie będzie przychodziła duża grupa, ale będziemy przychodzić indywidualnie na te zajęcia (na przykład po dwie osoby) pod pretekstem odbierania uniwersyteckich materiałów, które są w szkole. Oczywiście nie zabieraliśmy dużo. Student brał po jednym tomie, a więc za tydzień znów mieliśmy pretekst, żeby przyjść do szkoły i wziąć następne dwie książki. Oczywiście trzeba się było wpisywać do zeszytu przy wejściu do szkoły, w jakim celu się przyszło. Zawsze wpisywaliśmy, że po materiały uniwersyteckie, które są przechowywane w bibliotece. Tak udało nam się przez cały ten rok do tej szkoły docierać mimo zakazu, a studentom, którzy chcieli uzyskać zaliczenie tego przedmiotu – zaliczyć.

A obawiała się Pani?

Muszę powiedzieć, że wtedy w związku z tymi „nielegalnymi” zajęciami w szkole – właściwie nie – bo wydawało mi się, że niczego nie można mi zarzucić ani udowodnić. Chodziłam ze studentem po to, żeby on mógł odebrać książki uniwersyteckie (a ja wiedziałam jakie i tym kierowałam). Student, który przyszedł po potrzebny tom, mógł „po drodze” przejść przez bibliotekę i porozmawiać z osobą ją prowadzącą. W bibliotece szkolnej często odbywają się lekcje, więc zawsze można było powiedzieć, że obecność studenta na lekcji jest tylko chwilowa i przypadkowa.

Bardziej się obawiałam o to, żeby się nie okazało, iż będzie jakaś sytuacja, która odbije się na rodzinie, na dzieciach, na możliwości poruszania się po mieście czy spokojnym powrocie do domu. Nie wiem, czy jeszcze coś poza tym, ale niepokój był w nas cały czas, a człowiek nie był pewien, co będzie następnego dnia.

Ale nie było takich sytuacji?

Nie, chociaż przez chwilę była taka sytuacja, że znajoma drukarnia podziemna nie bardzo miała się gdzie podziąć i mimo obaw nawet chcieliśmy ją przyjąć do domu, ale mieszkaliśmy w takim mieszkaniu, które było tuż przy wejściu do bloku, i szczęśliwie udało się znaleźć inne miejsce na tę drukarnię.

Ewidentnie też widać było po naszych uniwersyteckich biurkach i materiałach tam zgromadzonych, że co jakiś czas ktoś dokładnie przeglądał te nasze szuflady i starał się zobaczyć, co w nich przechowujemy, co tam mamy.

Nawiązując do organizacji zajęć – czy po ich wznowieniu wiele się zmieniło w porównaniu do zajęć sprzed zawieszenia?

Może studenci byli bardziej zaangażowani w zajęcia. Program się nie zmienił, ale nie mógł być realizowany w pełni. W programach mieliśmy przewidziane wycieczki do najważniejszych bibliotek w Polsce i tego nie można było wówczas zorganizować. Natomiast można było się odwoływać do różnych odniesień z minionego czasu. No i to, o czym wcześniej już wspomniałam – był zakaz ćwiczeń w szkołach. Nie wolno było przecież się przemieszczać, wyjeżdżać. Trzeba było mieć przepustkę na wyjazd. Tak że mało kto się ruszał. Studenci, szczególnie zaoczni, musieli przyjeżdżać na zajęcia i musieli załatwiać sobie te przepustki.

Chciałabym jeszcze porozmawiać trochę o represjach. Czy ktoś z Pani znajomych lub może Pani osobiście została dotknięta jakimiś represjami?

Ja nie byłam internowana, więc nie nazwałabym tego, co mnie spotykało, represjami. Ale 3 maja '82 roku mojego męża zatrzymano podczas manifestacji⁹. Miał akurat przy sobie kilka ulotek i został zatrzymany. Przeszedł ścieżkę zdrowia¹⁰. Zadzwonił do nas kolega męża, który to widział, i poinformował mnie o tym, że mąż został zatrzymany, ale też żebyśmy się nie denerwowali, że nie wróci do domu. Córki się rozplakały, kiedy przekazałam dzieciom tę informację, a czteroletni syn, już oswojony ze stanem wojennym, powiedział: „Nie martwcie się, ja się wami zaopiekuję”. Zawsze sobie potem myślałam, że stan wojenny pomógł im w uświadomieniu sobie konieczności wyborów postawy życiowej, że nie muszę ich tego uczyć, bo oni sami widzą, co się dzieje dookoła i jak należy się zachować. Wiele osób z Uniwersytetu, które znałam, a też nasi znajomi i bliscy z innych kręgów, byli internowani. Syn koleżanki był aresztowany. Cały czas było takie napięcie. To nie było tak, że człowiek żył spokojnie pewien tego, co się wydarzy za godzinę, za dwie czy wieczorem. Był niepokój, czy dzieci wrócą do domu, czy coś się nie stanie, czy na Uniwersytecie nie będzie jakichś kolejnych niepokojących problemów. Studenci byli zatrzymywani i wiem, że nasz wicedyrektor wzywany był do Pałacu Mostowskich kilka razy. Ja starałam się chodzić do sądu, żeby nie

⁹ 3 maja był w PRL, z wyjątkiem 1981 r., świętem zakazanym. Nie przeszkadzało to działaczom opozycji w organizowaniu w latach 80. jego nielegalnych obchodów. Największą skalę miały one w 1982 r., kiedy doszło do szeregu burzliwych manifestacji, w wielu przypadkach zakończonych starciami z „siłami porządkowymi”.

¹⁰ „Ścieżki zdrowia” – ironiczne określenie na formę tortur stosowanych w PRL przez SB, ZOMO i MO, zwłaszcza wobec działaczy opozycji. Polegała na uderzaniu pałkami milicyjnymi aresztantów biegnących pomiędzy dwoma szeregami bijących. Czasami dla utrudnienia biegnącym nakazywano rozwiązać sznurówki lub wręcz wiązano oba buty.

byli tam sami. Także przekazywałam te wszystkie informacje na radach Wydziału Historycznego (byłam przedstawicielem pracowników do rady wydziału). „Solidarność” na Wydziale Historycznym działała dobrze i dosyć aktywnie.

A czy była Pani w tym okresie świadkiem jakiejś sytuacji, gdy na Krakowskim Przedmieściu doszło do rewidowania studentów?

Nie. Może dlatego, że nasz instytut jest poza terenem centralnym i stosunkowo mało tam przebywałam. Zawsze pędziłam po zajęciach do domu, ale jeżeli widziałam, że są jakieś niepokojące sytuacje, że są milicjanci, którzy otaczają studentów, to zwykle starałam się do nich dotrzeć i przejść z nimi w bezpieczniejsze miejsce. Pytałam na przykład panów, jak można dojść do takiej czy takiej ulicy. Oni biedni (przeważnie młodzi milicjanci) mówili, że zostali przywiezieni, że nie znają Warszawy i nie bardzo wiedzą. Ale przepuszczali nas i przez taki kordon przechodziłam ze studentami.

Przypomina sobie Pani taką sytuację z tego okresu, w której odczuwała Pani największy strach lub niepokój?

Myślę, że sam początek, bo była to taka sytuacja zupełnie, że tak powiem, nieokreślona. Nie wiadomo było, co będzie, w jaki sposób ten stan zostanie wprowadzony i jak wpłynie na codzienne życie, bo to, że jeżdżą te milicyjne pojazdy i stoją koksowniki, było widać. O tym, że ZOMO i wojsko jest przygotowane do jakiegoś ataku, to (mimo że nie było telefonu, bo telefony zostały wyłączone) dość szybko się dowiedzieliśmy, opłakując sytuację w kopalni „Wujek”. Akurat koleżanka córki była z mamą poza Polską i przysłała jej list z okazji świąt Bożego Narodzenia. Dziewczynki miały niewiele lat, a list ocenowano. Miał pieczętkę, że jest to korespondencja ocenowana, i w ten sposób dowiedzieliśmy się o kolejnych restrykcjach, nie mówiąc już o następnych – jak włączono telefony, że rozmowa jest kontrolowana. Czasem dzieci też przyjmowały telefony czy chciały zatelefonować, to zawsze był ten szok po pierwszym komunikacie – „rozmowa kontrolowana”.

Poza pracą na Uniwersytecie działałam też w takiej parafialnej grupie, która była powołana do pomocy internowanym i ich rodzinom. Tak więc czasem trzeba było pojechać do kościoła Świętego Marcina¹¹, czasem pójść do swojej parafii.

¹¹ Chodzi o Prymasowski Komitet Pomocy Internowanym, który działał przy kościele św. Marcina w Warszawie od 17 grudnia 1981 r. do 15 września 1983 r. Był niezależną od władz PRL inicjatywą pomocową prowadzoną dla osób internowanych i aresztowanych podczas stanu wojennego oraz ich rodzin. Wolontariusze Komitetu, korzystając z ochrony hierarchii Kościoła rzymskokatolickiego, organizowali pomoc finansową, materialną i prawną dla ofiar prześladowań politycznych.

Dostawaliśmy ubrania, jedzenie, które trzeba było rozdzielić. Miałam trzy rodziny pod swoją opieką, więc do nich donosiłam coś bardzo często. Kolportowałam też wydawnictwa niezależne, które odbierałam u jednej z koleżanek z wydziału oraz rozprowadzałam prasę i często działo się to już po odebraniu syna z przedszkola. Nosłam je przeważnie w siatkach, na wierzchu wkładając włoszczyznę, żeby było widać, że są tam produkty żywnościowe, po prostu zwykłe sprawunki. Biedny syn, jak się tylko ściemniało, to zawsze pytał, czy zdążymy do domu przed godziną milicyjną. Godzina milicyjna była od dwudziestej drugiej (no ale w zimie robiło się ciemno wcześniej). Wtedy zawsze go uspokajałam, że na pewno wrócimy przed godziną policyjną do domu. Dzieci były nauczone, że, po pierwsze, mają nikomu nie otwierać, jak są same w domu. Po drugie, jeżeliby się ktoś włamywał, to szybko wychodzą i idą do dziadków. No ale szczęśliwie tego nie doświadczyły.

Przypomina sobie Pani jakieś wydarzenie z tamtego okresu, które szczególnie zapadło Pani w pamięć?

Było ich kilka. Takim wydarzeniem niesamowitym, które wspominaliśmy, były msze święte odprawiane wieczorem w Audytorium Maximum przez księdza Józefa Maja, absolwenta polonistyki (znaliśmy się ze studiów, bo był kolegą mojego męża i ja też studiowałam polonistykę). To były rzeczywiście niesamowite widoki, jak do spowiedzi była długa kolejka, a potem właśnie ta msza. O takiej sytuacji nikt nie mógł wcześniej nawet marzyć ani jej sobie wyobrazić.

Wielkim wydarzeniem była też wizyta Ojca Świętego jeszcze w czasie stanu wojennego, bo w czerwcu '83 roku¹². Wszyscy prawie, którzy byli na tej mszy, byli z takimi krzyżami, który tu przyniosłam. Też byliśmy na tej mszy. Mszę Jan Paweł II odprawiał na Stadionie Dziesięciolecia¹³. Komentatorem i prowadzącym całą sytuację, czyli oczekiwanie na mszę (zanim Ojciec Święty przyjechał), organizowanie wejścia, wyjścia, oraz przekazującym wszelkie informacje był ksiądz Jerzy Chowańczak z kościoła Świętego Michała¹⁴, który udzielał nam ślubu, więc

¹² Wizyta Jana Pawła II w Polsce w 1983 r. odbyła się w dniach 16–23 czerwca. Mimo obaw (w Polsce nie został jeszcze zniesiony stan wojenny) pielgrzymka odbyła się bez zakłóceń. Według raportów dostarczonych przez SB w mszach i spotkaniach z papieżem uczestniczyło 7 mln osób.

¹³ Stadion Dziesięciolecia – wielofunkcyjny stadion piłkarsko-lekkoatletyczny w Warszawie, istniejący w latach 1955–2008. W latach 1989–2008 wykorzystywany jako największe targowisko w Europie („Jarmark Europa” oraz Centrum Hurtowo Detaliczne „Stadion”). W jego miejscu powstał Stadion Narodowy.

¹⁴ Ks. Jerzy Chowańczak (1935–1995) – duchowny rzymskokatolicki, kapelan prymasa, członek Kościelnej Redakcji Transmisji Mszy Świętej przez Polskie Radio, były proboszcz parafii św. Michała Archanioła w Warszawie, publicysta. 19 września 1980 r. dekretem prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego wszedł w skład powołanej do życia Kościelnej Redakcji Transmisji

też byliśmy przejęci samą sytuacją, że właśnie nasz znajomy ksiądz prowadzi tę kilkugodzinną uroczystą mszę i po mszy rozprowadzanie tych tłumów ludzi, którzy na mszę przyszli często z symbolami narodowymi i z tymi właśnie krzyżkami – pamiątkami uczestnictwa.

No i jeszcze teatr domowy, który organizowaliśmy w mieszkaniu moich rodziców na Żoliborzu. Było to przedwojenne mieszkanie, które udało się odzyskać w całości po wojnie. Na Sadach Żoliborskich, gdzie mieszkaliśmy w naszym bardzo małym mieszkaniu, nie byłoby możliwości zrobienia takiego spektaklu, ale właśnie u rodziców dwa razy udało się zorganizować te występy teatru domowego, które były czymś zupełnie niesamowitym. W kuchni był bufet dla aktorów i widzów. Widzowie, których się zapraszało, to były osoby sprawdzane i wiadomo było, że to są pewni ludzie, których można zaprosić na takie spotkanie. No a występowali Ewa Dałkowska, Maciej Szary i Emilian Kamiński. Organizował to głównie Andrzej Piszczatowski¹⁵. Mam jeszcze jego telefon domowy z tamtych czasów, a on już niestety nie żyje od kilku lat.

Czy możemy jeszcze wrócić na chwilę do działalności samorządu studenckiego?

Nasze spotkania, te solidarnościowe teoretycznie były tajne i odbywały się najczęściej w budynku, gdzie mieścił się dziekanat i Instytut Historii. Tam się spotykaliśmy. Staraliśmy się dostosować zachowania czy działania do tego, co na bieżąco się działo. Pani woźna zwykle nawet podpytywała, czy nie zrobić herbaty, więc się orientowała mimo naszej „tajności”, że jest to jakaś sytuacja, która się powtarza cyklicznie. Samorząd studencki naszego wydziału spotykał się z członkami wydziałowej „Solidarności” od początku stanu wojennego. Miało to miejsce dość regularnie. Tak że jako komisja wydziałowa „Solidarności” mieliśmy częsty kontakt ze studentami z samorządu, którzy przychodzili czasem się poradzić, czasem poprosić o wsparcie, czasem przedyskutować jakieś swoje pomysły.

To może chciałaby Pani powiedzieć coś więcej o NZS?

Myślę, że zawsze (mimo że na początku niewiele byłam od nich starsza) czułam się ich opiekunem czy kimś bardziej doświadczonym, kto więcej przeszedł i przez to osobą, która powinna ich wspierać, chronić. Tak uważałam jako opiekun roku przez wszystkie lata, w których pełniłam taką funkcję. Myślę, że po prostu im

Mszy Świętej przez Polskie Radio, mającej za zadanie przygotowywanie homilii i mszy św. w bazylice Świętego Krzyża w Warszawie, transmitowanych przez Polskie Radio.

¹⁵ Ewa Dałkowska, Maciej Szary, Emilian Kamiński i Andrzej Piszczatowski (1945–2011) – polscy aktorzy teatralni oraz filmowi.

towarzyszyłam. Na moim roku w tym okresie było kilku drukarzy podziemnych, więc czasem się zdarzały jakieś sytuacje, które wymagały wsparcia.

A jak wspomina Pani Uniwersytet Warszawski w tamtym okresie?

Myszę, że trochę to wyglądało tak, jak właściwie chyba przez cały czas stanu wojennego na Uniwersytecie – były dwa obozy, jeden ten oficjalny i drugi związany z „Solidarnością”, podziemny, który też regularnie działał, spotykał się na zebraniach czy nawet na radach wydziału. Staraliśmy się, aby zwyciężyła nasza strona, która myśli może niepokornie, ale chce przeprowadzić coś, co uważa za ważne. Czasem nam się coś udawało, udało się stworzyć taki kramik czy stoisko sprzedaży wydawnictw niezależnych¹⁶ na wydziale. Myszę, że rektorzy i dziekani nie mieli łatwej sytuacji i w jakimś sensie im współczułam i cieszyłam się, że ja nie jestem na takiej pozycji, że muszę wybierać oficjalnie jakieś mniejsze zło (bo tak to się zwykle nazywa), że jestem tylko szarym członkiem „Solidarności” i mogę spokojnie działać niezauważona. Poznałam dzięki temu na Uniwersytecie wiele osób z różnych wydziałów, ale nie przekładało się to na jakieś funkcje. Może tutaj, w tym naszym instytucie nasi „Solidarnościowcy” uważali, że to ja ich reprezentuję, że wiem, co się dzieje w „Solidarności” i w razie czego to właśnie przeze mnie można dalej przekazywać jakieś potrzeby i zgłaszać postulaty.

Jeśli miałaby Pani opisać jednym słowem to, co się działo na Uniwersytecie w latach 1981–1983, to jak by to Pani opisała? Czy w ogóle da się to opisać jednym słowem?

Jednym słowem to chyba nie, ale wydaje mi się, że to był dla mnie z jednej strony jakiś kolejny cios obuchem w głowę. Pierwszym był Marzec '68 roku na Uniwersytecie. Działo się nie to, co powinno i w ogóle, i na uczelni, chociaż ustawa o szkolnictwie wyższym teoretycznie zapewniała cały czas autonomię Uniwersytetu. A z drugiej strony solidarne łączenie się tych, którzy wstąpili do „Solidarności”, i poczucie, że powinniśmy razem jak najwięcej przeciwności przewalczyć czy uzyskać należne nam prawa. Z czasem dawało się spostrzec, że ta sytuacja powszednieje, że zaczynamy się do niej przyzwyczajać i uważamy za normalne redagowanie podziemnych wiadomości uniwersyteckich, które trzeba wydrukować, roznieść, rozkolportować. No i w jakimś sensie trzeci aspekt – to przekazać te nasze doświadczenia studentom. Ja każdego roku w rocznicę Marca czy stanu wojennego rozmawiałam na zajęciach ze studentami o tym, co się wówczas działo na Uniwersytecie.

¹⁶ To jest działających poza zasięgiem cenzury, w świetle prawa PRL nielegalnie (z nielicznymi wyjątkami).

Ale też pamiętam sytuację, że kiedy Miłosz dostał Nagrodę Nobla¹⁷, to prawie wszystkie panie ze studiów zaocznych (jako że kształciliśmy bibliotekarzy) błagały o zajęcia o Miłoszu, żebym im coś o nim powiedzieć, pytały o to, czy nie mamy jakiejś literatury podziemnej, żeby im ją skserować i żeby mogły zawieźć ją do swojej biblioteki szkolnej, co pomoże uczniom czy nawet nauczycielom, bo wszyscy zdawali maturę w PRL-u, więc nikt o Miłoszu nie słyszał poza tymi, którzy coś wiedzieli ze źródeł innych niż oficjalne.

To nasze życie w stanie wojennym było bardzo zabiegane i niewiele było czasu na odpoczynek czy na myślenie o czymś innym niż to, co się dzieje aktualnie w Warszawie.

Czy uważa Pani, że od tamtego czasu Uniwersytet bardzo się zmienił? Jeśli tak, to co według Pani zmieniło się najbardziej?

Ja już coraz rzadziej bywam na Uniwersytecie, więc może mniej to obserwuję, ale wydaje mi się, że relacje między studentami a wykładowcami na pewno są inne. Zainteresowania młodzieży i współczesne media powodują, że część studentów woli mieć zajęcia i kontakty online. A myślę, że na tym „dawnym” Uniwersytecie właśnie bezpośredni kontakt był najważniejszy. Ci, którzy chcieli coś robić, to przede wszystkim chcieli się spotkać, porozmawiać i może tutaj jest ta różnica.

Coraz młodszy uzyskują stopnie naukowe, więc są bardziej rówieśnikami tych swoich studentów. W tamtych czasach była zwykle większa różnica wieku i to powodowało, że te autorytety może były w jakimś sensie bardziej wyczuwalne.

I ostatnie pytanie: czy tęskni Pani za dawnym Uniwersyteciem?

Myślę, że tak. Trochę już się czuję obco, bo większość tych, których znałam, albo są na emeryturze, albo już nie żyją. Ostatnio zmarł profesor Samsonowicz, który z naszym instytutem i „Solidarnością” był bardzo związany. Odczuwam brak tych osób, z którymi pracowałam czy u których się uczyłam. Ale myślę, że zajęcia ze studentami i kontakt z nimi jest tym, co dawało mi zawsze radość dawniej i dziś.

¹⁷ Nagroda Nobla dla Czesława Miłosza – 9 października 1980 r. ogłoszono, że Czesław Miłosz dostał tę nagrodę za całokształt twórczości i „bezkompromisową wnikliwość w ujawnianiu zagrożenia człowieka w świecie pełnym gwałtownych konfliktów”. Nagroda Nobla dla Miłosza interpretowana była jako wyraz poparcia dla politycznych przemian zachodzących w bloku wschodnim, tak jak późniejsza Pokojowa Nagroda Nobla przyznana Lechowi Wałęsie. W 1980 r. Akademii Szwedzkiej tak często zarzucano kierowanie się w swoich wyborach względami pozaliterackimi, że akademicy pierwszy raz zrezygnowali z tradycyjnej dyskrecji. Ujawnili, że nazwisko Miłosza od czterech lat pojawiało się na listach kandydatów do nagrody.



Rozmowa 6.

Zuzanna Toeplitz

Doktor psychologii, pracownik Wydziału Psychologii UW, dyrektorka Festiwalu Nauki w Warszawie, jedna z czołowych postaci opozycji demokratycznej czasów PRL na UW, działaczka „Solidarności”.

Wywiad: Wiktoria Luck, studentka III roku socjologii w ramach Kolegium Międzyobszarowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych UW

Transkrypcja: Katarzyna Mocio, studentka II roku międzykierunkowych studiów ekonomiczno-menedżerskich na Wydziale Nauk Ekonomicznych UW, członkini Zarządu ds. Relacji Zewnętrznych Koła Naukowego Strategii Gospodarczej UW oraz członkini Komisji Promocji i Współpracy Biznesowej Samorządu Studentów UW

WIKTORIA LUCK: **Pozwoliłam sobie przeczytać Pani notkę biograficzną na Wikipedii.**

ZUZANNA TOEPLITZ: [śmiech] Straszne, no dobrze.

Zaczęła Pani działalność w opozycji w latach siedemdziesiątych, prawda?

Tak, aż tak jestem stara.

W KOR-ze?

Nie, to jest przesada, ciągle chcę do nich napisać, by to sprostowali. Coś powieliłam, coś przepisywałam. Powiedzieć, że prowadziłam działalność, to jest nieporozumienie. Ja uważam, że działalność to jest coś więcej, naprawdę zaangażowałam się znacznie później. Zbierałam podpisy na przykład pod listami protestacyjnymi, robiłam przeróżne rzeczy i trudno powiedzieć, że to była stricte działalność. Wyolbrzymieniem jest stwierdzenie, że prowadziłam aktywną działalność w KOR-ze.

To kiedy zaczęła się Pani działalność opozycyjna?

Myślę, że tak naprawdę to się zaczęło – i stąd też się pewnie to wzięło – po Czerwcu '76 roku¹. Nie, jednak wcześniej – kiedy postanowiono zlikwidować ZSP², czyli Zrzeszenie Studentów Polskich, nastąpiło zjednoczenie organizacji młodzieżowych, między innymi SZSP, czyli Socjalistyczny Związek Studentów Polskich³. Wtedy też oczywiście myśmy działali w ich szeregach, byłam wtedy już na studiach. Działaliśmy głównie na terenie Uniwersytetu i nie tylko, bo jak się odbywał ten zjazd zjednoczeniowy, to od nas było dwóch delegatów i zbieraliśmy listy. Jednym słowem – robiliśmy masę takich różnych rzeczy, żeby wesprzeć ich i pokazać, że to nie jest tak, że wszyscy są zachwyceni tym pomysłem. Potem skończyłam studia, zaczęłam tu pracować, potem przyszedł '76 rok, czyli Radom. Wtedy rzeczywiście powstał KOR, robiłam różne rzeczy na rzecz KOR-u, ale trudno nazwać mnie

¹ Wydarzenia Czerwca '76 – określenie na falę strajków, które przetoczyły się przez Polskę pod koniec czerwca 1976 r. po ogłoszeniu podwyżek cen urzędowych na niektóre artykuły konsumpcyjne, mające sięgać nawet 70%. Według MSW strajkowało wtedy 112 zakładów – ponad 80 tys. robotników.

² ZSP – Zrzeszenie Studentów Polskich, oficjalna organizacja działająca na uczelniach w Polsce w latach 1950–1973 i od 1982 r. W czasach PRL była przestrzenią wielu interesujących, często względnie niezależnych inicjatyw, funkcjonuje do dziś.

³ SZSP – Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, twór powstały w wyniku ogólnego zjednoczenia organizacji studenckich przez władze PRL w latach 70. ubiegłego stulecia, działał w latach 1973–1982.

działaczką KOR-u, raczej byłam jedną z osób, które go wspomagały. A wtedy poznaje się różne osoby i w ten sposób wchodzi się w pewien krąg, który – jak jest potrzeba – prosi, żebyś coś zrobiła. W pewnym momencie zostałam szefem kolportażu „Tygodnika Mazowsze”. Nawet się wtedy przyjaźniłam z Helenką Łuczywo⁴, ale nie tylko. Mieliśmy tu na wydziale osoby, które pracowały w tym tygodniku i powiedziały: „Nie mamy szefa kolportażu, może byś się tym zajęła?”. I w ten sposób się tym zajęłam.

Nie było spektakularnego momentu, w którym podjęłam potem ową decyzję, gdyż to nie są decyzje. To są komunikaty, że coś jest do zrobienia i trzeba to zrobić. Nie są to natomiast decyzje, po których – niezależnie od tego, co zrobisz – nie będzie konsekwencji. Śmieję się, że nie dorobiłam się profesury i nie zrobiłam kariery akademickiej, ponieważ ubek, który mnie przesłuchiwał, powiedział, że nie zrobię kariery akademickiej, ale oczywiście to nie jest prawda.

W każdym razie nie podam daty, bo nie było takiej decyzji. Zaczęło się to wtedy, kiedy było zjednoczenie organizacji młodzieżowych, a potem przyszedł Czerwiec '76 roku. Nawet wczoraj tamtędy przejeżdżałam i – co zabawne – jest ulica 4 czerwca '89⁵, a zaraz obok jest ulica Czerwca '76 – całkiem niedaleko. Więc to nie była decyzja. Przepraszam, za dużo mówię.

Nie, proszę bardzo! Mamy taką, powiedzmy, metodologię, żeby dawać jak najwięcej mówić.

Niech Pani tego nie robi, bo mam tendencję do tego, jak każdy wykładowca, żeby mówić dużo, ale nie więcej niż półtorej godziny [śmiech].

Mogłaby mi Pani opowiedzieć, jak Pani pamięta grudzień '81, tę niedzielę, a potem pierwszy poniedziałek po zamknięciu Uniwersytetu?

To nie było tak, że niedziela i pierwszy poniedziałek, tylko bardziej skomplikowane. Niedzielę pamiętam w ten sposób – oczywiście miałam wtedy bardzo małe dziecko, miało wtedy rok i trzy miesiące – że tego dnia miałam zajęcia – wykład dla zaocznych z biologicznych mechanizmów zachowania. No więc jak zwykle zerwałam go jakoś o świcie i włączyłam mu telewizor, żeby zacząć się przygotowywać, i okazało się, że w tym telewizorze jest generał, a nie śpiewający Zwierz.

⁴ Helena Łuczywo – redaktor naczelna „Tygodnika Mazowsze” w latach 1982–1989. Współzałożycielka „Gazety Wyborczej” oraz zastępczyni redaktora naczelnego tejże w latach 1989–2009.

⁵ 4 czerwca 1989 r. – dzień, w którym na mocy ustaleń okrągłego stołu odbyła się pierwsza tura częściowo wolnych wyborów parlamentarnych w PRL, przynosząca druzgocącą porażkę władzy komunistycznej przeciwko opozycji solidarnościowej.

Gdy w końcu zaśpiewał Zwierz, bardzo ładnie śpiewający różne piosenki, mój synek był zachwycony. Zaczęłam się przygotowywać i w tym momencie – trzeba dodać, że ja jestem samotną matką, w związku z czym w domu miałam synka, który miał rok i trzy miesiące, i psa, byliśmy sami – w tym momencie przyszedł mój szwagier, który powiedział, żebym się natychmiast ukryła, ponieważ aresztować w mieście. Powiedziałam, że to jest dosyć zabawne – gdyby mieli mnie aresztować, toby już mnie zgarnęli, a po drugie, gdzie będę się ukrywać z psem i z dzieckiem. W związku z czym zabrałam psa i dziecko do samochodu i zawiozłam na Chomiczówkę⁶, gdzie mieszkała moja siostra ze szwagrem, innym szwagrem. Powiedziałam, że jest stan wyjątkowy, na co nie bardzo przytomny szwagier powiedział: „Tak wcześniej?” i poszedł spać. Więc to bardzo dobrze pamiętam: wrzuciłam im dziecko i psa i pojechałam najpierw na wydział, gdzie dowiedziałam się, że każą mi wrócić z powrotem do domu razem z tymi, którzy przyjechali na studia zaoczne. Pojechałam na Uniwersytet. I tu trzeba dodać pewien wstęp do tego, co się działo na Uniwersytecie tego dnia, ponieważ przed tym w listopadzie na scenie Mazowsza⁷ zrobiliśmy – głównie siłami wydziałowymi, tam był Grzelak⁸, Malak⁹ i ja, zarządzaliśmy tym we troje – zrobiliśmy ogromny sondaż w warszawskich zakładach pracy, czy będą strajkować, gdyby był stan wojenny – to było w listopadzie. Co wyszło z tego sondażu, jest nieistotne, natomiast co jest ważne, to to, na ile zaangażowaliśmy w to studentów i młodych pracowników z całej uczelni. W związku z czym, jak nastąpił ten stan wojenny, to siłą rzeczy część z nich przychodziła na Uniwersytet, wdrapywała się po skarpie, żeby się z kimkolwiek porozumieć i zapytać się, co dalej, bo Uniwersytet był zamknięty. Czyli to, co w listopadzie zrobiliśmy, nawiązaliśmy kontakty z zakładami pracy, miało bardzo duże znaczenie dla tego, co się potem działo na Uniwersytecie i z naszymi kontaktami. No więc przyszłam, atmosfera była nerwowa, profesor Samsonowicz namawiał nas do tego, żebyśmy nie strajkowali i nie robili wielu innych głupstw, coby nie wzbudzić dużego zainteresowania. Zaczęliśmy chować różne rzeczy, inne niszczyć, jeszcze nikt nie wiedział, jak to będzie wyglądało, ale niezależnie od namawiania powiedzieliśmy, że będziemy strajkować, a w każdym

⁶ Chomiczówka – osiedle znajdujące się na terenie obecnej dzielnicy Bielany w Warszawie.

⁷ Na scenie Mazowsza – na terenie Mazowsza.

⁸ Janusz Grzelak – od 1966 r. pracownik naukowy Wydziału Psychologii, profesor. W trakcie wydarzeń sierpniowych 1980 r. przyłączył się do skierowanego do władz komunistycznych apelu 64 naukowców, literatów i publicystów o podjęcie rozmów ze strajkującymi robotnikami. Członek „Solidarności” oraz KRS „Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość”. Za swoją działalność represjonowany przez SB. W 1989 r. uczestniczył w obradach okrągłego stołu po stronie solidarnościowej.

⁹ Barbara Malak – polska psycholog, doktor, prodziekan Wydziału Psychologii UW. Internowana w pierwszych dniach stanu wojennego (zob. wywiad z nią w niniejszej publikacji).

razie przygotowujemy się do strajku, więc spędziłam na Uniwersytecie bardzo dużo czasu, głównie w komisji „Solidarności”. Trzeba do tego dodać ważną rzecz: jak „Solidarność” powstawała na Uniwersytecie, to mniej więcej połowa nowej komisji to była też komisja, która działała w ZNP¹⁰. Nie było na początku, przynajmniej w pierwszym okresie „Solidarności” i pierwszym okresie stanu wojennego, żadnych tarć między tymi dwoma związkami, to byli częściowo ci sami ludzie, bo skąd mieli się wziąć ci aktywni? Ci, co weszli do „Solidarności”, wcześniej działali w ZNP. U nas na wydziale było tak, że to był dokładnie ten sam skład, tylko że przewodniczącym w ZNP był mój przyjaciel Janek Matysiak, a przewodniczącą „Solidarności” najpierw byłam ja. Ja byłam wiceprzewodniczącą u niego, a on był wiceprzewodniczącym u mnie. Spędziłam tam bardzo dużo czasu, doprowadzając do stanu wrzenia moją siostrę i całą moją rodzinę, gdyż zniknęłam, a to nie były czasy komórek. Ale postanowiliśmy, że będziemy strajkować i pierwszą noc spędziłam z moim wiceprzewodniczącym. Spaliśmy tutaj, na terenie wydziału, żeby się przygotować do tego, co dalej. Pamiętam jedno piękne powiedzenie. Jacek Suchecki, bardzo fajna osoba, powiedział: „Jedź szybciej, bo będą do nas strzelać, albo nas – co gorzej – złapią”. Więc zapytałam, co to znaczy „co gorzej – złapią”, a on powiedział: „Sprawa jest prosta, a mianowicie – jak będą strzelać, to mogą nie trafić, a jak nas złapią, to nas złapią”. Wspominam bardzo dużo takich pięknych powiedzonek. Jak Pani wie, ten twór nazywał się WRON, i jak się pytałam: „Coś się tak zasępił?”, to odpowiadał: „Dobrze, że się nie zawroniłem”.

Właściwie bez przerwy coś się działo, bez przerwy ktoś przychodził. Można powiedzieć, że nigdy nie mieliśmy tak ogromnych kontaktów społecznych jak wtedy, ponieważ ludzie po prostu latali po Warszawie i dowiadywali się, kogo zamknęli, kogo nie zamknęli, kto jeszcze jest. Pytali, w jakim ktoś jest stanie, czy komuś czegoś nie potrzeba. Tak to wyglądało. Poniedziałek to już właściwie był dalszy ciąg: zastanawialiśmy się, jak protestować, zaczęły się różnego rodzaju pacyfikacje, już wiedzieliśmy, kogo z naszych zamknęli. Jakbym tak sobie pomyślała, jakie były główne, przeważające emocje – w moim przypadku na pewno złość, ale też chyba nie było takiego strachu. Zawsze powtarzam, że łatwiej jest uprawiać politykę i schodzić do podziemia w dużym mieście i w takim środowisku jak uniwersytet, ponieważ jak ktoś z nas zniknął, to wszyscy o tym wiedzieli. Nazwisko szło od razu w świat i w środowisko, potem zaczęliśmy dowiadywać się więcej, że Kongres Kultury został odwołany. Pojawiły się na mieście te SKOT-y¹¹, to też

¹⁰ ZNP – Związek Nauczycielstwa Polskiego, działający do dziś związek zawodowy powstały 1 października 1905 r. W dniu wprowadzenia stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego zawiesiła działalność wszystkich organizacji związkowych, w tym ZNP.

¹¹ SKOT (w kontekście stanu wojennego) – Średni Kołowy Opancerzony Transporter, opracowany w Czechosłowacji. Jeden z najpopularniejszych pojazdów tego typu w PRL u progu

właśnie Jacek mi powiedział, że jeździ czołg po, wtedy jeszcze, Marchlewskiego¹². Myśmy powiedzieli, że to na pewno nie jest czołg, tylko SKOT, on mówi: „Ja wiem, jak wygląda czołg, tutaj rzeczywiście to były czołgi”. Chyba w większości ludzi przeważała złość i taki niepokój o najbliższych, natomiast jak ktoś był na prowincji, no to rzeczywiście wiem, że ludzie się bali, że jak gdzieś wywożą, no to nie wiadomo, jak to się skończy, to znaczy: czy jeszcze wrócą kiedykolwiek żywi, ale w nas chyba takiego dużego lęku nie było, może to też brak wyobraźni. W każdym razie te dwa pierwsze dni spłynęły nam na strajkowaniu: najpierw na przygotowaniu, a potem na strajkowaniu. Z taką myślą, że to niemożliwe, żeby tak długo to potrwało, a druga rzecz, która nam chyba wtedy przyświecała – muszę dodać uwagę do tego, co było wcześniej. Ja bardzo źle znoszę, jak ktoś mówi „karnawał «Solidarności»”¹³, ponieważ karnawał kojarzy się ze świętowaniem i z nic nierobieniem, natomiast te miesiące były głównie poświęcone na to, żeby dużo rzeczy przepchnąć przez sejm. Ani wtedy, ani teraz nie wyobrażamy sobie, że coś przeszło przez sejm, a potem nic z tego nie będzie, prawda? Wydaje się, że jak już przegłosujemy coś przez sejm, to już tak będzie. Brak wyobraźni – i co z tego, żeśmy przepchnęli tyle rzeczy przez sejm? Nic z tego nie wynikało potem, ale to był jednak okres bardzo ciężkiej pracy. I pierwsza rzecz, która nam potem przyszła do głowy, to że to się zmarnowało i że nic z tego nie będzie.

I czy to właśnie wpłynęło jakoś na chęć dalszego działania?

Powtarzam, że to nie są decyzje. W jakimś miejscu żeśmy się zatrzymali i idziemy dalej, przecież podzieliliśmy się na grupy i te grupy starały się spotykać. Staraliśmy się też spotykać z ludźmi z zewnątrz, między innymi ja zrobiłam jedno takie spotkanie akurat z Jackiem Kuroniem¹⁴, który w późniejszym okresie przegrał ze mną butelkę wina. On powiedział, że będą duże manifestacje, ja powiedziałam, że sukces będzie moralny, a nie organizacyjny, to jest moje ulubione powiedzenie dotyczące naszych sposobów nie tylko konspirowania, ale w ogóle działania. Nie było żadnej decyzji, podzieliliśmy się, każdy z mojej komisji został szefem jakiejś

lat 80. Jeden z symboli stanu wojennego. Pojazdy te widnieją m.in. na słynnym zdjęciu Chrisa Niedenthala, które przeszło do historii pod tytułem *Czas Apokalipsy*.

¹² Ul. Marchlewskiego w Warszawie – ulica w warszawskich dzielnicach: Wola, Śródmieście, Żoliborz. W okresie PRL nazwana na cześć Juliana Marchlewskiego. Obecnie al. Jana Pawła II.

¹³ „Karnawał Solidarności” – okres 16 miesięcy legalnego funkcjonowania „Solidarności”. Przez niektórych nazywany czasem swoistego festiwalu wolności w zniewolonym kraju.

¹⁴ Jacek Kuroń (1934–2004) – polski polityk, historyk, w latach stalinowskich działacz tzw. czerwonego harcerstwa, jeden z przywódców opozycji w okresie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników. Dwukrotny minister pracy i polityki socjalnej; w latach 1989–1991 w rządzie Tadeusza Mazowieckiego i w latach 1992–1993 w rządzie Hanny Suchockiej.

grupy. U przyjaciół partyjnych przechowywaliśmy naszą kartotekę, którą zresztą ostatnio znalazłam. Jednak nie tylko ze względu na RODO, ale ze względu na to, że były tam też osoby, które nie żyły, została zniszczona. Nic w niej nie było takiego ciekawego, bo większość pracowników wydziału była w „Solidarności”, więc nie byłoby to zdziwieniem, kto był, kto nie był. Mieliliśmy jeszcze wybranych dziekanów, więc właściwie „Solidarność” na wydziale działała w sposób całkowicie jawny. Zostałam dokooptowana do rady wydziału, abym mogła bywać jako obserwator, byłam na niektórych posiedzeniach, byłam normalnie jako przedstawicielka związków zawodowych na kolegiach dziekańskich, więc to po prostu nie były żadne decyzje.

Czyli nigdy nawet nie przeszła Pani przez głowę taka myśl, że lepiej to porzucić, wziąć dziecko i zadbać o bezpieczeństwo?

Nie, bo każdy ma jakieś zobowiązania. Zresztą mnie to złościło, jak ktoś mówił: „Bo ja mam dziecko”, „Bo ja mam męża”, „Bo ja mam pracę” – no i co? No każdy ma. Niektórzy mówią, że jak to jest możliwe, że się ludzie załamywali i zaczynali zeznawać. Każdy ma coś takiego, że jak mu to zabiorą czy zagrażą, że zabiorą, to pięknie, nie ma takich – ja mówię o aspektach psychologicznych, nie o fizycznych. Jak wspominałam, znacznie później był okres zwanego ujawniania. Ubecja prowadziła takie „ujawnianie”, wzywała na przesłuchanie i ujawniała, i ja byłam mocno przerażona, jak mnie wezwali, bo bałam się, że mnie będą ujawniać w sprawie „Tygodnika Mazowsze”, a oni mnie ujawniali w zakresie działalności na Uniwersytecie, bo w jakimś momencie zażądali od nas, żebyśmy prowadzili studia zaoczne z psychologii dla policji, dla milicji i dla ubecji, no i tu się wszyscy wzburzyli głęboko i zebraliśmy podpisy przeciwko temu, a potem jeszcze się nawet pojawiły ulotki na naszym wydziale pisane ręcznie, no i w tej sprawie mnie wezwali. Powiedział mi: „Lubi Pani wyjeżdżać za granicę”, ja powiedziałam, że lubię, ale nie muszę, i rzeczywiście potem nie mogłam wyjechać do Pragi czeskiej. No i powiedział, że nie zrobię kariery naukowej, co głęboko mną wstrząsnęło, ale gdyby na przykład mi powiedział, że mi wezmą dziecko do domu dziecka, to nie wiem, co bym zrobiła. A robili tak, to znaczy zabierali dzieci. A więc nie miałam takich myśli, na takiej zasadzie to nikt by nic nie robił, bo każdy ma coś do stracenia. I w ogóle rozumiem, że ludzie się bali, jeśli mieli coś do stracenia, ale wołałam kiedy ktoś powiedział: „Tak, boję się, bo...” niż używał samousprawiedliwienia w każdej sytuacji. Miałam przyjaciółkę, która mówiła: „Przecież wiesz, że ja nie mogę tego podpisać, bo muszę mieć paszport dla ukochanego we Francji”, no i ja mówiłam: „Wiem”. To dla mnie był jasny komunikat. Ale jak ktoś mówił: „No podpisałbym to, ale w trzecim rzędzie ten przecinek nie jest w dobrym miejscu i wydźwięk tego drugiego zdania może nie jest taki, jak ja bym chciał”, to wtedy się złościłam. Bo to jest wybór indywidualny

i szanowałam tych, którzy mówili wprost: „Boję się”. No bo dlaczego się nie bać? Często się mówi: „Ale poszedł na trzy miesiące do więzienia” – niech pójdzie na chwilę i zobaczy, jak tam się żyje.

Bycie psychologiem pewnie też daje pewną perspektywę na ten problem.

I też taki sposób myślenia, że wolność poruszania się, wolność niesiedzenia w czterech ścianach to są rzeczy, których nie doceniamy w momencie, kiedy nam tego nie zabiorą. Więc ja rozumiałam, że się ludzie boją, ale – jak mówię – być może brak wyobraźni, a być może przyzwyczajenie: jestem po swoim ojcu człowiekiem organizacji, w związku z czym lubię organizować. Byłam raczej związkowcem niż politykiem, ale również organizatorem, na tym się lepiej znam. Więc nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby to rzucić, ale taka też była atmosfera, że od pewnych osób na Uniwersytecie się tego oczekiwało. Było różnie – przez chwilę byłam na początku przewodniczącą, potem przewodniczącą była Basia Malak, potem Basia Malak została prodziekanem, więc nie mogła być przewodniczącą „Solidarności”, i ja zostałam przewodniczącą „Solidarności”, powiedziałam, że na krótko – bardzo proszę, do następnych wyborów, no i byłam prawie że do końca. No bo zrobiliśmy wybory w momencie, kiedy ja się spodziewałam drugiego dziecka i powiedziałam: „Teraz kochani zajmijcie się tym sami”. Nie bez powodu mówiłam o tych ludziach, którzy przychodzili na teren Uniwersytetu, żeby złapać jakieś kontakty, że się do różnych osób szło i to było oczywiste, że one będą coś robić dalej. Na naszym wydziale było jeszcze tak, że prawie każdy coś robił, prawie każdy coś konspirował, tylko w różnych instytucjach. Nawet momentami mnie to denerwowało, gdy ktoś mówił, że czegoś mu brakuje, że czegoś nie można załatwić, bo wszystko jest tajne przez poufne. Ja nawet mówię, że się oficjalnie zbierało składki na „Solidarność”, przychodził skarbnik i mówił, że on tu przyszedł szukać składek – w sposób znacznie bardziej jawny niż kiedyś się zbierało składki na PZPR. Wiadomo było, kto donosi, mieliśmy osobę, o której prawie na sto procent wiem, że donosiła. To była osoba bardzo silnie związana z wydziałem i z Uniwersytetem, miałam takie wrażenie, że ona donosi jakoś bez specjalnego przekonania.

Powiedziała Pani, że była Pani związkowcem, ale nie politykiem – jak by Pani określiła różnicę między tymi dwoma?

Najważniejsi są ludzie. Po prostu jeśli się w coś angażowałam, to ze względu na ludzi. Zająłam się kolportażem „Tygodnika”, bo złościłam się, że ludzie ich nie dostają, uważałam, że trzeba to uporządkować i koniec. Po to utrzymywaliśmy tę siatkę, żeby – jak kogoś aresztują – szybko poinformować innych, żeby zorganizować dla nich jakąś pomoc, żeby zawsze na przesłuchanie szedł jakiś przedstawiciel, żeby dostarczać książki, żeby ochronić studentów, żeby pozwolić im pisać prace.

Natomiast jeśli nad czymś pracowaliśmy, jeśli coś sobie wyobrażaliśmy na temat przyszłości, to raczej z punktu widzenia organizacji i tego, czemu ma to służyć – potem, w ’83 zrobiliśmy takie duże badanie, co się dzieje na uniwersytetach, czego najbardziej na uczelniach brakuje. Więc interesowało mnie to, żeby stworzyć dobre warunki, żeby ludzie dobrze się w nich czuli, natomiast mam chyba niepopularne poglądy, bo jestem i zawsze byłam lewicą, może nie skrajną, ale lewicą: światopoglądowo, czyli wierzysz w to, co chcesz, i ekonomicznie – w takim sensie, że najsłabszym trzeba pomóc, rozsądnie pomóc. Jestem lewicą, która uważa, że trzeba dać wędkę, a nie rybę.

Była Pani w Związku Młodzieży Socjalistycznej.

Tak, byłam.

Interesuje mnie też to, jak młodzież, która podzielała socjalistyczne wartości, patrzyła na to, co się dzieje w kraju socjalistycznym.

To było bardzo proste. Bo, po pierwsze, byłam w ZMS-ie¹⁵ i byłam też przewodniczącą samorządu szkolnego w liceum i to były jedyne miejsca, w których można było coś działać, sprawa jest prosta. Ale to było w odpowiednich latach – w ’67 się zaczęło, kiedy myśmy podpisali protest w sprawie wojny na Bliskim Wschodzie i tego, co się działo w Polsce. Część z nas podpisała, część wyrzucono wtedy – między innymi Ludwika Stommę – z naszej szkoły. A potem był ’68 rok i ja co prawda działałam w ZMS-ie i nawet byłam w zarządzie dzielnicy, ale raczej jako paprotka, tak teraz o tym myślę. Przestrzegano wtedy zasady, w związku z wolnością postanowiono potem jej nie przestrzegać, że muszą być kobiety, to nie mogło być tak, że nie ma kobiet. To był taki wewnętrzny parytet i ja zresztą jestem zwolenniczką parytetu, potem ludzie się przyzwyczajają. W sposób oczywisty, ponieważ działałam najpierw na najniższym szczeblu, to zostałam w dzielnicy, a potem przez ’68 rok nigdy mnie oficjalnie nie wyrzucili. Ale jak w kwietniu tego ’68 roku przeczytali, że mojego ojca wyrzucili ze szkoły filmowej w Łodzi, no to zapytali się, kto to jest, powiedziałam, że mój ojciec, i natychmiast po tym przestałam być *persona grata*, zostałam *persona non grata*. Zresztą już nie było nawet mowy o tym, żebym pracowała w ZMS-ie w jakimkolwiek stopniu. Nie zmieniło to moich poglądów. Ja nie mówię, że to był wadliwy socjalizm, bo

¹⁵ ZMS – Związek Młodzieży Socjalistycznej, organizacja młodzieżowa powstała 3 stycznia 1957 r. w Warszawie przez połączenie Rewolucyjnego Związku Młodzieży i Związku Młodzieży Robotniczej. Ideowo i organizacyjnie była podporządkowana Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W 1976 r. ZMS został przekształcony w Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Po 1989 r. organizacja ta stała się młodzieżówką środowisk postkomunistycznych.

to nie był żaden socjalizm, znaczy to był socjalizm z takiego punktu widzenia, z jakiego mówić teraz też jest niepopularnie, mianowicie: nie było nędzy takiej, jak jest teraz – są ludzie, którzy żyją na pograniczu nędzy – takiej nędzy nie było. Nie było takich problemów ze służbą zdrowia, jak są teraz. Trudno się dziwić, że starzy tęsknią do tamtych czasów. Nawet teraz ostatnio w „Gazecie Wyborczej” opisano taki przypadek, że faceta zapisano na rehabilitację za piętnaście lat, a kogoś zapisali za dwa lata, zapytał, czy za pieniądze, to powiedzieli: „To w przyszłym tygodniu”. Więc to po prostu jest niewiarygodne, szczyt niesprawiedliwości, który nie przestanie mnie boleć.

Rozmowa 7.

Jerzy Kwaśniewski

Prawnik, socjolog, profesor zwyczajny, absolwent i pracownik naukowy UW, w latach 1990–1996 i 2008–2012 dyrektor Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji UW, a obecnie członek Komisji Stałej Rady Naukowej Dyscypliny Nauki Prawne Wydziału Prawa i Administracji UW, działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL, silnie związany z „Solidarnością”.

Wywiad: Igor Tomecki

Transkrypcja: Julia Gruca, Adrian Jaworski

Wprowadzenie

Punktem wyjścia do wywiadu był artykuł pióra prof. Jerzego Kwaśniewskiego (2011): *Prawo totalitarne w działaniu. Spory z PRL o prawo i prawdę*. W: J. Zamecka (red.), *Identyfikacja i zarządzanie problemami społecznymi* (s. 194–235). Warszawa: IPSiR UW.

W początkowej części wywiadu rozmówcy nawiązali do następującego fragmentu tego tekstu:

Podgórecki zaproponował (...) obszerną listę zjawisk, które wiążą się z funkcjonowaniem prawa totalitarnego i tego typu prawo charakteryzują. Dla potrzeb niniejszych rozważań z tej listy wybiorę następujące: a. „służalczość” prawa, b. dualizm instytucji prawnych, c. „naczelną zasadę” prawa totalitarnego, d. dominację „naczelnej zasady” nad konstytucją, e. występowanie prawa w roli instrumentu „ciemnej” inżynierii społecznej, f. totalitarną biurokratyzację (...)

Zjawisku podległości prawa towarzyszy dualizm instytucji prawnych. Zdaniem Podgóreckiego, „Konkretna instytucja może funkcjonować tylko wtedy, gdy otrzyma «zielone światło» od «ukrytej» instytucji, która ją nadzoruje. (...) Jedyną zasadą, co do której w kraju totalitarnym nie można mieć wątpliwości, jest to, że im bardziej jakaś instytucja państwowa jest widoczna, tym mniejszą ma władzę, i im mniej wiadomo na temat istnienia jakiejś instytucji, tym bardziej potężna okaże się w ostateczności” (...) I dalej: „Ukryty system norm niezgodnych z prawem jest wszechobecny i odgrywa decydującą rolę. Służy jako permanentna przestroga dla społeczeństwa głosząca, że prawo jest instrumentem w rękach władzy politycznej” (...) (Kwaśniewski, 2011, s. 196–197).

Wywiad

IGOR TOMECKI: Zostało mi jeszcze trochę drogi do pokonania, żeby stać się prawdziwym prawnikiem, ale chciałbym się dowiedzieć trochę właśnie o nich – wspominał Pan Profesor o dualizmie instytucji prawnych. Przeczytałem ten krótki fragment i rozumiem, że bazuje on na opinii profesora Podgóreckiego¹? Czy mógłby Pan to wyjaśnić innymi słowami, w miarę prosto, jak dla laika?

¹ Adam Podgórecki (1925–1998) – socjolog prawa, profesor UW, później profesor Uniwersytetu Carleton w Ottawie, kontynuator pracy naukowej Leona Petrażyckiego i Marii Ossowskiej, autor wielu publikacji naukowych w tym *Totalitarian and Post-Totalitarian Law czy Socjologicznej teorii prawa*.

JERZY KWAŚNIEWSKI: To jest proste, wie Pan, w PRL-u właśnie panował dualizm prawny i dualizm instytucjonalny. Dualizm instytucjonalny polegał na tym, że na przykład było Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Oświaty, ale jednocześnie był Wydział Szkolnictwa Wyższego i Oświaty w Komitecie Centralnym PZPR-u, czyli tej partii komunistycznej, i tak było ze wszystkimi innymi instytucjami, że były jakieś tam ministerstwa, były jakieś tam instytucje, państwowe czy nawet pozapaństwowe, ale jednocześnie w Komitecie Centralnym, w Komitecie Wojewódzkim i tak dalej były ich odpowiedniki w postaci rozmaitych właśnie komisji, wydziałów Komitetu Centralnego i one rządziły. To znaczy żadne ministerstwo nie mogło podjąć żadnej istotnej decyzji, jeżeli nie miało zgody, akceptacji odpowiednika tego ministerstwa w Komitecie Centralnym partii komunistycznej i na tym polegał ten dualizm. Natomiast dualizm prawny, dualizm przepisów prawnych wyrażał się w tym, że oprócz prawa oficjalnego funkcjonowały różne rozporządzenia, przepisy, dyrektywy, rozmaite polecenia partyjne, które faktycznie były nadrzędne wobec przepisów prawa i one były stosowane w praktyce, a nie prawo.

Dziękuję. Teraz wszystko jest absolutnie zrozumiałe. Brakowało mi zwłaszcza tego kontekstu historycznego, który dzięki Panu Profesorowi teraz uzyskałem. To może zacznę od kwestii organizacyjnej. Czy mogę Pana Profesora prosić o notkę biograficzną? Przy wywiadach będziemy umieszczać także krótką notkę biograficzną. Czy mógłby Pan Profesor zarysować, co chciałby Pan, aby się znalazło w takiej notce?

Wie Pan, ja mam dosyć bogatą tę notkę... Oprócz tego, że jestem socjologiem i profesorem nauk humanistycznych, to jestem także, a może przede wszystkim, prawnikiem, może to Pana zainteresuje. Jestem takim prawnikiem, rzadko już występującym w Polsce, bo należę do tego pokolenia prawników, które było wykształcone jeszcze przed wprowadzeniem w Polsce komunistycznych kodyfikacji. Jestem prawnikiem wychowanym na prawie rzymskim, na Allgemeines Bürgerliches Gesetzbuch, to jest stary dziewiętnastowieczny austriacki kodeks cywilny, jestem wychowany na prawodawstwie II Rzeczypospolitej, na doktrynach polityczno-prawnych sprzed drugiej wojny światowej². Teraz już takich

² Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. przed polskimi władzami stało trudne zadanie faktycznego zjednoczenia państwa i ujednolicenia panujących na jego terenach porządków prawnych (odmienny panował w każdym z trzech zaborów: w zależnym od Cesarstwa Rosyjskiego Królestwie Polskim system prawny opierał się na zmodyfikowanym prawodawstwie francuskim z czasów Napoleona Bonaparte; na niewielkim obszarze Spisza i Orawy – fragmentu Austro-Węgier – obowiązywało prawo węgierskie). Niestety w czasie dwudziestolecia międzywojennego polskim władzom nie udało się całkowicie ujednolicić panujących na terenie Polski przepisów, dlatego też polski ustawodawca wprowadził tak zwane przepisy intertemporalne rozwiązujące

prawników mało zostało. Ale aktualnie jestem związany z Wydziałem Prawa, jestem tam członkiem komisji stałej, doktoryzującej, Rady Naukowej Dyscypliny Nauki Prawne Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, czyli jesteśmy właściwie kolegami z Wydziału Prawa [śmiech].

Panie Profesorze, jeżeli pozwoli Pan na jeszcze jedną prywatę – ostatnio w trakcie wykładów z prawa cywilnego profesor Zbigniew B wspominał o tym, że w okolicach dwudziestolecia międzywojennego panowało kilka porządków prawnych przez to, że mieliśmy rozbiory. Czy Pan Profesor ma jeszcze wspomnienia dotyczące stosowania różnych ustaw do różnych obszarów? Jak Pan Profesor to wspomina?

Uczono mnie o tym, że były różne porządki prawne w okresie zaborów i że były konsekwencje tych różnic w porządkach prawnych w II Rzeczypospolitej, czyli w okresie międzywojennym, tego tak szybko nie można było zmienić, nie można było ujednolicić, chociaż II Rzeczypospolita, ta właśnie z okresu międzywojennego, miała fantastyczne osiągnięcia prawodawcze, wręcz niesamowite, a jednocześnie to prawodawstwo okresu międzywojennego było znakomite pod względem profesjonalnym i było nowoczesne w najwyższym stopniu. Ja myślę, że prawodawstwa na przykład Europy Zachodniej z tamtego okresu wcale nie były lepiej rozwinięte i nie były lepiej skonstruowane, jeśli chodzi na przykład o prawa człowieka. To Polska, polskie prawodawstwo w okresie międzywojennym było moim zdaniem zdecydowanie wiodące, wie Pan, na przykład prawa kobiet. Kobiety w Polsce w 1918 roku uzyskały pełnię praw wyborczych, a w większości krajów Europy Zachodniej stało się to znacznie później. W niektórych krajach dopiero w latach daleko po drugiej wojnie światowej. Takim przykładem dobrze znanym jest Szwajcaria, gdzie kobiety prawa wyborcze uzyskały dopiero, nie chcę się pomylić, ale chyba w latach siedemdziesiątych. A w Anglii dopiero w 1960 roku zniesiono przepisy nakazujące ćwiartować i rozrzucać na ulicach ciała samobójców. Więc tak to było. Prawo było bardzo zróżnicowane w okresie II Rzeczypospolitej, ale prawodawstwo w Polsce rozwijało się bardzo intensywnie i te różnice zanikały.

Przechodząc w takim razie już do sedna naszej dzisiejszej rozmowy, czyli do rozwinięcia myśli, które zawarł Pan Profesor w swoim artykule, chciałbym zapytać, jak wyglądała działalność samokształceniowa w trakcie strajku studenckiego w IPSiR w tym trudnym okresie słusznie minionego ustroju. Czy ta inicjatywa wychodziła ze strony samych studentów, czy to była też inicjatywa pracowników naukowych Uniwersytetu Warszawskiego?

sytuacje sporne co do tego, który porządek prawny należy zastosować. Pomimo kontynuacji prac dążących do przygotowania reform prawnych nawet w trakcie II wojny światowej za ostateczną datę ujednolicenia panującego w Polsce prawa należy uznać dopiero drugą połowę lat 60. XX w.

To wyszło wyłącznie ze strony studentów, oni sami to wymyślili, to znaczy sami zdecydowali, że podczas strajku będą zapełniać ten wolny czas rozmaitymi aktywnościami, na przykład rozmaitymi zajęciami z wykładowcami z instytutu, a także spoza instytutu czy spoza Uniwersytetu, których zapraszali. Działali też w łączności ze strajkującymi w kampusie na Krakowskim Przedmieściu; pamiętam, że przyjeżdżała do nas między innymi Agnieszka Romaszewska z NZS. Jeśli studenci strajkujący zwracali się do nas z jakimiś pytaniami czy prośbami o to, żeby im kogoś wskazać albo żeby kogoś zaprosić, no to oczywiście im pomagaliśmy, ale w większości przypadków osoby, które w czasie strajku prowadziły zajęcia, seminaria, wykłady, były zapraszane przez samych studentów. Ja pamiętam, że to samo dotyczyło na przykład artystów i rozmaitych innych osób. Jeśli chodzi o artystów, to pamiętam, że sprowadziłem do instytutu Jana Kelusa³, wie Pan kto to był?

Samo nazwisko brzmi znajomo, aczkolwiek nie jestem w stanie przyporządkować go do konkretnego życiorysu.

To był chyba najślawniejszy bard „Solidarności”, on komponował rozmaite piosenki, takie z drugim dnem politycznym, takie patriotyczne. Był na indeksie i oczywiście nie było go w oficjalnym obiegu, więc studenci chcieli, żeby go zaprosić, to im zaprosiłem, bo tak się składa, że to jest mój przyjaciel. Przyjechał i miał dla nich parę koncertów, bardzo się to podobało, studenci sprowadzali także innych artystów, polityków także, na przykład serię seminariów miał dla nich Bronisław Geremek⁴. Pamiętam, że Andrzej Wielowieyski⁵ chyba przyjeżdżał, to był działacz Klubu Inteligencji Katolickiej, pani profesor Hanna Świda-Ziemba⁶, nasza dyrektor prowadziła na prośbę studentów wykłady dotyczące stalinizmu w Polsce, no i tak dalej. Trudno mi dzisiaj odtworzyć to tak dokładnie, ale bardzo intensywna była ta działalność oświatowa, nazwijmy to: samokształcąca, studentów

³ Jan Kelus – socjolog, działacz polityczny, kompozytor, autor i wykonawca piosenek drugiego obiegu, absolwent UW, współpracownik KOR, bard „Solidarności”.

⁴ Bronisław Geremek (1932–2008) – historyk, polityk, profesor zwyczajny, absolwent UW, pracownik naukowy m.in. UW, Polskiej Akademii Nauk i Uniwersytetu Paryskiego, w latach 1950–1968 członek PZPR, II sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR na UW, współautor „Listu 7”, doradca NSZZ „Solidarność”, internowany w czasie stanu wojennego, minister spraw zagranicznych.

⁵ Andrzej Wielowieyski – prawnik, polityk, działacz opozycji antykomunistycznej, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, działacz ruch Klubów Inteligencji Katolickiej, w 1987 r. jeden z ekspertów NSZZ „Solidarność”, uczestnik obrad okrągłego stołu, poseł, wicemarszałek sejmu, eurodeputowany.

⁶ Hanna Świda-Ziemba (1930–2012) – socjolożka, działaczka opozycji antykomunistycznej, profesor zwyczajna, absolwentka Uniwersytetu Łódzkiego, pracowniczka naukowa UW, członkini prezydium Polskiej Akademii Nauk, w latach 1981–1982 dyrektorka Instytutu Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji UW, internowana w czasie stanu wojennego.

w tamtym okresie, bardzo intensywna, właściwie chyba bardziej intensywna niż według programu ówczesnych studiów [śmiech]. To było naprawdę imponujące.

Panie Profesorze, wspomina Pan w artykule, że strajk zakończył się 10 grudnia 1981 roku. Czy ta atmosfera tak gęstniała, było poczucie, że może wydarzyć się coś strasznego, że może zostać wprowadzony stan wojenny – czy właśnie z tego wynikało faktyczne zaprzestanie strajku?

W pewnym sensie tak, w ogóle w kraju wówczas atmosfera gęstniała, tak jak Pan to ujął, no i były różne incydenty, jakieś ekscesy dookoła instytutu, jakieś prowokacje. Myśmy sobie z tym wszystkim dawali radę, ale tak studenci postanowili, to było zresztą związane z decyzjami ogólnokrajowego ruchu strajkowego, dlatego że strajki w instytucie były częścią strajków na Uniwersytecie, a strajki studenckie na Uniwersytecie były częścią strajków ogólnopolskich. No i tak się złożyło, że właśnie wtedy zapadła decyzja o zakończeniu strajku. A zaraz potem został wprowadzony stan wojenny, do instytutu natychmiast wkroczyła grupa esbeckich oficerów, przede wszystkim natychmiast do instytutu zgłosił się komisarz⁷, komisarz stanu wojennego, on chyba tak się tytułował. Wkroczył do mojego gabinetu, ja byłem wtedy wicedyrektorem do spraw studenckich, no i za to wszystko, co się tam działo, odpowiadałem, przedstawił się właśnie jako komisarz stanu wojennego, z nim wpadli do instytutu esbecy, którzy przeprowadzili rewizję. Interesowało ich, czy studenci nie mają jakichś zakazanych dokumentów, zakazanych materiałów i tak dalej. No i potem, dzień w dzień, mieliśmy tego esbeckiego oficera na głowie i oni prowadzili coś w rodzaju śledztwa, ale nasi studenci byli znakomicie zorganizowani i żadnych niewygodnych rzeczy czy śladów po tym strajku nie pozostawili. W rezultacie nikt ze studentów strajkujących nie poniósł żadnych konsekwencji ze strony tych władz, które tam się zaczęły rządzić, bo ci komisarze opanowali właściwie cały Uniwersytet: i rektor miał swojego komisarza, i dziekani mieli swoich komisarzy, i my w instytucie mieliśmy swojego komisarza, po prostu komuniści przejęli kontrolę nad całym życiem społecznym w kraju. Na Uniwersytecie to się wyrażało właśnie tym, że się ci „ludkowie” pojawili, że się tam zaczęli panoszyć, ale nie mieli w praktyce żadnego wpływu na funkcjonowanie instytutu, no i dzięki Bogu nie byli w stanie zrobić krzywdy żadnemu studentowi. Zresztą chyba nie mieli takich instrukcji, żeby się specjalnie wyżywać na studentach, poprzestali tylko na kontroli, nadzorze, na pilnowaniu, co się dzieje w instytucie i tyle.

⁷ Komisarz wojskowy – chodzi o powołaną w trakcie stanu wojennego grupę wojskowych komisarzy, którzy obsadzili instytucje państwowe, zarządy miast, ważniejsze zakłady pracy. Ich zadaniem było pilnowanie przepisów stanu wojennego oraz czuwanie nad polityką kadrową. Ścisłe współpracowali z wojewódzkimi sztabami wojskowymi, a do dyspozycji dostali terenowe grupy operacyjne.

Czyli samych represji wobec studentów lub pracowników naukowych – oprócz wprowadzenia komisarzy – nie było...

Nie, najbardziej ich zainteresowało to, że jedną z sal na pierwszym piętrze, taką największą aulę przekształciliśmy w kaplicę, tam się odbywały codziennie nabożeństwa, studenci po prostu poprosili jednego z księży, to był ksiądz Maj⁸, który codziennie dawał im rozmaite posługi duchowe, prowadził mszę, prowadził spowiedzi, jak ktoś chciał, to przystępował do komunii. No i to tych komisarzy bardzo frapowało, oczywiście wypytывali, skąd się ten ksiądz wziął, kto to był, jakim prawem i tak dalej [śmiejch], ale ja się po prostu śmiałem, żadnych konsekwencji nawet nie próbowali z tego wyciągać, tylko byli po prostu bardzo zdenerwowani tym, że tam odbywały się nabożeństwa.

Panie Profesorze, nadal ma Pan kontakt ze studentami jako pracownik Wydziału Prawa i Administracji. Czy dostrzega Pan Profesor pewne cechy wspólne studentów sprzed czterdziestu lat i studentów dzisiaj? Czy gdyby Pan Profesor miał ocenić naszych poprzedników, naszych starszych kolegów i nas, moje pokolenie, czy myśli Pan Profesor, że również moje pokolenie byłoby gotowe do podjęcia takiej działalności? Czy wśród obecnych studentów dostrzega Pan Profesor jakieś działające na co dzień samokształcenie?

Na Wydziale Prawa mam przede wszystkim kontakty z doktorantami, ze studentami w mniejszym stopniu. Parę lat temu koło naukowe prawników poprosiło mnie o odczyt na temat praworządności PRL-owskiej. Potem miałem jeszcze jakiś inny odczyt, brałem udział w seminariach u profesora Andrzeja Kojdera⁹ w Katedrze Socjologii Prawa, on zmarł niestety. Tak że studentów, Pana kolegów, za dobrze nie znam, ale na ile się orientuję, to jednak myślę, że współcześni studenci, bo to dotyczy nie tylko Wydziału Prawa, ale również na przykład mojego instytutu czy innych wydziałów Uniwersytetu, że takie zaangażowanie społeczno-polityczne studentów jest współcześnie znacznie mniejsze aniżeli wówczas. Wówczas to było wprost imponujące, jak studenci angażowali się w działalność polityczną. Kiedy stan wojenny się, że tak powiem, toczył, to aktywność studentów była jeszcze większa niż przed wprowadzeniem stanu wojennego. Studenci właściwie masowo organizowali i uczestniczyli w rozmaitych manifestacjach,

⁸ Ks. Józef Maj – ksiądz rzymskokatolicki, działacz społeczny, absolwent UW, od 1975 r. duszpasterz akademicki w Warszawie (najpierw w Ośrodku Akademickim „Arka”, następnie w kościele św. Anny), od 1984 r. sprawował posługę kapłańską w parafii św. Katarzyny na warszawskim Służewie, której proboszczem został w 1985 r., z jego inicjatywy przed kościołem postawiono pomnik Męczenników Terroru Komunistycznego z lat 1944–1956.

⁹ Andrzej Kojder (1941–2021) – socjolog prawa, profesor UW, kierownik Katedry Socjologii Prawa na tej uczelni w latach 2003–2016, przewodniczący Komitetu Socjologii PAN (2003–2011).

to się wówczas nazywało „zadymy”, no bo to zawsze się kończyło zadymą, dlatego że z żadną z tych manifestacji władze nie próbowały rozmawiać, tylko po prostu przychodziło ZOMO i zaczynały się bijatyki na ulicach, ale w każdym razie we wszystkich tych wydarzeniach studenci stanowili większość, tak że pod tym względem moim zdaniem istnieje ogromna różnica.

Panie Profesorze, czy były realizowane jakieś badania czy też próby realizowania badań, czy to przed stanem wojennym, czy ogólnie w tym okresie, które nie zostały sfinalizowane z powodu pewnych oporów, mówiąc ładnie, administracyjnych, a które nadal mogłyby coś wnieść do naszego dzisiejszego świata?

Wie Pan, ja sobie dosyć dobrze dawałem radę w okresie PRL-u z prowadzeniem badań, nawet tych najbardziej niewygodnych. Ówczesny rektor Zygmunt Rybicki kiedyś mnie nawet wezwał do siebie i mówi: „Panie doktorze, myśmy to rozszyfrowali, te Pana badania nad dewiacją to są badania antysocjalistyczne, ha, ha, ha, myśmy Pana rozszyfrowali”. Ja rzeczywiście prowadziłem wtedy takie badania, które miały charakter międzynarodowy, porównawczy i prowadziłem je pod auspicjami International Center for Comparative Criminological Studies przy Uniwersytecie w Montrealu. Oni to obejmowali patronatem, oni to w niektórych krajach finansowali, to było badanie przeprowadzane w dwunastu krajach, między innymi w Polsce. W Polsce miałem ogromne kłopoty z prowadzeniem tych badań właśnie ze względów politycznych, właśnie ze względu na to, co mi powiedział rektor Rybicki, ale widzi Pan, ja nie narzekam, bo PRL-owi nie udało się zablokować żadnych moich badań, a te badania, o których wspominałem, to przeprowadziłem – niech Pan sobie wyobrazi – przy pomocy Głównego Urzędu Statystycznego [śmiech]. Po prostu dotarłem do takiej komórki badawczej, kierowanej wówczas przez profesor Marię Jarosz, która się zgodziła, żeby pod szyldem ankiet statystycznych GUS-u została przeprowadzona moja socjologiczna ankieta na temat postaw wobec zachowań dewiacyjnych. Ta moja ankieta została przeprowadzona jako statystyczne badania numer taki a taki i tak dalej, z użyciem bardzo wysoko wykwalifikowanych ankietów Głównego Urzędu Statystycznego i to się znakomicie udało [śmiech]. Wszyscy byli zadowoleni, nikt nie wiedział, że to były właśnie te badania socjologiczne, których zakazano mi na Uniwersytecie Warszawskim. Myślę, że nikt z moich kolegów również nie mógłby powiedzieć, że w okresie PRL-u nie mógł prowadzić jakichś badań. Jak chciał, to mógł. Chociaż była cenzura, i to szalejąca cenzura, to jednak to wszystko można było całkiem fajnie zrealizować i ja pod tym względem nie narzekam. Natomiast trudności były, i to ogromne. Ale nie wskażę Panu czegoś, czego na przykład nie mogłem rzeczywiście w tamtym okresie wykonać ze względów politycznych czy ustrojowych.

Wspomniał Pan Profesor o cenzurze. Czy ona skończyła się w roku 1990, czy w Pana ocenie w jakiejś zmienionej formie była obecna dłużej, czy też wciąż jest obecna, zwłaszcza z uwzględnieniem pracy naukowej?

Cenzura oficjalnie była chyba do '91 roku, chyba dopiero w 1991 roku została skasowana. Natomiast już w latach dziewięćdziesiątych, czy później, nie można było mówić absolutnie o cenzurze, zresztą cenzurą się specjalnie nie przejmowaliśmy już wtedy, kiedy ona działała, znaczy przynajmniej niektórzy sobie z tym nieźle radzili, ale już w latach dziewięćdziesiątych – nie. W moim poczuciu to już była pełna wolność słowa, jak najbardziej.

Panie Profesorze, a z czego wynika to, że cenzura nie zniknęła wraz z transformacją ustrojową, którą jednak większość identyfikuje z rokiem 1989? Mówi Pan Profesor o roku czy to 1990, czy 1991. Dlaczego utrzymała się dłużej niż do początków takiego absolutnego upadku tamtego ustroju?

Ja myślę, że do dzisiaj wielu polityków uważa, że pełna wolność słowa nie jest czymś zdrowym dla życia społecznego i to chyba jest ten powód. Natomiast ja nie mam takiego poczucia, że komuś skutecznie udaje się ograniczać wolność słowa. Absolutnie nie.

Wydaje mi się, że to może być odczucie podzielane przez część moich rówieśników – czy nie ma Pan poczucia, że w pewnych sytuacjach pojawia się nasza własna autocenzura? Tutaj przykładem może być nieużywanie pewnych słów, które kiedyś były absolutnie akceptowalne, dzisiaj zaś uznawane są za przejaw braku tolerancji czy jeszcze dalej posuniętych negatywnych zjawisk.

Ja się specjalnie z autocenzurą nie spotkałem, może dlatego, że sam nigdy wobec siebie nie stosowałem cenzury, ale jak tak patrzę po ludziach dookoła siebie, no to trudno by mi było znaleźć kogoś, kto byłby przykładem takiej autocenzury, tak mi się wydaje. Myślę, że w polskim społeczeństwie, mam trochę doświadczeń porównawczych z innymi społeczeństwami, myślę, że w polskim społeczeństwie autocenzura jest czymś zdecydowanie rzadszym niż w innych społeczeństwach, na przykład europejskich, naprawdę, tak sobie myślę, że pod tym względem jesteśmy społeczeństwem bardzo wolnościowym. Myślę, że chyba nawet bardziej niż Stany Zjednoczone, a już na pewno bardziej niż Francja czy Niemcy. Niemcy to jest coś przerażającego, zakres tej autocenzury, z którą Pan się spotka u Niemców, jest ogromny. No ale każdy może mieć inne doświadczenia.

Trudno się z Panem Profesorem nie zgodzić, że są to pewne wzorce, które posuwają się z Zachodu na Wschód. Ale podsumowując już powoli naszą rozmowę: czy bazując na

swoim doświadczeniu, byłby Pan Profesor w stanie wskazać nam, młodszym nieco osobom, przed którymi jeszcze dość, mam nadzieję, intensywna aktywność w życiu społecznym naszego kraju, kiedy następuje moment, w którym podjęcie strajku i pewnego silnego oporu jest odpowiednie i czy istnieje możliwość, aby uniknąć sytuacji doprowadzenia do takiej ostateczności? W którym momencie następuje sytuacja, w której nie ma odwrotu i w której należy podjąć tak drastyczne działania jak strajk? Czy istnieją jakieś sposoby i możliwości, które – patrząc z perspektywy czasu – Pan dostrzega? Co my, młode pokolenie, możemy zrobić, żeby takiej sytuacji, ostateczności uniknąć? Żeby, działając aktywnie, móc w inny sposób, bardziej pokojowy, nie doprowadzić do takiej sytuacji, jaką był stan wojenny i towarzyszące mu wydarzenia.

Trudno powiedzieć, gdzie jest taka granica. Ja myślę, że to nie jest ten rodzaj decyzji, która grozi na przykład współczesnym pokoleniom studentów, dlatego że granica, o której mówimy, we współczesnej rzeczywistości uniwersyteckiej jest niebotycznie odległa. Żadne takie dyrdymały, takie czy inne ekscesy, które się dokonują w naszym życiu publicznym, to nie jest nawet namiastka takiej sytuacji, która by uzasadniała coś takiego jak strajk studencki, to jest po prostu coś, co chyba na szczęście nie dotyczy Pana pokolenia, nie dotyczy współczesnych studentów polskich uniwersytetów, bo chyba to wszystko, co było złego w organizacji życia społecznego w Polsce, mamy na szczęście za sobą. I to, co współcześnie jawi się jako problemy, to są problemy innej rangi, które dadzą się rozwiązywać również w zupełnie inny sposób, niż to było możliwe w okresie PRL-u. Tak sobie myślę, że takie prawdziwe strajki polskim uniwersytetom raczej nie grożą. Natomiast takie czy inne napięcia czy jakieś awantury mogą się wydarzać i to jest raczej nieuniknione.

A czy ma Pan Profesor jakąś radę dla nas, młodszych osób? Zważywszy na fakt, że takie wydarzenia prawdopodobnie, na szczęście, za naszego życia się nie pojawią, to jakie działania dla wolności – społecznej, politycznej, której chyba – wspomniał Pan – jest trochę za mało w naszym pokoleniu, powinniśmy podejmować dla dobra nie tylko nas samych, ale i całego społeczeństwa?

Macie organizację studencką, myślę, że to jest najlepsza forma i nic innego bym chyba nie doradzał. Dobre organizacje studenckie we współczesnych czasach mogą stanowić znakomite narzędzie kontroli społecznej przez studentów, tak mi się wydaje.

A na następnym etapie w naszym życiu, po ukończeniu studiów, w momencie kiedy nie decydujemy się na karierę akademicką? Co według Pana Profesora powinno być takim działaniem pozwalającym na dobry wpływ pokolenia na społeczeństwo i na cały kraj?

O tym się rzadko mówi, ale na przykład profesorowie z okresu międzywojennego, jak pisali o uniwersytetach, to zawsze na pierwszym miejscu wysuwali funkcję wychowawczą uniwersytetu. W okresie PRL-u także wysuwano funkcję wychowawczą kształcenia wszelkiego, nie tylko uniwersyteckiego, ale to z innych powodów. Natomiast mnie chodzi o to wychowanie obywatelskie i o to właśnie chodziło tym profesorom. I to jest słaba strona współczesnych uniwersytetów. Wie Pan, na początku XXI wieku pani profesor Elżbieta Łojko¹⁰ – poznał Pan ją może na studiach? Nie, bo ona chyba już jest na emeryturze. To jest pani socjolog, która pracowała w Katedrze Socjologii Prawa Anny Turskiej i Andrzeja Kojdera i przeprowadziła na Wydziale Prawa socjologiczne badania postaw i przekonań studentów. Wie Pan, okazało się, że przeszło chyba czterdzieści parę procent studentów Wydziału Prawa zdecydowanie i bezwstydnie odpowiadało, że: „Tak, jeśli będę pracował w zawodzie prawniczym, to nie będę miał nic przeciwko łapówkom”. Innych wyników tych badań nie będę Panu opowiadał. W ostatnich latach nikt tych badań nie powtórzył na naszym Wydziale Prawa, a szkoda, bo ja bym chciał wiedzieć, jak współcześnie kształtują się postawy studentów, między innymi w tym zakresie, o którym wspominam. No ale to jest przerażające z punktu widzenia tego, o czym rozmawiamy.

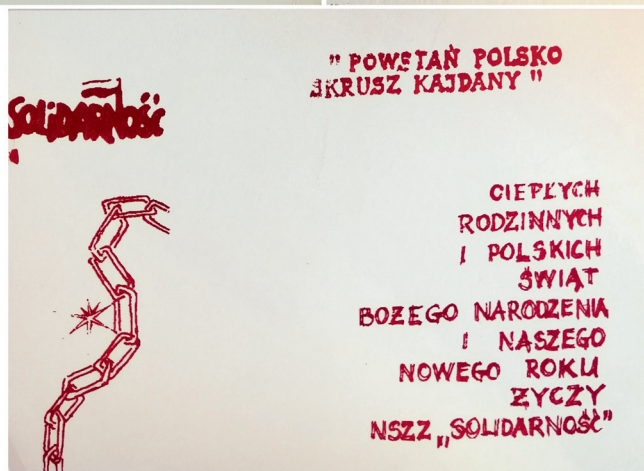
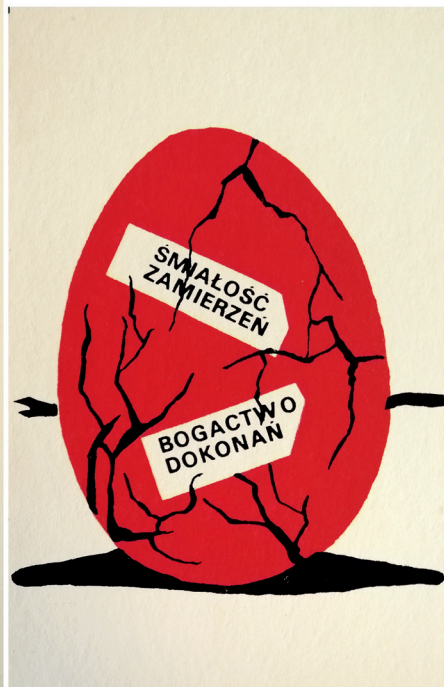
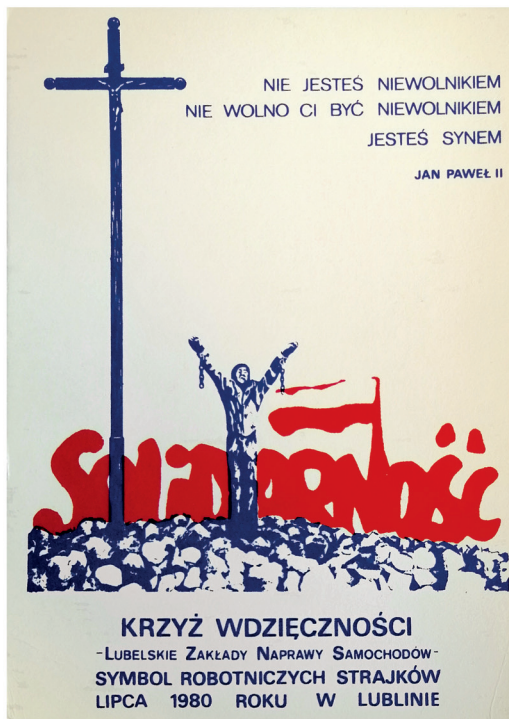
Czy Pan Profesor ma gdzieś ten kwestionariusz? W tym roku właśnie zdecydowałem się na uczęszczanie na socjologię prawa, więc może to byłby dobry moment, żeby wrócić do tego tematu, tak jak Pan Profesor mówi. Dla mnie to jest coś nie do pojęcia. Może to wynika z tego, mam taką nadzieję, że moje pokolenie nie jest tym pokoleniem, które uważa, że łapówka to jest coś dopuszczalnego i coś normalnego, że kiedy idziemy do lekarza, to idziemy z kopertą.

Daj Boże, miejmy nadzieję, że to się zmieniło. Oczywiście na wydziale zrobiło się trochę szumu w związku z wynikami tych badań. Odbyły się konferencje na temat etyki zawodowej i tak dalej, parę osób na pewno się tym przejęło. Natomiast czy coś się zmieniło u tych nowych pokoleń absolwentów, to tego właśnie nie wiem.

Bardzo dziękuję Panu Profesorowi za odpowiedzi na wszystkie pytania i poświęcony czas.

Bardzo mi było miło, dziękuję bardzo.

¹⁰ Elżbieta Łojko – socjolog prawa, doktor, pracownik naukowy UW, autorka m.in. pracy *Studenci prawa o swojej przyszłości zawodowej. Wyniki ankiety 1996–1997*.



Rozmowa 8.

Mauryla Kiersnowska

Studentka Wydziału Biologii UW w latach 1967–1972. Wiosną 1980 uzyskała doktorat. Po studiach zatrudniona na Wydziale Biologii. Adiunkt w Instytucie Zoologii. Sekretarz zakładowej „Solidarności” przez okres dwóch kadencji od roku 2004. Od stycznia 2015 na emeryturze.

ADRIAN JAWORSKI: W jakim momencie zastał Panią stan wojenny?

MAURYŁA KIERSNOWSKA: Jak zwykle w niedzielę córka chciała oglądać „Teleranek”, więc włączyłam telewizor i w ten sposób się zaczęło. Mieszkałam wówczas z rodzicami, byliśmy oczywiście zszokowani. Miałam jeszcze benzynę w maluchu, więc pierwszą rzecz, jaką zrobiłam, to pojechałam do siostry ojca – dziennikarki zajmującej się co prawda kulturą, ale zaangażowanej w ruchy solidarnościowe w Polskim Radio. Mieszkała w domu radiowym, była sama, więc pojechałam sprawdzić, co się u niej dzieje i czy coś więcej wie. Tam zastałam zebranie zaprzyjaźnionych sąsiadów, też radiowców, miny mieli zrozpaczone, też niewiele wiedzieli. Ustaliliśmy jakąś drogę kontaktu, wróciłam do domu, a w poniedziałek oczywiście poszłam jak najszybciej do pracy. Mój zakład mieścił się w tak zwanym Gmachu Pomuzealnym¹. Wówczas w części bliżej Bramy Głównej była historia, a w skrzydle bliżej ulicy Oboźnej mieściły się Zakłady Instytutu Zoologii: Cytologii, Fizjologii, Embriologii i część Zakładu Fizjologii Roślin. Jak weszłam do budynku, to poczułam swąd spalenizny, więc szybko pobiegłam na pierwsze piętro, gdzie pracowałam. Okazało się, że mąż mojej szefowej (była wtedy w Stanach na rocznym stypendium) Andrzej Kaczanowski – członek pierwszej komisji „Solidarności” UW, palił jakieś dokumenty w metalowym, emaliowanym zlewie. Ulżyło mi, że jest obecny, już wówczas wiedziałam, że zgarnęli dużo ludzi, nie pamiętam skąd, zapewne z Radia Wolna Europa albo Głosu Ameryki. On był bardzo zaangażowany nie tylko wówczas, ale i w późniejszym okresie. Kiedy palił te dokumenty, weszła jedna z osób z fizjologii, pracująca piętro wyżej, i powiedziała: „Co ty robisz, Andrzej? Przecież to bez sensu, bo i tak pewnie namierzili te dokumenty”. Nie było jasne, czy Straż Uniwersytecka nie weszła do różnych pomieszczeń przedtem, a że to robili, przekonaliśmy się później. Pamiętam, że wszyscy byli w ruchu, odwiedzali się nawzajem i wymieniali wiadomości. Już chyba wtedy było wiadomo, że zapudłowali Tomka Umińskiego². Jeśli chodzi o nastroje, to były jednoznaczne.

Jak nieco ochłonęłam, to uzmysłowiłam sobie, że miałam po zakończeniu dydaktyki w semestrze zimowym jechać do Szwajcarii, na stypendium genewskie do

¹ Gmach Pomuzealny – budynek znajdujący się na terenie Kampusu Głównego UW przy ul. Krakowskie Przedmieście 26/28 w Warszawie, powstał w latach 1818–1820 według projektu Michała Kado. W latach 1820–1831 mieścił się tam Oddział Sztuk Pięknych UW, od 1938 r. siedziba Wydziału Historycznego UW. Jako jedyny gmach w stylu klasycyzmu warszawskiego przetrwał II wojnę światową.

² Tomasz Umiński – zoolog, działacz opozycji antykomunistycznej, absolwent i profesor UW, w latach 1955–2001 pracownik naukowy na Wydziale Biologii UW, internowany w czasie stanu wojennego, związany z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO).

profesora de Hallera, współpracującego z profesor Kaczanowską, promotorką mojej pracy doktorskiej. Nawiasem mówiąc, z tym stypendium wiązała się ciekawa historia, do której nawiążę później. Profesor de Haller dowiedział się, że UW i Uniwersytet Genewski mają wymianę stypendialną i prosił, żebym oficjalnie wystąpiła o stypendium na UW. Okazało się, że UW refunduje tylko jedno miejsce i to już jest zajęte. W tej sytuacji pod koniec maja 1980 roku wyjechałam do Genewy prywatnie, na mniej więcej dziesięć dni. Przedstawiłam sytuację profesorowi i on zapewnił mnie, że poszuka innej możliwości. Wkrótce zawiadomił, że otrzymałam stypendium jednej z genewskich fundacji (dziś już nie pamiętam jakiej). Wystąpiłam więc o wszystkie pozwolenia od dyrektora instytutu, dziekana, rektora i złożyłam wniosek o paszport.

Po 13 grudnia uznałam, że nic z tego nie będzie, ale jak zawiadomić profesora? Obgadałam sprawę z Kaczanowskim, powiedział, że się rozejrzy. Okazało się, że wszyscy, którzy mieli wyjechać na różne konferencje, stypendia, muszą napisać podanie do komisji w Ministerstwie Nauki. Nie byłam pewna, czy składać takie podanie. Andrzej powiedział, że rozmawiał z zaufanymi osobami i że należy to złożyć. Moi rodzice i przyjaciele też uważali, że powinnam je złożyć, więc zaczęło się wymyślanie, co napisać. O ile pamiętam, powstał niezły elaborat, na pewno było, że jestem niezbędną do kontynuacji wspólnych badań. Podanie składało się w jakimś okienku w rektoracie, w Pałacu Kazimierzowskim. Poszedł ze mną profesor Kaczanowski. Stoimy w długiej kolejce, aż tu nagle czuję, że ktoś mnie puka w ramię, odwracam się, a to profesor Poskuta³ z botaniki. Słabo go znałam, czasami spotykałam go w filharmonii, „Dzień dobry, dzień dobry” i to wszystko. Wiedziałam, że jest w partii – na biologii do partii należało niewiele osób i – przynajmniej za moich czasów – byli nieszkodliwi. Zapewne zauważył długość mojego podania, bo powiedział: „Chodźmy na kawę! To podanie jest do bani, za długie”. Na dole był klub, usiedliśmy i wówczas wyjaśnił nam: „Słuchajcie, przecież to jest komisja wojskowa – on też składał jakieś odwołanie, bo miał wyjechać na jakąś konferencję – przecież w tej komisji ministerialnej decydują pułkownicy, trzeba napisać krótko, w żołnierskim stylu”. I zapytał: „Jakie pani ma stypendium?”. Odpowiadam, że szwajcarskie. „To świetnie, trzeba zasugerować, że odmowa wyjazdu oznacza zerwanie umowy międzynarodowej i dobrze byłoby, żeby profesor z Genewy upomniał się o panią. Czy nikt z pani rodziny, przyjaciół nie wyjeżdża teraz za granicę?”

³ Jerzy Poskuta (1931–2012) – biolog, profesor, od 1955 r. pracownik Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi, potem Wydziału Biologii UW, długoletni kierownik Zakładu Fizjologii Roślin.

Puszczali ludzi za granicę?

Tak, była możliwość wyjazdu na święta do rodziny, puszczali starsze osoby, które już miały paszport i bilet. Podziękowaliśmy profesorowi Poskucie za wszystkie rady i już nie pamiętam, czy złożyłam nowe podanie, skrócone, w żołnierskim żargonie, czy zrezygnowałam. Przypomniałam sobie, że ciocia Alinka jedzie na święta do córki, zięcia Anglika i wnuka. Pierwotnie wujostwo mieli jechać razem, ale tylko ciotka dostała zezwolenie. Czym prędzej pojechałam do wujostwa i przedstawiłam sytuację. Ciotka, jak w tym filmie Barei⁴, nauczyła się wszystkiego na pamięć, żeby nie mieć kartki [śmiech]. Zaraz po wylądowaniu wyrecytowała treść listu z podkreśleniem zerwania umowy międzynarodowej – krążyła plotka, że reżim bał się takich sytuacji, teoretycznie mogły grozić sankcje finansowe. Szybko dostali odpowiedź od de Hallera, o czym dowiedziałam się po powrocie cioci Alinki. I zapadła cisza.

Dalej nie było przecież żadnych telefonów, żadnej innej możliwości komunikacji. Pogodziłam się z tym, że nie jadę, nadal uważałam, że w tej sytuacji wyjazd jest bez sensu, miałam małe dziecko, byłam wtedy sama, rodzice byli starszymi ludźmi, ojciec ze schorowanym sercem. Załatwiłam wczasy w Krynicy Morskiej – Uniwersytet miał takie ośrodki – na przełom lipca i sierpnia.

I przychodzi maj, piękny dzień, chyba piątek, już miałam wychodzić po córkę do przedszkola, na Karową (przedszkole dla pracowników UW) a tu telefon (wewnętrzna linia uniwersytecka). Jakiś facet mówi: „No co, pani Kiersnowska, jedzie pani czy pani nie jedzie?”. Ja na to: „No tak, jadę do Krynicy”. Myślałam, że to ktoś z działu socjalnego. A on: „Co pani mi tu zasuwa? Jedzie pani do tej Genewy czy pani nie jedzie? Mam ten pani paszport anulować czy jak?”. No wie Pan – serce w piętach [śmiech]. Jaki paszport, kurde, o co chodzi? Byłam na tyle przytomna, żeby powiedzieć, że bardzo się spieszę, bo muszę odebrać córkę z przedszkola. „No to niech się Pani decyduje, czekam”. Dał mi dwa czy trzy dni, coś takiego. Wyobraża Pan sobie, że miałam kompletny mętlik w głowie. Pojechałam do domu i mówię o tym. Dyskusja. Ja uważałam, że nie powinnam jechać, rodzice byli przeciwnego zdania. Uważali, że jeśli sytuacja się pogorszy, w każdej chwili mogę wrócić, poza tym nawet niewielkie stypendium da pewne zabezpieczenie finansowe. Pensja uniwersytecka była bardzo, bardzo mizerna. Emerytura ojca również. Ale głównym argumentem była możliwość rozwoju naukowego, poznania nowych technik i tak dalej. W tej dyskusji pojawił się jeszcze jeden aspekt, otóż rodzice uważali, że nie mogę iść po paszport sama. Sugerowali,

⁴ Stanisław Bareja (1929–1987) – reżyser, scenarzysta filmowy i aktor, autor filmów przedstawiających w krzywym zwierciadle Polskę w czasach PRL, m.in. *Miś*, *Brunet wieczorową porą*, *Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz czy Nie ma róży bez ognia*.

żeby Kaczanowski poszedł ze mną. Doskonale zdawali sobie sprawę, że mogą coś mi podłożyć. Pierwotnie miałam jechać tylko na pół roku, bo córka miała pójść do pierwszej klasy, a wiedziałam od cioci Alinki, że profesor wystąpił o pobyt roczny.

Nie mogła Pani wziąć córki ze sobą?

Nie, to w ogóle nie wchodziło w grę. Poszłam do Kaczanowskiego, przedstawiłam rozmowę z rodzicami. Oczywiście zgodził się pójść ze mną do tego działu wydającego paszporty. Domyślił się, że dzwonił do mnie Kurzyca, chyba kierownik tej sekcji paszportowej.

To było niebezpieczne pójść samotnie?

Wie Pan, tata miał swoje lata i wiedział, że w takiej sytuacji oni mogą czegoś ode mnie chcieć. Podpisać jakieś zobowiązanie, cokolwiek, po cholere się pchać w sytuację tego typu, zawsze lepiej być z kimś, kto nie jest bezpośrednio zaangażowany. Oczywiście byłam potwornie zdenerwowana, a trzeba było różne papiery podpisywać: odbiór paszportu z wizą (to był paszport służbowy), biletu na samolot i, jak pamiętam, wyrażenie zgody, że jakąś część uposażenia przekazuje UW – jak się wyjeżdżało na stypendium polskie czy inne, trzeba było jakąś część zarobków (jedną czwartą, jedną trzecią – nie pamiętam) oddać Uniwersytetowi. Pamiętam, że dużo było tej papierologii. Andrzej Kaczanowski stał koło mnie i sprawdzał, co Kurzyca dawał mi do podpisania. Pamiętam, jak Andrzej mówił: „Podpisz tu i tu”. Z Kurzycą pracowała pani wydająca bilety, do dziś pamiętam jej pełne oburzenia spojrzenie, była wyraźnie co najmniej zła. Oni doskonale wiedzieli, kim jest Andrzej, przypominam, że on działał w pierwszej komisji „Solidarności” na UW. W końcu ten cyrk się skończył, wychodzimy, już jesteśmy w drzwiach, jak Kurzyca oznajmia: „Pani Kiersnowska, jeszcze jedno...” – taka typowa zagrywka, jak z literatury – odwracam się z myślą: „Kurza stopa, co teraz będzie?”. Ale trzymam ten paszport [śmiech] i bilet, a on mówi: „Pani Kiersnowska, a Pani tam pozdrowi naszych”. Miałam zapewne oczy jak spodki... [śmiech] Wybąkałam tylko „Nie rozumiem”, odpowiedział „Aha” i to był ten ostatni akcent rozmowy. Miałam wyjechać chyba mniej więcej w połowie czerwca.

A jak profesor dowiedział się, że jednak przyjadę? Otóż jeden z pierwszych transportów z pomocą humanitarną⁵ przyjechał ze Szwajcarii zorganizowany przez

⁵ Pomoc humanitarna dla Polaków w czasie stanu wojennego – w okresie stanu wojennego wiele organizacji międzynarodowych, w tym m.in. Międzynarodowy Czerwony Krzyż oraz Kościoły na Zachodzie, zaoferowało pomoc humanitarną Polsce. Pomoc konkretnym osobom okazali również obywatele RFN, wysyłając paczki z najpotrzebniejszymi artykułami.

organizację Pro Polonia, którą stworzyła moja ciotka, Maria Estreicherowa. Ona przyjechała ciężarówką do Wrocławia, a następnie odlatywała z Warszawy do Genewy. Była u nas i przez nią profesor został zawiadomiony.

Nie dało się przesyłać wiadomości?

Nie, nic nie było. Później, jakoś w lipcu, a może w sierpniu, jak byłam już w Genewie, przywrócili telefony, ale wtedy nie było możliwości. No i pojechałam, profesor się bardzo ucieszył, koledzy miło mnie przyjęli. Wróciłam po roku, zdałam paszport służbowy, Kurzyca bardzo się wówczas spieszył, przyjął paszport i o żadnym haraczu dla UW nie wspomniał, więc miałam sprawę z głowy.

Pod koniec pobytu w Genewie dowiedziałam się, jak doszło do tego, że otrzymałam zezwolenie na wyjazd. Jadąc do Genewy, nie wiedziałam, że profesor de Haller, zagorzały antykomunista, był odpowiedzialny na Uniwersytecie Genewskim za szkolenie wojskowe studentów. Jak wiadomo, oni mają inny system wojskowy, nie mają zawodowej armii.

Tylko szkoli się obywateli.

Tak. Wobec tego studenci – albo przed studiami, albo w trakcie studiów – przechodzą te szkolenia, potem są powoływani na kolejne szkolenia i tak dalej. I on był za to odpowiedzialny. Raz w tygodniu nie było go w laboratorium, bo jeździł do Berna, dopiero później się dowiedziałam, że był w ministerstwie obrony jakąś szychą [śmiech]. Przed powrotem do Polski powiedział mi, jak to się stało, że przyjechałam. Otóż jak dostał ten list z Anglii, to po pierwsze uderzyła go forma listu, bo tak piękne listy po angielsku widywał rzadko (mąż mojej siostry ciotecznej był na uniwersytecie wykładowcą anglistyki) [śmiech]. Pamiętam, jak z wielkim zażenowaniem opowiadał: „Zrobiłem taką rzecz. Otóż na blankiecie ministerstwa obrony napisałem w krótkich żołnierskich słowach [śmiech] co to jest, że ty nie przyjeżdżasz i to jest zerwanie umowy”. Mówił, że to były chyba tylko trzy czy cztery zdania [śmiech], ale ze wszystkimi pieczętkami [śmiech]. Dla praworządnego Szwajcara wykorzystanie takiej drogi stwarza duży dyskomfort psychiczny, pewnie dlatego zwierzył mi się dopiero po roku. Zapewne forma upomnienia się o mnie szybko przekonała panów pułkowników w ministerstwie, bo to było coś, co oni rozumieli [śmiech]. Taki był finał tej opowieści, ale później, już po latach spotkałam się z zarzutem, że: „Jeżeli wyjechałaś w stanie wojennym, to przecież musiałaś coś podpisać”.

Faktycznie niektórzy tak mówią.

No i jaki ma Pan dowód, że Pan nie podpisał? Na szczęście miałam Kaczanowskiego ze sobą, który sprawdzał każdy papier. Bo gdybym nie miała, to co by było? [śmiech] Taką mam opowieść o moich perypetiach na UW w stanie wojennym. A ponieważ wyjechałam w pierwszych dniach czerwca, to później już nie uczestniczyłam w tym, co się działo w kraju.

No tak, miała Pani świadka.

Na szczęście. Łatwo sobie wyobrazić, jak niechący można coś podpisać w zdenerwowaniu, łatwo nie doczytać. Poza tym na pewno zdarzały się szantaże typu: „Jak pan/pani nie zgodzi się złożyć relacji z pobytu, to nie wydamy paszportu”.

Bardzo wiele było tych papierów i między nie mogli wsadzić coś niepożądanego?

Mhm. A tu jeszcze na drugiej stronie! Doczyta Pan tę drugą stronę, jak jest Pan zdenerwowany?

Rzeczywiście, raczej nie. Pozwolę sobie dopytać: kiedy była Pani w Genewie, to jak mniej więcej – wtedy już mogła Pani spojrzeć z zupełnie innej perspektywy, zza kurtyny – wyglądała sytuacja w Polsce? Czy Polacy poza krajem oraz obcokrajowcy angażowali się w sytuację i interesowali się tym, co się dzieje?

Tak, oglądałam dwa dzienniki: francuski i szwajcarski. Dużo więcej mówiło się we francuskim, mniej w szwajcarskim. Głównie we francuskim były pokazywane wszystkie demonstracje. Niech Pan pamiętać, że we Francji, w Paryżu była bardzo duża organizacja wspomagająca Polaków i uchodźców. Poza tym był to czas, kiedy i do Francji, i do Szwajcarii zaczęły przyjeżdżać osoby, którym nie dano wyboru, powiedziano na przykład, że albo pan wyjedzie, albo... Więc niektóre osoby decydowały się wyjechać. Później poznałam młodego człowieka, którego wsadzili do paki, on cierpiał na przewlekłą chorobę i bez odpowiedniej operacji ta choroba zagrażała życiu. Szantażowali go, w końcu ulegli prośbom matki i zezwolili na wyjazd do Niemiec na operację, ale bez prawa do powrotu do Polski, potem znalazł się w Szwajcarii.

Istniały w tamtym okresie obozy dla uchodźców, na przykład w Austrii, pod Wiedniem był ośrodek dla uchodźców, bardzo dużo było tam Polaków. W obozie starali się o wizy innych krajów, które ich chciały przyjąć. Wielu wyjechało do Australii, Nowej Zelandii, USA, Kanady, ale też do Szwajcarii. Bardzo często byli to po prostu uchodźcy ekonomiczni, którzy chcieli zwać z socjalistycznego

dobrobytu. Były też takie osoby, które w momencie, kiedy wybuchł stan wojenny, akurat znalazły się poza Polską i nie decydowały się na powrót ze względu na różne zaangażowania w rozmaitych komitetach. Opowiadano mi takie zdarzenie – nie wiem, czy ta osoba była uchodźcą politycznym, czy ekonomicznym, chyba jednak politycznym, zmuszonym do wyjazdu z rodziną – przyjęli go Szwajcarzy, dostał mieszkanie w Neuchâtel i zasiłek na urządzenie się, zajął się stolarką. Jak stanął na nogi, zgłosił się do odpowiednich władz, że chce sukcesywnie spłacić dług, to bardzo zaimponowało Szwajcarom.

W Szwajcarii były komitety pomocy Polakom, nie tylko wspomniana już Pro Polonia, ale też inne organizowane przez stowarzyszenia Polaków w Szwajcarii. Pomagali nie tylko uchodźcom, ale też wysyłali paczki do Polski, nie tylko dla rodzin więźniów, ale i dla ubogich. Wielu Szwajcarów pomagało nie tylko finansowo, oddawali też ubrania, produkty żywnościowe. W Genewie Pro Polonia miała magazyn, w którym gromadzono rzeczy. Pracowały tam głównie Szwajcarki. Czasem pomagałam im w przygotowywaniu transportu, który przecież trzeba było opłacić. Moja wspomniana już ciotka, Maria Estreicher, ale też jej córki bardzo były w ten ruch zaangażowane. Ciotka pomagała wielu, wielu rodzinom, w tym prominentnym dziś politykom z różnych obecnie opcji, ale też po prostu ubogim ludziom z małych miasteczek czy wsi. Dostawała bardzo dużo różnych prośb, czasem zdarzały się też oszustwa, żerowanie. Tylko czasami udawało się sprawdzić wiarygodność tych prośb.

Na Uniwersytet Genewski powróciłam w październiku 1987 roku, otrzymałam oficjalny roczny kontrakt. Przy odbiorze paszportu i biletu Kurzyca zorientował się, że nie mam potwierdzenia wpłacenia „haraczu” z pierwszego pobytu. Ja na to: „Ale żadnego wezwania w tej sprawie nie otrzymałam. Pan na moim miejscu tak dobrowolnie oddałby forsz?”. To chyba była jego ewidentna wpadka, więc szybko dał mi paszport i było po sprawie. Jak wróciłam, na jesieni 1988, nikt nawet nie upominał się o zwrot służbowego paszportu, a ja nie paliłam się do wizyty w dziale paszportowym, mam go do dziś.

Po latach reperkusje mojego wyjazdu w stanie wojennym były nieprzyjemne. Przez przypadek dowiedziałam się, że widnieję na liście Wildsteina⁶. Wpadłam w stupor, a potem w szal. Chciałam to natychmiast sprawdzić w IPN. W „Gazecie Wyborczej” wyczytałam, że w zasobach IPN-u sprawdzić mogą jedynie osoby

⁶ Lista Wildsteina – lista danych osobowych osób, które w czasie PRL miały być osobowymi źródłami informacji służb bezpieczeństwa PRL, zawierała ponad 100 tys. nazwisk, wyniesiona z IPN przez publicystę „Rzeczpospolitej” Bronisława Wildsteina i opublikowana na początku 2005 r. w internecie.

poszkodowane, ofiary reżimu i tak dalej. Zrozumiałam, że to dotyczy osób aresztowanych, nękanych psychicznie i fizycznie – a więc nie mnie. Po latach okazało się, że źle zinterpretowałam status osoby pokrzywdzonej i miałam podstawy, aby ubiegać się o taki status (to już nie dotyczy UW). Jak na stronie UW wbiło się moje imię i nazwisko, to pierwszą informacją było miejsce na liście Wildsteina. Początkowo bardzo to przeżywałam i nie rozumiałam, dlaczego to mnie spotkało. Potem poznałam wiele osób, w tym powstańców więzionych w latach pięćdziesiątych albo wyrzuconych z pracy za AK – najpierw się zdenerwowali, a potem olali sprawę. Dopiero jak zostałam wybrana na sekretarza „Solidarności” na UW, to wystąpiłam do IPN-u o udostępnienie tych kwitów. Okazało się, że pod koniec lat siedemdziesiątych jakiś ubek, nie wiem kto, bo tam jest wymazane nazwisko, zgłosił, że ja mam dojście do doktora Umińskiego i że warto mnie zwerbować. Zaczął więc procedurę od sprawdzenia mnie.

Tomek Umiński był bardzo zaangażowany w działania opozycji, między innymi w procesy radomskie⁷, a w stanie wojennym był internowany. Dziś ma dziewięćdziesiąt lat. Po skończeniu studiów byłam zatrudniona jako asystent-stażysta. Wówczas młodzi asystenci rozpoczynający dydaktykę byli pod opieką starszych doświadczeniem adiunktów. U nas zajęcia nigdy nie były jednoosobowe, bo to są zajęcia laboratoryjne. Znalazłam się w grupie, którą opiekował się Umiński. Pewnie opowiadałam coś w jakimś towarzystwie – przecież nie pamiętam [śmiech] – o Umińskim. I to jest kuriozalne: ubecy byli płatni od liczby nie tylko zwerbowanych ludzi, ale również tych zgłoszonych do weryfikacji. Im więcej osób, tym więcej oni mieli zysku (dowiedziałam się o tym później). A ta weryfikacja mojej osoby to śmiech na sali, wszystko poufne, specjalnego znaczenia, jakieś tajne polecenia do rejonowego komisariatu, akcje weryfikacyjne dzielnicowego i tym podobne, a na koniec, wiosną 1980, wniosek tego ubeka, żeby przenieść mnie do archiwum. W uzasadnieniu: wyjechałam do Szwajcarii i tam pozostanę, czyli wybrałam wolność. To naprawdę kuriozalne, bo sprawdziłam: jak ten wniosek był złożony, to ja już wróciłam z prywatnego dziesięciodniowego wyjazdu do Szwajcarii. Chyba w lipcu aż dwóch szefów tego ubeka musiało wyrazić zgodę na przeniesienie mnie do archiwum. Zważywszy na wydarzenia, które miały nadejść, miałam dużo szczęścia. Może ten ubek odszedł z pracy albo miał tyle rozpracowywanych łebków, że zapomniał o mnie, albo wierzył, że nie wróciłam. Ufff, pamiętam, jak czytałam w IPN-ie te bzdury, to musiałam wychodzić, żeby nie zakłócać ciszy czytelnii swoim śmiechem. Oczywiście poprosiłam o kopię i ją mam. Ale niesmak pozostał. A teraz niech Pan sobie wyobrazi, jakby było, gdyby ta moja teczka ciągle leżała w stosie teczek tego ubeka, który brał pieniądze za weryfikację mojej osoby. Teoretycznie

⁷ Chodzi o procesy sądowe przeciwko uczestnikom wydarzeń w 1976 r. w Radomiu.

nadawałam się idealnie do szantażu, samotna matka, starsi rodzice, ojciec bardzo schorowany [śmiech]. Myślę, że Wildstein dysponował głównie aktami z archiwum. Jak wspomniałam, znam inne podobne przypadki osób z listy archiwalnej.

Też zostały przeniesione w ten sposób?

Tak, to byli starsi panowie, wiem, że jeden z nich też był w zasobach archiwalnych. Czy drugi doczekał się weryfikacji, nie wiem, zmarł niedługo po ogłoszeniu listy, ale nie mógł zostać zwerbowany, bo został wyrzucony z ASP i miał duże trudności z uzyskaniem jakiegś pracy.

To w takim razie kto wrzucił całą listę na stronę UW?

Nie wiem, kto mnie umieścił, tak jak nie wiem, kim był ten ubek, gdzie mogłam spotkać tego faceta. Oczywiście zastanawiałam się, mam plus minus dwa typy, ale pewności nie mam [śmiech].

Dużo się mówi o tym, że władza miała swoich ludzi wszędzie. Na ile to się pokrywa z prawdą? Na ile faktycznie panował jakiś rodzaj braku zaufania wobec siebie?

Po pierwsze ja nie należałam ani do żadnych ZMS-ów, ani do żadnej partii, moi rodzice też nie. Ludzie rozmawiali z sobą dość swobodnie, oczywiście nie z nieznajomymi, różne rzeczy opowiadali, w moim pokoleniu nie było takiego strachu jak w latach pięćdziesiątych. W moim kręgu towarzyskim raczej nie spotykałam członków partii, albo nie chwalili się tym. Ale opowiadano mi, że jeżeli ktoś był w partii, to wezwany na dywanik miał obowiązek zrelacjonować na przykład „interesującą” ich rozmowę. Jedni się migali, ale pewnie niektórzy nie. Na przykład jeżeli ktoś wyjeżdżał za granicę na budowę jako inżynier, jeśli miał jakąś większą funkcję, to musiał wstąpić do partii i miał obowiązek potem składać sprawozdanie. Myślę, że jedni się wykpiwali, a inni byli bardzo lojalni. To też pewnie zależało od tego, jacy ludzie byli w POP-ach, podstawowych organizacjach partyjnych⁸ – czy przepuszczali przez palce, czy byli nadgorliwi, bo chcieli się zasłużyć i zrobić karierę. Kariera zawsze jest karierą i wtedy nie było inaczej. Niech Pan pamięta, że taki wyjazd za granicę bardzo stawiał ludzi na nogi. Tak że motywacje były najróżniejsze, ale ci ludzie, którzy składali te sprawozdania w ramach obowiązku, nie są na liście Wildsteina, a przecież wszyscy wiedzą, że to robili, bo oni sami tego nie ukrywają, przynajmniej niektórzy.

⁸ Podstawowa organizacja partyjna – najmniejsza jednostka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, istniejąca w zakładach pracy, uczelniach i instytucjach kulturalnych w latach 1949–1989. Należał do niej każdy członek PZPR.

Natomiast ci, co donosili... A teraz to co – też nie ma donosów? W czasie wojny nie było donosów? Ile było donosów, na wszystkich, na sąsiadów, na Żydów, na kogoś, bo on ma więcej niż ja. Przecież to było, a tego się nie mówi. Oficjalnie mówi się tylko o postawach bohaterskich, o ludziach niezłomnych, ale nie można zapominać, że podobno donosicielstwo w Polsce było straszne. I UB⁹ miało kogo werbować, myślę, że ci, którzy donosili w czasie okupacji czy mieli coś na sumieniu, nie mieli skrupułów wstąpić do UB czy dać się zwerbować jako tajni współpracownicy. Na pewno część ludzi pozyskana jako agenci została złamana podczas przesłuchań, fizyczną torturą czy szantażem zagrożeń dla bliskich. A z drugiej strony niech Pan pomyśli – przecież lata powojenne to okres awansu społecznego. Wielu bardzo zdolnych ludzi, którzy przed wojną mieli małe szanse zrobić maturę, mogli pójść na studia i myślę, że przynajmniej część z nich mogła początkowo wierzyć w to, co im mówią tak zwani aktywiści. A potem zweryfikowali swoją wiarę, ale mogło już być za późno, już byli umoczeni. Wydaje mi się, że tak też mogło być, ale nie jest to takie łatwe do ogarnięcia, a poza tym kariera, kariera, a teraz nie mamy karier? Dziś młodzi ludzie, w pana wieku, zwłaszcza młodzi historycy, bardzo często oceniają bezwzględnie, nie uwzględniając okoliczności, nie zastanawiając się, jak sami by się zachowali. Łatwo wydawać opinię ex post.

No tak, kariera za wszelką cenę.

Właśnie, za wszelką cenę. Do tego dochodzi nieposkromiona chęć wzbogacenia się. Ale to już inny temat.

Bardzo Pani dziękuję.

⁹ UB – Urząd Bezpieczeństwa, określenie organów bezpieczeństwa państwa funkcjonujących w Polsce w okresie stalinizmu (1944–1956), po czasie odwilży w 1956 r. zreorganizowane i włączone do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jako Służba Bezpieczeństwa (SB).



Rozmowa 9.

Andrzej Kaczanowski

Profesor nauk biologicznych, syn Włodzimierza Kaczanowskiego, działacza PPS, który zginął w pierwszym dniu powstania warszawskiego na Żoliborzu. Od czasu studiów związany z UW, na którym podjął pracę na początku lat 60. XX wieku. Sympatyk opozycji czasów PRL, wspierał między innymi KOR, ostatecznie profesorem został dopiero po 1989 roku, aktywny działacz i współorganizator NSZZ „Solidarność” na UW od momentu powstania (członek komisji Solidarności na Wydziale Biologii UW). Podczas stanu wojennego aktywnie uczestniczył w jawnych działaniach Komisji Senackiej, a potem rektorskiej Komisji do Spraw Pozbawionych Wolności i rektorskiej Komisji Pomocy Prawnej oraz w niektórych działaniach podziemnej „Solidarności”. Zapalony grotolaz.

Wywiad: Maja Jeśmanowicz, studentka III roku zarządzania na Wydziale Zarządzania UW, sekretarz zarządu Koła Naukowego Nowoczesnej Bankowości Fintech
Transkrypcja: Gabriela Herzyk

ANDRZEJ KACZANOWSKI: Z dzisiejszej perspektywy trudno już wyobrazić sobie różne rzeczy. Kiedy zaczął się stan wojenny, to było 13 grudnia 1981 roku, byłem wtedy z dziećmi i z moją świętej pamięci teściową, ponieważ żona była w tym czasie na stypendium zagranicznym (my obydwójce jesteśmy biologami). Nie było jej wobec tego w kraju. Rano zwykle był poranek dla dzieci¹, puszczało się telewizor. Tym razem jednak poranka dla dzieci nie było, nic nie było. W radio była jakaś poważna muzyka. A telefon był głuchy. No i moja teściowa powiedziała, że telefon się zepsuł, że trzeba kogoś tu sprowadzić, telewizor się zepsuł. Ale zasada jest taka, że jak dwa mało prawdopodobne zdarzenia występują razem, to jest mało prawdopodobne, żeby było to sprawą przypadku. Puściliśmy jeszcze radio i wtedy usłyszałem tam ostatnie takie zdanie, z którego wynikało, że jest Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego... Wobec tego natychmiast postanowiłem przyjechać na UW. Wziąłem mały plecak, jak to się zwykle w takich sytuacjach robi, przysłowiową szczoteczkę do zębów, najbardziej niezbędne rzeczy i starałem się jak najszybciej wyjść, aby nie zrobić jakiejś sceny z teściową. Żony nie było, z czego w tej sytuacji pod pewnymi względami byłem nawet zadowolony. Kilka dni wcześniej mieliśmy jakieś zebranie „Solidarności” uniwersyteckiej, na którym Maciej Jankowski² powiedział, że grozi nam coś w rodzaju stanu wyjątkowego i że wtedy należy przyjechać na Uniwersytet i tu się zebrać. I myśmy podjęli taką uchwałę w tej sprawie. No ale jedna rzecz jest podjąć taką uchwałę, jak się siedzi tam wśród stu czy więcej osób, i nie wypada, że tak powiem, małostkowo nie podnieść ręki, a inna rzecz jest to wykonać. W każdym razie ja wtedy rzeczywiście przyjechałem tutaj na UW. Po drodze na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej, tam gdzie był Sezam, spotkałem Michała Nawrockiego, który niestety już nie żyje, był bardzo zdolnym fizykiem, o czym dowiedziałem się właściwie dopiero trzy lata temu na jego pogrzebie, ale w roku 1981 był członkiem komisji zakładowej „Solidarności” Uniwersytetu Warszawskiego. I później już za rektora Siwińskiego³ był prorektorem Uniwersytetu, tak że był to człowiek później dość znaczący. W każdym razie jak go tam spotkałem, to obok nas przechodził żołnierz, który spotkał jakiegoś człowieka i pytał go o jakiś adres, bo szedł z jakimiś rozkazami. I wtedy Michał powiedział temu człowiekowi, który udzielał wskazówek żołnierzowi: „Dzisiaj, jak ktoś pyta się pana, żołnierz w szczególności, o kierunek drogi

¹ „Teleranek” – poranny program telewizyjny dla dzieci i młodzieży emitowany od 1972 r., z pewnymi przerwami do dziś. Brak „Teleranka” (zawieszonego wówczas na kilka miesięcy) stał się w świadomości potocznej jednym z symboli stanu wojennego.

² Maciej Jankowski (1946–2019) – pracownik fizyczny, członek Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” i przedstawiciel pracowników fizycznych w Senacie UW.

³ Włodzimierz Siwiński – ekonomista, absolwent i profesor na UW, prorektor UW w latach 1987–1993, rektor UW w latach 1993–1999, przewodniczący Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich w latach 1996–1999.

i pan wie, że to jest tu, to należy pokazać tam” [śmiech]. I to zapamiętałem jako taką drobną okoliczność. No i wtedy zebraliśmy się w komisji zakładowej i bardzo szybko zorientowaliśmy się, że pewni ludzie nam w ogóle znikają. Od razu zaczęto robić listę tych (wszyscy wiedzieli, że tak trzeba) ludzi, których nie ma w domu, z którymi nie można nawiązać kontaktu. Jeszcze nie wiedzieliśmy w tym momencie, że to były internowania, jak szeroko to szło, w każdym razie wiadomo było, że trzeba taką listę robić. Komisja zakładowa postanowiła zostać na noc w swoim lokalu w Pałacu Kazimierzowskim, a ja spędziłem noc w tak zwanym ryzalicy w naszym laboratorium. W tym budynku, który należy do historii, jest jeszcze jedna klatka schodowa. To się nazywało „ryzalit” i wtedy to skrzydło budynku należało do Wydziału Biologii, wraz z żoną mieliśmy tam swoje laboratorium, w bardzo złych warunkach, co prawda, no ale tam pracowaliśmy. Późnym popołudniem przyszedł do mnie Wojciech Ostrowski, który jest kuzynem mojej żony i był działaczem opozycji demokratycznej od lat siedemdziesiątych. Jak się okazało później, on był już wtedy poszukiwany, a ja go namówiłem, żeby tam został ze mną i jakoś w śpiworze – ja zawsze na taką okoliczność brałem śpiwór – jakoś we dwóch przetrwaliśmy, że tak powiem, tę noc. I nie wiedzieliśmy, co będzie dalej. 14 grudnia w poniedziałek w Sali Senatu w Pałacu Kazimierzowskim odbyło się spotkanie komisji zakładowej oraz osób takich jak ja, które się poczuwały do tego, żeby tutaj być w tym momencie. Rektor Samsonowicz nas przyjął, użył najlepszej sali i wyperswadował komisji pomysł strajku okupacyjnego. Oczywiście mogliśmy się spodziewać w każdej chwili najazdu wojskowych i ja pamiętam, że w lokalu komisji zakładowej w Pałacu Kazimierzowskim coś tam było, jakieś broszury, i w pewnym momencie ktoś powiedział: „Bierzcie to, bo tutaj zaraz nam to wszystko wezmą”. Ja wtedy wziąłem, pamiętam, zapiski Smrkowskiego⁴. To było dla mnie interesujące, więc sobie to wziąłem. No i potem jakoś wróciłem na Żoliborz i tyle było pierwszych dwóch dni stanu wojennego. W następnych dniach przed bramą UW stali zomowcy w polowych mundurach i wpuszczali na teren tylko pracowników mających legitymacje służbowe lub specjalne zaświadczenia wydane przez odpowiednie służby i pozwalali zostawać do godziny szesnastej. Wszystkie zajęcia zostały odwołane. Telefony i zwykła poczta nie działały przez pierwsze miesiące stanu wojennego. Została także wprowadzona godzina policyjna, a przejazdy poza miejsce zamieszkania wymagały specjalnych zaświadczeń.

Z tego czasu przede wszystkim pamiętam to, że do rektora Samsonowicza, przed jego gabinetem, była zawsze kolejka osób, które miały kogoś internowanego, zatrzymanego i tak dalej. Rektor Samsonowicz działał w tych sprawach przez cały czas, wystawiał tak zwane poręczenia, cokolwiek mógł poręczyć i cokolwiek by to

⁴ Josef Smrkovský (1911–1974) – czeski polityk, w 1968 r. członek reformatorskiego skrzydła czeskiej partii komunistycznej.

miało oznaczać, to on cały czas to robił. Wiadomo było, że nie jest lubiany przez władzę. W kwietniu został odwołany i z nominacji ministerstwa rektorem został narzucony przez ministerstwo profesor Kazimierz Dobrowolski⁵. To było dla nas ogromne zaskoczenie. Kazik Dobrowolski był naszym starszym, ale jednak kolegą z naszego wydziału (wraz z żoną byliśmy z nim na ty, a nawet bywaliśmy u Dobrowolskich w domu z okazji imienin Kazika).

Środowisko Wydziału Biologii bardzo źle przyjęło jego nominację, którą przyjął od władz stanu wojennego. I wtedy zadzwoniła do mnie pani profesor Joanna Mantel-Niecko⁶ i powiedziała, że wszystkie sprawy dotyczące pomocy, a przynajmniej zbierania danych osób aresztowanych, zatrzymanych i internowanych prowadził rektor, profesor Samsonowicz, i że w zaistniałej sytuacji nie wiadomo było, co z tym wszystkim zrobić. I powiedziała mi przez telefon – pamiętam, że to było wieczorem – żebyśmy zadzwonili do Dobrowolskiego i spróbował mu powiedzieć, że mamy tutaj sprawy do przekazania i żeby zechciał spotkać się z rektorem Samsonowiczem i z nią. I ja zadzwoniłem wtedy do Kazika, czyli do profesora Dobrowolskiego, nie wiedząc, jak on na to zareaguje. W końcu sytuacja była wyjątkowo niejasna, ale on natychmiast w bardzo krótkiej rozmowie późnym wieczorem się zgodził. Następnego dnia doszło do spotkania obu rektorów z udziałem profesor Mantel-Niecko i do przekazania tych wszystkich spraw, w których rektor Samsonowicz wystawiał poręczenia. I po tym powstała Senacka Komisja do Spraw Osób Pozbawionych Wolności, co było w tej sytuacji ewenementem. W 1995 roku komisja przyjęła nazwę Senackiej Komisji Pomocy Społeczno-Prawnej. W 1997 roku, korzystając ze zmienionej ustawy o szkolnictwie wyższym (ministerstwo nie chciało się na nią zgodzić), Dobrowolski się zgodził, żeby odtąd była to komisja rektorska (co nie wymagało zgody ministerstwa). Rektor Dobrowolski także stale współpracował z tą komisją. Po wszystkich demonstracjach, które były na 1 maja, 3 maja, 11 listopada i tak dalej, było dużo osób zatrzymanych przez milicję. Procedura była taka, że te osoby były zatrzymywane, przetrzymywane do dnia następnego na dołku, czyli w komendzie Milicji Obywatelskiej w areszcie tymczasowym, i następnego dnia były dostarczane do kolegów do spraw

⁵ Kazimierz Dobrowolski (1931–2002) – biolog, profesor zwyczajny, absolwent i wykładowca na UW, prorektor UW w latach 1978–1981, rektor UW w latach 1982–1985, członek PAN.

⁶ Joanna Mantel-Niecko (1933–2009) – orientalistka, językoznawczyni, kulturoznawczyni (jej specjalnością była amharystyka, czyli filologia języka panującego w Etiopii), profesor, absolwentka i pracowniczka naukowa UW, w latach 1981–1982 dziekan Wydziału Neofilologii UW, od 1961 r. do 1981 r. członkini PZPR, od 1980 r. związana z NSZZ „Solidarność”, sekretarz Senackiej Komisji ds. Pozbawionych Wolności (1982–1985), Senackiej Komisji Pomocy Społeczno-Prawnej (1985–1987) i Rektorskiej Komisji Pomocy Społeczno-Prawnej (1987–1990, autorka książki *Próba sił*, internowana w czasie stanu wojennego (13–22 V 1982).

wykroczeń⁷ – tak żeby nie można było zorganizować jakiegokolwiek obrony prawnej, po czym zwykle karano zatrzymanego uczestnika demonstracji grzywną. Milicjanci, którzy dokonali zatrzymania, występowali w roli świadka oskarżenia. I komisja starała się temu zapobiegać. Komisja (ja byłem w niej najpierw takim nieoficjalnym pomagierem, a później już oficjalnie jej członkiem) miała listę adwokatów, którzy podejmowali się obrony uczestników demonstracji pro bono i do których się dzwoniło, a także wysyłała swoich obserwatorów na wszystkie sprawy sądowe i na kolegia do spraw wykroczeń. Na sprawach zawsze byli obecni zawiadomieni przez nas w ostatniej chwili obrońcy i obserwatorzy komisji, którzy byliby i tak najczęściej dopuszczeni, ale przychodzili z upoważnieniem rektora: i okazywali je kolegium. Upoważnienie wyglądało tak: „Upoważniam doktora Kaczanowskiego, numer legitymacji taki a taki, jako mojego obserwatora na sprawę pani albo pana takiej lub takiego, w kolegium do spraw wykroczeń” i podpisane było: „Rektor Dobrowolski”. Mało tego, że on wystawiał takie upoważnienia, on wystawiał je in blanco ze swoim podpisem, ponieważ trudno byłoby załatwić jego podpis, kiedy to się działo z dnia na dzień i to nie były normalne sytuacje i normalne sprawy. I komisja dysponowała takimi upoważnieniami. Kiedyś były tutaj pewne demonstracje, sytuacja w Warszawie była napięta. Spotkałem panią profesor Mantel-Niećko i ona mi powiedziała: „Mam tu różne rzeczy, w każdej chwili mogę mieć rewizję, mogę mieć nalot, weź to, schowaj gdzieś i przetrzymaj”. Poszedłem do koleżanki w Zakładzie Embriologii – to było bardzo dobre miejsce. Nieprędko w każdym razie by tam się coś znalazło. Ten alarm był, okazało się, przesadny i nikt do jej gabinetu nie przyszedł z rewizją. Niemniej najważniejsze w tym było to, co było najbardziej trefne: otóż te upoważnienia rektora Dobrowolskiego wystawione in blanco. Bo gdyby rzeczywiście była rewizja i ktoś z władz znalazł takie upoważnienia, tobyśmy Dobrowolskiego niesłuchanie wkopali. Mielismy także taką wygodę, że w tak zwanym biurze rektoratu pani Alicja Dobrowolska – to była zupełnie przypadkowa zbieżność nazwisk – po prostu miała segregatory, a w nich wszystko, co dotyczyło spraw na kolegiach, w sądach osób aresztowanych i internowanych, w tym listy, jakie władze otrzymywały od Amnesty International. Ona głównie, jeśli nie wyłącznie, tym się zajmowała. Praktycznie była sekretarką Komisji Osób Pozbawionych Wolności. Dzięki różnym interwencjom Wojciech Ostrowski został zwolniony z internowania, a nawet uzyskał zezwolenie na wyjazd zagraniczny w celu leczenia i operacji (niezbędnej) dla poratowania jego zdrowia. Zanim wyjechał, poszliśmy we dwóch do pani Dobrowolskiej i ona okazała

⁷ Kolegium do spraw wykroczeń – organ pozasądowy orzekający w sprawach o wykroczenia w czasach PRL, od 1972 r. kolegium karno-administracyjne. Kolegia były zawsze zlokalizowane w budynkach Rad Narodowych. Członkowie komisji pełnili swoje funkcje „społecznie” i często byli nimi emerytowani funkcjonariusze SB.

nam segregator Wojtko, w którym był między innymi list w sprawie Wojtko od Amnesty International.

Tak więc rektor Dobrowolski był z jednej strony nominatem władz stanu wojennego, z drugiej strony nieszczególnie robił to, czego się po nim te władze spodziewały, co zresztą skutkowało taką sytuacją: kiedy zaczynał swoją kadencję, pojechałem na kolegium na Pragę, gdzie nasi studenci byli właśnie maglowani po jakiejś demonstracji dnia poprzedniego. I na korytarzu kierownik tego całego kolegium wziął mnie na bok i powiedział, że nie wiadomo, jaki będzie wyrok, poza tym mogą być odwołania i żebym tak od razu nie informował pana rektora Dobrowolskiego i żeby on się nie spieszył z wyrzucaniem tych studentów – taki mniej więcej był sens jego przekazu – a ja w ogóle byłem tam absolutnie w innym charakterze, byłem obserwatorem komisji i przekazywałem jakieś pieniądze na grzywnę. Poza tym ta komisja była bardzo ważna także dlatego, że jej „duszą” był bardzo dobry prawnik, profesor Murzynowski⁸ (w latach 1982–1994 wiceprzewodniczący, w latach 1964–1988 przewodniczący), który później, już po ’89 roku, został sędzią w Sądzie Najwyższym. Profesor Murzynowski był znakomitym kar-nistą, był znakomitym prawnikiem, o czym wiem od ludzi, którzy są prawnikami. Bardzo go cenił na przykład Adam Strzembosz⁹. Myśmy się zbierali w Pałacu Kazimierzowskim, mieliśmy zawsze pokój, i profesor Murzynowski pisał jakieś pisma prawnicze, różne odwołania i tak dalej. Nie miał trzech czy dwóch palców w jednej ręce, ponieważ był ranny w powstaniu warszawskim. Mówię o tym dlatego, że w środowisku studenckim i uczelnianym ta komisja była bardzo często nazywana po prostu „komisją profesora Murzynowskiego”. W ostatnim roku czy w ostatnich dwóch latach – tuż przed zmianą ustrojową i jeszcze rok później (bo ciągle jeszcze były jakieś kwestie) – przewodniczył komisji profesor Safjan¹⁰. Dzięki temu, że byłem w tej komisji, miałem zaszczyt go poznać. On był przez pewien czas także prorektorem do spraw studenckich, później jeszcze był w tej komisji, a później był prezesem Trybunału Konstytucyjnego, a teraz jest w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

⁸ Andrzej Murzynowski (1926–2016) – prawnik, profesor, absolwent i wykładowca na UW, uczestnik powstania warszawskiego (pseudonim „Błysk”), prezes Sądu Najwyższego w latach 1990–1996.

⁹ Adam Strzembosz – prawnik i sędzia, profesor zwyczajny, emerytowany wykładowca na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w 1980 r. członek prezydium Komisji Koordynacyjnej Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości NSZZ „Solidarność”, przewodniczył komisji zakładowej w Ministerstwie Sprawiedliwości, a ponadto na początku 1981 r. wszedł w skład zarządu Regionu Mazowsze, uniknął internowania dzięki immunitetowi sędziowskiemu. W 1989 r. przewodniczył obradom podstolika sprawiedliwości okrągłego stołu, pierwszy prezes Sądu Najwyższego w latach 1990–1998, wiceminister sprawiedliwości, przewodniczący Krajowej Rady Sądownictwa w latach 1994–1998.

¹⁰ Marek Safjan – prawnik, profesor zwyczajny, wykładowca na UW, prezes Trybunału Konstytucyjnego w latach 1998–2006, od 2009 r. sędzia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

W lutym 1992 roku aresztowano sześcioro studentów Wydziału Matematyki UW pod zarzutami związanymi z naruszeniami stanu wojennego. Otrzymali oni sankcję prokuratorską i ich sprawa odbyła się w czerwcu przed sądem wojskowym na ulicy Nowowiejskiej i trwała parę dni. Z tego co pamiętam, udowodniono im, że spotkali się w jednym z mieszkań i odczytywali na głosy utwór Szpotańskiego pod tytułem *Cisi i gęgacze*, który wyśmiewał ustrój PRL-u. Ponadto byli oskarżeni o to, że jakieś nielegalne pisma, może ulotki umieścili w dziupli lipy, która rosła przed kościołem Najświętszej Marii Panny na Starym Mieście. Czy istotnie korzystali z tych dziupli, nie mam pojęcia. Po przeszło trzech miesiącach aresztu w więzieniu na ulicy Rakowieckiej troje z nich uniewinniono, a troje otrzymało wyroki jednego roku pozbawienia wolności z zawieszeniem na trzy lata. Studentów matematyki bronili bardzo znani adwokaci, mecenasi Siła-Nowicki, Jaworski i Grabiński.

Jednym z oskarżonych studentów matematyki był Krzysztof Lorentz, który był bratankiem obecnego na sprawie Stanisława Lorentza, słynnego dyrektora Muzeum Narodowego. Krzysztof jest także kuzynem i chrześniakiem mojej żony, która w tym czasie przebywała na kontrakcie naukowym w Nowym Jorku. Ponieważ nie działała poczta i była blokada informacyjna, mogłem jedynie prosić pewne osoby, które wyjeżdżały z kraju, o zabranie listu dotyczącego dzieci i spraw rodzinnych i wrzucenie go do skrzynki pocztowej poza Polską. W jednym z tych listów napisałem, że Krzysz Lorentz jest chory.

Podczas sprawy matematyków na jednej z przerw sprawy nastąpiło pewne poruszenie wśród rodziców i członków rodzin oskarżonych. Okazało się, że w sprawie Lorentza wpłynęło pismo z Amnesty International, o co podejrzewano jego stryja. Wkrótce po tym, po powrocie z USA żona powiedziała mi, że bezbłędnie odczytała w liście otrzymanym ode mnie, co to znaczy, że jej chrześniak jest chory. Na Yeshiva University w Nowym Jorku żona poznała profesor Bertę Sharrer, która była znanym biologiem, ale także działała na rzecz Amnesty International i to ona była autorką listu w sprawie Lorentza. Profesor Berta Sharrer, będąc Żydówką, jako dziecko wraz z rodzicami uciekła z nazistowskich Niemiec do USA, unikając holokaustu i dlatego uważała, że działalność na rzecz Amnesty International jest jej powinnością.

Mogę jeszcze podzielić się paroma innymi wspomnieniami. Zimą 1986 roku przed świętami Bożego Narodzenia zadzwoniła do mnie pani Joanna Mantel-Niećko i spytała się, czy mogę przyjechać na kolegium do spraw wykroczeń na Słowackiego na Żoliborzu, bo zaraz będzie tam sprawa. Wtedy były zimy, jeszcze nie było katastrofy klimatycznej, kolegium rozpatrywało sprawy typu „posesja”, bo każdy właściciel domku na Żoliborzu miał obowiązek uprzątnąć ze śniegu chodnik, jeśli tego nie zrobił, to mógł mieć sprawę i groził mu mandat. No i oni to rozpatrywali, a ja czekałem. W pewnym momencie okazało się,

że sprawy nie będzie, a w międzyczasie dojechała Joanna z upoważnieniem, bo ja przy sobie upoważnienia nie miałem, i powiedziała: „To chodźmy na kawę”. Wyciągnęła z torebki upoważnienie, na którym było napisane, że się upoważnia doktora Kaczanowskiego w sprawie Katarzyny Jaruzelskiej. Jej ojciec zawsze mówił, że to jest przypadkowa zbieżność nazwisk, ale ona nie była całkiem przypadkowa, bo generał i jej ojciec byli kuzynami ciotecznymi. Ona zresztą wyszła za mąż za Pawła Kastorego, który jest synem Ludwika Kastorego, a Ludwik Kastory był w KIK-u – w Klubie Inteligencji Katolickiej¹¹ i tam organizował obozy, na które jeździł nasz syn. W każdym razie było tu wiele różnych zachebień. Kolegium musiało być wtedy bardzo zestresowane, bo z jednej strony pani Katarzyna Jaruzelska nie była, jak to się mówi z ówczesnego punktu widzenia, „niewinna”, bo na działce miała mały domek i tam był magazyn bibuły, książek czy drukarnia – już nie wiem. W każdym razie ona wykorzystywała tę okoliczność, że była Jaruzelska.

Jak się skończyła ta sprawa?

No nie skończyła się.

Ano tak, bo jej nie było!

Nie było jej w końcu, bo sytuacja byłaby bardzo niezręczna. Już nie tylko ze względu na nią osobiście, ale jakby to brzmiało w jakichś przekazach w telewizji krajowej i w Wolnej Europie, że Katarzyna Jaruzelska i tak dalej. Niemniej sędzę, że kolegium było wtedy bardzo zestresowane.

Natomiast jedna rzecz jest naprawdę ważna – to była śmierć księdza Popiełuszki. Po śmierci księdza Popiełuszki Maciej Jankowski, który miał kontakty z Hutą Warszawa, załatwił krzyż. Hutnicy zrobili bardzo prosty krzyż, żelazny czy stalowy, w każdym razie metalowy, który później stał przed kościołem Stanisława Kostki na Żoliborzu¹². Natomiast bezpośrednio po wiadomości o śmierci księdza

¹¹ Kluby Inteligencji Katolickiej (KIK) – sieć organizacji społecznych katolików świeckich, tworzone w Polsce od 1956 r., ośrodki niezależnej myśli społecznej i politycznej opartej na doktrynie Kościoła katolickiego, akceptowane przez władze PRL, jednocześnie zazwyczaj silnie związane z opozycją demokratyczną.

¹² Kościół św. Stanisława Kostki w Warszawie – główny kościół na warszawskim Żoliborzu, znajduje się przy ul. Hozjusza na tyłach placu Wilsona. W latach 1974–1987 proboszczem parafii św. Stanisława Kostki był zaangażowany w działalność opozycyjną ks. Teofil Bogucki, a w latach 1980–1984 rezydentem w parafii był ks. Jerzy Popiełuszko (obecnie błogosławiony Kościoła rzymskokatolickiego), który od października 1980 r. wraz z innymi księżmi z tej parafii odprawiali Msze za Ojczyznę, które z czasem stały się manifestacjami patriotycznymi i politycznymi. Po zamordowaniu ks. Popiełuszki odbył się w nim jego uroczysty pogrzeb.

Jerzego Popiełuszki stał on tutaj, przed tymi tablicami, które są umieszczone na bocznej ścianie budynku Wydziału Historii i na których wypisane są nazwiska profesorów i wykładowców UW, którzy zginęli w czasie okupacji. Wtedy przez trzy kolejne dni zbieraliśmy się o godzinie dwunastej wokół tego krzyża dla uczczenia minutą ciszy pamięci księdza Jerzego Popiełuszki. Pierwszego dnia Jurek Wocial¹³ z filozofii inaugurował, że tak powiem, tę minutę ciszy, trzeciego dnia Maciej Jankowski, a drugiego dnia wypadło na mnie. I człowiek, który był szefem działu zabezpieczenia mienia na Uniwersytecie, a z drugiej strony był pułkownikiem Służby Bezpieczeństwa, pytał się niektórych zebranych o moje personalia, ale nikt mu nie powiedział mojego nazwiska. Ja byłem mniej znany, Maćka i Wociała być może kojarzył. W każdym razie nie miałem z tego powodu żadnych przykrości, chociaż było to w tamtej sytuacji nieco ryzykowne.

Jednym z aresztowanych pracowników był Maciej Jankowski. Należało dostarczyć mu niezbędne lekarstwa, które stale przyjmował. Wymagało to zgody prokurator Jackowskiej. W związku z tym udałem się z odpowiednim pismem do prokuratury, która mieściła się w gmachu sądów na ulicy Świerczewskiego, obecnie Solidarności. Pani Jackowska zareagowała bardzo agresywnie i nie udzieliła zezwolenia na dostarczenie leków, podkreślając, że każdy ma wybór i jak ktoś cierpi na chroniczne schorzenia, to nie powinien angażować się w nielegalną działalność. Kiedy wyszedłem na pusty korytarz prokuratury, to zauważyłem dwie rzeczy: gazetkę ścienną Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i stojącą na korytarzu szafę, na której coś leżało. Było to zakurzone ówczesne polskie godło państwowe, a więc oficjalny orzeł bez korony.

Mogę opowiedzieć jeszcze jedną historię, związaną z działaniem w komisji. Pracowałem w ryzalicy na pierwszym piętrze, czyli tutaj, na tym terenie, byłem u siebie i gdzieś koło godziny, powiedzmy, wpół do trzeciej – nie pamiętam, jaki to był miesiąc i dzień, ale pamiętam godzinę; to musiało być już w 1988 roku, już naprawdę końcówka tamtej władzy, więc niby już nie było tak groźnie – przyszła do mnie jakaś dziewczyna i powiedziała, że jej kolega będzie mieć sprawę na kolegium do spraw wykroczeń na ulicy Świerczewskiego, dziś Solidarności, w Radzie Narodowej dzielnicy Wola (kolegia były zawsze były w radach narodowych¹⁴).

¹³ Jerzy Wocial (1946–2009) – filozof, tłumacz, publicysta, doktor, absolwent UW oraz Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, od 1980 r. działacz NSZZ „Solidarność”, internowany w czasie stanu wojennego, w latach 1982–1989 działał w podziemnych strukturach „Solidarności” na UW, a także współdziałał z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów na UW, od 1994 r. członek, a następnie członek zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie, publicysta „Więzi” i „Rzeczpospolitej”.

¹⁴ Rada narodowa – terenowy organ władzy państwowej w PRL, zgodnie z konstytucją z 1952 r. wybierany na trzy lata w gminach, miastach, dzielnicach większych miast, powiatach i województwach.

Było to naprzeciwko gmachu sądów. Dziewczyna ta powiedziała także, że w sądach jest tak zwany dyżur adwokacki i że jak tam będzie jakiś adwokat, to żebym go poprosił, aby przeszedł na drugą stronę ulicy na sprawę naszego studenta. I tak się stało, że tam był nawet nie adwokat, tylko chyba aplikant, który bardzo chętnie się zgodził, i poszliśmy obaj na to kolegium. Okazało się, że student był obwiniony o to, że poprzedniego dnia zerwał plakaty dotyczące tak zwanych wyborów do rady narodowej. Świadek opowiadał, że to było w parku na Woli, byli tam jacyś ludzie, zauważyli go i wykonali odpowiedni telefon, ściągnęli mu na głowę milicję, ale on wyprowadzał psa. Milicjant był w randze sierżanta, nie był bardzo szczupły i też miał psa. Psy się nie polubiły i w związku z tym student nie bardzo mógł szybko uciekać, bo była awantura z tymi dwoma psami. Natomiast sierżant milicji, który z powodu swojej tuszy nie mógł szybko biegać, wyciągnął spluwę i zaczął strzelać. Wierzę, że nie chciał zabić, że – jak to się mówi – strzelił w powietrze, studentowi nic się nie stało. Niemniej ten aplikant adwokacki, ten obrońca obrócił całą tę sprawę przeciwko temu milicjantowi – czy on sobie zdaje sprawę, że mógł zabić człowieka. I zamiast sprawy studenta zrobiła się nagle sprawa tego milicjanta. Ku niesłuchanemu zdumieniu, także członków tego kolegium, którzy byli być może emerytowanymi esbekami i byli napompowani tym, że tutaj mają przestępcę i mieli poczucie swojej właściwości. I oczywiście ta sprawa skończyła się na niczym, studenta zwolniono, sprawę temu milicjantowi oczywiście też trudno było założyć. Tak to się skończyło.

A czy był Pan aresztowany w tym czasie?

Nie byłem aresztowany. Raz mnie zatrzymano, ale tylko chwilowo, bo obserwowałem właśnie te głosowania.

Nie jest to może najważniejsza rzecz, ale kiedyś było tak, że czekałem na kolegium na ulicy Nowogrodzkiej, też w radzie narodowej. Siedziałem, czekałem, a obok mnie siedziało dwóch zomowców, dwóch milicjantów. I przez cały ten czas w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Zwróciłem na to uwagę dlatego, że ksiądz Bogucki¹⁵, który był w kościele Kostki na Żoliborzu, podobno mówił gdzieś, że zomowcy

Rady narodowe poszczególnych szczebli wybierały swoje prezydium i były zależne od rad wyższego szczebla. Ich faktycznym zadaniem było realizowanie polityki rządu, która była narzucana przez PZPR; po przemianach ustrojowych w Polsce zostały zastąpione demokratycznymi radami gmin i województw.

¹⁵ Ks. Teofil Bogucki (1908–1987) – duchowny rzymskokatolicki, kapelan Armii Krajowej, od 1974 r. proboszcz parafii św. Stanisława Kostki w Warszawie, przyjaciel i ojciec duchowy ks. Jerzego Popiełuszki, autor jego szkicu biograficznego zamieszczonego w albumie *Ksiądz Jerzy Popiełuszko. Sługa Boży, patriota, męczennik 1947–1984*.

mieli oczy pełne nienawiści, coś takiego. Chodziły słuchy, że im dawali jakieś środki psychotropowe, różne takie rzeczy. Byli to normalni młodzi ludzie, którzy siedzieli obok mnie, ale siedzieli bez żadnej intelektualnej, że tak powiem, aktywności. Wróciłem do komisji, była profesor Ewa Skrzypczak¹⁶, była Joanna Mantel-Niećko, wszyscy byli ożywieni, rozmawiali, gestykulowali i zdałem sobie sprawę z tej różnicy, że tamci czekali, aż ich wezwą. Było dwóch kolegów – jest rzeczą naturalną, że jakbym usiadł z kolegą, tobym rozmawiał o czymkolwiek, wszystko jedno o czym. Nie, w ciszy siedzieli spokojnie, grzecznie ich oczy niczego nie wyrażały, ani złego, ani dobrego. To zapamiętałem.

I jeszcze była jedna sprawa, mianowicie z profesorem Henrykiem Woźniakowskim¹⁷, który jest matematykiem. Byliśmy na sprawie – też na kolegium na Nowogrodzkiej – Janusza Onyszkiewicza¹⁸. W kwietniu 1983 roku po obchodach czterdziestej rocznicy powstania w getcie miał przemawiać jak zwykle Marek Edelman, ale on pracował jako lekarz w Łodzi i po drodze zatrzymała go milicja. Nie aresztowano go, tylko pod jakimś tam pretekstem – że ma złą oponę, niesprawnny hamulec, że samochód jest niesprawny – uniemożliwiono mu przyjazd do Warszawy. I wtedy przed pomnikiem Bohaterów Getta przemawiał Janusz Onyszkiewicz, a po tym go zwinęli. Drugą osobą zatrzymaną w związku z tą samą uroczystością była bibliotekarka w bibliotece Obserwatorium Astronomicznego UW, pani Kinga Kamińska, która obecnie jest aktywistką organizacji Obywatele RP. Nie mogłem uwierzyć, że sprawę Onyszkiewicza wyznaczono na godzinę siódmą rano, więc zadzwoniłem tu i tam, ludzie dawali mi numery telefonów, aż się dodzwoniłem do Ewy Milewicz¹⁹, która jest teraz redaktorką „Gazety Wyborczej”.

¹⁶ Ewa Skrzypczak (1929–2020) – fizyczka, absolwentka Wydziału Fizyki UW, profesor, wykładowczyni na UW.

¹⁷ Henryk Woźniakowski – matematyk, profesor zwyczajny, absolwent UW, dziekan Wydziału Matematyki i Mechaniki UW w latach 1981–1984, profesor Columbia University, członek Polskiej Akademii Nauk.

¹⁸ Janusz Onyszkiewicz – polityk, matematyk, alpinista, himalaista i speleolog, absolwent UW, pracownik naukowy m.in. UW i Uniwersytetu w Leeds, działacz antykomunistyczny. Od 1976 r. współpracownik niezależnego wydawnictwa „Aneks”, a od 1979 r. współpracownik Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, jeden z założycieli Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” Regionu Mazowsze, a następnie członek jego prezydium, internowany po wprowadzeniu stanu wojennego, uczestnik negocjacji okrągłego stołu jako rzecznik prasowy opozycji, dwukrotnie minister obrony narodowej, wielokrotny poseł i eurodeputowany.

¹⁹ Ewa Milewicz – dziennikarka i prawniczka, absolwentka Wydziału Prawa i Administracji UW, uczestniczka wieców studenckich w 1968 r., a także strajku w Stoczni Gdańskiej w 1980 r.; działaczka podziemna w czasie stanu wojennego, współpracowniczka i członek KSS KOR i kierownictwa NOW-iej, od 1982 r. współpracowniczka redakcji „Tygodnika Mazowsze”, w latach 1986–1989 redaktorka podziemnego biuletynu „Dokumenty i Informacje”, a od 1989 r. dziennikarka „Gazety Wyborczej”.

Mimo wczesnej pory na sprawę przyjechał korespondent anglojęzyczny, nazywał się chyba Neil Archeson, Acheson, jakoś tak, jeżeli dobrze pamiętam jego nazwisko. W przerwie tej rozprawy musieliśmy wyjść, bo taka jest procedura, żeby tamci uchwalili orzeczenie i jego uzasadnienie. No i ten dziennikarz był trochę słabo zorganizowany, ciągle coś mu wypadło, zbierał z podłogi jakieś papiery. I przed wyjściem na przerwę upuścił swój bilet wizytowy. Kiedy wróciliśmy, przewodniczący składu z ogromnym niesmakiem powiedział, że tu jest jakaś kartka, taki bilet, ale to nie jest po polsku. I Janusz Onyszkiewicz pomógł odczytać nazwisko dziennikarza. Bo on pracował w Anglii, przez parę lat tam uczył, prowadził zajęcia i miał żonę Angielkę. A później złożyło się tak, że już w czasie obrad okrągłego stołu w marcu 1989 roku byłem przez miesiąc w Szkocji i byłem na konferencji naukowej z biologii komórki i z biologii rozwoju. Skądinąd była to też konferencja historyczna, bo wysłuchałem dwóch wykładów późniejszych noblistów. I po tej konferencji siedziałem w jakiejś sali, gdzie zostało parę osób. Ktoś puścił telewizor i zobaczyłem Onyszkiewicza, który wyjaśniał Brytyjczykom w brytyjskiej telewizji, na czym polegał kompromis okrągłego stołu. Zdałem sobie sprawę, że jestem jedyną osobą, która kojarzyła, o co chodzi.

Rozmowa 10.

Jerzy Szatyłowicz

Informatyk, od 1985 roku pracownik UW, działacz opozycji czasów PRL, w 1986 roku współorganizator tajnej „Solidarności” na UW, obecnie członek Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” na UW.

Wywiad: Aleksandra Dobieszewska, absolwentka studiów I stopnia w zakresie finansów, rachunkowości i ubezpieczeń na Wydziale Zarządzania UW oraz studentka III roku dziennikarstwa i IV roku medioznawstwa na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW
Transkrypcja: Maciej Nadzikiewicz, student III roku zarządzania na Wydziale Zarządzania UW, działacz Samorządu Studentów, członek Rady Wydziału i Rady Dydaktycznej Wydziału Zarządzania UW, członek komisji Senatu UW

ALEKSANDRA DOBIESZEWSKA: *Mógłby Pan opowiedzieć o swoich wrażeniach ze stanu wojennego? Co Pan wtedy czuł, szczególnie w dniu wprowadzenia?*

JERZY SZATYŁOWICZ: Wtedy jeszcze studiowałem. Akurat cały rok '80 i częściowo '81 chorowałem, miałem problemy z oczami, tak że nieaktywnie uczestniczyłem w tym, co się wtedy działo w Warszawie, w kraju. Kiedy jednak nie byłem w szpitalu, kiedy mogłem kontaktować się ze znajomymi, brać udział w spotkaniach, no to wtedy uczestniczyłem w tym wszystkim. Często bywałem w siedzibie Regionu Mazowsze na ulicy Mokotowskiej¹ – to było źródło prawdziwej informacji, można tam było kupić jakiś biuletyn², dostać książki drugiego obiegu³, których – wiadomo – gdzie indziej dostać nie było można.

W listopadzie już się czuło, że coś się dzieje. Jaruzelski został wybrany na premiera. I potem początek grudnia to już była lawina – był atak ZOMO na Wyższą Oficerską Szkołę Pożarniczą. Seweryn Jaworski⁴ został wówczas skatowany przez zomowców. Potem był strajk popierający protest przeciw rektorowi Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu⁵ i wtedy wyższe uczelnie zarządziły strajk solidarnościowy. To samo się działo u nas na Uniwersytecie Warszawskim.

Chwilami, jak zdrowie mi pozwalało, kontaktowałem się z innymi, bywałem na tych spotkaniach. Nastroje były raczej optymistyczne: jak gdzieś się rozmawiało, w kuliarach na Wydziale Fizyki na przykład, to mówiono, że komuna w tej chwili to jest kolos na glinianych nogach. Dobrze stuknąć – zaraz się rozwali. Tak że

¹ Siedziba Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” przy ul. Mokotowskiej w Warszawie.

² „Biuletyn Regionu Mazowsze”.

³ Drugi obieg wydawniczy w PRL – obieg niezależny, określenie używane w publicystyce od ok. 1980 r. oznaczające produkcję i społeczny obieg niecenzurowanych publikacji, druków akcydensowych, materiałów ikonograficznych, audiowizualnych, o charakterze publicystycznym, społecznym, politycznym, historycznym.

⁴ Seweryn Jaworski – polski opozycjonista i działacz związkowy. Od września 1980 r. był wiceprzewodniczącym Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego „Mazowsze”, a następnie wiceprzewodniczącym Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” ds. socjalnych i współpracy z Kościołem. Był delegatem na I Krajowy Zjazd Delegatów w Gdańsku i od tego zjazdu – członkiem Komisji Krajowej. Wspierał strajk studentów-podchorążych WOSP w Warszawie. Został internowany 13 grudnia 1981 r. Po zwolnieniu wszystkich internowanych Jaworski został ponownie aresztowany 23 grudnia 1982 r. Zwolniony przed terminem na mocy amnestii w lipcu 1984 r. Pod koniec lat 80. XX w. był przedstawicielem „Solidarności Walczącej” w Warszawie. W 1989 r. był przeciwnikiem obrad okrągłego stołu.

⁵ Strajk w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu – strajk okupacyjny wynikający z niezgodnego z procedurami wyboru Michała Hebdy na rektora uczelni. Trwał 49 dni, od 26 października 1981 r. do 13 grudnia 1981 r., był to najdłuższy strajk okresu PRL.

wyglądało to dość optymistycznie, chociaż – pamiętam – było jakieś spotkanie z prodziekanem do spraw studenckich – z profesorem Blinowskim⁶. On mówi: „A skąd wy wiecie, że za jakiś czas nie powróci wojna, że tutaj czołgi nie przejadą?”. Atmosfera była jednak w dalszym ciągu karnawałowa jak cały rok '81.

Akurat w 1981 roku moja siostra wyszła za mąż i wyjechała z Warszawy do Białegostoku. Postanowiliśmy ją odwiedzić z grupą kolegów i koleżanek ze studiów, była też jeszcze znajoma z regionu. Pojechaliśmy wszyscy do Białegostoku. Myślałem nawet, że tam zostanę, ale otrzymaliśmy – to znaczy ta dziewczyna otrzymała – wieczorem informację telefoniczną, że należy wracać do Warszawy, bo coś się może dziać. Tak więc wróciłem do Warszawy, na Dworzec Gdański. Mieszkalem jeszcze wtedy z rodzicami na Mokotowie, na Czerniakowskiej przy Gagarina. Z Dworca Gdańskiego nie było bezpośredniego autobusu, więc przesiadkę miałem przy hotelu Europejskim. Warszawa była wtedy cała oplakatowana. Pełno afiszów, pełno jakichś tam plakatów, różnych rzeczy wisiało. Tak sobie chodziłem, chodziłem, przyglądałem się temu, w końcu wróciłem do domu. Rodzice poszli spać, moja babcia też spała (jeszcze wtedy żyła). To była sobota, więc włączyłem telewizję, leciało „Studio 2”⁷, był wtedy taki program. Poszedłem się myć, wróciłem do swojego pokoju. Patrzę, na ekranie białe, nic nie widać, szumi. Myślałem: „Czyżby już program się skończył?”. To już prawdopodobnie było po północy. Chciałem włączyć Trzeci Program Polskiego Radia i też nic. Nie zastanawiałem się długo, położyłem się, zasnąłem. Rano wbiega do pokoju mama: „Jurek, wojna!”. Ja przestraszony wybiegam na balkon, patrzę i widzę na Trasie Łazienkowskiej wzdłuż ulicy Czerniakowskiej rzędem stoją wojskowe SKOT-y, żołnierze sobie grzeją ręce przy koksownikach⁸.

⁶ Jan Blinowski (1939–2002) – polski fizyk teoretyk, profesor nauk fizycznych. Zajmował się problematyką edukacji. W latach 80. XX w. współpracował w tej dziedzinie z konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. Działał w Interdivisional Group on Education i był członkiem Rady Edukacyjnej Europejskiego Towarzystwa Fizycznego oraz kolegium redakcyjnego czasopisma „Fizyka w Szkole”.

⁷ „Studio 2” – w okresie PRL cykliczna audycja Telewizji Polskiej nadawana od 1974 r. do 1983 r., początkowo w Programie Drugim, a po znakomicie przyjętym pierwszym wydaniu przeniesiona do Programu Pierwszego. „Studio 2” było pierwszym wielogodzinnym blokiem programowym w historii polskiej telewizji. Program był bardzo popularny, głównie ze względu na nowoczesny charakter, prowadzących i prezentowane filmy, materiały i audycje.

⁸ Koksowniki na ulicach polskich miast podczas stanu wojennego – przenośne palenisko w postaci stalowego kosza do spalania koksu, służące do ogrzania się na wolnym powietrzu. Stosowane podczas stanu wojennego w Polsce (1981–1983) przez żołnierzy i milicjantów do ogrzewania się podczas mrozów na posterunkach ulicznych.

Ponieważ wcześniej wracałem razem z tą dziewczyną z regionu, umówiliśmy się, że gdyby coś było nie tak, to ewentualnie moglibyśmy się spotkać, bo ona też bała się o swojego męża, który także pracował w regionie. Zimno było przerażająco, więc dopiero koło południa ubrałem się, pojechałem, bo umówiliśmy się, że spotkamy się na rogu Nowego Światu i Alei Jerozolimskich, koło Muzeum Narodowego. Podbiegła do mnie, tak mnie uściśnęła i mówi: „Mój mąż jest internowany”. No i tak chodziliśmy, zastanawiając się, co robić dalej. Pomyśleliśmy, że pójdziemy do regionu, zobaczymy, co tam się dzieje. Poszliśmy Marszałkowską w kierunku placu Zbawiciela, w kierunku Mokotowskiej. I jakaś taka babcia szła z przeciwnej strony i mówi: „Panie, niech pan tutaj nie idzie, tam pełno zomowców”. Podeszliśmy bliżej. Patrzymy, jakiś papier, jakieś kartki fruwać w powietrzu. Wszystko jest ogrodzone przez ZOMO. Tak że wycofaliśmy się delikatnie, chodziliśmy po mieście. Człowiek był tak zaszokowany, że nie bardzo wiedziałem, co, gdzie, jak dalej robić. Jak się ma te dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat, to to było zupełnie coś niesamowitego, jak z opowieści wojennych⁹. Potem już dochodził wieczór. Doszliśmy do kościoła Świętej Anny. Ludzie zapraszali, żeby zejść do podziemia. Zeszliśmy tam, wszystkim dawali świeczki, wszyscy odmawiali tylko „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie”¹⁰ – staliśmy tak z tymi świeczkami i mówiliśmy: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami”. Stałem, patrzyłem i łzy zaczęły płynąć mi po twarzy i czuło się takie... Taką podniosłą atmosferę tego wydarzenia, że dzieje się coś naprawdę niesamowitego, niezwykłego.

Chciałem jeszcze podejść na Stare Miasto, bo tam mieszkała moja koleżanka z rodzicami. Poszliśmy do niej, a ona mówi: „A co ty o tej porze robisz?”. Docho-
dziła dwudziesta z minutami, było już ciemno. „A co się dzieje?”. „No przecież, ogłosili godzinę milicyjną”¹¹ – właściwie policyjną – natychmiast trzeba wracać do domu”. Nie wiem, czy to była dwudziesta trzydzieści czy dwudziesta pierwsza. W każdym razie wróciłem do domu no i tak ten dzień zapamiętałem.

⁹ Chodzi o II wojnę światową.

¹⁰ Modlitwa „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie” – Trisagion (gr. *triságios*, ‘trzykroć święty’) – hymn pochwalny na cześć Trójcy Świętej. W polskiej tradycji kościelnej hymn *Święty Boże* jest pierwszą częścią suplikacji śpiewanej m.in. w trakcie uroczystości pogrzebowych, mszy za dusze zmarłych, w ramach nabożeństwa Gorzkich żalów, procesji na Boże Ciało, a także w intencji ochrony przed klęskami żywiołowymi.

¹¹ Godzina milicyjna podczas stanu wojennego w Polsce – wprowadzone dekretem o stanie wojennym ograniczenia w poruszaniu się osób w miejscach publicznych między godziną 22:00 a 6:00 na terenie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

A później, ponieważ nie działały telefony, to jakimiś innymi metodami dowiedziałem się, że wiele znajomych mi osób zostało internowanych, aresztowanych, siedziało w więzieniach. Czuło się taką totalną beznadzieję. Że właściwie nie wiadomo, co zrobić, co począć ze sobą, to, że chorowałem, że wszystko jest inaczej po prostu.

Potem był już pierwszy okres stanu wojennego. To było takie zawieszenie. Potem jeszcze umarła mi babcia. Potem zacząłem pracować na Uniwersytecie Warszawskim w Centrum Informatycznym. Tam poznałem Ewę Tomaszewską¹², wybitną działaczkę solidarnościową. Ona też dystrybuowała książki drugiego obiegu. Po jakimś czasie, po wielu próbach padła propozycja, żeby reaktywować nasz związek. Kiedy rygory stanu wojennego się rozluźniły – nie pamiętam tego dokładnie, był chyba '86–'87 rok – powiedziano, że można zakładać nowe związki zawodowe. No to postanowiliśmy, że jak wolno zakładać nowe związki zawodowe, to na Uniwersytecie założymy nowy związek, który będzie się nazywał „Solidarność”. No i podpisaliśmy całą taką listę, wywiesiliśmy na słynnej „ścianie płaczu”¹³.

Moi rodzice – w związku z tym, że ja cały czas uczestniczyłem w tych wszystkich kontaktach z osobami, które były „pod ziemią”¹⁴ – zawsze się denerwowali. Jakiś znajomy przeczytał, że jestem na tej liście założycieli związku zawodowego „Solidarność”. „Jurek, co ty robisz?! Zmiłuj się, tutaj nas wszystkich wezmą, wyrzucą z pracy, posadzą do więzienia”. I czekaliśmy tak, a potem bardzo zbliżyliśmy się z tymi osobami, które podpisywały tę petycję¹⁵.

Potem przyszedł rok '88 – te słynne strajki, które się odbywały wtedy w Gdańsku i na Śląsku¹⁶. No a potem dowiedzieliśmy się, że będzie spotkanie Wałęsy z...

¹² Ewa Tomaszewska – polska polityk, działaczka związkowa, nauczycielka akademicka, działaczka opozycji demokratycznej w PRL, posłanka na Sejm III i VIII kadencji (1997–2001, 2015–2019), senator VI kadencji (2005–2007), deputowana do Parlamentu Europejskiego (2007–2009). W 1980 r. przystąpiła do NSZZ „Solidarność”. Od 1992 r. (z kilkuletnią przerwą) zasiada w Komisji Krajowej związku. Była też członkinią zarządu Regionu Mazowsze. W stanie wojennym została internowana w okresie od stycznia do lipca 1982 r. Współpracowała z Komisją Interwencji i Praworządności mazowieckiej „Solidarności”, od 1989 r. do 1990 r. była członkinią społecznej komisji pojednawczej przy ministrze pracy.

¹³ Tak zwana ściana płaczu na UW – ściana z gablotami przy wejściu na teren Kampusu Głównego UW. To właśnie tam przed procesem digitalizacji wywieszano wyniki rekrutacyjne.

¹⁴ Chodzi o nielegalną działalność polityczną w czasach PRL.

¹⁵ Petycja o powołanie związku zawodowego „Solidarność”.

¹⁶ Strajki w 1988 r. w Polsce – wybuchły wiosną i latem 1988 r. w polskich zakładach i przedsiębiorstwach. Pośrednio doprowadziły do podjęcia próby porozumienia władz komunistycznych i opozycji w ramach obrad okrągłego stołu, czego skutkiem była transformacja ustrojowa Polskiej

On się chyba Miodowicz nazywał. Był przewodniczącym OPZZ-u¹⁷. Wszyscy wtedy śledzili to spotkanie w telewizji, Wałęsa oczywiście wygrał bezapelacyjnie, cały czas powtarzał, że ma być pluralizm, że muszą być wolne związki, bo Miodowicz chciał, żeby wszystko odbyło się w ramach OPZZ-u, tego ogólnopolskiego porozumienia. Wałęsa mówił: „Nie, trzeba dać ludziom możliwość wyboru”. Że jak chcą jakieś inne związki, to żeby był pluralizm społeczny, polityczny, no a potem dowiedzieliśmy się, że jest okrągły stół¹⁸.

Już wtedy braliśmy dość intensywny udział w przygotowaniach wyborów 4 czerwca. Chodziło się wtedy do kawiarenki „Niezapominajka” na placu Konstytucji, na MDM-ie. Jak odczytali wyniki, że „Solidarność” bezapelacyjnie wygrała¹⁹, to było takie wrażenie jak w '81 roku, kiedy był karnawał „Solidarności”.

Rzeczypospolitej Ludowej. Jako pierwsze strajkować zaczęły załogi MPK w Bydgoszczy i Inowrocławiu 25 kwietnia 1988 r., pociągając za sobą falę strajków w innych miastach na terenie Polski. Zakończone 3 września tego samego roku, kiedy zaprzestano strajku załoga portu szczecińskiego, a także wygaszono strajk w kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu-Zdroju.

¹⁷ Chodzi o spotkanie Lecha Wałęsy z Alfredem Miodowiczem (1929–2021). Miodowicz był polskim działaczem związkowym, politykiem, posłem na Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej IX kadencji, członkiem Rady Państwa od 6 listopada 1985 r. do 17 lipca 1986 r. W latach 1981–1983 wchodził w skład Komisji Ideologicznej przy Komitecie Krakowskim PZPR. W czerwcu 1983 r. został przewodniczącym Komitetu Wykonawczego Federacji Hutniczych Związków Zawodowych (pełnił tę funkcję do stycznia 1987 r.). W listopadzie 1984 r. stanął na czele Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych (OPZZ), które zrzeszało związki liczące ok. 3 mln członków, a w lipcu 1986 r. został członkiem Komitetu Centralnego PZPR i następnie Biura Politycznego KC PZPR. W listopadzie 1988 r. zaproponował Lechowi Wałęsie debatę telewizyjną, nie uzgadniając tego z władzami partyjnymi. W debacie (30 listopada 1988 r.) na tle swego rozmówcy wypadł jednak słabo, a jedynie 1% ankietowanych w badaniu Centrum Badania Opinii Społecznej uznało go za zwycięzcę. Debatę ta całkowicie zmieniła w oczach opinii publicznej wizerunek i pozycję Lecha Wałęsy, który pokazał się jako polityk rozsądny i dysponujący programem politycznym.

¹⁸ Okrągły stół – negocjacje prowadzone od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 r. przez przedstawicieli władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, demokratycznej opozycji oraz stron kościelnych (przedstawiciele Kościoła katolickiego i Kościoła ewangelicko-augsburskiego). Ich rozpoczęcie i zakończenie odbyło się w siedzibie Urzędu Rady Ministrów PRL w Pałacu Namiestnikowskim (obecnie pałac prezydencki) w Warszawie. Jedno z najważniejszych wydarzeń w najnowszej historii Polski, od którego rozpoczęły się zmiany ustrojowe Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

¹⁹ Wybory z 1989 r. – w ich wyniku wybranych zostało 460 posłów na Sejm PRL oraz 100 senatorów do nowo utworzonego Senatu PRL. Przedstawiciele niedemokratycznych władz komunistycznych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zagwarantowali rządzącej koalicji, obejmującej PZPR i jej satelitów, obsadę co najmniej 299 (65%) miejsc w Sejmie. Pozostałe mandaty poselskie w liczbie 161 (35%) zostały przeznaczone dla kandydatów bezpartyjnych. Walka o te miejsca oraz walka o wszystkie mandaty senatorskie (100) miała charakter otwarty i demokratyczny. Wybory te zakończyły się zdecydowanym zwycięstwem opozycji solidarnościowej zorganizowanej wokół

A później ze względów osobistych już nie uczestniczyłem w tym wszystkim, co się działo dalej, bo wyjechałem do Stanów Zjednoczonych i byłem siedem lat poza Polską. Przyglądałem się temu, co się dzieje, już z odległości, z tej perspektywy amerykańskiej, jak została zmieniona nazwa kraju, jak przywrócono orłu koronę, jak była już nie Rzeczpospolita Ludowa, tylko Rzeczpospolita Polska²⁰.

I do dnia dzisiejszego ten cały okres lat osiemdziesiątych źle mi się kojarzy. Nawet muzyka z lat osiemdziesiątych mi się nie podoba. Wszystko napiętnowane tym, co się wydarzyło od 13 grudnia, to był właśnie ten cały koszmar, ta cała beznadzieja. Nie było jedzenia, były kartki. Długo by mówić...

Tak to mniej więcej wyglądało z mojej perspektywy.

A jakoś jeszcze zmieniała się ta szara codzienność w porównaniu z tym, co było przed stanem wojennym?

Wszystko się zmieniło! Dla mnie okres do 13 grudnia to był taki karnawał, niemalże jak w Wenecji. Chociaż już po pierwszym zjeździe „Solidarności”²¹ atmosfera robiła się coraz bardziej gęsta. I przyszła czarna noc... Bardzo osobiście do tego podchodzę... Strach po prostu.

Byłem ze znajomymi, był '82 rok, w rocznicę zarejestrowania związku poszliśmy pod sąd na aleję Świerczewskiego (obecna aleja Solidarności). Gdzieś w okolicach placu Bankowego, ówczesnego placu Dzierżyńskiego, nas zablokowano i nie można było się nigdzie ruszyć. Z jednej strony, z drugiej strony – wszystko po prostu stało. I nagle było słychać jakiś taki miarowy szum, takie buczenie i poszła pogłoska, że zaraz przejadą po nas czołgi, ludzie zaczęli się strasznie denerwować.

Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Kandydaci wspierani przez KO zdobyli wszystkie mandaty przeznaczone dla bezpartyjnych, a także objęli 99 na 100 miejsc w Senacie.

²⁰ Zmiany te zaszły 31 grudnia 1989 r.

²¹ I zjazd „Solidarności” – zjazd odbył się w dwóch turach: od 5 do 10 września oraz od 26 września do 7 października 1981 r. Zjazd był festiwalem wolności i pokazem siły związku. Podczas obrad z dużą siłą ujawniły się procesy zauważalne już podczas kampanii wyborczej w regionach: konkurencja i rywalizacja między grupami i osobami o uzyskanie przewagi wewnątrz organizacji. Jednak dla ukształtowania etosu „Solidarności” największe znaczenie miała nie rywalizacja wyborcza, ale uchwały i przemówienia programowe, film Wajdy, homilie ks. Tischnera i encyklika Jana Pawła II. Na zjeździe padło wiele słów o prawach pracowniczych, a także o prawie Polski do samostanowienia. Delegaci uczcili pamięć ofiar II wojny światowej, złożono wieńce przy pomnikach w Gdańsku, Gdyni i na Westerplatte. Oprócz rozpisania wolnych wyborów do sejmu postulowali także zagwarantowanie uczestnikom walk niepodległościowych godziwych rent i emerytur oraz rekompensat za represje komunistyczne.

„Co to? Zaraz, czy oni nas tu rozjadą tak jak wtedy 4 czerwca w Chinach na placu Tiananmen²²?” To też bardzo utkwiło mi w pamięci.

Oczywiście pogrzeb księdza Jerzego po jego morderstwie²³. I każda rzecz, która dotyczyła lat osiemdziesiątych po 13 grudnia. To jest jedna wielka, czarna noc. Ludzie się zaczęli bać. Ludzie nie byli już tacy jak przed 13 grudnia, bali się ryzykować, iść na jakieś spotkania, jakieś manifestacje, na przykład jak była pierwsza rocznica porozumień sierpniowych, to wtedy rzucano gaz łzawiący. Jak przechodziliśmy w tych miejscach, na przykład w przejściu podziemnym na dzisiejsze rondo Dmowskiego, to ludzie po prostu cały czas płakali. A potem się śmiali – akurat w tych dniach zmarł Gomułka²⁴ i ludzie się śmiali, że płaczą po Gomułce.

Potem, jak się to wszystko skończyło, jak było już po okrągłym stole, na Uniwersytecie chcieliśmy złożyć kwiaty przed pomnikiem Mickiewicza. Na dziedzińcu głównym zgromadził się ogromny tłum i chcieliśmy wyjść. I tak się zastanawialiśmy, czy jak wyjdziemy na ulicę, to czy nas tam jednak nie zaatakują ZOMO. Brama została otwarta, wychodziliśmy, szliśmy w kierunku pomnika Mickiewicza, ale z napięciem.

²² Wydarzenia w Chinach 4 czerwca 1989 r. na placu Tiananmen – finał protestów studenckich rozpoczętych 15 kwietnia w Pekinie. Na plac Tiananmen zostało skierowane wojsko, które w nocy z 3 na 4 czerwca otworzyło ogień do protestujących i za pomocą czołgów rozprędziło demonstrantów; wydarzenie to przeszło do światowej historii jako masakra na placu Tiananmen.

²³ Morderstwo i pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki – 19 października 1984 r. Jerzy Popiełuszko wraz ze swoim kierowcą Waldemarem Chrostowskim zostali uprowadzeni przez funkcjonariuszy Samodzielnej Grupy „D” Departamentu IV MSW. Księdza przymuszono do wyjścia z samochodu, następnie pobito i wrzucono do bagażnika. Porywacze zatrzymywali się co jakiś czas i bili go do utraty przytomności. W końcu związali księdza w taki sposób, że każda próba wyprostowania nóg powodowała duszenie. Mordercy zeznali potem przed sądem, że koło północy wjechali na zaporę na Wiśle we Włocławku. Tam z wysokości kilkunastu metrów wrzucili Popiełuszkę do wody. Pogrzeb 3 listopada 1984 r. zgromadził olbrzymie tłumy i przekształcił się w wielką manifestację. W pogrzebie uczestniczyli m.in. Lech Wałęsa, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Andrzej Szczepkowski.

²⁴ Władysław Gomułka (1905–1982) – polski polityk komunistyczny, I sekretarz KC PPR (1943–1948), I sekretarz KC PZPR (1956–1970), w latach 1945–1949 I wicepremier i minister ziem odzyskanych. Poseł do Krajowej Rady Narodowej, na Sejm Ustawodawczy oraz na Sejm PRL II, III, IV i V kadencji. W latach 1957–1971 członek Rady Państwa. W grudniu 1970 r. Władysław Gomułka postanowił wprowadzić podwyżkę cen na mięso i jego przetwory, co w konsekwencji doprowadziło do protestów społecznych. W tym samym miesiącu na polecenie Biura Politycznego stłumiono robotnicze manifestacje na Wybrzeżu, w wyniku czego śmierć poniosło kilkadziesiąt osób. 20 grudnia 1970 r. pod naciskiem zwolenników Edwarda Gierka został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska I sekretarza, a w 1971 r. został przeniesiony na emeryturę.

Kiedys była taka sytuacja, że musiałem gdzieś iść, chyba do lekarza. Musiałem wyjść przez bramę Uniwersytetu, wyszedłem po lewej stronie tą małą bramką i nagle patrzę, ile tłumu... Dziedziniec główny był pełen. Wychodzę... Wszędzie pusto. A przede mną dwóch, trzech zomowców. I myślę: „Cholera, zaraz będą prac”. Opuściłem głowę, tam było to przejście podziemne i do tego przejścia jakoś wszedłem, ale wrażenie było niesamowite.

Potem były też pierwsze – po wyborach 4 czerwca – nasze pochody. Zdjęcia robiliśmy wszyscy, pamiętam Onyszkiewicza, pamiętam oczywiście Zbyszka Bujaka, wszystkich tych, którzy już wtedy byli razem, a ludzie z boku stali i mówili: „My nawet nie myśleliśmy, że wy jesteście taką potęgą” – po prostu szło morze ludzi.

Takie mam wspomnienia. Tak jak tłumaczyłem: nie jestem człowiekiem, który był głęboko zaangażowany. Na tyle, na ile mogłem, to od znajomych, którzy tam byli, po prostu dowiadywałem się, jak to wszystko wygląda.

Tu każde spojrzenie jest istotne – i tych bardzo zaangażowanych, i tych mniej także. Dziękuję bardzo za Pana wypowiedź.

Była taka książka *Przekroczyć Rubikon*. Wydana w drugim obiegu, były tam opisane znane osoby, jacyś artyści, pisarze, i to, jak one przeżyły tę północ, ten dzień przejścia na 13 grudnia, jakie to miało dla nich znaczenie, także psychiczne. Mam znajomych, którzy są aktorami. Jak aktorzy protestowali, nie brali udziału w żadnych przedstawieniach, wtedy na przykład odbywały się słynne spotkania w podziemiach kościołów. Wajda zorganizował wtedy spektakl *Wieczernik*²⁵. To było w jakimś kościele na Woli, w tej chwili dokładnie nie pamiętam. Tam właśnie się spotykaliśmy. To oczywiście dotyczyło również spotkań i w innych kościołach, na przykład w kościele Świętego Stanisława Kostki, tam gdzie ksiądz Jerzy przemawiał.

²⁵ Bojkot organizowany przez artystów w czasie stanu wojennego – bojkot był spontaniczną reakcją środowiska teatralnego, a nawet szerzej – kulturalnego i naukowego – na wprowadzenie w Polsce 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego, w wyniku czego doszło do znacznego ograniczenia swobód obywatelskich, internowania tysięcy osób oraz zawieszenia działalności organizacji społecznych i związków zawodowych. Środowiska artystyczne zareagowały odmową występów w środkach masowego przekazu, co w odbiorze społecznym stanowiło odmowę legitymizowania działań władzy oraz jej propagandy opartej na atakach i oszczerstwach wymierzonych przeciwko „Solidarności”. W roku 1984 r. władze rozwiązały Związek Polskich Artystów Plastyków. Polskie środowisko artystów plastyków zareagowało na to wydarzenie bezterminowym bojkotem oficjalnego ruchu wystawienniczego i skierowało swą uwagę na jego odbudowę we współpracy z parafiami i innymi instytucjami kościelnymi.

Opowiedziałby Pan jeszcze o znajomych?

Rozmawiałem o tym z Ewą Tomaszewską. Na początku siedziała... Była internowana chyba w Białoleśce. Opowiadała, że była z panią Zosią Romaszewską²⁶ w jednej celi. Była wigilia, sylwester zaraz, a kobiety siedziały w więzieniu jako internowane. Były też inne osoby, siedziały w innych więzieniach. Budujące dla nas tutaj było to, że mówiono, że Zbyszek Bujak nie został internowany, bo się ukrywał. Wszyscy liczyli na to, że on będzie opoką tego oporu, że doda nam sił. Komuna go nie złapała. Wiedzieliśmy, że Wałęsa był internowany, że był najpierw przetrzymywany gdzieś koło Warszawy, potem wywieziony został do Arłamowa²⁷. Tak to wyglądało.

Pamiętam też, to może były pierwsze tygodnie stanu wojennego, a może było już po Nowym Roku... Wyglądało to mniej więcej tak, jak w *Zakazanych piosenkach*²⁸, że jakiś człowiek na ulicy miał gitarę i śpiewał na melodię *Dnia 1 Września*...²⁹. Ja tak stałem, słuchałem, potem zapisałem sobie ten tekst. Zapamiętałem go tak: „13 grudnia roku pamiętnego rozpoczął się okres stanu wojennego. Stan wojenny z ludem. Pomysł to diabelski, wymyślił go zdrajca – Wojciech Jaruzelski. Zdrajca Jaruzelski, ty podły psu bracie, sowiecki pacholku, Polski ludu kacie. Nie mogli Polaków wziąć. Sowietci głodem kazali mu walczyć ze swoim narodem” i potem coś jeszcze. W każdym razie kończyło się to tak: „Jednak nigdy WRON-a orla nie pokona”. To było takie budujące – te piosenki, to nagrywanie piosenek. Na te

²⁶ Zofia Romaszewska – polska działaczka społeczna, uczestniczka opozycji demokratycznej w PRL. Razem z mężem Zbigniewem Romaszewskim współtwórczyni Biura Interwencyjnego KSS „KOR” i Radia „Solidarność”, od 2015 r. doradca prezydenta RP Andrzeja Dudy. Po Marcu '68 mieszkanie Romaszewskich stało się miejscem regularnych spotkań dysydentów. W maju 1977 r. razem z mężem stanęła na czele Biura Interwencyjnego KOR, które koordynowało pomoc osobom represjonowanym przez władze PRL. Uniknęła internowania po ogłoszeniu stanu wojennego, działała w ukryciu. Razem z mężem organizowała konspiracyjne warszawskie Radio „Solidarność”, gdzie wystąpiła jako spikerka w pierwszej audycji radia w dniu 12 kwietnia 1982 r.

²⁷ Arłamowo – rządowy kompleks w Bieszczadach, gdzie po wprowadzeniu stanu wojennego przez okres dziewięciu miesięcy (12/13 grudnia 1981–14 listopada 1982) przebywał internowany Lech Wałęsa, zajmując apartament nr 52.

²⁸ *Zakazane piosenki* – pierwszy pełnometrażowy film nakręcony po wojnie w reżyserii Leonarda Buczkowskiego według scenariusza Ludwika Starskiego. Premiera odbyła się w pierwszych dniach 1947 r. Film okazał się dość nietypowy, głównym tematem nie byli bowiem ludzie ani wydarzenia, lecz piosenki, za pomocą których przeciętni mieszkańcy Warszawy na swój sposób walczyli z okupantami.

²⁹ Piosenka *Dnia 1 września* – piosenka z okresu okupacji niemieckiej, napisana we wrześniu 1939 r. przez Julię Ryczer do muzyki dziadowskiej. Motywem powstania tekstu była śmierć Anny Marii Ryczer (córkii autorki) w czasie nalotu na Warszawę. Pojawiła się w filmie Leonarda Buczkowskiego *Zakazane piosenki*.

wszystkie tajne spotkania chodziłem z magnetofonem kasetowym. I mam pokaźny zbiór tych wszystkich piosenek. Oczywiście to było nagrywane przez mikrofon. To też będzie warto potem udostępnić. Może da się jakoś „zremasterować”, żeby była lepsza jakość tych nagrań.

Te spotkania najczęściej odbywały się właśnie tutaj, na Uniwersytecie. Ponieważ jeszcze nie byłem pracownikiem Uniwersytetu, to od znajomych dowiedziałem się, że 13 grudnia do komisji zakładowej „Solidarności” przybyli członkowie komisji. Wtedy struktura we władzach uczelnianej „Solidarności” była dwupoziomowa: było prezydium komisji i był zarząd, tak że wszystkie materiały, które udało się schować, były wynoszone do piwnicy w Pałacu Kazimierzowskim. Co się dało, to się uratowało. Dużo mam swoich własnych materiałów dotyczących związku jeszcze przed stanem wojennym. W ’81 roku, jak związek wydzielał się z ZNP, jak powstała komisja „Solidarności”, to pomieszczenia, które zajmował ZNP, zostały podzielone na dwie części. W jednej zostało ZNP, w drugiej powstała komisja NSZZ „Solidarność”. Później, już jak wróciłem ze Stanów Zjednoczonych, to też byłem członkiem komisji zakładowej. I tam działaliśmy. Większość starszych kolegów, którzy byli w tej komisji, to była albo internowana, albo więziona. Tak to mniej więcej wyglądało.

Są jeszcze spotkania z okazji 8 marca. To też jest dość istotna sprawa, że nie wszystkim na Uniwersytecie 8 marca kojarzy się z wydarzeniami marcowymi³⁰. Z racji tego, że mam kontakty z zarządem Samorządu Studentów, kiedyś szefowej „Uniwerek TV” zadałem pytanie: „Z czym pani się kojarzy 8 marca?”. „Z dniem kobiet”. „Z czym jeszcze?”. „No z niczym”. „A co było 8 marca ’68 roku?”. „No nie wiem”. I trzeba było zrobić edukacyjną opowieść o tym, co się wtedy działo. Jak była pięćdziesiąta rocznica wydarzeń marcowych, no to zorganizowane zostało ogromne spotkanie. Byli kombataneci, którzy brali udział w wydarzeniach marcowych i którzy potem byli też internowani. Było dość dużo ludzi.

Czy łatwo było uzyskać informację o tym, co się dzieje w Polsce, jak był Pan w Ameryce?

Jak byłem w Ameryce, to wtedy tak, bo ja do Stanów wyjechałem 1 listopada ’89 roku. Pamiętam, że jak szedłem do ambasady, żeby dostać wizę – początkowo to

³⁰ Obchody wydarzeń 8 marca 1968 r. na UW organizowane w czasie pierwszej „Solidarności” i stanu wojennego, kontynuowane do dziś – 8 marca 1968 r. oddziały ZOMO, ORMÓ i tzw. aktyw robotniczy brutalnie stłumiły protesty studentów UW w obronie kolegów relegowanych z uczelni i wolności kulturalnej w PRL. Według danych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w całym kraju do 25 marca 1968 r. zatrzymano 2549 osób. Liczba ta obejmuje osoby zatrzymane w trakcie demonstracji ulicznych, produkcji i kolportażu ulotek, a także kurierów wysyłanych do innych ośrodków akademickich.

była wiza turystyczna, potem ona tam została zamieniona na wizę pracowniczą – szedłem przed bramą główną Uniwersytetu. Na łózkach polowych były rozkładane i sprzedawane książki i kupiłem taką reklamówkę z logo „Solidarności”³¹. I do tej reklamówki włożyłem dokumenty, które mi były potrzebne do ambasady. Jak w ambasadzie przyjmowano ode mnie te wszystkie papiery, ta reklamówka upadła na kontuar przy okienku, a ta pani, jakaś Amerykanka, tak spojrzała: „Oh, the first men of Solidarity now in our embassy”. Śmieszne to było. No a w Stanach słynne było to, jak w ’93 był ten strajk nauczycieli i rząd Suchockiej podał się do dymisji³². Jest taka gazeta w Chicago, nazywa się „Chicago Tribune”, w której było napisane, że polski rząd został zatrzymany przez Ewę Tomaszewską, bo ona wtedy była organizatorem tego strajku. W Stanach Zjednoczonych organizowaliśmy to, co się dało – wtedy wybory, żeby ludzie szli. Oczywiście nasz głos dużo nie znaczył, ale żeby jednak się organizować i żeby głosować na tych, na których należało głosować. Tak że w ’90 roku oczywiście głosowaliśmy na Wałęsę. No i zakładaliśmy, że Wałęsa będzie również prezydentem w ’95 roku. I że jednak Kwaśniewski wtedy wygrał wybory, to był taki szok³³. A potem to już wiadomo, jak to wszystko było.

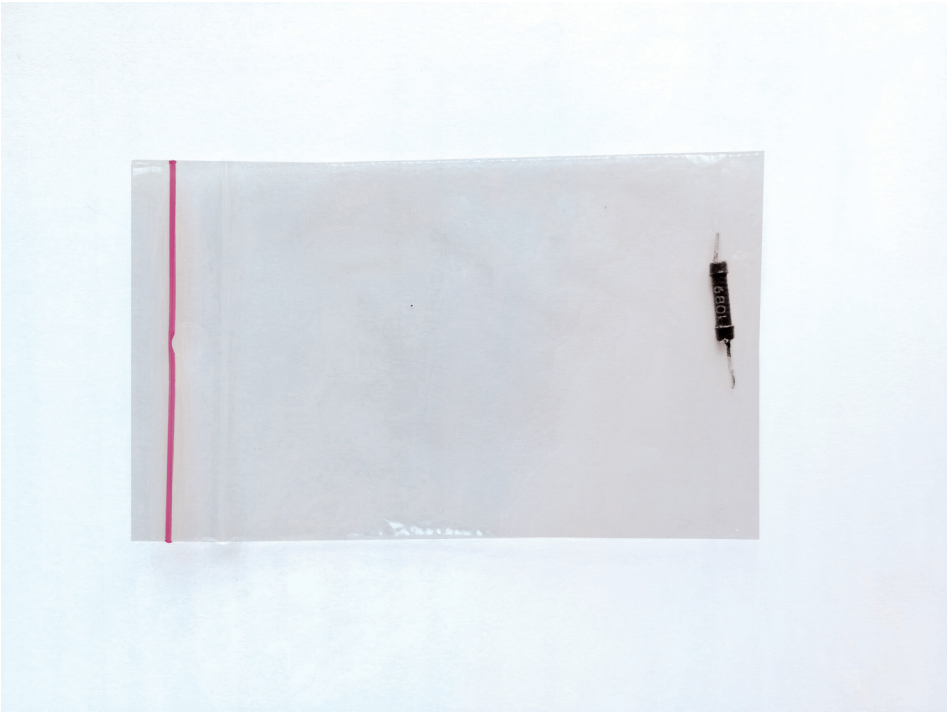
Dziękuję bardzo za rozmowę.

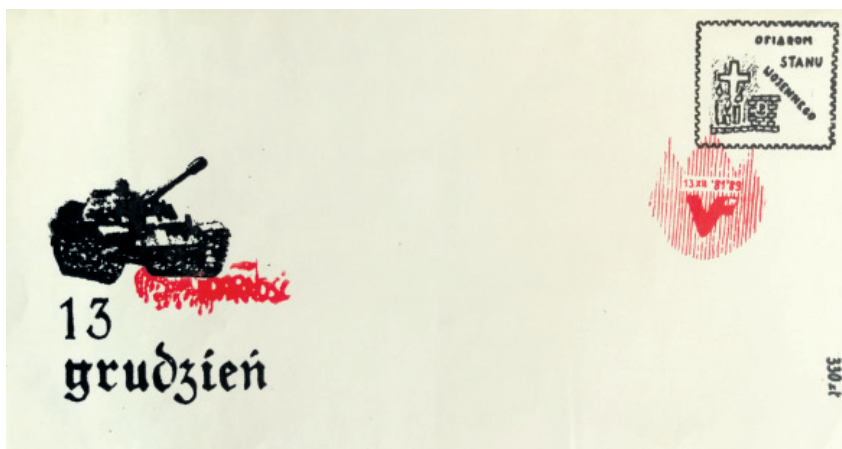
Dziękuję bardzo, wszystkiego dobrego.

³¹ Sprzedaż na łózkach polowych – w okolicach przełomu lat 80. i 90. ubiegłego wieku popularne było handlowanie różnymi towarami (w tym także publikacjami), które rozkładano na łózkach polowych.

³² 28 maja 1993 r. Sejm RP na wniosek NSZZ „Solidarność” przewagą jednego głosu uchwalił wotum nieufności dla rządu Hanny Suchockiej. 29 maja 1993 r. prezydent Lech Wałęsa w wyniku uchwalenia wotum nieufności bez jednoczesnego dokonania wyboru nowego premiera przez Sejm skorzystał ze swoich konstytucyjnych uprawnień (na podstawie małej konstytucji), nie przyjął dymisji rządu Hanny Suchockiej i rozwiązał parlament. Rząd Hanny Suchockiej był ostatnim gabinetem w III RP powołanym przez Sejm na podstawie zapisów konstytucji PRL. Kolejne rządy były powoływane przez prezydenta RP, a Sejm udzielał im jedynie wotum zaufania. Hanna Suchocka – polska polityczka, prawniczka i nauczycielka akademicka, w latach 1992–1993 prezeska Rady Ministrów. Jedna z założycieli i liderów Unii Demokratycznej, a następnie Unii Wolności. Pierwsza w historii kobieta sprawująca urząd premiera RP.

³³ Aleksander Kwaśniewski – wybory prezydenckie w Polsce 1995 r. odbyły się 5 listopada (I tura) i 19 listopada (II tura). Aleksander Kwaśniewski został kandydatem SLD 13 maja 1995 r. Na konwencji kandydata poparło 296 z 300 delegatów. W wyborach uzyskał 48,8% głosów, wygrywając z pozostałymi kandydatami – m.in. Lechem Wałęsą. Zwyciężył również w wyborach na drugą kadencję i był prezydentem nieprzerwanie od 23 grudnia 1995 r. do 23 grudnia 2005 r.





Rozmowa 11.

Anna Owczarek i Jerzy Siedlecki

Anna Owczarek. Pracę w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie rozpoczęła 1 października 1977 roku w nowo utworzonym Oddziale Przetwarzania Danych (początki komputeryzacji BUW). Po urlopie wychowawczym (od 1988 roku) pracuje w Oddziale Gromadzenia i Uzupełniania Zbiorów BUW. W latach 1979–1983 studiowała zaocznie w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej UW. Od roku 1980 w NSZZ „Solidarność” UW. Po 1988 roku trzykrotnie była członkinią Komisji Koła NSZZ „Solidarność” BUW. Trzy razy wybrana do Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” UW, w tej kadencji również w Komisji Zapomogowej przy KZ NSZZ „Solidarność” UW.

Jerzy Siedlecki. Zatrudniony w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie od 1976 do 2021 roku. W latach 1978–1982 student zaoczny Instytutu Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej UW. W NSZZ „Solidarność” od jesieni 1980 roku. W latach stanu wojennego członek Tajnej Komisji Koła NSZZ „Solidarność” BUW, ostatni przewodniczący Tajnej Komisji Koła oraz pierwszy przewodniczący legalnego Koła NSZZ „Solidarność” BUW. Dwukrotnie członek Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” UW. Odznaczony złotym Medalem za Długoletnią Służbę – 30 lat pracy w szkolnictwie wyższym. Członek dwóch kadencji Rady Bibliotecznej UW i Komisji Zasiłkowej przy Senackiej Komisji do Spraw Socjalnych UW.

Wywiad: Nina Papużyńska, studentka III roku zarządzania na Wydziale Zarządzania UW, I roku stosowanej psychologii zwierząt na Wydziale Psychologii UW; zaangażowana w działalność seminarium dr. hab. Tomasza Ochynowskiego w Centrum Historii Organizacyjnej WZ UW, Koło Psychologii w Biznesie WZ UW, wolontariat uniwersytecki.

Transkrypcja: Oleksandr Matiushenko, student III roku zarządzania na Wydziale Zarządzania UW, członek Koła Naukowego Psychologii w Biznesie WZ UW

Wprowadzenie

Punktem wyjścia do wywiadu były fragmenty książki Marka Michalskiego (napisanej wraz z Ewą Bagieńską i Ewą Kobierską-Maciuszko) *„Poczęty” w BUW. Wspomnienia o Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie z lat 1977–1999* (Warszawa 2012) dotyczące stanu wojennego. Marek Michalski (1955–2014) studiował bibliotekoznawstwo, od 1980 roku pracował w BUW-ie. W książce opowiada o BUW-ie jako „wyspie wolnej myśli” w czasach PRL, miejscu spotkań i przemyśleń. Opisuje wdarcie się zomowców na dziedziniec Biblioteki i pacyfikację studentów, której był świadkiem. Przytacza historię o rewizji Biblioteki będącej w tamtym czasie magazynem wszelkiego rodzaju nielegalnych pism, książek i ulotek – ukrywanych nawet jako podkładki pod kubki. Wspomina próby inwigilacji środowiska bibliotecznego, strajki, protesty, a także uczestnictwo bibliotekarzy w zacieraniu śladów konspiracyjnych działań studentów.

Wywiad

JERZY SIEDLECKI: Bardzo często podpisywaliśmy jakieś listy protestacyjne. Zresztą w tej książce jest mowa o tym, jak Jarek pracował w Czytelni, a Leszek Kaczyński¹ do niego przychodził i przynosił bibułę. Byli identyczni, tylko że Leszek miał wąsa, a Jarek nie. I Marek leci gdzieś z tym listem protestacyjnym, żeby ludzie podpisywali, a do pani Reginy Chomać, która była nowym pracownikiem czytelni, mówi: „Pani doktor, niech pani tu zostanie”. „No dobrze, panie Marku”. A później pani Regina mówi: „Patrzę – raz wchodzi gość i ma wąsy, a raz wchodzi i nie ma wąsów”. Marek wrócił: „Już, już pani Regino, muszę polecieć do sekretariatu”. „Nie, nie, już niech Pan nie chodzi, bo taki dziwny gość, raz z wąsami, raz bez wąsów czeka”.

Działaliśmy też w ramach Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Przyleciał Piotrek Niemczyk: „Chcemy się jednym opiekować”. Dał nam spis, patrzymy, patrzymy... I wybraliśmy Jana Hoffmana, miał dziesięć lat wyroku. W ramach pomocy trzeba było zebrać kasę i przesłać informacje do Wolnej Europy, bo jak w Wolnej Europie ogłosili nazwisko aresztowanego, to czerwony już nie bił. Pani Teresa Stradomska, koleżanka z BUW-u, miała jechać wtedy do Pragi. Mieliśmy adres jego żony. „No to niech Pani wpadnie i się dogada. Niech Pani zapyta, jak ona chce, żebyśmy pomagali w sprawie. Czy mamy tupać, żeby go wypuścili?”. A jak ta się dowiedziała,

¹ Lech Kaczyński (1949–2010) – prawnik, doktor habilitowany, były prezes Najwyższej Izby Kontroli (1992–1995), prezydent m.st. Warszawy (2002–2005), prezydent Polski (2005–2010).

że pani Teresa jest z Polski i to w tej sprawie, to przede wszystkim bardzo się rozglądała, czy ktoś za nią nie przyszedł. Później klękała, błagała, żeby nic nie robić, że na pewno i ją, i wszystkich w okolicy z jej rodziny zamordują. Mówiło się, że w Czechosłowacji działali tacy ludzie, którzy mówili: „Já se nebojím. Já mám rakovinu” – w domyśle – „Bo co mi wtedy zrobicie?”. A tak to rzeczywiście te represje były znacznie ostrzejsze.

Jeździłem z bibułą do górników na Śląsk – mogę opowiedzieć dwie anegdoty. Jedna była taka, że przyjechał kumpel Czechu i mówi: „Słuchaj, pokazywałeś mi kasety, masz takie podziemne, tam był Szczepanik”. „No tak, mam takie wydawane przez WideoNową”. „A nie mógłbyś mi skołować jakiejś?” „No dobra, wiesz co, mam *Moskwę – Pietuszki Wieniczki Jerofiejewa*”². „A co to jest?” „No taka sztuka rosyjska”. „No dobra, dawaj”. Dałem mu to, a później przyjeżdża i mówi do mnie: „Magister – tam na Śląsku miałem ksywę „magister”, bo było tam mało magistrów – już nie przyjeżdżaj na Śląsk z tą bibułą”. „A dlaczego?” „Bo nasze kobiety powiedziały, że ty nas rozpijasz”. „Jak to? Przecież to taka parabola literacka, że on tam wymienia różne wynalazki, co z czym trzeba pić i tak dalej”. To była jedna sprawa. Druga – w sierpniu nie piło się alkoholu. Chłopaki mówią: „Słuchaj, ty tutaj zostań na Śląsku”. „Gdzie na Śląsku? Ja? BUW na mnie czeka!” „Zostań na Śląsku, zorganizujesz nam kolportaż i tak dalej”. „Nie, nie zostaję”. „Wiesz co, następnym razem odbierzesz tę bibułę w innym lokalu”. Dali mi namiar na jakieś mieszkanie. Przychodzę, patrzę, śliczna dziewczyna. I Wito mówi: „Teraz bibułę będziesz odbierał i zostawiał tutaj”. „No dobrze, jak tak ustaliliście...” A potem zostałem poczęstowany świetnym, bardzo obfitym śląskim obiadem. Chłopaki namawiali mnie na lufę wódki, ale ze względów ideologicznych odmówiłem. Niestety to śląskie jedzenie było tak tłuste, że jak wracałem pociągami, to czułem, że mam taką warstwę tłuszczu, że mi się żołądek przelewa. Mówię: „Oj, nie jest dobrze, muszę do warsu szybko napić się herbaty, gorzkiej, bo to będzie jakaś tragedia”. I na nieszczęście przy warsie stał Kowalewski, aktor, i gadał strasznie długo, i biednego obrzygałem po prostu. Ale to wszystko przez patriotyzm i przez religię, że w sierpniu się nie pije gorzały, gdybym się napił, toby to się rozłożyło i nie byłoby problemu.

ANNA OWCZAREK: Nie umiem opowiadać tak barwnie jak Jerzy. Mogę dopowiedzieć tyle, że w tym czasie pracowałam już w Bibliotece. Od początku stanu

² *Moskwa – Pietuszki* – utwór autorstwa rosyjskiego pisarza Wieniedikta Jerofiejewa napisany prozą poetycką w latach 1969–1970, pierwotnie ukazał się jako wydanie podziemne, również w wersji polskiej, pierwsze (niepełne) oficjalne wydanie rosyjskie ukazało się w 1989 r. Opowieść to prze-myślenia alkoholika-intelektualisty Wieniczki jadącego pociągami na trasie z Dworca Kurskiego w Moskwie do Pietuszek, do ukochanej i dziecka.

wojennego były różne trudne sytuacje. Wiele osób było mocno zaangażowanych w działalność konspiracyjną, nie wszyscy w równym stopniu. O wielu rzeczach nie wiedziałam, o wielu sprawach się po prostu nie mówiło. Trzeba było uważać na to, co i do kogo się mówi, bo przecież pracowaliśmy razem. Mimo to panowała między nami solidarność. Nie tylko ta związkowa przez duże „S”, ale też taka zwykła, ludzka solidarność, której teraz często po prostu nie ma. Było ciężko, wszystkiego brakowało, ale ludzie sobie pomagali. Teraz inaczej to wszystko funkcjonuje, atmosfera zupełnie się zmieniła, mimo że są jeszcze tutaj osoby pamiętające tamten trudny czas. To już nie to środowisko, nie to towarzystwo, nie ta Biblioteka, choć ta sama, ale inna pod wieloma względami.

NINA PAPUŻYŃSKA: Czy była Pani wtedy studentką? Na jakim roku?

ANNA OWCZAREK: Studiowałam prawie w tym samym czasie, co Jurek Siedlecki, też zaocznie. Pamiętam, że 13 grudnia w niedzielę jechałam rano, około godziny ósmej na wykłady, miałam zajęcia w gmachu na ulicy Karowej³. Śpieszyłam się nieświadoma, że coś się zaczęło dziać. Przyjechałam na zajęcia, zajęć nie ma, nikt nic nie wie – coś jest nie tak. Telefony nie działają, my siedzimy w sali wykładowej, nie wiadomo, co robić. W końcu okazało się, że zajęć nie będzie i mamy wychodzić grupkami po dwie, trzy osoby, no bo nie można było tłumem. Pamiętam szok, jaki przeżyłam, gdy wyszłam na ulicę i zobaczyłam, że na wprost wejścia do budynku stoi spora grupa takich uzbrojonych w karabiny żołnierzy obok wojskowego samochodu. Było tak jakoś niepokojąco i groźnie. No my po prostu nie wiedzieliśmy, do jakiego świata wychodzimy.

Pracowałam w tym czasie w oficynie pałacu Potockich⁴, okna mojego pokoju wychodziły na plac przy kościele Wizytek⁵. Na terenie obecnego Kampusu Głównego Biblioteka miała kilka lokalizacji, poza Gmachem Głównym BUW oraz Nowym Światem 69. W związku z tym, jak się normalnie funkcjonowało w pracy, to trzeba było przechodzić z jednego budynku do drugiego, a to z wózkiem, a to z paczkami, a to z książkami. Jak trzeba było sprawdzić książki w katalogu,

³ Ul. Karowa w Warszawie – ulica biegnąca od Wybrzeża Kościuszkowskiego do Krakowskiego Przedmieścia w Warszawie, przy ul. Karowej 18 mieści się siedziba Wydziału Socjologii UW.

⁴ Pałac Tyszkiewiczów-Potockich – jeden z pałaców znajdujących się przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, w 1946 r. jego ruiny zostały przekazane, na wniosek Rektoratu UW, przez Państwową Komisję Lokalową na rzecz UW wraz z pałacem Czetwertyńskich-Uruskich oraz ze Szpitalem św. Rocha, obecnie siedziba m.in. Wydziału Polonistyki UW.

⁵ Kościół Wizytek w Warszawie – kościół rzymskokatolicki Sióstr Wizytek pod wezwaniem Opieki św. Józefa Oblubieńca Niepokalanej Bogurodzicy Maryi w Warszawie, mieści się przy ul. Krakowskie Przedmieście 34. W początkach istnienia UW był kościołem uniwersyteckim.

no to trzeba było iść, deszcz pada, ciepło, zimno, trzeba było iść do budynku głównego, do katalogów i tam szukać różnych rzeczy. Tak że my wtedy – mimo że byliśmy oddzielnie, bo tu jesteśmy w jednym budynku, byliśmy porozrzucani nie tylko na terenie kampusu, ale też i na terenie Warszawy, bo część w ogóle to był księgozbiór dydaktyczny, był w zupełnie innym budynku, co prawda niedaleko, a część zbiorów była jeszcze gdzie indziej – byliśmy bardziej zżyci. Bardzo zżyci, bo ta komunikacja była inna, wiadomo: nie było telefonów komórkowych, nie było komputerów i tak dalej, ale była ta komunikacja, my się widywaliśmy tutaj. Czasami jest tak, że można się tygodniami nie spotkać, mimo że jesteśmy w jednym budynku.

Samo umiejscowienie biblioteki – bo mówię o bibliotece, nie o całym Uniwersytecie – to było Krakowskie Przedmieście, wiadomo, centrum Warszawy. Wszelkie manifestacje, wszelkie demonstracje, wszelkie zadymy, jakie się odbywały, no to na Krakowskim Przedmieściu. Ciężko było czasem wyjść z pracy, trzeba było wychodzić od ulicy Oboźnej, tym wyjściem od polonistyki, bo tutaj się nie dało, tu ZOMO stało i działy się takie rzeczy, że żeby wrócić do domu, to trzeba było pomyśleć, jak można się wydostać z budynku. Czasami było tak, że jak były jakieś demonstracje, to się uchylało drzwi od strony Krakowskiego Przedmieścia i ktoś się mógł schować, ukryć – no bo wiadomo, mogło się to skończyć tak, że człowiek nie wrócił do domu.

Pamiętam takie zdarzenie, to było właśnie w stanie wojennym, jak z koleżanką wracałyśmy do domu po pracy Krakowskim Przedmieściem. Ona pracowała w Polskiej Izbie Handlu Zagranicznego⁶ na ulicy Trębackiej, a budynek Izby był połączony podziemiami z budynkiem prokuratury, która jest obok. Tam też w podziemiach była wspólna stołówka, gdzie razem jadałyśmy obiady na jej abonament. Śmiałam się, że w czasie stanu wojennego chodzę do prokuratury na obiady. I kiedyś wyszłyśmy po obiedzie, było lato gorąco, upał. Wracamy do domu, nagle z tyłu łapie mnie pod rękę dwóch takich wielkich mężczyzn i pakują mnie do nyski. Nie wiedziałam, co się dzieje. Pytali mnie, co mam na szyi, po co mi to i czy uważam, że Polska nie jest Polską. A na szyi miałam na łańcuszku taki mały srebrny wisior w kształcie nieśmiertelnika wojskowego z wygrawerowanym tekstem piosenki Jana Pietrzaka *Żeby Polska była Polską*. Do dzisiaj nie wiem, jak oni wypatrzyli, co tam było napisane. Zostałam mocno postraszona i pouczona,

⁶ Izba Handlu Zagranicznego – zrzeszenie podmiotów gospodarczych, głównie central handlu zagranicznego, działająca w PRL w latach 1949–1989, stworzona w celu utrzymywania partnerskich relacji z zagranicznymi izbami handlowo-gospodarczo-przemysłowymi oraz badania koniunktury i doradztwa w zakresie handlu zagranicznego, od 1955 r. jej siedziba znajdowała się przy ul. Trębackiej 4 w Warszawie.

ale na szczęście wypuszczona po spisaniu cała i zdrowa – chociaż zielona na twarzy i na miękkich nogach. Koleżanka, z którą byłam, miała taki sam wisiorek, tylko że pod koszulką. Ja miałam na wierzchu na bluzce i dzięki temu znalazłam się właśnie w takiej sytuacji. Dla mnie to było strasznie trudne. Pamiętam, że po skończonej rozmowie, jak mnie wypuszczono, to po prostu biegiem ruszyliśmy w kierunku Starówki. Tam dopiero na ławce przy Barbakanie usiadłam i przestałam się trząść. Nawet nie pamiętam tej drogi. Koleżanka była zdenerwowana, no bo nie wiedziała, co się dzieje. Nagle mnie złapano, wsadzono do nyski i nie ma człowieka. Tak że za głupstwo można było zostać zatrzymanym i nie wiadomo było, na jak długo i co się dalej stanie. Taki to był epizod.

Była też taka historia: wyszłam z pracy i trzeba było od razu uciekać, bo odbywała się demonstracja i ZOMO szło od strony ulicy Królewskiej. Nie było się gdzie schować. Szybka decyzja – biegiem do kościoła Świętego Krzyża, gdzie odbywała się msza. Z jednej strony było ZOMO, z drugiej strony stały samochody, a w środku tłum ludzi, no to uciekaliśmy. Potem po mszy z kościoła trzeba było jakoś wyjść. Ksiądz nas wypuszczał grupami, stopniowo. Większość stanowili starsi ludzie, byli też tacy naprawdę w podeszłym wieku. Jak zeszliśmy po schodach kościoła, to znaleźliśmy się między szpalerem uzbrojonych zomowców, którzy popędzali nas w stronę ulicy Kopernika. To było takie okropne przeżycie dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla tych, którzy przeżyli wojnę. Oni pamiętali tamte czasy i takie sytuacje. Pamiętam stare kobiety, które mówiły do nich, że mogliby być ich synami, czemu to robią. To były takie chwile, które się do dzisiaj pamięta.

A z wydarzeń uniwersyteckich pamiętam taką sytuację, kiedy samorząd studencki zwrócił się do profesora Samsonowicza, wtedy jeszcze jak był rektorem. Udostępnił nam Salę Brudzińskiego w Pałacu Kazimierzowskim, zostaliśmy tam zamknięci i tam w nocy wyświetlane były filmy. To był *Blaszany bębenek*⁷, wtedy zakazany, *Europa, Europa*⁸ i jeszcze jakieś. Pamiętam, że siedzieliśmy na podłodze i oglądaliśmy te filmy. To były takie niecodzienne, nietypowe wydarzenia.

⁷ *Blaszany bębenek* – dramat z 1979 r. w reżyserii Volkera Schlöndorffa, nagrodzony m.in. Oscarem i Złotą Palmą, scenariusz filmu oparty jest na powieści Güntera Grassa pod tym samym tytułem, która opisuje historię Oskara Matzeratha, małego chłopca dojrzewającego w Wolnym Mieście Gdańsku, który w wieku trzech lat na znak sprzeciwu wobec otaczającej go rzeczywistości postanawia przestać rosnąć.

⁸ *Europa, Europa* – film wojenny z 1990 r. w reżyserii Agnieszki Holland, nominowany do Oscara i nagrodzony m.in. Złotym Globem, scenariusz filmu oparty jest na autobiografii Solomona Perela wydanej w 1989 r., w której opisuje swoje losy – Żyda działającego tak, by uniknąć nazistowskiego prześladowania – udającego Aryjczyka.

Ważne jest to, co Jurek mówił o drugim obiegu. Potem trafiły do nas zbiory archiwalne z wydawnictw, jako biblioteka mamy chyba jedno z największych zbiorów drugiego obiegu, skatalogowane już chyba w tej chwili. Zbieraliśmy wtedy to wszystko, wszystko było przechowywane. Nieżyjący już Marek Michalski opisuje we wspomnianej książce, jak to było: ulotek używało się jako podkładki pod szklanki, czasopisma drugiego obiegu były wkładane między normalne książki, ale też były jakoś tam rejestrowane, żeby je można było potem znaleźć. Wszystko jednak było ukryte. Można powiedzieć, że odbywała się taka podwójna rejestracja.

**Czy Pani wspomnienia z tamtego okresu są bardziej negatywne, czy bardziej pozytywne?
Czy może trudno to określić?**

Wspomnienia są takie i takie, no bo wiadomo, że różnie bywało. Pozytywne – że była taka więź między ludźmi, pomagaliśmy sobie bezinteresownie, można było na kogoś liczyć. Miało się dużo znajomych i poznawało się wiele nowych osób. Można było się zwrócić w różnych sprawach. A negatywne – to było takie ogromne napięcie, niepewność jutra i strach przed tym, jak się to dalej potoczy. Nie wiadomo było, jak długo taki stan będzie trwać. Brakowało praktycznie wszystkiego – wszystko się zdobywało lub załatwiała. Ciężko było żyć, ale mimo to humor (często ten czarny) nas nie opuszczał. Natomiast stosunek ludzi do siebie był zupełnie inny niż teraz.

Może była jeszcze jakaś sytuacja, która zapadła Pani w pamięć, jacyś ludzie?

Z tamtego czasu pamiętam, że w domu, jak nigdy wcześniej, było dużo cukru – kupowanego na kartki i tego wymienionego na kartkowy alkohol i papierosy. Przecież przydział nie mógł się zmarnować, a u nas cukru używało się raczej mało.

Pamiętam też takie zdarzenie, to już było po samym stanie wojennym, kiedy byłam w ciąży. Stałam w kolejce, a raczej miałam miejsce w kolejce po upragnioną lodówkę. Prawie miesiąc chodziłam codziennie na ulicę Kruczą podpisywać listę kolejkową u dyżurującej osoby z komitetu kolejkowego rano i po południu. Moja koleżanka, która też tam była zapisana, podpisywała się za mnie rano, a ja szłam tam każdego dnia pod wieczór. Wszyscy pilnowali kolejki i nie było taryfy ulgowej. Trzeba było być codziennie, bo inaczej wypadało się z kolejki. Któregoś dnia dzwoni telefon i słyszę: „Słuchaj, przyjeżdżaj szybko, bo dzisiaj będą lodówki i ty też się pewnie załapiesz”. Tego dnia nie miałam przy sobie pieniędzy, no bo przecież trudno codziennie jeździć do pracy z taką furą gotówki. Mój ówczesny szef to usłyszał i dał mi potrzebną kwotę na tę lodówkę. Następnego dnia oczywiście oddałam pieniądze. Teraz nie wyobrażam sobie takiej sytuacji. To były takie wyjątkowe czasy.

Powiem jeszcze o sytuacji w pracy, to było po samym stanie wojennym, kiedy już była taka bardzo trudna sytuacja, że w sklepach był tylko ten przysłowiowy ocet. I właśnie ten nasz szef (u nas było więcej kobiet, to był nieduży oddział) przychodził i mówił: „Słuchajcie panie, pojedynczo idźcie, bo na Nowym Świecie w serowarskim jest ser, idźcie i kupcie”. To było poza kartkami. No i nas wypuszczał, wychodziłyśmy, żeby kupić coś do jedzenia.

Ze stanu wojennego pamiętam te ciągle problemy, żeby zdążyć na czas, że godzina policyjna, żeby nikt nie zatrzymał. Miałam takiego kolegę, nie mam z nim już kontaktu, on studiował na polonistyce wtedy dziennie, aktywnie się udzielał. No to przynosił do mnie bibułę i ja przechowywałam tę bibułę u siebie w piwnicy. Sama tej bibuły nie rozprowadzałam, tylko on po prostu nie miał gdzie tego przechować, bo mieszkał kątem u kogoś. No i tyle.

Rozmowa 12.

Joanna Papis

Geografka, w latach 1981–1986 była studentką Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych UW. Od ukończenia studiów związana zawodowo z Wydziałem Geografii i Studiów Regionalnych UW (w kolejnych latach zatrudniona jako pracownik naukowo-techniczny, asystent, starszy wykładowca, a obecnie starszy specjalista). Przewodnicząca Wydziałowego Koła NSZZ „Solidarność” UW.

Wywiad: Wiktoria Luck, studentka III roku socjologii
w ramach Kolegium Międzyobszarowych Indywidualnych
Studiów Humanistycznych UW
Transkrypcja: Julia Gruca

WIKTORIA LUCK: Czym zajmowała się Pani w 1981 roku? Była Pani studentką czy już pracowała?

JOANNA PAPIS: W 1981 roku, w maju zdałam maturę, skończyłam liceum w Białymstoku. W lipcu zdawałam egzaminy wstępne na studia, tutaj na Wydział Geografii, zostałam przyjęta i od pierwszego października 1981 roku rozpoczęłam pierwszy rok studiów. Byłam na uroczystej inauguracji w Auditorium Maximum. Stanowiło to dla mnie ogromne przeżycie, bo po strajkach „Solidarności”¹ był to czas, kiedy poczuliśmy, że coś nowego dzieje się w kraju i ta inauguracja, na której obecny był ksiądz prymas², który dostał ogromne oklaski, i równocześnie przedstawiciel partii³, Mieczysław Rakowski⁴, który został „wytupany”, bośmy siedzieli na galerii – nastroje były niezwykle. Kiedy przeprowadziłam się z Białegostoku do Warszawy, było to coś zupełnie nowego. Czuło się, że w końcu coś może się zmienić w tym kraju, w którym czuliśmy się bardzo przez władzę komunistyczną tłamszeni, bez możliwości udziału w zarządzaniu, w stanowieniu o mechanizmach dotyczących i studiowania, i pracowania.

Pamięta Pani ten pierwszy poniedziałek po wprowadzeniu stanu wojennego i po zawieszeniu zajęć?

Tak, w ogóle wszystko się odbyło w niedzielę. W listopadzie przystąpiłam tutaj do strajku, w budynku Wydziału Geografii odbywał się strajk okupacyjny⁵. Brama była zamknięta, cały Uniwersytet był zamknięty, mogli wchodzić tylko studenci, ci, którzy zdecydowali się być na strajku, mogli czasem opuszczać teren Uniwersytetu

¹ Strajki „Solidarności” w 1980 r. – rozpoczęte latem jako reakcja na podwyżki cen mięsa i wędlin wprowadzone przez ekipę rządzącą Edwarda Gierka, szybko zyskały charakter przekraczający wąsko rozumiane postulaty ekonomiczne. Jako pierwszy, 16 lipca strajkować zaczął Lublin, w połowie sierpnia do strajków przyłączyły się ośrodki na Wybrzeżu, gdzie utworzono Międzyzakładowy Komitet Strajkowy scalający działalność grup strajkujących. Wynikiem strajków było zarejestrowanie przez Sąd Najwyższy NSZZ „Solidarność”, liczącego wkrótce niemal 10 mln członków.

² Józef Glemp (1929–2013) – duchowny rzymskokatolicki, w okresie stanu wojennego pełnił funkcję prymasa (1981–2009). Wielokrotnie zastraszany przez służby bezpieczeństwa. W okresie silnych konfliktów podejmował się mediacji – uczestniczył np. w spotkaniu Wojciecha Jaruzelskiego oraz Lecha Wałęsy. Apelowal o powściągnięcie przemocy i zachowanie spokoju.

³ Chodzi o PZPR – Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, utworzoną 15 grudnia 1948 r. w wyniku połączenia decyzją władz państwowych Polskiej Partii Socjalistycznej oraz Polskiej Partii Robotniczej. Sprawowała faktyczną władzę w Polsce zależnej od ZSRR w latach 1948–1989.

⁴ Mieczysław Rakowski (1926–2008) – polski polityk komunistyczny, z wykształcenia dziennikarz, wieloletni redaktor naczelny tygodnika „Polityka”. W czasie stanu wojennego objął stanowisko wicepremiera w rządzie Wojciecha Jaruzelskiego.

⁵ Strajk okupacyjny na UW – zorganizowany przez Niezależne Zrzeszenie Studentów wobec zwłoki w rejestracji stowarzyszenia przez ministra. Rozpocząty 26 listopada 1980 r. i trwający do 28 listopada tego samego roku strajk odbywał się na terenie Pałacu Kazimierzowskiego.

na podstawie przepustek wydawanych przez takie lokalne komórki NZS-u⁶. W listopadzie zaczęliśmy strajkować i był to strajk, który miał kilka przesłanek. Myśmy wspierali strajkujących studentów z Wyższej Szkoły Pożarnictwa na Żoliborzu i studentów Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu. Wówczas został tam wybrany na rektora – pamiętam tylko nazwisko – Hebda. Nie pamiętam jego imienia, nie pamiętam jego tytułu, ale był to bardzo niedemokratyczny wybór, a państwo czy ministerstwo już po tym solidarnościowym przełomie 1980 roku pozwalało na przeprowadzanie wyborów, na większą samodzielność i rektorzy nie byli z linii partyjnej, ale mogli być wybierani w bardziej demokratycznych wyborach w różnych jednostkach uniwersyteckich. U nas na Uniwersytecie Warszawskim rzeczywiście tak to się odbyło i został wybrany profesor Samsonowicz – był to wybór rzeczywiście wolnościowy. Natomiast tam doszło do jakiejś manipulacji. W każdym razie społeczność akademicka – Wyższej Szkoły Inżynierskiej – bardzo się burzyła, że na następną kadencję rektorem został znowu ten, być może profesor, Hebda. Równocześnie w szkole pożarnictwa też zaczęli strajkować, bo chciano ich po prostu wcielić w struktury służby wojskowej, a oni dążyli do tego, by mieć większą niezależność jako jednostka po prostu akademicka. Staraliśmy się wywrzeć nacisk na władze państwowe, żeby zostały uchwalone przepisy dotyczące statusu uczelni, czyli takie prawo, jak teraz jest prawo o szkolnictwie wyższym. Z tych też powodów zamknęliśmy się tutaj na strajku okupacyjnym. Byliśmy na tym strajku aż do piątku, czyli do 11 grudnia, a w niedzielę trzynastego ogłoszono stan wojenny. Był to czas niezwykle. Myśmy na przykład uczestniczyli w rekolekcjach przed świętami Bożego Narodzenia. W czwartek, czyli był to 10 grudnia, w Auditorium Maximum odbywała się msza, w czasie której ksiądz prymas Glemp – dopiero po jakimś czasie uświadomiłam sobie, jakie to miało znaczenie – powiedział, że on nas bardzo prosi, żebyśmy już zakończyli strajk okupacyjny, rozeszli się już do domów. „Bardzo was proszę o to, bo wiem o takich rzeczach, że nasze dalsze strajkowanie może być bardzo niebezpieczne”. Później odkryłam, że władze kościelne miały już sygnał o tym, że jest szkodliwy stan wojenny, i ksiądz prymas obawiał się, że tutaj po prostu wejdzie wojsko, że będzie jakaś pacyfikacja. I myśmy się chyba w sobotę już rozjechali, ja mieszkalam w akademiku na Żwirki i Wigury⁷. W niedzielę rano byłam umówiona

⁶ NZS – Niezależne Zrzeszenie Studentów, organizacja zrzeszająca studentów powstała 22 września 1980 r. i istniejąca do dziś. NZS był swego rodzaju studenckim odpowiednikiem „Solidarności”, przez co władze PRL zwlekały z jego rejestracją. Dopiero w wyniku strajku okupacyjnego w uczelniach łódzkich 17 lutego 1981 r. nastąpiła rejestracja zrzeszenia. Zdelegalizowano je jednak po wprowadzeniu stanu wojennego, a głównych działaczy aresztowano. Mimo to organizacja nie przerwała działalności. W roku 1989 ponownie zalegalizowana przez Sąd Najwyższy.

⁷ Akademiki UW przy ul. Żwirki i Wigury w Warszawie – dwa duże akademiki, każdy dla 870 osób. W czasie stanu wojennego miejsce występowania incydentów przeciw władzy, takich jak umieszczanie napisów o wymowie antyradzieckiej i antykomunistycznej.

z koleżanką. Ona była na stacji, miała pokój na Żoliborzu, a ja nawet nic nie wiedziałam, co się stało, bo nie włączyłam w ogóle telewizora. Ale w akademiku, w nocy z soboty na niedzielę w sali telewizyjnej chciałam obejrzeć jakiś film. Byłam jedyną chętną, choć do sali telewizyjnej wejść mógł każdy. Miał być wyświetlany jakiś amerykański film, po tym okresie wielu tygodni spędzonych na strajku potrzebowałam jakiejś chwili relaksu. Nagle, było to koło północy, obraz na ekranie telewizyjnym zaczął śnieżyć. U nas w akademiku były wówczas tylko trzy kanały: program pierwszy, program drugi i telewizja radziecka. Na pierwszym nic nie było, na drugim nic nie było, kanał z telewizją rosyjską odbierał. Poprzełączałam jeszcze, poruszałam tymi kablami, nie wiedziałam, co się dzieje. W końcu chyba znikła również transmisja z telewizji radzieckiej. Poszłam spać, rano wstałam, w ogóle nic o niczym nie wiedząc, nie nastawiając żadnego radia w pokoju. Poszłam do autobusu 175, żeby pojechać do koleżanki na to spotkanie, miałyśmy razem spędzić niedzielę. Patrząc – na przystanku porozklejane jakieś plakaty. Nie czytałam ich, podjechał autobus, jedziemy tym autobusem, bardzo zimno, surowa zima, pełno śniegu. Przejeżdżam przy rondzie – tutaj gdzie jest PKP Ochota⁸ – i tam stał jakiś taki wielki pancerny samochód, jacyś wojskowi przy tym samochodzie – w dalszym ciągu nie bardzo wiedziałam, co się dzieje. Ale w naszym autobusie ktoś miał ustawione radio, małe radyjko, tranzystor. I słyszę z tego radia komunikaty. Później się przesiadałam, tutaj przy Świętej Annie⁹, w inny autobus. I dopiero zobaczyłam plakaty: ogłoszenie stanu wojennego. Dopiero wtedy to wszystko zobaczyłam. Przyjechałam do koleżanki, oczywiście oglądałyśmy telewizję, wszystkie komunikaty, byłyśmy przerażone tym, co się dzieje. Następnego dnia, poniedziałek, no cóż robić, udaję się na uczelnię. Wsiadłam w autobus, przyjechałam tutaj. Brama Uniwersytetu zamknięta. Wszystko pozaamykane, wejście na Mały Dziedziniec też zamknięte, ale w tej bramie, przez którą można przejść, stoi jakiś żołnierz. Nie wiedziałam w ogóle, jak zareagować, czy będą jakieś zajęcia, co mamy robić, ale pora była taka okołoobiadowa, a ponieważ miałam wykupione obiady w stołówce uniwersyteckiej, która mieściła się w budynku Szpitala Świętego Rocha¹⁰, to myślę – może spróbuję wejść do tej stołówki uniwersyteckiej. Ten żołnierz zapytał się, w jakiej sprawie, czy mam jakąś przepustkę. Ja mówię że nie, że przyszłam na obiad. „Nie, nie, wejście absolutnie nie jest

⁸ Budynek dworca PKP Ochota – otwarty w 1963 r. przystanek kolejowy w warszawskiej dzielnicy Wola, przy Alejach Jerozolimskich 58. Budynek dworca zaprojektował w stylu modernistycznym Wacław Zalewski.

⁹ Kościół św. Anny w Warszawie – kościół rzymskokatolicki w Warszawie przy ul. Krakowskie Przedmieście 68. Od 1928 r. ze względu na położenie w pobliżu czterech warszawskich uczelni pełni funkcję ośrodka duszpasterstwa akademickiego.

¹⁰ Budynek Szpitala św. Rocha na Małym Dziedzińcu UW – budynek nieistniejącego obecnie Szpitala św. Rocha założonego w 1707 r., znajduje się na Małym Dziedzińcu Kampusu Głównego UW.

możliwe”. Więc odeszłam, ale nadal kręciłam się w pobliżu, kręciło się tutaj też kilkoro studentów. Później zobaczyłam panią, która pracowała w szatni w budynku stołówek. I ona mówi mi tak: „Proszę pani, proszę powiedzieć, że idzie pani do przychodni”. Bo na Małym Dziedzińcu mieściła się również przychodnia. „Jak pani powie, że do przychodni, to żołnierz panią wpuści” [śmiech]. Więc podeszłam drugi raz, po jakimś czasie. Myślę – może mnie nie pozna. Rzeczywiście powiedziałam, że idę do przychodni, żołnierz mnie wpuścił. Poszłam do stołówki. W stołówce był obiad, wszyscy mieli bardzo minorowe nastroje. Nie wiedzieliśmy w ogóle, co się dzieje. Zjadłam obiad, wyszłam na Krakowskie Przedmieście, spotkałam kogoś ze studentów. Ktoś pytał, czy ja wiem, że kogoś internowali, kogoś zabrali. Nastroje były okropne po prostu, pełno wojska na ulicach. Ktoś powiedział, że jeden nasz kolega z roku był ścigany, że gdzieś uciekał, że wyskoczył przez okno, że prawdopodobnie zginął. Było to bardzo przerażające odczucie. Pokręciłam się trochę po Krakowskim. Wróciłam do akademika, później okazało się, że było ogłoszenie o tym, że zajęcia są w ogóle zawieszone, że studenci muszą się rozjechać do domów. Czyli ja musiałam wrócić do Białegostoku, ale jednocześnie na przemieszczanie się między poszczególnymi miastami trzeba było mieć jakieś specjalne przepustki. Nie pamiętam, jak to zostało załatwione, ale wiem, że w ciągu tego pierwszego tygodnia po ogłoszeniu stanu wojennego, kiedy dowiedziałam się, że zajęcia są zawieszone, że Uniwersytet jest zamknięty, że powinnam wrócić do Białegostoku, to właśnie załatwiłam ten powrót do domu. Jechałam do Białegostoku pociągiem. Na stacji było bardzo dużo wojskowych, słyszeliśmy o tym, że są rewizje. A ja niestety wywoziłam z akademika bibułę, czyli wydrukowane poza oficjalnym obiegiem różne ulotki, które mieliśmy na strajku. Miałam też książki wydrukowane poza zasięgiem cenzury. Nie pamiętam dokładnie, jakie to były wydawnictwa. Być może *Zapiski więzienne* księdza kardynała¹¹, bo wiem, że miałam taką książkę. Być może była to *Historia Polski*, bo też była drukowana poza zasięgiem cenzury. Pamiętam, że miałam w swoich zbiorach małe wydawnictwo, takie kieszonkowe, bardzo drobnym drukiem wydrukowane na powielaczu. I wiozłam to w walizce i po prostu drżałam na myśl o tym, że mnie zrewidują i co się stanie, jeżeli coś takiego przy mnie znajdą. Ale na szczęście nie byłam zatrzymywana, dotarłam jakoś do domu. W domu powiedziałam tacie, że mam tego rodzaju rzeczy i że nie wiem po prostu, co z nimi zrobić. Brat powiedział, że schowamy to w piwnicy. Ktoś mówił, że jakieś listy studentów lub uczestników strajku być może dostały się w ręce wojska. Być może będą nas odszukiwać, być może będą chcieli jakoś do nas dotrzeć. Tak więc bałam

¹¹ *Zapiski więzienne* kard. Stefana Wyszyńskiego – książka prymasa Stefana Wyszyńskiego zawierająca wspomnienia życia codziennego z okresu internowania w latach 1953–1956 oraz takie teksty, jak: notatnik duchowy, listy, memoriały do władz oraz obszerne wypowiedzi będące osobistą refleksją nad sytuacją Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce.

się, że może przyjść taka rewizja i nawet w Białymstoku, w domu mogą coś przeszukiwać i czegoś tam ode mnie chcieć, więc wiem, że brat ukrył to gdzieś w piwnicy [śmiech]. Tak że nastroje były bardzo, bardzo minorowe. Obawialiśmy się, nie wiedzieliśmy, co się w ogóle dzieje, nie było kontaktu telefonicznego, telefony nie działały w ogóle, tak że bardzo ciężko wspominam ten okres. Z dużym strachem o rodzinę, o rodziców, których trochę wpłatałam przez tę swoją działalność, że byłam tutaj na strajku. Martwiłam się, jakie będą tego konsekwencje, tym bardziej że mój tata też był więziony ze względów politycznych, można powiedzieć, że był przez jakiś czas nawet więźniem politycznym, więc trochę się obawiałam, że mogę tą swoją działalnością namieszać w rodzinie.

Czy kiedykolwiek wtedy przyszła Pani albo Pani rodzinie do głowy myśl, żeby książki, tę bibulę po prostu zniszczyć?

Nie.

Czy to było zbyt cenne?

Nie, nie przyszło mi do głowy, żeby to zniszczyć. Przechowywaliśmy to w piwnicy mimo takiej obawy, że jakby to znaleźli, to może się to źle skończyć. Nie chciałam tego zniszczyć.

Rozumiem. A wracając jeszcze do strajków listopadowych – jak studenci zareagowali na słowa prymasa Glempa?

To była historia trochę wcześniejsza. Myśmy obserwowali, co się działo, docierały do nas jakieś wiadomości, słuchaliśmy radia i wiedzieliśmy, że toczą się różne rozmowy, że te nasze strajki spełniają swoją rolę, bo władza zaczyna się uginać. Niestety strajk studentów, którzy zajmowali tę szkołę pożarnictwa – i to nas przerażało – zakończono w sposób gwałtowny. To znaczy z helikopterów nastąpił desant, wojsko opuściło się na dachy tego budynku, w którym strajkowali studenci, i go opanowało. Zamknęli tę szkołę, rozwiązali strajk, tak więc myśmy byli przerażeni. Jak się tego dowiedzieliśmy, obawialiśmy się, że tutaj, na teren Uniwersytetu też może wkroczyć wojsko. Nie wiedzieliśmy, co się z nami stanie. Myśmy nawet pełnili straż nocną. Ja też byłam na nocnym dyżurze, mróz był okropny, i z koleżanką odbyłyśmy, nie wiem, ile to było, trzy godziny takiej warty na zewnątrz. Chodziłyśmy, sprawdzałyśmy, czy coś się nie dzieje przy tej bramie od Wizytek, czy tam jest po prostu bezpiecznie, czy ktoś tam się nie włamuje (w razie czego miałyśmy natychmiast kogoś zawiadamiać). Więc obawialiśmy się, ale z drugiej strony wiedzieliśmy, że są jakieś prace w Sejmie, żeby ta nowa ustawa dotycząca zasad wyboru władz w różnych szkołach wyższych została już wdrożona. Czyli mieliśmy przesłanki, że być może zdarzy się coś pozytywnego. Już wcześniej były

takie sugestie, żeby przeprowadzić referendum wśród strajkujących, bo niektóre jednostki już zakończyły strajk i w grudniu już go rozwiązywały, bo cały ten pożar strajków ogarnął w zasadzie uczelnie w całym kraju. U nas takie referendum zostało przeprowadzone i właściwie większość osób opowiedziała się za tym, żeby zakończyć ten strajk, że już widać, że władza troszeczkę się zajęła naszymi sprawami. Może to było też trochę nasze zmęczenie, bo siedzieliśmy tutaj kilka tygodni, w trudnych warunkach, wiem, że do zamkniętej bramy podchodzili mieszkańcy Warszawy, przynosili nam jedzenie. Wiem, że siostry – tutaj ze Śródmieścia – gotowały zupy i nam dostarczały. Myśmy mieli na dole bufet i w tym bufecie mieliśmy dyżury, przygotowywaliśmy kanapki z darów żywnościowych, właściwie z chlebem tylko, rzadko z jakąś tam margaryną. Tak że dosyć ciężko nam było, spaliśmy na materacach. Ja spałam piętro niżej w sali 107. Trudno było zadbać o higienę, praliśmy tam, co mogliśmy, nie zawsze była ciepła woda. Więc odcisnęło to na nas jakieś piętno, chociaż uważaliśmy, że do pewnego stopnia już coś dobrego wynikło z tego strajku. Więc ten wynik referendum i te słowa księdza prymasa we czwartek na tej naszej mszy na zakończenie rekolekcji to jak gdyby były w tym samym nurcie. Więc myśmy rzeczywiście wiedzieli, że kończymy już nasz strajk, chociaż była część osób, o których później się dowiedziałam, że jak ogłoszono stan wojenny, to tutaj jakoś się przedarła na Uniwersytet i oni chcieli w dalszym ciągu strajkować. Ale wiem, że rektor Samsonowicz uspokajał, żeby przede wszystkim zadbać o to, żeby się nic tutaj takiego drastycznego nie wydarzyło, że strajk już w stanie wojennym będzie pacyfikowany zbrojnie, że mogą być nawet osoby ranne czy uwięzione, tak że starał się to łagodzić.

Gdy rozpoczął się ten strajk, była Pani jeszcze nowa na Uniwersytecie. Domyślam się, że taki strajk bardzo musi integrować ze społecznością studencką.

Tak, bardzo. Muszę powiedzieć, że nie wszyscy moi znajomi, którzy mieszkali w akademiku, zdecydowali się na przystąpienie do tego strajku okupacyjnego. Ja może miałam taką niepokorną postawę wobec władz PRL-u. Może to jakoś tak, jak się mówi, wyssałam z mlekiem matki [śmiech], bo moja mama była w AK w czasie wojny, więc uważałam, że to po prostu jest moim obowiązkiem obywatelskim, patriotycznym. Z osobami, które były tutaj na strajku, bardzo się zżyłam, niektóre z tych osób do tej pory pracują na Uniwersytecie i też jesteśmy cały czas w dobrych relacjach. Więc później przez pięć lat studiów byliśmy zżyci, rzeczywiście byliśmy zżyci. To się czuło, wspieraliśmy się bardzo, bo niektórzy przeżywali też rozłąkę z domem, nie było wiadomo, co się z kim dzieje. Nie było telefonów komórkowych [śmiech], więc rodziny się martwiły, ale staraliśmy się jakoś wspierać.

Ile czasu spędziła Pani w Białymstoku, zanim wróciła Pani do Warszawy?

Zajęcia były zawieszone, tak że byliśmy na święta i cały styczeń po świętach. Czekaliśmy cały czas na ogłoszenie, że zajęcia na Uniwersytecie zostały wznowione i to miało miejsce z początkiem lutego, ten cały czas oczekiwaliśmy, wysłuchiwalismy różnych komunikatów. Cały czas w takim niepokoju, jak to się wszystko dalej potoczy. A jeszcze, co gorsza, mój brat, który skończył studia w Białymstoku, dostał piątego grudnia powołanie do wojska. Bo kiedyś było tak, że studenci mieli zajęcia wojskowe w czasie studiów, na trzecim roku, ale ukończywszy już studia, musieli odbyć jeszcze roczną służbę wojskową. Brat, który skończył studia, ale się jeszcze nie obronił, został właśnie wezwany do jednostki wojskowej do Głogowa czy Legnicy, gdzieś na południe Polski. Czuliśmy, że dzieje się coś takiego, że on nie będzie mógł pisać otwarcie w listach, co się dzieje, więc wymyśliliśmy sobie taki kod, co on będzie pisał, że na przykład zdanie „Spotykam się z cicią w Głogowie” będzie znaczyło, że jednostkę opanowały wojska radzieckie i że przejmują dowództwo. Już nie pamiętam tych kodów, ale było tam jakichś dziesięć takich zdań [śmiejch], które miały w ukryciu coś znaczyć. Gdzieś jeszcze miałam w swoich dokumentach takie listy, które on później przysyłał na mój adres do akademika, bo przez cały stan wojenny był tam na służbie. Koperty były rozcięte, zszyte zszywaczem, bo z tych kopert wyciągano listy, czytano, miały pieczętkę „ocenzurowano”. Niektóre strony były zamalowane fioletowym tuszem, bo uznano, że on napisał coś takiego, co nie jest właściwe dla moich oczu, i że ta treść po prostu nie może do mnie dotrzeć.

Czyli wróciła Pani...

Na początku lutego, na początku lutego zostały odwieszone zajęcia na Uniwersytecie.

Jakie nastroje panowały podczas pierwszych zajęć?

Mieliśmy oczywiście grupę osób, które były bardzo bojowo nastawione. Miałam takiego kolegę, który nosił w klapie opornik, to było jak gdyby taką oznaką, że stawia opór temu wszystkiemu, co się tutaj dzieje w kraju. I wiem, że za to, że on właśnie był z tym opornikiem w klapie na Dworcu Centralnym, zatrzymała go grupa wojskowych, po prostu były patrole wojskowe. Wiem, że kazali mu wyjąć opornik z klapy, miał jakieś nieprzyjemności, czymś go straszono. My z koleżanką, jak przyjechałyśmy tutaj do Warszawy po wspomnianej przerwie – uczyłyśmy się w tym samym liceum w Białymstoku i we dwie tutaj studiowałyśmy, ona była na bibliotekoznawstwie – wysiadłyśmy z pociągu i musiałyśmy przejść na przystanek autobusowy. W tym momencie przyjechał samochód pełen żołnierzy. Czulałam

ogromny lęk, bo nagle oni zaczęli wyskakiwać z tego samochodu, dowódca zorganizował im jakąś zbiórkę, ustawili się w dwuszeregu, ale myśmy, idąc na ten przystanek, musiały przejść koło tego szpaleru wojskowych. Czułam zagrożenie, przejść przed szeregiem kilkunastu osób, które stoją z ostrą bronią gotową do strzału, kiedy wiedziałam, że pacyfikowano strajki, na przykład w kopalni Wujek, że strzelano tam do ludzi. Więc byłam pełna lęku, jak to się wszystko potoczy.

A czy w dalszych miesiącach brała Pani udział w jakichś akcjach demonstracyjnych, strajkowych?

Tak, tak, to znaczy nie zamykaliśmy się już na jakimś strajku okupacyjnym, ale wiedzieliśmy, że będą manifestacje. Odbyły się one później, może na 3 maja, to było dawne święto państwowe, zakazane przez władze komunistyczne. Wychodziliśmy, śpiewaliśmy pieśni patriotyczne. Pamiętam, że rozpędzano nas z tych demonstracji. Pamiętam, że strzelano z armatek, gazem łzawiącym. Kiedyś tutaj przy Uniwersytecie było jeszcze przejście podziemne, do którego wpadały puszki z tym gazem łzawiącym. Niektórzy studenci odrzucali je z powrotem w stronę wojska czy ZOMO. Ale wiem, że kilka tych puszek wypuściło ten gaz łzawiący, a ponieważ on ma taką tendencję, żeby nisko się ścielić po ziemi, to to przejście było cały czas zasnuwane gazem. Wpadliśmy na zajęcia załzawieni, niektórzy bardzo alergicznie zareagowali, przemywali sobie te oczy. Miałam wrażenie, że trwa taka jakby okupacja. Że my tutaj mamy wroga, że jednak demonstrujemy, że uciekamy, gdzieś się chowamy po bramach. Pamiętam, gdzieś też był wystawiony taki krzyż z kwiatów, przy Świętej Annie czy Wizytkach, i tam zbierali się ludzie, śpiewali pieśni, wznosili palce, tak na „V” – wiktorię. Też tam się czasem gdzieś przemykałam, później mieliśmy sygnał, że tam już jakiś oddział wojska idzie, więc żeśmy uciekali, gdzieś tam po bramach [śmiej] się chowali. Nie było to z mojej strony bardzo intensywne, ale nieraz oberwałam – miałam gaz łzawiący w oczach i jakoś to odchorowywałam. Oczywiście było też tak, że były jakieś demonstracje u nas na uczelni. Były rzucane ulotki, wiem, że kolega też dostarczał mi jakieś ulotki, jakąś bibułę do rozpakowania, do czytania i gdzieś tam na korytarzu wsuwało się to pod sweter, żeby nikt nie zauważył, później się to czytało i przekazywało dalej, informacje, które nie były dostępne w mediach, bo nie ujawniano tego wszystkiego – to były na przykład informacje o osobach internowanych.

Rozumiem, że w manifestacjach brali udział głównie studenci, a jak z pracownikami Uniwersytetu, czy wspierali?

Też byli zaangażowani, była grupa takich osób – w ogóle jeszcze w '80 roku powstała na Uniwersytecie „Solidarność” – i te osoby, które były w „Solidarności”, to wiem, że bardzo wspierały studentów. Wiem, że były akcje z szykowaniem

paczek, można było przynosić żywność do kościołów i były wysyłane paczki do osób internowanych. Wiem też, że ci pracownicy też nieraz nas ostrzegali przed czymś, że do kogoś mogą przyjść, że może być przeszukanie u kogoś w domu.

A czy ktoś z Pani najbliższego otoczenia został poddany represjom albo internowaniu?

Miałam koleżankę z roku, taką Kasię, która została tylko na 48 godzin zamknięta na posterunku milicji i bardzo ją wypytywano. Nie miała jakichś fizycznych obrażeń, nie torturowano jej, ale bardzo odczuła to psychicznie. Później, kiedy wróciliśmy na zajęcia, to żeśmy ją pytali, czy jakoś jej pomóc. Była jeszcze taka sytuacja z kolegą, do którego chyba się po prostu ktoś włamał, został po prostu okradziony, nie wiemy, czy ktoś poszukiwał u niego w domu jakichś ulotek. Później na tego kolegę żeśmy się składali, żeby sobie mógł poodkupować jakieś ubrania, bo wszystko z tego domu powynoszono. Myśleliśmy, że miało to jednak podłoże polityczne, a niekoniecznie że był to po prostu napad rabunkowy. Ale tak osobiście, kogoś, kto z mojego grona był internowany, to nie znałam, ani ze studentów, ani z rodziny. Natomiast o tym chłopaku, o którym na początku stanu wojennego słyszałam, że on gdzieś uciekał przed milicją, że gdzieś tam wyskakiwał, to później gdzieś znalazłam w mediach informację, że on jednak uciekł za granicę.

A czy Panią samą spotkały jakieś represje?

Nie czułam tego tak, no oprócz tych dolegliwości, tego gazu łzawiącego, jakiegoś takiego ogólnego straszenia na roku, bo później w stanie wojennym myśmy mieli zajęcia z wojska. To były tylko jakieś takie drobne słowne docinki prowadzących. A na przykład na zajęciach z ekonomii musieliśmy oczywiście pisać o przewodniej roli Związku Radzieckiego i jakichś tam zaletach naszej współpracy ekonomicznej ze Związkiem Radzieckim. Myśmy nie chcieli tego pisać, bo uważaliśmy, że to jest kłamstwo, nasz rok po prostu się zbuntował i nie chciał w ogóle pisać tego zaliczenia. To była ekonomia polityczna socjalizmu, tak się ten przedmiot nazywał. Prowadząca powiedziała: „Ok, kto nie chce go pisać, to ja wstawiam ocenę dostateczną, ci wszyscy, którzy chcą mieć lepszą ocenę, to niech zostaną w sali”. Chyba tylko dwie osoby zostały w sali, a myśmy byli zadowoleni, że mamy trójkę i wszyscy wtedy wyszliśmy. I jeszcze się ścierałam z jakimś prowadzącym zajęcia z filozofii. Pamiętam, że siedziałam w pierwszym rzędzie, jakieś takie dyskusje z nim prowadziłam, ale to nie miało jakichś konsekwencji, że na przykład miałam gorszą ocenę czy mnie źle potraktował na egzaminie. Nie było tak.

Dołączyła Pani ostatecznie do „Solidarności”?

Tak.

Kiedy to było?

Na piątym roku studiów, to był rok 1986, zaproponowano mi już pracę jako asystentowi technicznemu w Zakładzie Geografii Regionalnej. Przyjęłam tę pracę i już jako pracownik dowiedziałam się, nie pamiętam jakimi kanałami, że były tutaj zatrudnione osoby, które były w „Solidarności”, że jako pracownik mogę przystąpić, chociaż „Solidarność” była wówczas nielegalna, jeszcze nie była zarejestrowana. Powiedziałam, że oczywiście jestem zainteresowana. Później to wszystko zostało już faktycznie zarejestrowane, można było mieć normalne, jawne struktury, były normalne wybory, normalne głosowanie, wybieraliśmy naszych przewodniczących poszczególnych kół wydziałowych i to już później normalnie funkcjonowało.

Jak wyglądała działalność „Solidarności” zanim została zalegalizowana?

Bardzo żeśmy pomagali tym osobom, które miały jakieś problemy. Zbieraliśmy pieniądze, mieliśmy normalne składki i wspieraliśmy po prostu te osoby, które miały internowanych bądź uwięzionych jakichś członków rodzin. Wiem, że taka działalność wspierająca finansowo, kontakty z tymi osobami, żeby ich też jakoś podnieść na duchu, odgrywała dużą rolę.

W uniwersyteckiej „Solidarności” działała Pani bez przerwy. Jakie były w ciągu tych lat najbardziej kluczowe momenty, które obserwowała Pani jako członkini „Solidarności”?

Na początku chcieliśmy kłaść nacisk na to, żeby uczelnia była takim miejscem, gdzie można naprawdę mieć swobodną wymianę myśli, poglądów, gdzie można prowadzić normalne dyskusje. Otwarcie mówić o wszystkim, w sposób samorządny decydować o tym, kto jest naszym przedstawicielem, kto jest naszym rektorem. Więc były to sprawy proceduralne. Później powstał samorząd studencki, studenci też uczestniczyli w procesie wyboru rektora, więc to nas cieszyło. Ale też wspieraliśmy pomysły, które dotyczyły naszych warunków życia i pracy. Walczyliśmy na przykład o to – gdy profesorowie czy osoby partyjne dostawały podwyżki – żeby nawet osoby sprzątające też były objęte tymi podwyżkami. Właściwie tak jest do tej pory. Cały proces rewaloryzacji naszych pensji czy rozdziału dotacji ministerialnych nawet jeszcze w ubiegłym roku był konsultowany w ramach „Solidarności”. I mieliśmy pomysły, w jaki sposób rozdzielić te środki najbardziej sprawiedliwie. Czyli do tej pory się tym zajmujemy. Oprócz tego – jak stworzyć warunki, żeby nasza praca była bezpieczna i przyjemna i żeby relacje między nami były dobre, żeby sprawy polityczne na nie nie wpływały. Mój mąż też był przyjmowany do pracy po studiach, w tym okresie kiedy ja, ale on był przyjmowany na etat od razu naukowy – asystencki. I musiała o nim wyrazić opinię komórka partyjna PZPR-u, czy on w ogóle się nadaje, czy jest za sojuszem polsko-radzieckim, czy popiera linię

partii, czy jest dobrym obywatelem PRL-u, żeby móc pełnić funkcję asystenta na uczelni. Mnie coś takiego ominęło, ja już nie miałam takiej partyjnej weryfikacji, kiedy zostałam asystentem, bo było to już w 1992 roku, czyli po przełomie '89 roku. Myślę, że takie wsparcie ze strony „Solidarności” dla wolności uniwersyteckiej, wolności poglądów, wymiany poglądów i poczucia bezpieczeństwa też socjalnego było u nas podstawowym nurtem. Podam przykład: kiedyś pensje dostawało się u nas na dole w kasie, była sekcja finansowa i po prostu dostawaliśmy tam w gotówce, w kopercie wynagrodzenie miesięczne. Dostałam tę kopertę, włożyłam ją do torebki, wsiadłam do autobusu, przyjechałam do domu, okazuje się, że nie ma tej koperty z pieniędzmi, że w trakcie jazdy autobusem zostałam obrabowana, całą moją pensję ukradziono. Powiedziałam o tym koleżankom i kolegom na wydziale i po tygodniu okazuje się, że związki zawodowe ufundowały mi taką bezzwrotną zapomogę – dokładnie w wysokości mojej pensji. Dla mnie było to niezwykle przeżycie. I tutaj bardzo pozytywna rzecz – mianowicie okazało się, że połowę tej zapomogi przyznała „Solidarność”, a połowę tej zapomogi – ZNP, z którym myśmy starali się współpracować i rzeczywiście, jeśli chodzi o podnoszenie naszych pensji, rewaloryzację, to mówiliśmy jednym głosem.

Mogłabym jeszcze spytać, bo mnie to zainteresowało – gdy Pani mąż musiał dostać tę opinię, to jak on do tego podchodził? Domyślam się, że trzeba było kłamać przed osobami z partii?

Tak, myślę, że to było traktowane z przymrużeniem oka. On nie musiał się zapisywać do PZPR-u. Oczywiście kiwał głową, że tak, że oczywiście, jak najbardziej, że przecież się zgadza z tymi wytycznymi. Było takie grono osób, które mówiło: „Oczywiście, my musimy potakiwać tym, którzy tutaj nami rządzą, dziekanom czy kierownikom katedr. Mamy swoją opinię na temat tego, co się dzieje w kraju, ale tutaj musimy im potakiwać”. Było takie jakby rozdwojenie.

Studenci doświadczyli tej dwu- czy trzymiesięcznej dziury w edukacji. Przypomina mi to sytuację, przez którą przechodziły moje roczniki. Czy to jakoś wpłynęło potem na jakość nauczania czy jakość tego, co Pani wyniosła z tych studiów?

Bardzo dużo rzeczy musiałam odrabiać sama, całe wakacje właściwie dużo czytałam, dużo pracowałam, bo myśmy odwołane zajęcia musieli wszystkie poodrabiać. I część egzaminów zdawaliśmy w sesji poprawkowej, czyli to był wrzesień. Wiem, że musiałam zdawać kartografię. Myślę, że gdybym miała tę naukę ciągłą, niezakłóconą tą przerwą, tą wyrwą, to może by mi z tą kartografią poszło lepiej. Ale na szczęście wszystko się udało, nie musiałam powtarzać roku, tym bardziej że pierwszy rok – jeżeli bym nie zdała, to po prostu zostałabym wyrzucona ze studiów. Była część osób, które niestety zostały skreślone z listy studentów. Chociaż w tym gronie może niewiele było takich osób, które były tutaj u nas ze strajku,

ale mogły to być konsekwencje tego, że lepiej mogliby się przygotować do zajęć, mając nieprzerwaną naukę.

Zbliżając się do końca – która ze wszystkich tych wartości, o które walczyło się podczas strajków czy podczas działalności „Solidarności”, jest dla Pani najważniejsza? Dla której z tych wartości Pani walczyła?

Myślę, że tutaj chodziło o to, żeby żyć w prawdzie. Człowiek, miałam wrażenie, co innego widział na ulicach, co innego słyszał w mediach. Ponieważ balkon Wydziału Geografii wychodzi na Krakowskie Przedmieście, to pisaliśmy takie plakaty: „Telewizja kłamie”. Bo przekaz telewizyjny rozmiął się z tym, co rzeczywistość było w społeczeństwie. A chcieliśmy żyć w prawdzie, żeby było powiedziane, że są kłopoty, wszystko jest na kartki, gdzie jest ta cała żywność, jak wygląda polityka, dlaczego państwo nie dba o wszystkich obywateli, dlaczego są jakieś układy partyjne. Więc myślę, że to było pragnienie życia w prawdzie, postawy patriotycznej, żeby Polska była wolna, bo mieliśmy wrażenie, że jesteśmy cały czas zależni od Związku Radzieckiego.

A czy te ostatnie lata Pani studiów, już po tym jak stan wojenny...

...zakończył się, został zawieszony.

Było już spokojniej?

Stan wojenny zawieszono, jak ja byłam chyba na trzecim roku studiów. I na przykład odbyliśmy w gronie koła naukowego – bo u nas na geografii bardzo prężnie działały koła naukowe – jedną z pierwszych wypraw naukowych, która wyruszyła za granicę. Nie można było przecież wyjeżdżać za granicę, a tu na Uniwersytecie dostaliśmy paszporty służbowe i pojechaliśmy na wyprawę naukową na Gotlandię. To było dla mnie ogromne przeżycie: zetknięcie się z Zachodem, jak to wszystko wygląda. Cieszyłam się i marzyłam o tym, żeby kiedyś u nas mogło być tak jak w tej Szwecji. Bo też spotykaliśmy się z przedstawicielami różnych uczelni w Szwecji, byliśmy w Sztokholmie i widzieliśmy zupełnie inny charakter relacji pomiędzy ludźmi, zupełnie inne życie: pogodne, radosne, kolorowe, spokojne – pragnęło się czegoś takiego dla Polski. Oczywiście towary w sklepach przepiękne [śmiech]. Myśmy tutaj przedtem pracowali, żeby zarobić pieniądze na tę wyprawę. Mieliśmy też jakichś sponsorów, różne firmy, a okazało się, że przyjeżdżając do Szwecji – na półkach piękna kolorowa żywność – wybieraliśmy tę, która była najtańsza. Były na przykład konserwy, które chcieliśmy kupować, a później się okazało, że to są konserwy dla psa [śmiech]. Było to zabawne, ale bardzo piękne doświadczenie.

W '89 pewnie odetchnęła Pani z ulgą?

O tak, oczywiście. Nawet uczestniczyłam jako przedstawiciel w komisji wyborczej, pilnowałam przeliczania głosów, żeby to wszystko prawidłowo się odbyło. Tak, była ulga, była.

Bardzo Pani dziękuję.

Dziękuję.

Rozmowa 13.

Ryszard Zieliński

Ukończył dziennikarstwo i historię na UW, założyciel NZS w Filii UW w Białymstoku, następnie we władzach białostockiego NZS, członek redakcji pisma „Przy Budowie”, współorganizator strajku studentów w Białymstoku w 1981 roku, zaangażowany w druk i kolportaż wydawnictw podziemnych; organizator nagrywalni kaset audio dla białostockiej „Solidarności”, współorganizator podziemnego radia w Białymstoku. W 1984 roku aresztowany i pozbawiony możliwości wykonywania pracy w zawodzie nauczyciela. Pracował w prywatnym zakładzie produkcyjnym. W latach 1986–1992 pracownik Biblioteki Instytutu Historycznego UW. W 1988 roku członek założyciel Komisji Zakładowej „Solidarności” na UW (niezarejestrowanej), w 1988 obecny na strajkach studentów UW. W 1989 roku członek Komisji Zakładowej „Solidarności” Wydziału Historycznego UW; od 1992 roku w Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” UW, od 2006 roku jej przewodniczący.

Wywiad: Maja Jeśmanowicz

Transkrypcja: Weronika Łonak, studentka III roku międzynarodowych studiów ekonomiczno-menedżerskich na Wydziale Nauk Ekonomicznych UW, członkini Koła Naukowego Nowoczesnej Bankowości Fintech

RYSZARD ZIELIŃSKI: Stan wojenny zastał mnie w momencie, kiedy studiowałem w filii Uniwersytetu w Białymstoku¹. Byłem przewodniczącym trwającego bodajże od miesiąca strajku studenckiego. W tamtym okresie w całej Polsce wiele uczelni strajkowało, głównie brać studencka, bo chodziło między innymi o zmiany ustawy o szkolnictwie wyższym. Z tego co pamiętam, był problem tak zwanej służby wojskowej, a ja szefowałem NZS-owi, czyli świeżo powstałej organizacji studenckiej, która miała być taką przeciwwagą, kontrapunktem istniejącej, nazwijmy to, socjalistycznej organizacji studenckiej. Strajk trwał dość długo, był dwudziesty któryś dzień, ale dużymi krokami zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Dlaczego o tym wspominam? Bo to była istotna przyczyna, ale i kwestia absolutnego zbiegu okoliczności, że w wieczór poprzedzający, jak się później okazało, ogłoszenie stanu wojennego strajk został rozwiązany. To wówczas odbywało się w takich, powiedziałbym, ultrademokratycznych procedurach. To znaczy: odbył się wiec wszystkich strajkujących – kilkuset studentów – i większością głosów zadecydowano o zakończeniu strajku. Po tym wiecu spora grupa studentów natychmiast się ewakuowała, a ta grupka organizatorów usiłowała posprzątać po sobie, że tak powiem, budynek, w którym żeśmy strajkowali. To trzeba pamiętać – te kilkaset osób to było kilkaset koców czy śpiworów, ci ludzie musieli mieć na czym spać. No i różne takie rzeczy organizacyjne, które były niezbędne do tego, żeby funkcjonować przez te dwadzieścia parę dni na okrągło. Na tym strajku przecież się spało, jadło... No więc usiłowaliśmy to jakoś posprzątać i nawet nie pamiętam, czy tej nocy udało mi się choć przez chwilę zdrzemnąć. Ale nad ranem zaczęły się dziać dziwne rzeczy. To już była ta słynna niedziela, bo stan wojenny ogłoszono z soboty na niedzielę. Otóż nad ranem zaczęły się pojawiać u nas osoby, byli to mniej lub bardziej znani nam, często działacze „Solidarności”, którzy zaczęli nam opowiadać, że wracali właśnie do domu, z jakiejś tam imprezy, i byli świadkami pojawiania się tych ekip, które przychodziły i aresztowały ludzi. Była taka dramatyczna opowieść: jeden ze znajomych opowiadał, jak wtargnęła do nich taka grupa i on salwował się ucieczką, skacząc przez balkon z pierwszego piętra. A ponieważ byliśmy w tym miejscu jedynym takim punktem, gdzie się wydawało, że będzie to przyjazne miejsce – bo za chwilę dowiedzieliśmy się, że stosunkowo niedaleko od nas odbyła się pacyfikacja lokalu regionalnej „Solidarności” w Białymstoku – więc przybiegło kilka takich osób. Zrozumieliśmy, że coś się dzieje, ale jeszcze do końca nie wiedząc, co. Ktoś z nas przybiegł i przyniósł olbrzymią płachtę obwieszczenia stanu wojennego. Pamiętam, żeśmy w grupie kilku osób zaczęli, że tak powiem, studiować tę lekturę, no i w którymś miejscu natrafiliśmy na taki passus, który mówił, że za coś tam grozi kara śmierci. No więc to już zaczęło wyglądać, powiedziałbym, mało śmiesznie. I teraz tak: jakoś

¹ Filia UW w Białymstoku istniała w latach 1968–1997. Obecnie Uniwersytet w Białymstoku.

udało nam się to posprzątać. Było oczywiste dla wszystkich, że nie ma tutaj co siedzieć, szczególnie że została nas niewielka grupka. No więc jak żeśmy usłyszeli opowieść o tej pacyfikacji Regionu Mazowsze, to wyobrażnia nam zaczęła podpowiadać, że nasz dalszy pobyt może się czymś takim skończyć. W każdym razie mnie przypadła taka rola – bo, jak to bywa, ludzie, którzy opuszczali strajk, pozostawiali różne rzeczy, dokumenty typu legitymacja, dowód osobisty i tak dalej – kto pamięta PRL, to będzie wiedział, że był to taki system, w którym bez dokumentu nie było człowieka – więc zostałem na takim dyżurze już w zupełnie opustoszałym budynku. Siedziałem blisko wejścia, że może jeszcze jakieś osoby zreflektują się i przyjdą, bo tam na przykład były indeksy, takie dość ważne dokumenty. Wydawało nam się, że przynajmniej powinniśmy spróbować – pod warunkiem że ci ludzie pofatygują się po to – im to oddać do rąk własnych. Skutek był mierny, a pamiętam, że siedziałem tam ze dwie godziny. To była jakoś godzina już siedemnasta tego pierwszego dnia stanu wojennego i nikt nie przyszedł. No więc uznałem, że nie ma co dłużej siedzieć. Nie pamiętam nawet, czy wtedy byłem świadomy, że miała być przecież godzina policyjna. No i udałem się do swojego lokum, które miałem w akademiku. W akademiku pani na portierni powiedziała mi, że jakiś czas temu, nie potrafiła powiedzieć dokładnie kiedy, jacyś dwaj panowie pytali się o mnie. To mogło sugerować, że byłem umieszczony, co nie byłoby specjalnie takie dziwne, na tych słynnych listach osób do internowania. No więc na taką wieść wpadłem do swojego pokoju, parę rzeczy spakowałem do jakiegoś plecaka i z dużym pośpiechem opuściłem ten akademik. Udałem się do znajomych ze studiów, ale mieszkających w Białymstoku. Z tym że od razu, bo jeszcze pod koniec tego strajku, w parę osób umówiliśmy się właśnie następnego dnia – mieliśmy się spotkać po to, żeby zacząć [śmiech] konspirować, taki był cel. Myśmy nie mieli zielonego pojęcia, ile to potrwa, czym to się będzie objawiać i tak dalej. Podejrzewam, że zachowywaliśmy się tak trochę pod wpływem lektur z okresu okupacji, bo nie mieliśmy żadnych wzorców do naśladowania. I rzeczywiście – spotkaliśmy się w gronie kilku osób. Pierwszą rzeczą, jaką postanowiliśmy zrobić, była ewakuacja z naszego lokalu papieru i powielacza. Wiedzieliśmy, że będzie to czas na drukowanie różnych ulotek i ten powielacz został schowany w jakimś miejscu. Powiem szczerze: przez kilka dni tak naprawdę nic się nie działo. Owszem, chodziliśmy po ulicach, tak jak wszyscy przyglądając się, cóż to jest ten stan wojenny. Poza tym, że rzeczywiście było więcej patroli wojskowo-milicyjnych, to jakoś nic wielkiego się nie działo, to znaczy – mówiąc szczerze – były takie plany, ale się okazało, że poza jakimiś nielicznymi wyjątkami – gdzieś tam w Polsce robotnicy próbowali strajkować, z tego co pamiętam – nic takiego się nie wydarzyło. No i w gruncie rzeczy okazało się też, że zaczyna mi się, że tak powiem, kończyć meta – problem polegał na tym, że te osoby, które mnie przygarnęły, powiedziały, że już dłużej nie mogą. Nie wnika, z jakich powodów. To był jasny sygnał, że w zasadzie w tej sytuacji nie ma dla mnie miejsca w Białymstoku.

Wyglądało na to, że w momencie godziny policyjnej zostaną zwinięty gdzieś tam na ulicy. Miałem jeszcze kontakt, taką koleżankę, też studentkę z Politechniki Białostockiej, też warszawiankę, no więc dogadaliśmy się i postanowiliśmy po prostu wsiąść w pociąg i wracać do Warszawy. Wybraliśmy taki pociąg, który wyjeżdżał z Białegostoku jeszcze przed godziną policyjną – bo też nie wiedzieliśmy, że wprowadzono jakieś takie dokumenty upoważniające do podróży. W każdym razie postanowiliśmy zaryzykować, bo nie bardzo mieliśmy skąd taki dokument otrzymać. Usadowiliśmy się w jakiejś takiej kawiarni, która była bardzo blisko dworca, jeszcze w tych godzinach funkcjonowała, i czekaliśmy na taki moment, żeby przemknąć prosto do pociągu, nawet już nie pamiętam dzisiaj, w jaki sposób kupowaliśmy bilety, nie wiem, to już tak zupełnie wypadło mi z głowy. I w towarzystwie tej koleżanki jechałem do Warszawy. Ta podróż też była związana z emocjami, ponieważ wiedzieliśmy skądś, już nie pamiętam, że na kolejnych stacjach zdarza się tak, że wsiada patrol i sprawdza dokumenty, kontroluje pasażerów, więc znowu były jakieś emocje. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Pamiętam, że przyjechałem do Warszawy na Dworzec Gdański. Był jakiś kwadrans do godziny policyjnej, z niepokojem czekałem na autobus, ale pojawił się – chyba pięć minut przed godziną policyjną. Wydawało mi się, że jak już będę w autobusie, to nic złego mnie nie spotka. Okazało się, że znowu żaden patrol się nie pojawił, więc wysiadłem pod własnym domem. Zostałem przywitany przez mamę, która się bardzo niepokoiła, bo jak wróciłem, to był już czwarty dzień trwania stanu wojennego. Ona nie miała żadnych kontaktów, a trzeba pamiętać o tym, że to nie był czas, w którym komórki były powszechne i łatwo można było gdzieś tam dryndnąć. Jedną z pierwszych rzeczy, którą zrobiły władze stanu wojennego, było wyłączenie połączeń telefonicznych, więc komunikacja była utrudniona. Kilka dni nawet z pewną radością przesiedziałem w domu, leniąc się, nic nie robiąc, trochę chyba odreagowując, bo jednak te kilka dni w Białymstoku było cały czas obarczone pewnym ryzykiem i emocjami. No ale po kilku dniach, mówiąc szczerze, zaczęło mi się trochę nudzić. Wielkimi krokami zbliżały się święta – to jest taki okres tradycyjnie w Polsce, gdzie wszyscy jesteśmy jakoś tam zaangażowani w przygotowywanie tych świąt. Kupowanie choinek, jakiegoś tam żarcia, więc byłem tym zaabsorbowany. Pamiętam, że wielokrotnie oglądałem w telewizji słynne przemówienie generała Jaruzelskiego, który w taki charakterystyczny dla siebie sposób, z taką kamienną twarzą, za tymi okularami słynnymi, beznamietnie wygłaszał te tyrady. I to jest pewnie to, co mi najbardziej utknęło z tego pierwszego okresu. Święta też były swoiście, powiedziałbym, smutne. Generalnie jakoś tam docierały wiadomości o dalszych i bliższych znajomych, którzy byli internowani. To wszystko miało w sobie taki element grozy, niepewności. Jednak dość szybko było widać, że ten stan wojenny nie jest nasączony jakimś takim wyjątkowym terrorem, bezwzględnością i że, kolokwialnie mówiąc, da się przeżyć. I tutaj muszę powiedzieć, że w ramach stanu wojennego w ogóle zostały zawieszone zajęcia na uczelni.

MAJA JEŚMANOWICZ: **Właśnie o to chciałam zapytać!**

Tak, uczelnie natychmiast zamarły, to na pewno pamiętam, że od poniedziałku nie było żadnych zajęć. Bodajże po miesiącu – to mnie interesowało, ponieważ ja wówczas byłem na ostatnim roku studiów – w ramach łagodzenia rygorów stanu wojennego usłyszałem taki komunikat, że studenci ostatnich lat mają wracać na uczelnie. I tutaj był taki problem, bo ja, żeby wrócić, musiałem znowu przemierzyć tę odległość do Białegostoku. W zasadzie powinienem, bo zostały utworzone biura, które wydawały taką przepustkę. Znaczy: wyobrażam sobie, że gdybym tam się udał, powiedział, że ja wracam właśnie na studia, to pewnie coś takiego bym dostał. No ale, mówiąc szczerze, postanowiłem to zignorować i tak jak poprzednio dojechać do tego Białegostoku bez żadnych wymaganych formalności. No i znowu się udało – wróciłem do Białegostoku. I tutaj było tak: mieszkalem w akademiku – to był dość duży budynek, czteropiętrowy, ale dość charakterystyczny, który nawet można było zobaczyć u nas na Służewcu, taki z lat pięćdziesiątych – ale tych studentów ostatniego roku było relatywnie niewiele. Olbrzymi gmach, niemal całkowicie pusty, nas tam było kilkoro, może około dziesiątki. Siłą rzeczy jakoś organizowaliśmy sobie życie w tym gronie, wspólne posiłki. To było dość dziwne, szczególnie że na ostatnim roku miało się bardzo niewiele zajęć. Nie mogę sobie przypomnieć, czy w tym czasie rzeczywiście odbywały się jakieś zajęcia, mam wątpliwości. Taki stan swoistego zawieszenia trwał chyba miesiąc, bo bodajże 12 lutego w ramach łagodzenia obostrzeń przywrócono zajęcia na uczelni, w związku z czym zaczęli wracać pozostali studenci, i wtedy już rozpoczęły się normalne zajęcia. Ponieważ na tym ostatnim roku zajęć miałem bardzo niewiele – w ciągu tygodnia miałem bodajże półtorej godziny ćwiczeń i seminarium magisterskie – to odtwarzając na chwilę zerwane kontakty sprzed stanu, zaczęliśmy dalej knuć. Pamiętam, że odbywaliśmy też cykliczne spotkania, bo w międzyczasie już utworzyła się taka podziemna siatka i na przykład trzeba było pomóc w kolportażu ulotek, zaczęły się ukazywać pierwsze tak zwane podziemne pisma. No i myśmy się w to zaangażowali i dość szybko, podejrzewam, że w ciągu miesiąca, może półtora, zaczęły się pierwsze aresztowania w naszym gronie. Między innymi dość szybko została aresztowana ta koleżanka, z którą jechałem do Warszawy, bo ona oczywiście też wróciła, bo studiowała na architekturze. W każdym razie w takim naszym bliższym otoczeniu, z tego co pamiętam, trzy czy cztery osoby zostały aresztowane. I tutaj pojawiło się dodatkowe zajęcie, bo uznaliśmy, że trzeba jakoś pomagać najbliższym rodzinom tych aresztowanych. W Białymstoku w dość krótkim czasie trafiła do aresztów, do więzień spora grupa studentów. Wszystko to byli albo bardzo dobrzy znajomi, albo takie osoby, które znało się poprzez funkcjonowanie w ramach tych struktur – więc nie było to nieważne, a wręcz zajmowało nas emocjonalnie. Oprócz interesowania się tym, co się dzieje w konspirze, codzienność wypełniały nam kolejne niedobre

informacje, że kogoś znowu aresztowali. Bardzo rzadko, ale jednak zdarzało się, że kogoś wypuszczali. I tak rozpoczął się dla nas ten stan wojenny. Organizowaliśmy różne rzeczy, rzadko kiedy samodzielnie, głównie skupialiśmy się na wspieraniu „Solidarności”. To w dużej mierze studenckimi rękami odbywało się drukowanie. Później kolportaż tych różnych pisemek, najczęściej „Solidarności”, ale nie tylko. Angażowałem się w różne aktywności, bo mając tę sytuację, że mieszkałem w Warszawie, a studiowałem w Białymstoku, to zabawiałem się, nie wiem, czy to najlepsze słowo, w kurierowanie – często woziłem tak zwaną bibułę z Warszawy do Białegostoku. No więc czasami te podróże były pełne emocji.

To chyba było bardzo niebezpieczne?

Powiem Pani, co się dzieje z człowiekiem, który ma z tyłu plecak i w tym plecaku ma kilka kilogramów bibuły. Na początku jest takie poczucie, że wszyscy wiedzą, że ty bierzesz tę bibułę. Mówię o pierwszym takim przeżyciu. Oczywiście był to tylko wytwór wyobraźni podszytej lękiem, bo wielokrotnie udawało mi się to przewozić do tego Białegostoku. Był też na przykład „Kurier Mazowski”, chyba tak się nazywał, w każdym razie takie piśmiśko mazowieckiej „Solidarności”, które chętnie – jeśli się dało – było kolportowane poza Warszawę. W międzyczasie robiłem różne rzeczy, ale ta energia rzeczywiście skupiała się głównie na jakiejś formie konspiracyi. I tak to sobie trwało, i zakończyło się tym, że wreszcie zostałem aresztowany – chyba w ’83 roku.

Czyli po dwóch latach.

Owszem, nie od razu, ale jednak. Nie wiem, czy powinienem Panią zanudzać, jak wyglądały na przykład rewizja i aresztowanie...

Ja nie czuję się zanudzona!

W środowiskach, w których się obracaliśmy, spotykaliśmy się z dużą życzliwością, z pomocą różnego typu. Ja między innymi dostałem zgodę na przesunięcie obowiązujących terminów. Potem ta życzliwość okazywana wielokrotnie się przydawała, choćby, że tak powiem, ku pokrzepieniu serc. Nawet pamiętam, że zostałem po aresztowaniu objęty pomocą komitetu. Wszyscy nazywali to „świętym Marcinem”, taki komitet pomocy represjonowanym. To była pomoc głównie materialna. Któregoś razu pojawiła się u mnie pani z tego komitetu – to chyba jeszcze było, jak siedziałem, znam to z opowiadań – i przytargała jakieś siaty. W tych siatach były różne produkty – trzeba pamiętać, jak wyglądało wtedy zaopatrzenie. W stanie wojennym pogłębił się brak niemal wszystkiego, elementarnych rzeczy. W związku z czym taka pomoc? Nie wiem. Jakies produkty żywnościowe, ale nie wyłącznie, bo

od czasu do czasu były tam jakieś ubrania, z reguły używane, bo były przysyłane, nie wiem, z całego świata. To też się okazało potrzebne, ponieważ – nie mówiłem o tym, bo nie skupiałem się na życiu osobistym – w międzyczasie zdążyłem się ożenić i zostałem ojcem, i pamiętam, że jak mnie aresztowano, to moja córka miała właśnie trzecią miesięcznicę urodzin. No więc życie się toczyło. Jakoś po bodajże trzech i pół miesiąca wyszedłem. Władza ludowa wtedy co pewien czas ogłaszała amnestię, no i załapałem się. Amnestia była z jednej strony w sposób oczywisty radosna, bo kilka miesięcy przebywania w areszcie nie należało do, powiedziałbym, wyjątkowej przyjemności. Choć sam areszt nie był taki straszny, jak można by było sądzić. Oczywiście wszystkie niedogodności takiego reżimu codziennego były, ale nie było tam rzeczy jakichś takich wyjątkowo strasznych. To był chyba taki moment, gdy uznano, że władza nie będzie stosowała strasznie brutalnych metod postępowania, choć oczywiście co pewien czas – trzeba pamiętać – pojawiały się takie sytuacje, że kogoś zamordowano. Gdzieś tam nagle kogoś wyłowiono, został utopiony i oczywiście wszyscy byli przekonani, że było to za sprawą Służby Bezpieczeństwa. Chcę przypomnieć, bo to wydarzenie o kolosalnym znaczeniu, że była przecież śmierć księdza Popiełuszki. Warto o tym pamiętać. Pogrzyb do Warszawy ściągnął olbrzymie tłumy. Pewnie łącznie można mówić o milionach i myślę, że dla wielu ludzi taki element bycia razem – używało się takiego określenia „policzenie się” (to było bardziej policzenie psychiczne) – dawał takie przekonanie, że tych, którym ta rzeczywistość się nie podoba, jest więcej, takie poczucie wspólnotowości, solidarności. Myślę też, że wiele osób te zdarzenia może natchnęły bądź uaktywniły w takim czy innym działaniu. Pamiętam, że wtedy niestety spadł na mnie słodki obowiązek, ponieważ moja żona i moja mama, z którą mieszkaliśmy, postanowiły koniecznie wybrać się na pogrzyb. Ale ktoś musiał zostać z dzieckiem, więc ja pełniłem rolę taty pełną gębą. Pewnie gdzieś tam w głębi byłem niezadowolony, że nie mogę w tym uczestniczyć, że coś opuściłem, może coś straciłem, ale jednak dzielnie, że tak powiem: dla odmiany, wykazywałem się ojcowskimi talentami, bo to trochę trwało. Pamiętam, że jak te moje obie panie zniknęły, tak wróciły po kilku godzinach. Mówię to dzisiaj, bo przecież ten dystans czasowy jest kolosalny, z jakimś sentymentem.

Został Pan aresztowany w '83 roku. Czy to znaczy, że przez cały ten okres Pan czynnie działał i czynnie konspirował, czy aresztowali Pana dopiero po jakimś czasie, kiedy już Pan zaprzestał tych działań?

Cały czas byłem zaangażowany. To była taka dwutorowa działalność. Do momentu, kiedy mnie aresztowano, w gruncie rzeczy większość czasu spędzałem w Białymstoku. Po aresztowaniu, jak już wyszedłem, to definitywnie przygoda białostocka zaczęła się kończyć. Tutaj spotkałem się z taką pomocą ze strony władz uczelni, że przeniesiono mnie na studia w Warszawie. Tu w Warszawie też cały czas działałem.

Uważałem, że jako – że tak powiem – młody inteligent najbardziej powinienem dbać o to, żeby szerzyć dobrą nowinę. Mówię nie w kategoriach religijnych, tylko w kategoriach publikacji, które walczyły z reżimem, a jednym z istotnych elementów jego działania było kłamstwo, poprzez odkłamywanie historii. Zna Pani takie określenie „białe plamy”? To wtedy była główna część mojej konspiracy. Ale nie powiedziałem o jednej rzeczy. Jednym z elementów amnestii był taki warunek, że w wypadku, gdybym nadal zajmował się tym, czym wcześniej i zostałem na tym ponownie złapany, natychmiast trafiłbym ponownie do więzienia. Mam ładną puentę – i to autentyczną – czym się to skończyło. Jedną z moich działalności tu w Warszawie było drukowanie niezależnej prasy. Wspólnie ze swoim kolegą jeszcze z okresu licealnego zorganizowałem taką właśnie drukarnię. I okazało się, że któregoś pięknego dnia – wiem to teraz, post factum – że gdzieś w Warszawie została nakryta nielegalna drukarnia, która zajmowała się drukowaniem jakiegoś periodyku. Organizatorom strasznie zależało, żeby mimo zamknięcia tej drukarni ten periodyk się ukazał. I zostaliśmy poproszeni przez kontakty – miałem kontakt ze znanym, chyba najpoważniejszym wydawnictwem podziemnym – i zgodziliśmy się drukować to czasopismo, którego drukarnia została, że tak powiem, zwinięta.

W jakim okresie to było?

’84–’85 rok. Ale chcę Pani opowiedzieć tę puentę. Poprzedniego wieczora wydrukowaliśmy jakąś partię i trzeba było usunąć odpady, bo po takim drukowaniu zawsze pozostają źle wydrukowane kartki, jakieś opakowania, bo myśmy przecież sami robili farbę – z tym trzeba było coś zrobić. W każdym razie co pewien czas było to zbierane, pamiętam, do takiego dużego papierowego wora, no i trzeba było to gdzieś upłynnić. Ja się umówiłem z tym kolegą, z którym drukowaliśmy, że następnego dnia – a miałem jechać do pracy drugą zmianę, bo zacząłem pracować na Uniwersytecie, w Bibliotece Instytutu Historycznego – przyjadę wcześniej, wezmę ten worek ze śmieciami i gdzieś tam w drodze do pracy go upłynnię. Podjechałem pod blok, gdzie na dziesiątym piętrze była ta nasza drukarnia, spojrzałem na zegarek i uznałem, że nie zdążę i że spóźnię się do pracy. Więc cofnąłem się, wsiadłem do swojego malucha i pojechałem do pracy. Proszę sobie wyobrazić, że w tym czasie był nalot, esbecja była w drukarni i zatrzymali tego mojego kolegę. Prawdopodobnie i ja zostałem zatrzymany, tylko się cofnąłem. Ale jest do tego puenta. Po wielu latach, jak dostałem dostęp do swojej teczki w IPN-ie, to trafiłem na bardzo ciekawy dokument. Dokument, który nosił datę, w tej chwili jej z pamięci nie powiem, właśnie tego dnia, kiedy nie poszedłem do drukarni. Była to notatka sporządzona przez esbeka, który tam był na górze i stwierdzał, że aresztował właśnie mnie. I teraz co to oznacza? Że nam dano kapusia, kiedyśmy zaczęli drukować to inne pismo, już nawet dzisiaj nie pamiętam tytułu,

nie wiem, czy to był „KOS”², czy jakiś tam tygodnik. Przysłano nam człowieka do pomocy i on się po prostu okazał kapusiem. I teraz problem polegał na tym, że on opowiedział Służbie Bezpieczeństwa, co się dzieje w tym lokalu i kto tam jest. I on zapamiętał moje imię i nazwisko. I esbek, mając tę informację, przygotował notatkę, będąc przekonany, że osoba, którą zatrzymali, to jestem ja. A to był mój kolega niestety. I po latach dowiedziałem się – i mam dokument, z którym mógłbym chodzić i się chwalić – że byłem po raz drugi aresztowany, nie będąc aresztowanym.

² Tygodnik „KOS” – pierwsze nielegalne pismo, jakie ukazało się po wprowadzeniu stanu wojennego, wydawane w latach 1981–1989.



Rozmowa 14.

Lech Mankiewicz

Astronom, profesor nauk ścisłych, popularyzator fizyki, w latach 2007–2019 dyrektor Centrum Fizyki Teoretycznej PAN, wcześniej przez kilkanaście lat pracował w Centrum Astronomicznym im. Mikołaja Kopernika PAN, niezależny działacz samorządu studenckiego czasów PRL-u.

LECH MANKIEWICZ: Ja nie byłem ani członkiem „Solidarności”, ani NŻS-u. Nie prowadziłem działalności podziemnej¹ w czasie stanu wojennego. Raczej byłem biernym obserwatorem, choć oczywiście raz, dwa historia się o mnie upominała – w sposób anegdotyczny. Była taka akcja „Porządek” i patrole wojskowe miały chodzić po podwórkach i sprawdzać, czy jest sprzątnięte, a chodziło tak naprawdę o poszukiwanie Bujaka². I tak w specyficzny sposób wyprowadzono olbrzymią ilość wojska i milicji na ulicę. Ktoś zakablował, że Bujak przebarbił włosy na rudo, a mój kłopot polegał na tym, że ja miałem rude włosy. Tego dnia wybrałem się autobusem na drugą stronę Wisły do mojej narzeczonej i chyba za dwa razy mi wsadzili kałacha w brzuch. To nie jest przyjemne uczucie, bo nigdy nie wiesz, czy on jest naładowany i na ile przytomny jest ten facet, który jest od strony spustu, no i tyle. Dla mnie ważniejsze było to, co było przed stanem wojennym, bo ja byłem działaczem samorządu studenckiego na Uniwersytecie.

MACIEJ NADZIKIEWICZ: **Może zaczniemy od początku. Gdzie Pan był? Czym się Pan zajmował w tym czasie, kiedy nadchodził stan wojenny?**

Studiowałem na czwartym roku w 1981, potem był piąty rok, robiłem pracę magisterską. W 1982 obroniłem pracę magisterską. Już nie pamiętam szczegółów, ale w tej fazie studiowałem na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego i to były najlepsze lata mojego życia, bo ten wydział był rzeczywiście taką intelektualną świątynią. Polityki tam nie było żadnej. Owszem, była podstawowa organizacja partyjna, ale należały do niej dwie osoby i były to bardzo przyzwoite osoby. Jak raz jakiś taki komuch³ wrócił z Kanady z wyjazdu po dwóch latach i poszedł do dziekana, że będzie teraz zaprowadzał porządki, bo partia rządzi, to tych dwóch

¹ Działalność podziemna w czasie stanu wojennego – w trakcie stanu wojennego działalność wielu organizacji została zdelegalizowana. W związku z tym wielu działaczy musiało „zejść pod ziemię” i rozpocząć niejawną walkę konspiracyjną.

² Patrole wojskowe miały tam chodzić po podwórkach i sprawdzać, czy jest sprzątnięte, a chodziło tak naprawdę o poszukiwanie Zbigniewa Bujaka. Rozpoczęte 17 grudnia 1981 r. poszukiwania odbywały się na mocy decyzji I sekretarza KC PZPR, Wojciecha Jaruzelskiego. W celu pojmania jego oraz innych ukrywających się liderów powołano specjalną jednostkę w Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej. Bujak został schwytany dopiero 2 marca 1983 r. przez funkcjonariuszy Departamentu II MSW podczas spotkania z Aleksandrem Małachowskim. Zdołał jednak uciec funkcjonariuszom SB, którzy go przesłuchiwali. 18 marca zintensyfikowano działania poszukiwawcze, a pod koniec czerwca nad próbą schwytania współpracowały SB, milicja oraz oficerowie Wojskowej Służby Wewnętrznej czy tajni współpracownicy. Mimo wszystkich tych środków znalezienie Bujaka zajęło służbom bezpieczeństwa niemal trzy lata – poszukiwania trwały do 31 maja 1986 r. Po schwytaniu Bujak spędził w areszcie trzy miesiące. Wyszedł na wolność 11 września 1986 r. w wyniku amnestii.

³ Komuch – pejoratywne, pogardliwe określenie komunisty lub członka PZPR.

działaczy POP załatwiło w Organizacji Uniwersyteckiej PZPR, że wyrzucili go z partii – tak dla bezpieczeństwa.

No i mieliśmy naprawdę znakomite dyskusje głównie o fizyce, ale też o sprawach społecznych, bo mój obecny kolega z instytutu⁴, Jurek Kijowski⁵, był wtedy dziekanem do spraw studenckich i drużynowym „Czarnej Jedyńki”⁶. Wszyscy w ogóle byli bardzo mocno wyrobieni społecznie. Tak można powiedzieć.

No i gdzieś tam – to był rok pewnie ’79, a może ’80 – powstała idea samorządu studenckiego na Wydziale Fizyki. Niezależnie od tego, że być może powstała także na innych wydziałach Uniwersytetu. Wydział Fizyki jest na Hożej, czy raczej był na Hożej⁷, w centrum, z dala od kampusu na Krakowskim Przedmieściu, więc myśmy działali w pewnej izolacji. No i, ponieważ mieliśmy bardzo fajną gazetkę wydziałową, której tytułu już nie pamiętam, ale kolejne wydania wzbudzały sensację i tłumy się gromadziły, żeby ją czytać, rozpoczęła się dyskusja na temat funduszu stypendialnego⁸. Dlaczego w komisji są tylko członkowie z Socjalistycznego Związku Studentów Polskich? Przy czym ci koledzy to byli zupełnie normalni

⁴ Chodzi o Centrum Fizyki Teoretycznej Polskiej Akademii Nauk.

⁵ Jerzy Kijowski – polski fizyk teoretyczny i matematyczny, profesor nauk fizycznych. W latach 1962–1973 działał w „Czarnej Jedyńce”, którą (po rocznej przerwie w działalności) reaktywował w 1962 r. wspólnie z Markiem Barańskim i współprowadził do 1965 r. W 1969 r. wraz z bratem Januszem, Michałem Kuleszą, Antonim Macierewiczem, Andrzejem Celińskim, Wojciechem Onyszkiewiczem i innymi powołali „Gromadę Włóczęgów” – działający w formie klubu dyskusyjnego przy 1 Warszawskiej Drużynie Harcerskiej krąg instruktorski skupiający instruktorów i byłych harcerzy z „Czarnej Jedyńki”.

⁶ „Czarna Jedyńka” – drużyna harcerska w warszawskim Liceum im. Tadeusza Rejtana, jedna z najstarszych polskich drużyn harcerskich, założona w 1911 r. W połowie lipca 1920 r. drużyna rozpadła się, ponieważ wszyscy harcerze wstąpili do wojska, by walczyć z bolszewikami. W 1968 r. wymyślono nową koncepcję pracy, której autorami byli Janusz Kijowski i Wojciech Onyszkiewicz, i stworzono tak zwaną „Gromadę Włóczęgów”. Każdy członek „Gromady” mógł wprowadzić jeszcze jedną osobę, zapraszano też niektórych nauczycieli. Tematyka spotkań obejmowała problemy społeczne i polityczne nurtujące młodzież i młodą inteligencję w końcu lat 60. oraz różne zagadnienia z dziedziny socjologii, psychologii czy literatury. W najlepszym swoim okresie „Gromada” liczyła ok. 150 osób i była jednym z nielicznych w tamtym okresie miejsc swobodnej wymiany myśli. Pod koniec lat 60. drużyną kierowała grupa instruktorów: Antoni Macierewicz, Marek Barański, Janusz Kijowski, Wojciech Onyszkiewicz, Piotr Naimski, którzy działalność harcerską łączyli z działalnością skierowaną przeciwko PZPR i uzależnieniu PRL od ZSRR. Po stłumieniu protestów robotników w czerwcu 1976 r. środowisko „Czarnej Jedyńki” podjęło akcję pomocy dla rodzin aresztowanych. Byli harcerze „Czarnej Jedyńki” dążyli do zinstytucjonalizowania pomocy niesionej prześladowanym.

⁷ Dawna i obecna lokalizacja Wydziału Fizyki UW.

⁸ Fundusz stypendialny – fundusz mający wypłacać najzdolniejszym studentom gratyfikację za szczególnie osiągnięcia w nauce.

koledzy i jakoś niespecjalnie zwracaliśmy uwagę na socjalizm, ale na to, że to jest nieuczciwe, dlatego że powinni być przedstawiciele całego wydziału – wszystkich studentów. I żeby było zabawniej, to ci koledzy się z nami zgodzili, że tak powinno być. Stąd był już krok do: „A dlaczego tylko reprezentacja studentów z komisji stypendialnej, kiedy może być w ogóle reprezentacja studentów?”. I powołaliśmy samorząd studencki. W czerwcu '80 roku Jurek Kijowski, profesor Jerzy Kijowski zgodził się na tę koncepcję i w październiku było walne zebranie studentów Wydziału Fizyki w największej auli.

Bawiliśmy się nieźle. Po pierwsze – były najróżniejsze problemy lokalne, które trzeba było rozwiązywać, a w każdym razie dyskutować, kadra bardzo chętnie z nami rozmawiała. To był czas wielkich nadziei – tak naprawdę w całej Polsce – wielkich nadziei na taką zmianę, którą „Wielki Brat”⁹ jakoś tam będzie tolerował, bo jest niegłupi. No i rzeczywiście żyliśmy bardzo mocno w takim rodzaju demokratycznego amoku, ale w takim dobrym sensie tego słowa.

Ciekawa rzecz była taka, że naszych kolegów wzywano do Pałacu Mostowskich. I mieliśmy wypracowaną taką metodę, że oni po prostu mówili o tym głośno. Jak się mówiło o tym dostatecznie głośno, to przynosiło to efekt. Gdzieś byli ukryci ci tajniacy i po prostu już drugi raz ich nie wzywano, bo kandydat na tajnego współpracownika sam się spalił. No oczywiście pewnie byli też i tacy, którzy nie mówili o tym głośno. Mieliśmy też taki wynalazek, żeby było wszystko jasno i przejrzyste, taki duży skoroszyt. Zeszyt nazywał się „księgą parafialną” i tam wpisywało się wszystko, co się działo. Każdy ruch tego samorządu, jak tam ktoś przychodził o opinię na obóz żeglarski, to trzeba było zapisać, że się taką a taką opinię wystawiło. No i pierwszego dnia stanu wojennego ktoś to ukradł i pewnie zabrał na Mostowskich, no ale myśmy tam żadnej działalności antypaństwowej nie prowadzili. Tylko taką w zasadzie społeczną, więc niczego się nie dowiedzieli, a zupełnie bezcenna pamiątka tamtych czasów zginęła.

No i potem był strajk studentów. Tę historię Pan zna, myśmy trzymali się długo. Ciekawym elementem tego strajku studentów było jego zakończenie, a w szczególności posiedzenie komitetu strajkowego na Krakowskim Przedmieściu, bo tam były bardzo mocne postawy. Część wydziałów chciała strajkować za wszelką cenę. To była rzecz, której myśmy na fizyce jakoś nie rozumieli, podgrzewanie atmosfery dla samego podgrzewania nie ma wielkiego sensu. Już konferencja rektorów, czy jak to się wtedy nazywało, apelowała o zakończenie strajku. W Komitecie strajkowym była dokładnie równowaga głosów i wtedy zadziałał Wydział

⁹ Wielki Brat – nawiązanie do powieści Georga Orwella *Rok 1984*. Określenie pozycji ZSRR względem Polski popularne w czasach PRL.

Matematyki. Mój kolega, przyjaciel Marek Zawadowski, który był przedstawicielem Wydziału Matematyki w tym Komitecie, pojechał szybko do siebie. Oni chyba wtedy byli w Pałacu Kultury. Wydział Matematyki podzielił się na dwa wydziały, na Wydział Matematyki i Wydział Informatyki, i ten podzielony wydział przysłał dwóch przedstawicieli i dzięki temu udało się w głosowaniu zakończyć strajk. To była decyzja referendum. Studenci w referendum wypowiedzieli się za zakończeniem strajku na poziomie ogólnouniwersyteckim. Ale w tym Komitecie strajkowym była grupa ludzi, która... Sam Pan musi dociec, kto to był. Dzisiaj to są osoby o bardzo znanych politycznie nazwiskach. Można powiedzieć, że już wtedy reprezentowały taką bardzo agresywną opcję. W każdym razie dzięki temu manewrowi Wydziału Matematyki udało się strajk zakończyć i to było chyba na trzy dni przed wprowadzeniem stanu wojennego. I pamiętam, wychodziliśmy tam – to było chyba na Wydziale Polonistyki, znaczy na Uniwersytecie, na Krakowskim – i tam witały nas transparenty. Taki na przykład zapamiętałem na całe życie: „Matematyka strajkowała, strajkowała, aż się zesrała zepsutym twarogiem”.

Takie były szczegóły, wie Pan, co było dalej. Mój los jest taki jak wszystkich innych Polaków: olbrzymie rozczarowanie, olbrzymia złość na komunistów za to, co zrobili, za to, że zniszczyli ten pęd ku dobremu, ku lepszemu, ku bardziej sprawiedliwemu, bardziej rozumnemu¹⁰. Ja w tym czasie byłem także instruktorem harcerskim, komendantem szczepu. Miałem troszeczkę kłopotów, bo moje dzieciaki chciały od razu brać pędzle i malować znaki Polski Walczącej na ulicach. Trzeba było ich jakoś powstrzymywać.

Co jeszcze mogę Panu powiedzieć? Byłem na pasterce¹¹. Pamiętam, stałem w kościele, prymas Glemp mówił o tym, że żadne polityczne dążenie nie jest warte życia jednego człowieka i ja wiedziałem, że on ma rację. Ja płakałem na tym kazaniu z wściekłości, bo ta złość to chyba wszystkich przepełniała. Wiedziałem też, że nie mam mocy się z nimi bić, no bo oni siedzą w tych transporterach i nic im kamieniami nie zrobimy. To była taka surrealistyczna sytuacja, bo ta pasterka była w katedrze, trzeba było tam iść przez Krakowskie Przedmieście. I oczywiście trzeba było iść pieszo z Ochoty, bo nie było żadnego transportu. Akurat chyba leżał śnieg, był wiatr i w ogóle było nieprzyjemnie zasuwać na Krakowskie Przedmieście. Komuniści zdjęli godzinę policyjną i tyle. Tak to było.

A jeszcze mogę Panu powiedzieć ciekawą historię, ona też jest taka anegdotyczna – o tym, jakie rozeznanie mieli komuniści co do mnie. W czasie strajku myśmy

¹⁰ Chodzi o reakcje społeczne na wprowadzenie stanu wojennego przez władze PRL.

¹¹ Chodzi o mszę bożonarodzeniową o północy z 24 na 25 grudnia 1981 r., którą Józef Glemp, prymas Polski odprawił w warszawskiej katedrze św. Jana na Starym Mieście.

siedzieli inaczej niż podczas normalnych działań samorządu przed strajkiem. Pokój mojego promotora Staszka Tatura i Andrzeja Szymachy – nieżyjącego profesora, bardzo wybitnego – uczyniliśmy sobie główną kwaterą. Głównie dlatego, że to był pokój mojego promotora pracy magisterskiej, a ja byłem przewodniczącym samorządu i przewodniczącym strajku. W zupełnie innym kontekście towarzyskim, poza Wydziałem Fizyki, miałem znajomego, studenta politechniki, który się bardzo naraził komuchom, dlatego że był bardzo aktywnym działaczem w tym studenckim duszpasterstwie w Świętej Annie. No i oni mieli tam swojego „anioła stróża”¹² i tego „anioła stróża” oblali wodą z okna akademika, jak się za nimi skradał. I proszę sobie wyobrazić, że siedzę sobie w tym pokoju i dzwoni ktoś, kto łączy przez portiernię, więc musiał wiedzieć dokładnie, gdzie ja siedzę. Dzwoni ktoś, mówi, że on się nie przedstawi, ale chce, żebym wiedział i powtórzył mojemu koledze, że jest na liście, które mają wszyscy dowódcy SKOT-ów i patroli, na liście do złapania razem z Wałęsą, Bujakiem i wszystkimi innymi. I się rozłączył. I tyle. Potem jakoś próbowaliśmy to ustalić przez kanały „Solidarności” i rzeczywiście ten chłopak był Bogu ducha winny, a tamten gość, który był pułkownikiem, wkręcił go na tę listę. Potem była jeszcze taka zabawna historia, bo próbowaliśmy mu znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, no i akurat pomogła koleżanka mojej mamy z czasów okupacji. Taka osoba, która się potrafiła postawić. I u niej żeśmy go zakamuflowali, to już była bardzo starsza pani. Jak go tam przyprowadziliśmy, to potraktowała nas nalewką i tak delikatnie zapytaliśmy, jak ona sobie to wyobraża. „Słuchajcie, z Hitlerem sobie poradziliśmy. To teraz też poradzimy”. I tyle. To była pani już w takim wieku, że nie chciała brać do ręki automatu ani kamieni, ale miała na ten temat swój dość wyraźny pogląd i dość wyraźnie ten pogląd przekazała. I potem ten chłopak zniknął jakoś z tej listy. Ktoś poszedł po rozum do głowy i mógł wyjść z tego ukrycia. To był jakiś kompletny absurd.

Powiedział Pan, że samorząd studencki na Wydziale Fizyki rozpoczął działalność w roku '80/'81? Jeśli więc był Pan przewodniczącym dwa lata, to rozumiem, że zajmował Pan to stanowisko przez większość stanu wojennego?

Nie, stan wojenny został odwołany w 1983 roku. Ja byłem przewodniczącym przez pierwsze dwie kadencje. A potem już byli kolejni przewodniczący, a potem chyba ta inicjatywa zdechła. Zdechła dlatego, że z ludzi uszło powietrze. Mieliśmy plany, mieliśmy idee, chcieliśmy bezinteresownie działać dla poprawienia świata. W tym naszym świecie było co poprawiać. Oczywiście Pan się orientuje, że tu było szaro

¹² „Anioł stróż” – potoczna nazwa nadawana w czasach PRL tajnym agentom Służby Bezpieczeństwa, którzy w cywilnym przebraniu śledzili osoby zaangażowane w działalność antykomunistyczną.

i beznadziejnie, tak więc działaliśmy bez pieniędzy, samą emocją, samym ludzkim zaangażowaniem. No i wsadzili nam bagnet w plecy i tyle.

Powiedział Pan, że idea tego samorządu, idea tego działania zaczęła się od komisji stypendialnej.

Na Wydziale Fizyki zaczęła się od dyskusji na temat komisji stypendialnej.

I udało się skupić grupę ludzi, która chęcią działania, chęcią zmiany czegoś po prostu stworzyła ten samorząd, tak?

Tak i potem organizowaliśmy bale, na przykład fizyków, ale też myśleliśmy o jakiejś pomocy. Takiej bratniackiej pomocy w nauce. „Bratniak”¹³ to taka przedwojenna spółdzielnia studentów, chyba po wojnie była reaktywowana, ale na krótko. Niezależnie od tego, że przyjmowała różne inne formy, to posługiwano się tą nazwą. Po prostu chodziło o wzajemną pomoc. Więc mieliśmy mnóstwo interesujących pomysłów, popularyzacja nauki, wszystko, co czyni studia nie tylko wyzwaniem intelektualnym, ale też takim społecznym tygłem, źródłem pozytywnej energii.

No może przesadziłem z tym bagnetem w plecy, bo tu na Wydziale Fizyki nikogo nie zabili, ale zakneblowali nas na pewno.

Jeśli mógłbym zapytać – czy uważa Pan, że te doświadczenia ze stanu wojennego, te kilka lat wpłynęło na Pana późniejsze poglądy, decyzje życiowe?

Z całą pewnością to był okres najważniejszej formacji w moim życiu, ale nie tylko ze względu na stan wojenny, ale przede wszystkim ze względu na oddziaływanie tych bardzo mądrych ludzi i bardzo porządných ludzi. Ja nigdy nie byłem radykałem i nie stałem się radykałem z tego powodu¹⁴. Na pewno była jakaś forma solidarności między nami, pomagaliśmy sobie, tak jak z tym chłopakiem, zdarzały się różne podobne sytuacje. To był taki czas presji, więc byliśmy empatyczni. Relacje na klatce schodowej z sąsiadami jakoś zaczęły się budować i poprawiać. Cała ta „gospodarka wymiany”. Ja miałem jakąś tam parę opon od malucha¹⁵, to mogłem to wymienić na coś.

¹³ „Bratniak” – pismo Ruchu Młodej Polski ukazujące się w latach 1977–1981.

¹⁴ Czyli z powodu stanu wojennego.

¹⁵ „Maluch” – potoczna nazwa Fiata 126p produkowanego na licencji w Bielsku-Białej, a następnie w Tychach.

Pamiętam jakieś zupełnie humorystyczne sytuacje. W „Dzienniku Telewizyjnym”¹⁶ Urban¹⁷ opowiada, że pogłoski o tym, że podrożeje benzyna i są trudności z benzyną, są kłamstwem amerykańskich imperialistów i w tym momencie wszyscy wybiegamy na całej klatce schodowej z kanistrami do samochodów i na stację benzynową, żeby wymienić te talony na benzynę¹⁸, bo za chwilę benzyny nie będzie nawet na talony albo będzie dużo droższa. Więc naród też bardzo dobrze wszystko rozumiał.

Jako student pracowałem w Centrum Astronomicznym Mikołaja Kopernika¹⁹. Jacek Staszelski²⁰ – bardzo wybitna postać „Solidarności” – był tam naszym informatykiem. I mieliśmy współpracę z „Solidarnością” w zakładach pracy, w piarni w Konstancinie-Jeziornie. Teraz to już nie jest piarnia, tylko centrum handlowe, ale kiedyś to była piarnia no i oni nam dostarczali papier toaletowy²¹ na przykład. W związku z tym miałem piwnicę zawaloną papierem toaletowym, bo mieszkalem z żoną. Nie mieliśmy dzieci, nie zużywaliśmy aż tak wiele tego papieru, a dawali go sporo, a i wtedy papier toaletowy był takim produktem, którym też można się było wymienić. To były takie śmieszne, dziwne czasy.

Jedna bardzo ważna rzecz. Bo potem, już za czasów współczesnych, nigdy nie byłem zwolennikiem lustracji, ale uważam, że nie wolno kłamać. Jak się okazało, że byli nawet luminarze środowiska naukowego, którzy podpisali umowę o współpracę ze służbami specjalnymi PRL²², to w tej naszej perspektywie podpisanie tej umowy o współpracy nie było niczym złym, pod warunkiem że się każdy przyznał i nie kapował. A my robiliśmy wszystko, żeby on był bezwartościowy jako współpracownik służb specjalnych, to znaczy: „Ha, ha, ha! Zbyszek podpisał umowę

¹⁶ „Dziennik Telewizyjny” – program informacyjny stacji TVP1 nadawany od 1958 r. do 1989 r., w latach 70. i 80. XX w. jedno z ważniejszych narzędzi propagandowych władz PRL.

¹⁷ Jerzy Urban – dziennikarz, satyryk, publicysta, polityk. Jeden z symboli stanu wojennego i lat 80. XX w. w Polsce. W latach 1981–1989 rzecznik rządu PRL, główny twórca propagandy komunistycznej w tym okresie.

¹⁸ Talony na benzynę – przydział benzyny właścicielowi samochodu, umożliwiający w czasach PRL zakup tego paliwa.

¹⁹ Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika – instytut naukowy Polskiej Akademii Nauk, budynek Centrum otwarto w 1978 r. przy ul. Bartyckiej 18 w Warszawie.

²⁰ Jacek Staszelski – polski matematyk i informatyk, działacz opozycji demokratycznej w PRL, współpracownik KOR i podziemnego NSZZ „Solidarność”.

²¹ Trudności z kupnem papieru toaletowego były jednym z symboli życia w PRL.

²² Umowa o współpracy ze służbami specjalnymi w czasach PRL – umowa, mająca charakter niejawni, podpisywana między Służbą Bezpieczeństwa a tajnym współpracownikiem, dotycząca przekazywania informacji i szpiegowania środowiska opozycyjnego.

o współpracę, słyszałeś?” – i rzeczywiście, jak chodziło się od pokoju do pokoju za zgodą tego człowieka, to w tym momencie on na Mostowskich przestawał być przydatny. Byli też tacy, którzy nie podpisali, pomimo że wywierano na nich presję. No więc jeżeli później brałem udział w dyskusji politycznej na temat tego, czy koniecznie trzeba było podpisać i kapować, to mówiłem, że nie, to nieprawda. Że można było podpisać, przyznać się i nie było za to żadnych konsekwencji, przynajmniej w moim środowisku. Nie uważaliśmy tego człowieka za trefnego czy gorszego, ale nie jest prawdą, że nie można było nie kapować i że nie można było nie podpisać i trzeba było koniecznie kapować. Rozumie Pan, o co chodzi? Bo byli tacy, którzy się zdecydowali na to ryzyko i nie zrobili tego, i nie wyjechali za granicę²³, ale włos im ani ich rodzinie z głowy nie spadł, więc to jest jedyne takie polityczne rozróżnienie, gdzie dzisiaj bym postawił jakiś rodzaj kreski, ale też bez złości.

Chodzi o to po prostu, że warto się trzymać prawdy i przyzwoitości. Byli ludzie przyzwoici, w różnych sytuacjach znajdowali różne wyjścia z trudnych sytuacji. Nie zawsze byli bohaterami, ale byli przyzwoici i w związku z tym nie można mówić, że trzeba było koniecznie być nieprzyzwoitym, bo to jest po prostu nieprawda. Nie można mówić, że człowiek był przyciśnięty do muru, że trzeba było koniecznie decydować się na jakieś takie zgniłe kompromisy, bo to jest po prostu nieprawda.

Powiedział Pan, że były osoby, które zdecydowały się nie podpisać ani nie wyjechać i nic im się nie stało, tak?

Dokładnie, ale nawet ci, którzy podpisali, mówili o tym i nie kapowali. To też byli przyzwoici ludzie. Ktoś się zdecydował, przestraszył się... To były sytuacje... Nie życzę Panu... Wchodzę do autobusu, czytam książkę i nagle wchodzi patrol i na tę książkę kładzie lufę kałacha. W brzuch mi wsadzono tego kałacha i jakiś taki młody żołnierz mówi: „Tylko żadnych numerów”. Nie powiem, żebym się nie przestraszył wtedy – oni umieli przestraszyć. Mnie do niczego nikt nie namawiał, ale rozumiem, że byli ludzie, którzy się bali, bo komuniści umieli przestraszyć. Umieli powiedzieć, że żonę z małym dzieckiem wsadzą gdzieś do więzienia i tak dalej. Ważne było jednak, żeby umieć wyjść z twarzą, i byli tacy, którzy umieli wyjść, a byli tacy, którzy, jak widać... No nie bardzo. Ja też nie jestem za tym, żeby ich teraz ścigać i wieszać. Chodzi tylko o prawdę historyczną. Nie trzeba było być podłym człowiekiem. Dało się być przyzwoitym człowiekiem. Pomimo wszystkich trudności, tak bym powiedział.

²³ Odmowa podpisania współpracy skutkowałą często niemożliwością wyjazdu za granicę. Osoba taka nie dostawała paszportu. Paszporty były przyznawane na każdy wyjazd. Po powrocie należało je oddać do urzędu paszportowego.

Wróćmy jeszcze do tego, co powiedział Pan wcześniej o tych kontaktach sąsiedzkich czy kontakcie z ludźmi, których Pan szanuje. Wszyscy akademicy, z którymi rozmawiamy w ramach tego projektu, podnoszą wspólny wątek: przez to, że byli wtedy w takim stadium życiowym między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat, i przez to, jaka była sytuacja, to bardzo często osoby, które poznali czy z którymi mieli okazję pracować, bardzo na nich wpłynęły.

Na Wydziale Fizyki było bardzo wielu wybitnych działaczy podziemia. Jak mówię, raczej się w to nie angażowałem. Raz czy dwa dałem do zrozumienia, że nie chcę, i nie pytano mnie więcej, co też jest przyzwoite, tak? Nikt mnie nie uważał za zdrajcę. Po prostu nie pytano, nie wciągano mnie więcej. Tak, raz czy dwa przeniosłem jakiś plecak z książkami z jednego miejsca na drugie, ale to jest absolutnie bez znaczenia w porównaniu z zaangażowaniem ludzi, którzy montowali radiostacje do nadawania podziemnych audycji albo kilogramami drukowali, przemycali bibułę²⁴ i tak dalej. Tak po prostu było.

Myślę, że uczucie takiego zdeptania chyba siedzi w każdym człowieku, który to przeżył i nie był tak głupi. Musi Pan wiedzieć, że wtedy w komunizm to nie wierzyli już nawet komuniści, więc niby był ten stan wojenny, ale tak naprawdę – cholera wie. Potem przydzielali różnych oficerów emerytowanych do opieki i w Centrum Astronomicznym mieliśmy takiego pułkownika, który nam tłumaczył, że syjoniści wylądują w Łodzi. Jak będzie wojna – nacjonaliści w Krakowie, a nas rozśrodkują gdzieś w pobliżu Białobrzegów. I ważne, żebyśmy zabrali papier do drukarek, ale nic nie mówił o tym, czym tam będzie prąd, a poza tym kazał na patio kopać rowy przeciwlotnicze. I odbyło się zebranie załogi. To już było w stanie wojennym. Ktoś wykombinował, że trzeba mu zaproponować – bo myśmy mieli taki kawałek gruntu, niby niczyjego, i ludzie tam sobie kopali działki, to też było bardzo ważne w tych czasach: marchewka, jakieś tam kartofelki, sałata – i przydzielić mu kawał działki, dać klucz do takiej kanciapy, gdzie może sobie trzymać ten swój szpadel i grabie i się uspokoi. No i niech Pan sobie wyobrazi, że się uspokoił.

Ja na pewno jestem zadeklarowanym demokratą, to znaczy absolutnie nie kupuję żadnych totalitarnych ciągót dla dobra społeczeństwa i tak dalej. Wolność indywidualna to słodkie poczucie, że można coś spieprzyć na własny rachunek. Nie wiem, czy Pan to rozumie? Po prostu tego się nie da... Póki żyję, nie dam sobie tego odebrać i jestem gotów wypruć flaki, żeby moje dzieci, moja rodzina żyły w poczuciu, że są suwerenne i autonomiczne. I to jest chyba tak naprawdę najważniejsza lekcja z tego. Ta zmiana we mnie, bo nigdy – to znaczy przed stanem wojennym – nie patrzyłem na to w ten sposób. Tuż przed stanem wojennym, w tym okresie

²⁴ Formy działalności podziemnej podczas stanu wojennego.

„Solidarności”, tego wspaniałego zrywu do dobra, do demokracji, do szacunku, do tolerancji zupełnie o tym nie myślałem. Potem, jak zrobiło się nieprzyjemnie, to nagle zrozumiałem, co nam odebrali. No i nauczyłem się to cenić. I tyle. To może jest najlepsza puenta.

Zadam jeszcze pytanie na koniec, chociaż Pan trochę na nie już odpowiedział. Jaka lekcja płynie z Pana historii, z tego wszystkiego dla innych? Co uważa Pan za najważniejsze?

Że warto być przyzwoitym – za Bartoszewskim²⁵. Nic ważniejszego chyba nie potrafię powiedzieć. Jako taki nie-działacz nie mam żadnych mrozących krew żyłach opowieści. Warto być przyzwoitym, choć się czasem nie opłaca. To jest bardzo dobra puenta.

Zanotowane, nagrane – chciałbym Panu bardzo podziękować.

Bardzo dziękuję.

²⁵ Władysław Bartoszewski (1922–2015) – polski historyk, publicysta, dziennikarz, pisarz, działacz społeczny, wykładowca akademicki, polityk, dyplomata, więzień Auschwitz, działacz Polskiego Państwa Podziemnego, członek prezydium Rady Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu na Kraj, podporucznik Armii Krajowej, uczestnik powstania warszawskiego, działacz opozycyjny w czasach PRL, autor m.in. wspomnień pt. *Warto być przyzwoitym*. Wydane po raz pierwszy poza cenzurą były one pod koniec PRL ważną lekturą inteligencji niezależnie myślącej.



Rozmowa 15.

Jan Rempała

Doktor nauk matematycznych, matematyk akademicki i popularyzator wiedzy matematycznej, aktywny działacza Polskiego Towarzystwa Matematycznego, wieloletni nauczyciel akademicki UW, WAT i UKSW, obecnie emerytowany, zaangażowany w działalność opozycyjną czasów PRL, ze szczególnym uwzględnieniem ruchu „Solidarność”. Aktywność związkową i zaangażowanie w sprawy polityczne kraju kontynuuje także po 1989 roku. Był członkiem Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” UW.

Wywiad: Maciej Nadzikiewicz
Transkrypcja: Weronika Łonak, Nina Papużyńska, Adrian Jaworski, Andrzej Para

MACIEJ NADZIKIEWICZ: *Panie Doktorze, mógłby mi Pan powiedzieć, w jakim momencie życia znajdował się Pan w roku 1980 oraz 1981, przed rozpoczęciem stanu wojennego?*

JAN REMPAŁA: Przed rozpoczęciem stanu wojennego... Jestem rocznik '44, więc w roku 1980 miałem trzydzieści sześć lat. Byłem pracownikiem Wydziału Matematyki i Mechaniki na Uniwersytecie Warszawskim, zatrudniony jako adiunkt. Byłem żonaty, miałem – i tak jest do tej pory – trójkę dzieci. Dzieci były drobne. Mój syn się urodził w 1968 roku, co dla tej historii też jest ważne. Córki urodziły się później. W każdym razie miałem rodzinę. Moja żona była pracownikiem Instytutu Matematycznego Polskiej Akademii Nauk. Zajmowała się ekonomią matematyczną. Tak sobie prowadziliśmy spokojne życie ludzi nauki.

Jeśli dobrze rozumiem, to Pana pierwsze dziecko, syn, urodził się w okolicach strajku studentów w 1968 roku.

Tak, powiedziałem, że to poniekąd ma związek z moją dalszą historią. Syn urodził się akurat 19 marca. Tak że moja żona słynne przemówienie Gomułki¹ poznała w izbie porodowej. Moja historia, co też nie jest bez znaczenia, wygląda tak: jestem absolwentem liceum św. Augustyna². To było takie prywatne męskie liceum ogólnokształcące prowadzone przez Stowarzyszenie PAX. Pochodzę z okolic Tarnowa i jako czternastolatek znalazłem się w internacie liceum w Warszawie, dość zagubiony. W liceum zdobyłem dyplom laureata Olimpiady Matematycznej, więc na studia na Wydziale Matematyki i Fizyki UW (ulokowanym w Pałacu Kultury i Nauki), na kierunek matematyka przyszedłem bez egzaminów. Jako laureata olimpiady traktowano mnie z pewnym naddatkiem zaufania, więc miałem stypendium i na tych studiach było mi bardzo dobrze. Zacząłem studia w '62 roku i ze względu na zainteresowanie analizą matematyczną znalazłem się w kręgu współpracowników profesora Stanisława Mazura³, który od 1964 roku był pierwszym dyrektorem Instytutu Matematycznego UW. Profesor Mazur był bardzo wybitnym

¹ Przemówienie Władysława Gomułki 19 marca 1968 r. – w marcu 1968 r. Władysław Gomułka zwrócił się przeciwko protestującym studentom i intelektualistom.

² Liceum św. Augustyna w Warszawie – była to pierwsza w powojennej Polsce katolicka, niezakonna szkoła ponadpodstawowa. W roku 1992 przemianowana na Katolickie Liceum Ogólnokształcące pw. św. Augustyna. W 2004 r. zlikwidowana z powodu złego zarządzania majątkiem.

³ Stanisław Mazur (1905–1981) – polski matematyk, jeden z przedstawicieli lwowsko-warszawskiej szkoły matematycznej. Zajmował się topologią, teorią liczb, algebrą, rachunkiem wariacyjnym i przestrzeniami Banacha. Współtwórca m.in. twierdzenia Mazura-Ułama i gry matematycznej Mazura-Banacha. Jeszcze przed 1939 r. zaangażował się w ideologię komunistyczną. Czynny w życiu politycznym czasów PRL.

specjalistą z zakresu analizy funkcjonalnej, do tego z legendą o przyjaźni ze Stefanem Banachem⁴. To był rzeczywiście ważny współpracownik Banacha, z drugiej strony człowiek o mocnym rodowodzie komunistycznym. W '39 przyjął pracę na uniwersytecie lwowskim, już pod jurysdykcją sowiecką⁵. Później jakoś tam prze-trwał okupację, nie mam pojęcia, co robił. Na pewno jego współpracownicy, tak jak Banach czy Orlicz, karmili wszy u Weigla⁶. Zaraz po wojnie Mazur objawił się jako zwolennik Lwowa dla Ukraińców i organizował – to się wtedy szumnie nazywało – „repatriacje”, czyli wywózkę Polaków do Polski. Później przyjechał do Łodzi i od razu dostał najwyższe awanse w nauce polskiej i miejsce w Sejmie. Na początku, jak zawiązano Polską Akademię Nauk, był sekretarzem naukowym. Nie miał podobno w zwyczaju odpowiadać natychmiast na pisma urzędowe. Wyznawał pogląd, że jak pismo przychodzi, to albo jest nieważne i nie warto odpowiadać, albo jest ważne i przyjdzie ponownie. Więc w efekcie po dość niedługim czasie zdjęli go z tego stanowiska sekretarza. Taką znam anegdotę. Stanowisko dyrektora instytutu objął w '64 roku i wtedy był już mocno zrażony do komunizmu. Mazur rządził, ale tak naprawdę w jego imieniu decyzje administracyjne podejmowała jego żona, pani docent Hanna Szmuszkowicz⁷, która między innymi kompleto-wała pracowników dla instytutu i katedry męża. To ona namówiła mnie i kilkoro kolegów, żebyśmy się pospieszyli ze studiami, to da nam pracę, co dla ludzi takich jak ja, bez stałego zameldowania w Warszawie było bardzo ważne. Myśmy wtedy w parę osób skończyli pięcioletnie studia w cztery lata. I w '66 podjąłem pracę na Wydziale Matematyki i Fizyki UW. Tuż po objęciu pracy zdarzyło się, że przyszedł do mnie jeden z nieco starszych kolegów, Włodzimierz Holsztyński, którego bar-dzo ceniłem i lubiłem, z propozycją podpisania apelu do rektora UW Stanisława Turskiego (notabene matematyka, profesora naszego wydziału), aby ten anulował decyzję usunięcia ze studiów Adama Michnika i Henryka Szlajfera. To było po słynnym później wykładzie Leszka Kołakowskiego na Wydziale Historycznym UW, w dziesięciolecie października '56, bardzo krytycznym wobec polityki kul-turalnej Władysława Gomułki. Za ten wykład Kołakowskiego usunięto z PZPR,

⁴ Stefan Banach (1892–1945) – polski matematyk o sławie międzynarodowej, jeden z przedstawicieli lwowsko-warszawskiej szkoły matematycznej. Pionier analizy funkcjonalnej, znany m.in. z opi-sania twierdzenia o kontrakcji, przestrzeni Banacha i paradoksu rozkładu kuli.

⁵ Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie – uczelnia założona we Lwowie w 1661 r. przez króla Jana Kazimierza. Po wkroczeniu wojsk radzieckich na ziemie polskie 17 września 1939 r. UJK znalazł się w radzieckiej strefie okupacyjnej i został przemianowany na Uniwersytet im. Iwana Franki.

⁶ Rudolf Weigl (1883–1957) – polski biolog, twórca pierwszej skuteczniejszej szczepionki przeciw tyfusowi. Podczas okupacji hitlerowskiej Lwowa ratował swoich kolegów, m.in. lwowskich akade-mików, zatrudniając ich w swoim laboratorium jako karmicieli wszy. Kandydat do Nagrody Nobla.

⁷ Hanna Szmuszkowicz (1910–1993) – docent UW, pracownik Instytutu Matematycznego PAN, żona Stanisława Mazura.

a popierających go w dyskusji studentów usunięto ze studiów. Ja wtedy nie miałem pojęcia o kulisach tego apelu i pierwszy raz zobaczyłem nazwisko Michnika (bo o podręczniku szkolnym z tym nazwiskiem oczywiście nie pamiętałem) – ale przez sympatię do kuriera podpisałem bez namysłu – jak zresztą większość moich kolegów. Oczywiście zostało to potraktowane jako krok nieprzyjazny wobec władzy. Gdzieś na jakimś wysokim szczeblu w ministerstwie zapadła decyzja, że tych pracowników, którzy coś takiego podpisali, „nie należy wyróżniać”. Znaleźliśmy się na czarnej liście, ale nie miało to większych konsekwencji, bo na wydziale krytyczne nastawienie do partii było już wyraźne.

Później był '68 rok. Awantury z Krakowskiego Przedmieścia przeniosły się do PKiN. Studenci w solidarności z kolegami ogłosili strajki, poparli ich niektórzy pracownicy. W ramach represji wydział rozdzielono na matematykę z mechaniką i fizykę, któreś lata zostały zawieszone, inne rozwiązane (ale niebawem odtworzone), jacyś studenci chyba znaleźli się w wojsku. Pracownicy i władze wydziału mniej lub bardziej jawnie sympatyzowali ze studentami. Pamiętam na przykład, że dziekan Czesław Bessaga, przekazując nam polecenie rektora sprawdzania list obecności na ćwiczeniach, zaznaczył, że te informacje z ćwiczeń powinny być tak rzetelne jak prasa.

W '67 się ożeniłem, a w '68 spodziewaliśmy się dziecka – byłem wyłączony z zainteresowania bieżącą polityką. W '68 nie brałem udziału w żadnych rozróbach na wydziale, bo byłem zajęty maluchem. Mieszkaliśmy pod Warszawą, w Raszynie. Dojazdy do pracy były dość kłopotliwe, zajmowały czas. Tak że z '68 wyszedłem jako człowiek niezaangażowany, więc w pewnym sensie z czystsza kartą niż wielu moich kolegów.

W '68 Mazur stracił stanowisko dyrektora, a dyrektorem został mój osobisty szef, profesor Bogdan Bojarski⁸. Był on pracownikiem zakładu Mazura, w którym nastąpiły już różne podziały. W każdym razie ja byłem asystentem dyrektora instytutu, który miał wtedy istotną pozycję polityczną, więc w jakimś sensie byłem pod parasolem ochronnym. Nikt mnie nigdy nie próbował na przykład zapisywać do partii. W '76 na początku roku były ruchy związane ze zmianą konstytucji. Na wydziale pojawili się zdeklarowani kontestatorzy, często osoby znane z wydarzeń '68 roku.

⁸ Bogdan Bojarski (1931–2018) – matematyk. W latach 1986–2002 dyrektor Instytutu Matematycznego PAN, w latach 1993–2002 dyrektor Międzynarodowego Centrum Matematycznego im. Stefana Banacha.

Później była próba podwyżki cen, strajki w Radomiu i Ursusie i związana z tym akcja propagandowa. Na wydziale u nas odbyło się zebranie pracowników, na którym Mieczysław Rakowski, wtedy redaktor naczelny „Polityki”, wyjaśniał sytuację polityczną i to było dość ciekawe zebranie. Rakowski zawsze w takich kameralnych warunkach mówił więcej niż to było dopuszczalne w oficjalnym obiegu. W każdym razie wydział był podminowany i było jasne, że partia jest w defensywie.

Później, w '78, kiedy był wybór papieża, na wydziale wyraźnie pojawili się ludzie, którzy się bardzo z tego cieszyli, zaktywizowali się ci, którzy się przyznawali do katolicyzmu. U nas na matematyce (i chyba na fizyce) nie było tego problemu, że człowiek, który chodził do kościoła, był jakoś gorzej traktowany. U nas liczyło się po prostu, czy był dobrym matematykiem, to znaczy: czy pisze prace, czy umie wyklądać i tyle. Rok później – wizyta papieża⁹, no i euforia: takie tłumy ludzi pojawiły się na mszach papieskich. Wtedy ludzie się policzyli.

Rok '80 i strajki. Ludzie świadomi już swojej liczebności zaczęli domagać się praw pracowniczych oficjalnie deklarowanych, a w praktyce ignorowanych. Ale każdy, kto cokolwiek myślał, zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę chodzi o reformy polityczne, zmianę stylu rządzenia. Przy czym myśmy wszyscy – myślę o swoim środowisku – mieli takie nastawienie, że komuna jest nie do ruszenia. Nie pamiętam, w którym momencie, ale jacyś koledzy wrócili z Moskwy z refleksją, że się coś dzieje w Rosji, bo Ukraińcy zaczynają mówić po ukraińsku w akademiku na uniwersytecie. Ale to było bez znaczenia w tym momencie.

W każdym razie w '80 roku byłem pracownikiem Uniwersytetu. Od '76 pojawił się KOR, także wśród studentów miałem takich, co się zaangażowali w druk i kolportaż materiałów informacyjnych. Akurat w mojej grupie było kilka osób, które przynosiły mi biuletyny KOR-u. Studenci nie mieli wątpliwości, że ja jestem po ich stronie. Pamiętam, że tłumaczyłem któremuś z nich, teraz nie pomnę, komu, że dla mnie sprawa KOR-u jest dość podejrzana. Jak oni mogą tak działać, to zapewne mają cichą zgodę SB i wszystko może być prowokacją. Niektórzy ludzie z wydziału byli zaangażowani w podziemne wydawnictwa, pojawiały się liczne książeczki wydawane przez różne organizacje. No więc taka była atmosfera w '80 roku.

Jak wybuchły strajki, to nie miałem wątpliwości, że należy za wszelką cenę doprowadzić do powstania niezależnych związków zawodowych. Ale znowu –

⁹ Pierwsza wizyta Jana Pawła II w Polsce (1979 r.). To wtedy padły słynne słowa „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi”.

kibicowałem tym strajkom z daleka. Zwykle na wakacje wyjeżdżałem z całą rodziną do rodziców pod Tarnów na żniwa. I stamtąd obserwowałem świat w wakacje i tak było w tamtym roku. Nie pamiętam, w którym momencie wróciliśmy do Warszawy, ale ja tylko śledziłem to, co się dzieje w Gdańsku i Szczecinie. Natomiast nie byłem, nie jeździłem, nie działałem w gremiach warszawskich, które organizowały jakieś formy poparcia dla strajków. W szczególności nie byłem związany w żaden sposób z KIK-iem i ci eksperci, którzy tam jeździli, byli mi nieznani. Sympatyzowałem z nimi, ale nie byłem organizacyjnie związany.

Gdy pojawiło się porozumienie w stocznich w sierpniu '80, to miałem wtedy zakontraktowany wyjazd z pielgrzymką PTM do Rzymu. Polskie Towarzystwo Matematyczne chciało w ten sposób uczcić swoje sześćdziesięciolecie, które jakoś wtedy wypadało. Była nawet obietnica, że będziemy mieć prywatną audiencję u papieża. No i ja się zgłosiłem. Nie pamiętam, w ile osób pojechalśmy do Rzymu. To był początek września, zatem już po podpisaniu porozumień. W Rzymie w radio od jakiegoś kolegi słuchałem doniesień, co się dzieje w Polsce – głównie informacji o rozpadzie Centralnej Rady Związków Zawodowych. Obiecanej audiencji tośmy tam nie mieli, ale Rzym obejrzałem, byłem raz i drugi na mszach papieskich, w sumie szczęśliwy, że to się udało zrobić. Proszę sobie zdać sprawę, że to były czasy, kiedy się nie wyjeżdżało ot tak: chciałem, to pojechałem. Trzeba było załatwić paszport i tu pośrednictwo PTM miało znaczenie.

Przejdźmy może do lat osiemdziesiątych.

Wiem, że mówię rozwlekłe, ale jesteśmy już w roku '80. Teraz się zaczyna to, jak ja się w ogóle znalazłem w „Solidarności”. Wróciłem do kraju w połowie września i zaraz trafiłem na zebranie Związku Nauczycielstwa Polskiego, do którego należałem od początku pracy w '66 roku. Wtedy już wiadano, że powstaną niezależne centrale związkowe, ale nie było jasne, jakie i ile. No więc na wydziale odbyło się zebranie wszystkich pracowników zorganizowane przez ZNP. Na nim objaśniano sytuację: ZNP usiłował wejść w odnawianie związków zawodowych. Nie pamiętam już wiele w tej chwili, ponieważ byłem raczej biernym członkiem ZNP. Zebranie prowadziła nieco starsza koleżanka z wydziału, pani Cecylia Rauszer, która była wtedy szefową ZNP na wydziale. Ona właśnie przedstawiała sytuację związku na wydziale – z taką intencją, że to my teraz zaczniemy na nowo działać, już tak dla ludzi. Wyliczała, ilu członków ZNP jest na wydziale. Ja wtedy wstałem i powiedziałem, żeby mnie nie liczyli jako członka, bo ja się natychmiast wypiszę, gdy powstanie niezależny związek. To wywołało dość piorunujące wrażenie, przynajmniej tak mi się wydawało. W każdym razie ta pani Rauszer spiorunowała mnie wzrokiem. Jako ciekawostkę powiem, że pani Cecylia, czyli Inka Rauszer, to była koleżanka Janusza Onyszkiewicza z Zakładu Logiki i ona chyba wtedy

przyprowadziła go na to zebranie, co było świetnym ruchem uwiarygodniającym ZNP. Onyszkiewicz miał opinię takiego... niegrzecznego wobec władzy już od '68 roku. Niewiele wcześniej, w '80 roku udało mu się wrócić do kraju po kilkuletnim pobycie w Anglii, gdzie został wcześniej na służbowym paszporcie. Miał teraz opinię człowieka, którego już za granicę długo nie wypuszczą.

W środowisku uczelnianym i naukowym Warszawy tworzył się wtedy tak zwany ośmioliterowiec – nowy związek zawodowy, jego nazwa składała się z ośmiu słów. I ja się wtedy do niego natychmiast zapisałem. Jak tylko podpisałem akces, podsunęto mi głosowanie nad likwidacją, a dokładniej nad zgodą na włączenie tego związku do ogólnokrajowej „Solidarności”. Oczywiście byłem za. Tak na Wydziale i w uczelni zawiązał się NSZZ „Solidarność”.

Niebawem, na początku października 1980 na naszym Wydziale Matematyki i Mechaniki UW odbyło się zebranie konstytuujące komisję wydziałową. I mnie koledzy wybrali do tej komisji. Wcześniej nigdy w takiej działalności nie uczestniczyłem, ale z zapalem zabrałem się do pracy. W komisji byłem jednym z niewielu nowych ludzi – reszta to byli w większości kombatanCI z komitetów strajkowych w '68 roku.

Czas między październikiem 1980 a początkiem grudnia 1981 jest oczywiście ważny, ale chcę przejść do wspomnienia stanu wojennego. 13 grudnia '81 to była niedziela. Rano dzieci podniosły lament, że się zepsuł telewizor i nie można obejrzeć „Teleranka”; po chwili z podobnym lamentem przybiegli synowie sąsiadów i ja na przenośnym radiu odsłuchałem deklaracji Wojciecha Jaruzelskiego. Byłem przekonany, że robotnicy będą bronić związku i postanowiłem rozpoznać, jaka jest reakcja silnych ogniw związkowych. Ponieważ mieszkam przy linii tramwajowej prowadzącej do Huty, więc tam pojechałem. Wejście do Huty było zablokowane – chyba przez straż robotniczą – i szykowali się do strajku. Nie przypominam sobie sił milicyjno-wojskowych w pobliżu. Pętla tramwajowa przed Hutą była pełna i kierowcy intensywnie debatowali, co robić. Dali się jednak przekonać, że powinni przede wszystkim jeździć, żeby zapewnić łączność, i tramwaje wyruszyły na trasy. Ja jednym z takich wozów pojechałem do Śródmieścia i poszedłem na Krakowskie Przedmieście do komisji uczelnianej (uznałem, że w komisji wydziałowej w PKiN w niedzielę nie mam czego szukać). To chyba była dziesiąta, jedenasta rano, nie pamiętam. Było tam już kilka osób, niektóre miały informacje o aresztowaniach pewnych pracowników uczelni i delegatów na przerwany Kongres Kultury Polskiej. Było jasne, że aresztowań jest sporo. Ludzie, którzy przypuszczali, że znają kogoś, kto mógł być wzięty, szli sprawdzać, co się stało. Po takich rozpoznaniach ludzie wracali z różnymi informacjami. Niektórych ludzi znajdowano bez problemu w domu, ale innych nie można było

nigdzie znaleźć. Były informacje o wyprowadzeniu z domu, ale były też informacje o rozbitych drzwiach. Atmosfera była dość nerwowa. Pojawiła się idea, że rolę punktu kontaktowego może spełniać Kościół Akademicki św. Anny przy placu Zamkowym, bo tam odbywały się liczne msze.

Pojawił się problem ukrycia dokumentacji komisji uczelnianej – przede wszystkim deklaracji członkowskich. Tę sprawę załatwiono z klasztorem sióstr Urszulanek na Powiślu, a więc blisko. W komisji był wielki plecak taternicki Maćka Gellera (przewodniczącego komisji, który w tym dniu odsypiał powrót po ciężkiej wyprawie w góry). Do tego plecaka wpakowano całą delikatną dokumentację i mnie przypadł zaszczyt odniesienia tego ciężaru do klasztoru. I tu ciekawostka: wydaje mi się, że plecak odbierała starsza pani bez habitu – czyżby rezydentka?

Po wyniesieniu dokumentów odetchnęliśmy z ulgą. No i tak czekaliśmy, co dalej, i to wtedy powstała inicjatywa, że trzeba pomyśleć o jakimś gremium, które będzie zarządzało „Solidarnością” na UW w razie aresztowania komisji uczelnianej. Więc grupa osób, które były wyżej ulokowane w hierarchii związku, zrobiła takie spotkanie poza nami, którzy byliśmy w jakimś sensie przypadkowymi widzami. Później się pojawili i oznajmili, że już wybrali jakąś grupę, która będzie kierować tym wszystkim, co się tutaj dzieje. I bodajże wtedy na szefa tego gremium wybrali Krzysia Laskowskiego¹⁰. Nie jestem na sto procent pewien. Laskowski był później działaczem „Solidarności” po ’89, ale chyba już wtedy, w ’81 go wybrali. On był geologiem, później też w którymś momencie był internowany za działalność w tej nielegalnej już „Solidarności”. Więcej nie pamiętam – wrażeń mieliśmy dość i wróciliśmy do domów.

Następnego dnia na wydziale w PKiN próbowaliśmy zorganizować jakieś protesty. Oczywiście było, że strajkujemy wszyscy. Ale natychmiast się okazało, że już są zarządzenia, żeby pilnować – to była decyzja rektora – żeby na wydziale nie pojawiały się obce osoby. W Pałacu Kultury to była kwestia tego, że windą na nasze dziewiąte piętro mógł wjechać każdy, kto chciał. Więc władze dziekańskie zarządziły dyżury asystentów przy wyjściu z wind, żeby legitymować gości. Kole-dzy ustawili tam stoły i tabliczki z napisem „Passport Control” czy coś takiego. Niedługo później rzeczywiście pojawili się jacyś komisarze wojskowi, którzy badali PKiN, chyba głównie z ciekawości. W pewnym momencie zrobiła się awantura o te tabliczki i trzeba je było usunąć, a dyżurni już spokojnie legitymowali wszystkich, którzy wchodzili na wydział. Nie umiem powiedzieć nawet, czy był wielki ruch czy niewielki. I tu ciekawostka o tych wojskowych, którzy tam w Pałacu Kultury

¹⁰ Krzysztof Laskowski – 20 grudnia 1980 r. został wybrany na walnym zebraniu NSZZ „Solidarność” na członka komisji zakładowej związku na UW.

mieli pilnować porządku: weszli na takie schody, które od lat nie były używane. Bo Pałac Kultury był budowany na modłę ruską. Były wejścia dla studentów i były klatki schodowe dla kadry, tylko że u nas nikt z tych klatek nie korzystał. Więc to było zamknięte i tam były miliony martwych much. No w ogóle coś śmiesznego. Więc ci biedni oficerowie, przechodząc tamtymi klatkami, zobaczyli, że tam jest taki straszny bałagan. I była taka sytuacja, że tutaj odbywa się zebranie, a z tyłu, za tablicą otwierają się drzwi, które nigdy przedtem nie były otwierane, i wychodzi jakaś grupa wojskowych.

Warto zaznaczyć, że koledzy informatycy mieli tajną łączność komputerową z niektórymi innymi instytucjami (na przykład ze Świerkiem¹¹) i sporo wiedzieli o sytuacji w mieście i kraju. Wszelkie próby organizowania protestów zostały bardzo szybko spacyfikowane. Ale w pokojowy sposób, nikt żadnej krzywdy nam nie zrobił, niemniej stało się jasne, że nasze protesty nie mają sensu, bo dla władz mają za małe znaczenie. Pozostawało tylko szukać kontaktu ze środowiskami robotniczymi.

W każdym razie na wydziale myśmy też zorganizowali podziemną „Solidarność”. Przyszło do nas sporo... no przynajmniej kilka osób, które nie były w „Solidarności”, ale uznały, że teraz będą płacić składki i będą się z nami jakoś trzymać. Nie sposób z dzisiejszej perspektywy ocenić, które osoby przyszły, bo chciały, a które przyszły, bo im kazano, ale myśmy na wydziale nie mieli żadnych problemów z jakimś takim rozbijaniem od wewnątrz. Tak że to wszystko funkcjonowało. Z „Solidarności” na wydziale było kilka bardzo aktywnych osób, działały na różnych poziomach. Parę osób zaangażowało się od razu w jakąś robotę na wyższym poziomie, a parę osób, między innymi ja, robili za takich od działalności półjawej. Więc ja na przykład byłem zapraszany przez dziekana na posiedzenia w sprawach płacowych jako przedstawiciel pracowników, a faktycznie „Solidarności”, ktoś inny był z ZNP, ale działaliśmy w zgodzie. Czasem wypadało mi rozprawadzić materiały związkowe – na przykład „Tygodnik Mazowsze” – wtedy trzymałem je w szufladzie współdzielonej z jednym z nielicznych partyjnych kolegów. Nie było to żadnym problemem.

Zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego wywiozłem swoją rodzinę na parę tygodni do moich rodziców pod Tarnów – tam było co jeść bez kolejek w sklepach – i zająłem się „podziemnym nauczaniem”. Należało podszkolić w matematyce grupę byłych podchorążych Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej, którzy nie

¹¹ Świerk – popularna nazwa głównego ośrodka atomistyki w Polsce, działającego od lat 50. XX w., dziś jako Narodowe Centrum Badań Jądrowych. Od początku ma on siedzibę w dawnej wsi Świerk pod Otwockiem, obecnie dzielnicy tego miasta.

chcieli przejść do Szkoły Głównej Służby Pożarniczej i otrzymali od niektórych szkół inżynierskich obietnicę kontynuacji studiów pod warunkiem uzupełnienia wykształcenia z matematyki. Duszpasterstwo Akademickie św. Anny zorganizowało w korytarzach kościelnych takie zajęcia wyrównawcze, co rzeczywiście nieco przypominało konspirację, bo należało chodzić w maleńkich grupkach i niektórym elewom należało wytłumaczyć, że noszenie strażackiego toporka jest ryzykowne. Nie pamiętam już teraz, jak długo trwały te zajęcia, i nie wiem, jaki pożytek przyniosły słuchaczom (tajność!). We mnie jednak pozostał trwały ślad tego epizodu: otóż rektor kościoła św. Anny, ksiądz prałat Tadeusz Uszyński powiedział do nas: „Wy mniej konspirujcie, a więcej się módlcie”. I myśmy uznali tę uwagę – zawiązaliśmy kółko różańcowe matematyków pod prezesurą profesora Andrzeja Schinzla, które przy św. Annie trwa do tej pory.

Publikacja powstała z inspiracji dr. hab. prof. UW Tomasza Ochynowskiego i dr. hab. prof. UW Izabelli Łęckiej z Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego przy współudziale imponującego zespołu młodych badaczy rekrutujących się z grona studentów z różnych kierunków stołecznej uczelni. Studenci nie tylko przeprowadzili wywiady z bohaterami stanu wojennego. Podjęli się również opracowania merytorycznego dokumentacji. Na omawiany tom składają się wspomnienia: **Maryli Kiersnowskiej, Andrzeja Kaczanowskiego, Jerzego Kwaśniewskiego, Barbary Malak-Minkiewicz, Lecha Mankiewicza, Anny Owczarek, Anny Radziejowskiej-Hilchen, Joanny Papis, Jana Rempały, Juliana Srebrnego, Jerzego Siedleckiego, Jerzego Szatyłowicza, Zuzanny Toeplitz, Ryszarda Zielińskiego i Mariusza Ziółkowskiego.** Z powyższego wykazu nazwisk wynika, że młodym badaczom i ich opiekunom nie przyświecała bynajmniej idea dotarcia do postaci z pierwszych stron gazet w kontekście dramatycznych wydarzeń, które w wyniku decyzji gen. Wojciecha Jaruzelskiego i jego komunistycznych współpracowników rozpoczęły się 13 grudnia 1981 r.

„Wojna polsko-jaruzelska”, posiłkując się w tym miejscu określeniem Andrzeja Paczkowskiego, objęła swoim zasięgiem cały kraj, poczynawszy od Podkarpacia i Kresów Wschodnich, skończywszy na Wybrzeżu i Kresach Zachodnich. Protesty w różnej skali i z różnym zaangażowaniem podjęli mieszkańcy największych miast w kraju, ze stolicą włącznie, oraz małych prowincjonalnych miasteczek. Wśród kontestujących byli pracownicy kluczowych dla polskiej gospodarki zakładów pracy (w tym m.in. górnicy, stocznioowcy) oraz studenci i naukowcy z wyższych uczelni. W większości wywodzili się oni ze struktur największego w Europie Środkowo-Wschodniej związku zawodowego, czy też nawet ruchu społecznego, Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” oraz Niezależnego Zrzeszenia Studentów, które przed ustanowieniem stanu wojennego liczyły bez mała 11 milionów działaczy. Rygory wprowadzonego bezprawnie stanu wyjątkowego, już od pierwszego dnia, wyeliminowały z protestu kierowców m.in. PKS, MZK, kolejarzy oraz Polskiego Radia i telewizji. Aczkolwiek należy tu zauważyć, że władze komunistyczne jednocześnie przeprowadziły w mediach weryfikację pracowników (z dużą liczbą osób zwolnionych z pracy).

Z recenzji prof. dr. hab. Tadeusza Wolszy

ISBN 978-83-235-5365-6

